scriptores

nr 1/2003 (27) zeszyt 20 Rok XI ISSN 1644-9444

Pamięć
Miejsce
Obecność

laboratorium pamięci - małe ojczyzny - spotkania kultur

Lublin

לובלין

Znasz ten ustęp z Genezis? „Jakub poszedł swoją drogą. Spotkali go boscy posłańcy. Jakub zobaczył ich i rzekł: „To musi być obóz Boga", i nadał temu miejscu nazwę Mahanajim, czyli Podwójny Obóz. Czy wiesz, dlaczego ten fragment wchodzi w skład modlitwy przed podróżą? A wiesz, gdzie leży Mahanajim, Podwójny Obóz? Tu, w Lublinie. Czyż nie mamy tu dwóch miast, jednego żydowskiego i jednego chrześcijańskiego, dwóch obozów Boga?

Marek Halter, „Synowie Abrahama"

Wydawca:

OŚRODEK BRAMA GRODZKA
TEATR NN

i Stowarzyszenie „Brama Grodzka"

SCRIPTORES
Pamięć-Miejsce-Obecność
laboratorium pamięci
małe ojczyzny
spotkania kultur

Wydawca:
Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”
Współwydawca:
Stowarzyszenie „Brama Grodzka”
nr KRS 0000125849
Dyrektor Ośrodka:
Tomasz Pietrasiewicz

Adres redakcji i wydawcy:
ul. Grodzka 21 20-112 Lublin
tel. (0-81) 532-58-67, faks: 534-61-10
scriptores@tnn.lublin.pl
scriptores.tnn.lublin.pl
teatrnn@tnn.lublin.pl www.tnn.lublin.pl
redaktor: Marcin Skrzypek

Ilustracje zawarte w numerze i podpisy do nich pochodzą od redakcji. Przypisy bez adnotacji [przyp. red.] pochodzą od autorów.
Miniatury zdjęciowe bez podpisów są fragmentami zdjęć Stefana Kiełszni i pochodzą ze zbiorów TNN z wyjątkiem: str. 155 (ze zbiorów Wojciecha Turżańskiego), str. 169 (autor nieznany), str. 64 (ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego).
Skróty informujące o pochodzeniu ilustracji: TNN – Ośrodek „Brama Gordzka – Teatr NN”; WOSOZ Lublin – Wojewódzki Oddział Służby Ochrony Zabytków w Lublinie; WBP im. H. Łopacińskiego – Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego; APL – Archiwum Państwowe w Lublinie; MPWiK – Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji; YIVO – YIVO Institute for Jewish Research.
Projekt okładki: Anna Prokop, projekt wnętrza: Anna Prokop, Marcin Skrzypek. **Skład**: Amadeusz Targoński (amadeusz@inetia.pl.)
Druk: SOWADRUK. **Nakład:** 1000 offset + 170 dodruk cyfrowy.

Redagowanie i wydawanie kwartalnika „Scriptores” jest jedną z form programu „Pamięć-Miejsce-Obecność” realizowanego przez Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”.
„Scriptores” jest kontynuacją pisma „Scriptores Scholarum [Zeszyty Szkolne] - kwartalnik uczniów, nauczycieli oraz ich Przyjaciół” wydawanego przez Ośrodek od czwartego numeru w latach 1994-2000.

Nasze

rozmowa z Władysławem Panasem

O kulturze Rzeczpospolitej trzeba mówić takim językiem, jakiego wymagają twory złożone: wieloetniczne, wielowyznaniowe. Taką mieliśmy historię. Tworzyło ją wiele kultur, a została z nich jedna. Nosimy teraz za duży garnitur – skrojony zdecydowanie na kogoś innego.

To już prawie cały polski Lublin

Marek Dziuba

Żyd, Niemiec, Francuz? Ateista, żyd czy katolik? Dzisiaj powiedzielibyśmy, że był Europejczykiem w każdym calu i z całym niejednorodnym bagażem europejskiej kultury, który po prostu nie mieścił się w wąsko zakreślonych granicach nacjonalizmów. Chyba najlepszym dowodem na to jest fakt, raczej niespodziewany i niezamierzony, że po osiemdziesięciu latach w tym samym tekście źródeł własnej tożsamości kulturowej, w rozumieniu podróży po minionym świecie przeszłości, poszukują czytelnicy polscy, którzy adresatami tego tekstu pierwotnie nie byli.

Mój dawny świat

Nechama Tec

Wiedziałam, że moi rodzice nigdy nie zdołają się całkowicie zasymilować. Byli zbyt „żydowscy” i to nie tyle ze względu na ich fizyczny wygląd, ile z uwagi na cały wachlarz specyficznych cech. Ich pierwszym językiem był jidysz, natomiast znajomość polskiego była ograniczona. Jidysz miał specyficzną fleksję, wyrażenia i składnię, a tym z kolei towarzyszyła szczególna mimika, gestykulacja i ruchy, które Polacy-chrześcijanie uznawali za „typowo żydowskie”.

SPIS TREŚCI

7 **Wstęp do „Scriptores" w nowej formule**
9 **Od redakcji**

HISTORIA

13 **Nasze** rozmowa z Władysławem Panasem SPOTKANIE
24 **Żydzi polscy w świetle zachowanych źródeł** Janusz Tazbir
27 **Na zajęcia niosę mapę Polski Jagiellonów** rozmowa z Jakubem Goldbergiem
34 **Portret historyczny** Tadeusz Radzik RAPORT

NARÓD I KSIĘGI

47 **Judaizm. Tora – Prorocy – Pisma** Konstanty Gebert
50 **O (żydowskiej) miłości do (hebrajskich) ksiąg** Ryszard Löw
55 **Drukarnie hebrajskie w Lublinie** Joanna Zętar
64 **Od chederu do jesziwy** Zygmunt Hoffman
73 **„Księgi Pamięci" – geneza i charakterystyka** Sylwia Bojczuk
77 **Miasto i jego ulice** fragmenty *księgi pamięci* Lublina

ŻYDOWSKIE ELITY

91 **Czy Lublin miał żydowskie elity?** Robert Kuwałek SZEROKI EKRAN
112 **Pierwsza i ostatnia „Myśl"** Bartosz Panek
118 **„Do ludności żydowskiej m. Lublina"** odezwa nadrabina Eliasza Klatzkina

LUDZIE – PAMIĘĆ – MIEJSCE

120 **Lubelszczyzna w jidysz** rozmowa z Moniką Adamczyk-Garbowską
129 **Jakub Glatsztejn** Monika Adamczyk-Garbowska
131 **Podróże Jasia** Jakub Glatsztejn
140 **„To już prawie cały polski Lublin"** Marek Dziuba ESEJ
146 **Lublin** Alfred Döblin
158 **Mój dawny świat** Nechama Tec
168 **Anna Regina Sternfinkiel (Anna Langfus)** Ewa Rybicka
171 **Wspomnienia o Annie Sternfinkiel** z archiwum Historii Mówionej TNN
173 **Kurs przygotowawczy** Anna Langfus
187 **Lublinie, moje święte miasto** Jakub Glatsztejn
188 **Umarli nie chwalą Boga** Jakub Glatsztejn

193 **Słowniczek skojarzeniowy**
206 **Contents**
210 **O Wydawcy**
213 **About the „Grodzka Gate – NN Theatre" Centre, the publisher of „Scriptores"**

Program subsydiowany przez Fundację Kultury

Numer ukazał się dzięki pomocy finansowej **Województwa Lubelskiego**, **Fundacji Kultury** i **Ministerstwa Kultury** (dział „Historia, Pamięć, Pojednanie"). „Scriptores" ukazuje się również dzięki pomocy **Fundacji im. Stefana Batorego**. Składamy serdeczne podziękowania za życzliwość, okazane wsparcie i pomoc prof. **Monice Adamczyk-Garbowskiej**, prof. **Władysławowi Panasowi**, prof. **Tadeuszowi Radzikowi**, **Marianowi Łozie**, **Robertowi Kuwałkowi**, **autorom** tekstów i **właścicielom** materiałów wykorzystanych w numerze oraz **członkom redakcji** „Scriptores Scholarum".

Wstęp do „Scriptores" w nowej formule

Tych, którzy cenili „Scriptores Scholarum – kwartalnik uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół" pragnę uspokoić: zbieżność tytułów nie jest przypadkowa. Wręcz przeciwnie, „Scriptores" stanowi kontynuację tamtego pisma (stąd niniejszy zeszyt nosi numer kolejny po ostatnim, 26. numerze „Scriptores Scholarum", który ukazał się jesienią 2000 roku). Kontynuacją jego istnienia była reforma szaty graficznej i wszelkie inne zmiany, a także – wbrew pozorom – przerwa w jego ukazywaniu się.

Jedną z podstawowych zmian w „Scriptores" była rezygnacja z wysuwania na plan pierwszy stricte oświatowych ambicji na rzecz bardziej uniwersalnej edukacji społecznej oraz całkowite związanie pisma z działalnością wydawcy, Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN", który od początku istnienia pozostaje wierny tytułowi swojego pierwszego programu „Pamięć – Miejsce – Obecność". Choć Ośrodek prowadzi wiele różnorodnych projektów, zawsze można je usytuować między tymi trzema pojęciami. Tworzą one całość, swoisty „ideogram", trójkąt wzajemnego przenikania się i relacji. Co prawda trzywyrazowe tytuły są dość popularne, ale rzadko który bywa odkrywczy i wnosi coś nowego. Próba czasu, jaką z powodzeniem przeszedł ten program w Ośrodku, dowodzi, że hasło „Pamięć – Miejsce – Obecność" nie tylko ładnie brzmi. Sądzę, że wyznacza ono trzy osie, trzy wymiary tej samej, odrębnej i realnej przestrzeni aksjologicznej, która z różnych względów jest szczególnie ważna w naszej części świata i momencie historii. Zgłębianiem tej przestrzeni chcielibyśmy się zająć w „Scriptores". Czytelnik lubiący mniej abstrakcyjny język znajdzie na stronie tytułowej uproszczoną, ale bardziej konkretną wersję podtytułu pisma: „laboratorium pamięci – małe ojczyzny – spotkania kultur". Na pewno znajdzie się wiele okazji, aby bliżej omówić te hasła. Gdzieś pomiędzy nimi sytuuje się tematyka, która również będzie się przewijać w „Scriptores", związana z samorządnością, mediami i edukacją, tymi bardzo już namacalnymi wymiarami, które dają o sobie znać, gdy pomysły związane z pamięcią, miejscem i obecnością chce się wprowadzić w czyn.

Przykładem tego może być szata graficzna „Scriptores". Z premedytacją, a nawet pewną przekorą, używa ona języka nowoczesnych mediów, aby mówić o sprawach, które znają najczęściej tylko wąskie kręgi specjalistów i zapaleńców, choć są one o wiele ważniejsze niż krótkotrwałe tematy nieustannie przyciągające zmysły w mass mediach. „Scriptores" nigdy nie będzie konkurentem w tej otwartej walce o czas i uwagę odbiorców, ale może wygrywać tam, gdzie ów czas i uwaga się rodzi. Mimo że media wciąż rozszerzają swoją ofertę, jest oczywiste, że w społeczeństwie informacyjnym problemem nie jest dostęp do informacji czy sposób ich wyszukiwania, lecz kryteria, których używamy przy ich wyborze. Człowiek jest istotą ograniczoną czasowo, więc nawet jeżeli kiedyś znajdziemy się w sterowanym myślą świecie wirtualnym, problem pozostanie ten sam: co wybrać i dlaczego to, a nie tamto? Postęp techniki nie rozwiązuje problemu hierarchii wartości. Dlatego „Scriptores" stawia sobie za główny cel porządkowanie rzeczywistości, na przykład poprzez stosowanie w praktyce pewnych kryteriów

wyboru lub dostarczanie znanym nieraz faktom kontekstu, bez którego tracą znaczenie. Czytelnik może oczekiwać, że znajdzie w piśmie teksty dobre i wartościowe, choć często już gdzieś wcześniej publikowane. Biorąc pod uwagę ostateczny efekt, jakim jest przyjęcie treści przez odbiorcę, dokonywanie selekcji tekstów i umieszczanie ich obok siebie bywa działaniem równie efektywnym, jak samo pisanie, choć słów od tego nie przybywa. I bardzo dobrze.

Mając nadzieję, że z numeru na numer wszystkie te założenia będą wprowadzane w życie coraz lepiej, zapraszam do sprawdzenia, jak udało się je zrealizować w tym zeszycie.

Marcin Skrzypek

Od redakcji

W trakcie prac nad niniejszym numerem okazało się, że dość trudno wymyślić mu odpowiedni tytuł. Propozycji było wiele: „Żydowska Atlantyda", „Żydzi w Lublinie", „Żydowskie Miasto", „Lubelscy Żydzi" itp. Każda z nich podkreślała jakiś aspekt istnienia w Lublinie żydowskiej społeczności, ale jakby z zewnątrz, oczami turysty patrzącego na przechodniów w obcym kraju, natomiast tutaj potrzebny był raczej punkt widzenia „obserwatora inercjalnego", jak by to ujął fizyk. Ciekawe rozwiązanie tego problemu z wykorzystaniem podmiotu domyślnego zaproponował prof. **Tadeusz Radzik** w tytule „Żyli z nami", ale ten został już użyty w artykule o wielokulturowości Lublina, którego fragment poświęcony Żydom publikujemy jako „Portret historyczny". Lublin był jednym z setek miejsc w Polsce, których integralną część stanowiły społeczności żydowskie: dzielnica, przysiółek, kilka chałup. Dziś, aby to sobie uzmysłowić, musimy uczynić specjalny wysiłek, niejako dodając je w wyobraźni do współczesnego krajobrazu. Ale aż do czasów międzywojennych sąsiedztwo Żydów było dla miejscowych naturalną oczywistością, często od setek lat. Jak dobrać się za pomocą jednego, dwóch słów do tej nieznanej rzeczywistości? Przy czym powinny to być słowa uniwersalne i symboliczne, bo sytuacja Lublina powtarza się w innych miejscach i z innymi narodowościami. Ostateczna propozycja „Lublin żydowski" wyglądała na kapitulację, ale towarzyszyło jej pytanie – wzięte co prawda jakby z zupełnie innego kontekstu – które zdawało się dotykać sedna problemu: dlaczego „żydowski", a nie nasz, polski? A jeżeli nasz, to dlaczego nie po prostu: „Lublin"? To było to.

Echa tych wątpliwości przewijają się w rozmowie z prof. **Władysławem Panasem** otwierającej zeszyt. Mamy problemy zarówno z recepcją wielokulturowej historii Polski, jak i z akceptacją własnego, nie zawsze przychylnego stosunku do niej. Ale jak przyjąć za swoje coś, o czym wie się tak niewiele? Nikt nie lubi czuć się ignorantem, dlatego pierwszy dział numeru poświęcony jest powtórce z historii. Opracowania autorstwa profesorów **Janusza Tazbira** i **Tadeusza Radzika** oraz rozmowa z prof. **Jakubem Goldbergiem** pokazują przede wszystkim, jak wielostronna była konkurencja interesów i walka o wpływy w dawnym polskim społeczeństwie, zmieniającym się z wieku na wiek. Widziane z tej perspektywy tracą ostrość pojęcia tolerancji i antysemityzmu, do których przyzwyczailiśmy się w opisywaniu naszego stosunku do Żydów.

Drugi dział, „Naród i księgi", jest próbą pokazania żydowskiej kultury od środka. Mieszkaniec Lublina mógł codziennie spotykać Żydów na ulicy, ale prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, do jak wielkiej i bogatej całości należał pierwszy lepszy cheder, wyglądający z zewnątrz jak zwykły pokój pełny dzieci, pachnący czosnkiem i śledziami. Aby to w pełni pojąć, trzeba cofnąć się co najmniej do czasów Mojżesza, a więc zacząć od tekstu **Konstantego Geberta**, który w prostych słowach wyjaśnia, jak należy rozumieć początki narodu żydowskiego i tajemnicę jego ciągłości. Cześć dla pochodzącego od Boga słowa pisanego (a właściwie przepisywanego) przerodziła się w kult książek, o którym pisze **Ryszard Löw**.

Edukacja i ciągłe odczytywanie na nowo świętych ksiąg dawało łączność z tradycją, a ta niwelowała dystans w czasie i przestrzeni między społecznościami diaspory. Okazuje się, że Lublin ma w tym niemałe zasługi dzięki drukarniom, których historię przywołuje **Joanna Zętar**, i tradycjom szkolnictwa religijnego opisywanym przez **Zygmunta Hoffmana**. W tym kontekście księgi pamięci, których tradycja, jak pisze **Sylwia Bojczuk**, sięga średniowiecza, wydają się logiczną konsekwencją trwania żydowskiej kultury. To pomniki pamięci, które przypominają opracowania historyczne, ale w rzeczywistości same są dokumentami.

Czy Lublin miał żydowskie elity? Oczywiście, jest to pytanie retoryczne, ale warto je zadać. Przez stulecia kwitła obok nas zupełnie nieznana nam kultura, która miała swoje elity zawsze, w każdym razie kilkakrotnie dłużej niż istnieje państwo polskie. Opracowanie **Roberta Kuwałka** jest najdłuższym tekstem w zeszycie, mimo że w telegraficznym skrócie wspomina jedynie o najważniejszych postaciach lubelskich elit żydowskich. Nieco więcej światła na działalność dwóch z nich rzuca omówienie „Myśli Żydowskiej" autorstwa **Bartosza Panka** i pochodzący z tego pisma tekst dokumentalny, odezwa nadrabina **Klatzkina** z 1916 roku.

Ostatni dział ukazuje Lublin we wspomnieniach bądź opisach literackich autorów żydowskich, przy czym kobiety, których teksty tu się znalazły, bez wątpienia wywodzą się z lubelskich elit (celowo nie dodałem: żydowskich). Ciekawe, że środowisk tych zupełnie nie mógł dostrzec odwiedzający miasto **Alfred Döblin**, mimo że był pisarzem i zarówno jego edukacji, jak i zmysłowi obserwacji niczego nie można zarzucić. Czy jego punkt widzenia nie przypomina nieco naszego? Myślę, że czytelnik wgłębiający się w Miasto Żydowskie łatwo zrozumie i weźmie również do siebie metaforę zamkniętych drzwi, której znaczenie wyjaśnia **Marek Dziuba**. Za tymi drzwiami stoją do dziś **Jakub Glatsztejn** i **Anna Langfus**, w Lublinie nieznani, choć jako pisarze zdobyli międzynarodową sławę. Langfus otrzymała Nagrodę Goncourtów jako czwarta kobieta, a pierwsza Polka, co szczegółowo odnotowuje **Ewa Rybicka** w obszernym opisie sylwetki autorki. Autobiograficzna powieść Langfus, której fragmenty publikujemy, nie była nigdy drukowana po polsku. Podobie jak powieści Jakuba Glatsztejna. Może zmieni to rozmowa z prof. **Moniką Adamczyk-Garbowską**, która zestawia postać tego pisarza i poety z Izaakiem Bashevisem Singerem, autorem o wiele bardziej znanym i kojarzonym z Lublinem, choć mniej „lubelskim", któremu Glatsztejn wcale nie ustępuje jako pisarz.

Żydowscy mieszkańcy Lublina, którzy przeżyli Zagładę, dziś rozrzuceni są po świecie, ale właśnie tutaj przeżywali swoje dzieciństwo i młodość. Potem uciekali lub emigrowali, gdzie indziej układali sobie życie i robili kariery. Wielu z nich jednak – jak na przykład **Nechama Tec** – czują potrzebę powrotu w to miejsce, choćby w osobistych wspomnieniach. Podobnie było z Jaszą Mazurem, Sztukmistrzem z Lublina, postacią fikcyjną, lepiej jednak pamiętaną niż realne osoby, które tu rzeczywiście mieszkały. Co tylko udowadnia, jak ważne jest odpowiedni dać rzeczy tytuł.

Osobnym działem, rozproszonym w numerze i wyróżnionym własnym logotypem na żywej paginie, jest „Historia – Pamięć – Pojednanie". Powstał on dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i wynika z działań Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN", które w różny sposób dotykają tej tematyki. Bezpośrednio jest on kontynuacją konferencji „Edukacja dla pojednania" zorganizowanej w Ośrodku w dniach 3-5 czerwca 2001 we współpracy z Carnegie Council on Ethics z Nowego Jorku i Katedrą Judaistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. O pojednaniu napisano

już wiele w tonie publicystyki i literatury faktu, dotykając najbardziej wrażliwych i trudnych punktów: krzywd, których nie można naprawić, win, których nie można odpokutować, ofiar i sprawców, którzy już nie żyją. Przed wyzwaniem pojednania stanęły narody, które tak naprawdę niewiele wiedzą – i nie chcą wiedzieć – o samych sobie i sobie nawzajem, szczególnie o historii, którą w dużej mierze dzielili, nie tylko w złych momentach. Chcemy wypełnić tę lukę, mówiąc o pojednaniu w kontekście poznawania samych siebie i siebie nawzajem oraz wspólnych – jako autorzy bądź czytelnicy – powrotów do przeszłości.

Zbierając materiały do tego zeszytu w pewnym momencie okazało się, że nie wszystkie pomysły uda się zrealizować na czas, a tych które są, jest i tak za dużo. Wyłoniły się z nich dwie grupy. Do pierwszej weszły teksty składające się na niniejszy numer, opisujące żydowski Lublin bezpośrednio, w formie wspomnień lub opracowań. Postanowiliśmy w miarę możliwości zatrzymać je na 1939 roku. Teksty z drugiej grupy wyrażają nasz, ludzi współczesnych, stosunek do przeszłości, prezentują i proponują sposoby docierania do niej oraz jej interpretacji. Tej tematyce będzie poświęcony jeden z kolejnych numerów „Scriptores".

Marcin Skrzypek

O kulturze Rzeczpospolitej trzeba mówić językiem, jakiego wymagają twory złożone. Taką mieliśmy historię. Tworzyło ją wiele kultur, a została jedna.

Nasze

Nosimy za duży garnitur – skrojony zdecydowanie na kogoś innego

Nasz stosunek do obecności Żydów w Polsce jest najczęściej bardzo emocjonalny i pełen sprzeczności, a przy tym oparty na dość fragmentarycznej wiedzy. Problemów nastręcza zarówno znajomość faktów, jak i ich interpretacja. Poniższa rozmowa rozwiązuje wiele z tych problemów, dotykając tematyki polsko-żydowskiej w całej jej rozciągłości i skomplikowaniu – od legendy *Polin* do polskiego antysemityzmu – nie opuszczając przy tym ani na chwilę lokalnego kontekstu jednego z historycznych miejsc diaspory żydowskiej. REDAKCJA

Legendy i ekonomia

Kiedy w Lublinie zjawili się Żydzi[1]?

Prof. Władysław Panas: Na ten temat możemy jedynie snuć przypuszczenia. Wydaje mi się, że obecność Żydów w Lublinie można łączyć z królem Kazimierzem Wielkim. Nieco pewniejsza dokumentacja pojawia się dopiero w połowie XV wieku. Od początku XVI wieku w Lublinie istnieje już na pewno gmina ze swoimi instytucjami, lokalizacją, prawami i jest to jedna z większych wspólnot żydowskich w państwie polskim. Od tego momentu obecność Żydów podlega nieuchronnej zasadzie: ich rozwój intelektualny, religijny i gospodarczy będzie wiązał się z sytuacją miasta. Jak Lublin się rozwijał i był na szczycie, to i ta wspólnota była na szczycie. Kiedy podczas wojen kozackich[2] Lublin wypadnie z historii Polski jako znaczący ośrodek, to samo stanie się z Żydami.

Z przybyciem Żydów do Polski i Lublina związana jest pewna legenda...

Jedną z wersji spisał Samuel Agnon, noblista hebrajski z Buczacza. Kiedy Żydów wypędzano z Anglii, Hiszpanii, Francji, Niemiec, Niderlandów – zawędrowali do Polski. Królo-

[1] W Piwnicy Rycerskiej w Lublinie z prof. Władysławem Panasem rozmawiali: Marian Koczorowski (gospodarz obiektu), Stanisław Sowa (redaktor naczelny „Dziennika Wschodniego"), Waldemar Sulisz i Jacek Mirosław. [Przyp. red.]

[2] 1648 rok – powstanie Chmielnickiego [przyp. red.].

Władysław Panas – kierownik najstarszej w Polsce Katedry Teorii Literatury na KUL, badacz Brunona Schulza, admirator twórczości Józefa Czechowicza, autor kilku książek (m.in. *W kręgu metody semiotycznej*, *Bruno od Mesjasza*). Eseje i szkice publikował w „Tygodniku Powszechnym", „Znaku", „Akcencie", „Kresach". Tropiciel mistycznych śladów w historii i topografii Lublina (bohater filmu Nataszy Kurczuk-Ziółkowskiej *Magiczne miasto*). Jego zainteresowania naukowe obejmują metodologię, teorię i historię literatury, semiotykę kultury (zwłaszcza pogranicza etnicznego) i kabalistykę, geopoetykę i sztukę ikony. Ostatnio był inspiratorem i animatorem sesji *W ułamkach zwierciadła. Bruno Schulz 1892-1942* związanej ze 110. rocznicą urodzin i 60. rocznicą śmierci tego pisarza.

wie pozwolili im rozejrzeć się po kraju. Stanęli pod pięknym miastem rozłożonym na wzgórzach – był to Lublin. Weszli do gęstego lasu i na drzewach dostrzegli porozwieszane karteczki z wyjątkami z Tory. *To jest dobre miejsce, bo tu ludzie słyszeli o Bogu* – powiedział jeden z nich. *Tu zostaniemy, aż przyjdzie Mesjasz i wybawi nas...* „Tu zostaniesz", a po hebrajsku: *polin*. Czyli – Polska.

... A potem powstało prawo *de non tolerandis Judaeis*. Gdzie tkwi jego geneza i jak należy je rozumieć?

Społeczeństwa typu średniowiecznego miały wyraźną strukturę stanową: na szczycie był król, niżej stan duchowny, potem rycerski, mieszczański i włościański. Wspólnota żydowska nie mieściła się w tej hierarchii. Każdy przypisany był do określonej warstwy, miał swoje prawa i obowiązki, a Żydzi – nie. W Polsce zastosowano takie rozwiązanie, że „należeli" oni bezpośrednio do króla. Podlegali prawnie i finansowo jego jurysdykcji i osiedlani byli na królewszczyznach. W przypadku Lublina wokół zamku. Ponieważ jednak miasto tworzyło jeden organizm, powstawały różne problemy natury ekonomicznej.

Społeczeństwa średniowieczne miały strukturę stanową. Żydzi nie mieścili się w tej hierarchii.

Podlegające różnym władzom tereny były prawnie odseparowane od siebie, ale ludzie nie stali przecież w miejscu.

Konkurencja, krótko mówiąc. Tym bardziej, że Żydzi handlowali w niedziele i chrześcijańskie święta, a w tamtych czasach obowiązywało o wiele więcej świąt niż dziś. I tak miasta w Rzeczpospolitej zaczęły ubiegać się o zakaz handlowania, osiedlania się i nabywania nieruchomości przez Żydów w dzielnicach chrześcijańskich.

Fragment herbu Lublina z księgi rachunkowej z 1749 r.

Właśnie stąd wziął się ów przywilej, który dziś bywa odbierany jako skrajnie antysemicki. *Non tolerandis...*, więc ludzie tłumaczą sobie: „nie toleruje się..." Brzmi to strasznie, ale po pierwsze trzeba pamiętać, co się pod tym kryje, a po drugie, Rzeczpospolita Obojga Narodów była tworem dziwnym, najdziwniejszym w ówczesnym świecie, jak mówi Miłosz. Równocześnie funkcjonował przecież przywilej przeciwny: *de non tolerandis christianis*, bo Żydzi z kolei monitowali królów i sejm, żeby w takim razie chrześcijanie „nie byli tolerowani" na ich terenie. Tak stało się między innymi w Lublinie od 1568 roku. I znowu, gdy słyszy się o tym przywileju, dziwimy się – jak to, w arcykatolickim kraju „nie tolerowało się" chrześcijan?

Tak więc ostatecznie w Lublinie obowiązywały przepisy o wzajemnym „nietolerowaniu" się, ale na szczęście nigdy nie były do końca respektowane, co też widzimy do dziś. Na Podwalu (niegdyś Żydowskim Mieście) stoi kościół św. Wojciecha.

Dlaczego?

Znów ekonomia. Mieszczaństwo miało swoje interesy, ale w Lublinie był też trybunał, szlachta, magnateria – i oni mieli swoje interesy, i to właśnie z Żydami, bo gdzieś musieli sprzedać np. zboże. Interes liczył się bardziej niż kuriozalne dekrety, stąd obie strony pomagały sobie w ich obejściu. Dziś myślimy w sposób uproszczony, że istniał tylko problem, jak pogodzić wspólnoty polską i żydowską. Te kwestie były jednak bardziej złożone. Bo przecież trzeba również pamiętać, że ówczesne miasta były wielonarodowe. Jeszcze do połowy XVI wieku istniało mieszczaństwo niemieckie. W Piwnicy pod Fortuną unikalne polichromie opisane są po łacinie i niemiecku.

Dwa miasta

W jednym mieście były więc dwa miasta?

I takie też było nazewnictwo – pisownia wielkimi literami[3]. Miasto Żydowskie, czyli gmina podzamecka, miała nawet odrębny herb i radę. W jednym organizmie miejskim funkcjonowały dwa miasta. Była to struktura poniekąd schizofreniczna, ale podyktowana interesem państwa. Żydzi nie mogliby przecież przyjść tu sami, gdyby nie mieli zgody – za tym stały przemyślane decyzje. Co tu dużo mówić – władcy Polski zgodzili się na obecność Żydów nie ze względów humanitarnych, ale zadecydował o tym zimny interes. Może wolelibyśmy, aby za tym kryły się jakieś pobudki etyczne, bo Żydzi byli prześladowani i wypędzani. Władcy potrzebowali, aby ktoś miał międzynarodowe powiązania, organizował handel. Rodzimym kupcom brakowało kontaktów, umiejętności, tradycji. A skoro już Żydzi mieli tu żyć, musieli dostać wszelkie potrzebne uprawnienia związane z religią i autonomią: miejsce do modlitwy, prawo do kultu i wszystkiego, co ów kult dyktował, a więc szkolnictwo religijne, szpital, cmentarz. Nawiasem mówiąc, po tamtym Mieście Żydowskim ze starej zabudowy pozostał tylko cmentarz.

Najpierw wyznaczono ulice?

Trzeba pamiętać, że Podzamcze było terenem zalewowym, pomiędzy Czechówką a Bystrzycą. Nie była to więc typowa lokacja miejska, jak lokacja na prawie magdeburskim, ale po prostu dość chaotyczna zabudowa. Ulice wiły się i oplatały wzgórze zamkowe. Jednak o potędze Miasta Żydowskiego świadczy fakt, że w 1567 roku powstała tu pierwsza w Rzeczpospolitej Akademia Talmudyczna i jednocześnie pierwsza wyższa uczelnia w Lublinie. Na jej utworzenie Żydzi dostali przywilej od króla Zygmunta Augusta, a rabin Salomon Luria, będący głównym nauczycielem, otrzymał tytuł rektora. Działo się to w czasie, kiedy na terenie miasta chrześcijańskiego, przy Farze, istniała zaledwie elementarna szkółka parafialna. Lublin, zwany odtąd Małą Jerozolimą, miał wówczas pozycję silniejszą od Krakowa. Był miastem uczonych mężów, gdzie drukowano święte księgi. Był miastem mistycznym, gdzie w 1623 roku wydano księgę *Zohar* (główną księgę żydowskiej mistyki), do druku której sprowadzono z Italii unikalne czcionki i ornamenty. Do XX wieku wydano dwa pełne wydania *Zohar*, jedno w Mantui, a drugie właśnie w Lublinie. Jest to gigantyczna księga, licząca około 2 400 stron gęstego druku.

Niedługo po założeniu Akademii powstaje w Lublinie niesłychany dziwoląg...

... czyli Sejm Żydowski. W 1580 roku, parę lat po lokalizacji Trybunału Koronnego, powstaje w Lublinie Sejm Czterech Ziem (głównych składowych Rzeczpospolitej – Wielkopolski, Małopolski, Litwy i Rusi), zwany także Sejmem Gromnicznym, od jarmarku, który odbywał się w czasie święta Matki Boskiej Gromnicznej. Ten żydowski parlament funkcjonuje do 1764 roku. Jest to absolutny fenomen, bo do powstania państwa Izrael Żydzi nigdy i nigdzie nie mieli takiej reprezentacji.

Skąd on się wziął?

Polska Jagiellonów była wielkim krajem, a judaizm jest religią zdecentralizowaną, bez żadnej hierarchii, bez przełożonych i struktur: tylko autonomiczne gminy. Więc brakowało reprezentantów. Było to niewygodne dla obu stron. Jesteśmy przecież w Rzeczpospolitej szlacheckiej, sejmikującej nieustannie. I taka konstrukcja powstała w mieście, gdzie zbiera się trybunał koronny państwa i zbiegają rozmaite nici. Miała dwie funkcje: finansową (ściąganie podatków na rzecz państwa i gmin) oraz religijną (np. herezje). Działała w Lublinie do 1680 roku.

Wróćmy do symbiozy i współtrwa-

[3] Ta uwaga dotyka interesującego problemu współczesnej pisowni nazwy Miasto Żydowskie, kiedy nie używamy jej w sensie stricte historycznym. Mogą wtedy pojawiać się wątpliwości – nie tylko u korektora tekstów przeznaczonych do druku – czy traktować ją jako nazwę rodzajową i pisać małymi literami, czy w cudzysłowie dla podkreślenia jej umowności, czy też może zastępować ją historycznie bliższymi i bardziej neutralnymi określeniami: dzielnica żydowska lub Podzamcze. Norma ortograficzna zwykle ucina takie dyskusje, ale akurat w tym przypadku są one ważniejsze niż ortografia. Każda wersja pisowni niesie bowiem jakiś odcień znaczeniowy, zmuszając autora do określenia swoich intencji. Jego decyzje ukazują w mikroskali, jak tworzy się tożsamość kulturowa – jak odczytujemy i chcemy przekazywać nasz stosunek do przeszłości. Pisownia tej nazwy nie jest więc w „Scriptores" ujednolicona, a ewentualne różnice można potraktować jako pretekst do refleksji i swego rodzaju zabawy w odgadywanie znaczeń. Ze swojej strony traktujemy Miasto Żydowskie jako nazwę własną – nie tyle odnosząc się do czasów, kiedy było odrębnym podmiotem administracyjnym, ile próbując nadać mu osobne miejsce na mapie naszej pamięci. [Przyp. red.]

Tradycyjny herb Żydowskiego Miasta w Lublinie

nia Polaków i Żydów. Cóż to za legenda, która głosi, że na jeden dzień na króla polskiego wybrano Żyda z Lublina?

Chodzi o Saula Wahla. Po śmierci Zygmunta Augusta szlachtę oburzyły przedłużające się procedury i na polskiego króla wybrała bogatego bankiera Saula Wahla. Panował jeden dzień. Tyle legenda. Ale na Podzamczu była synagoga nazwana imieniem jednodniowego króla. Józef Czechowicz napisał o tej historii piękny esej.

Mistyka

Kiedy do Małej Jerozolimy przyjechał najsłynniejszy Żyd lubelski, znany jako Widzący z Lublina?

Dokładnie nie wiadomo, bo mistycy nie prowadzą ścisłego rejestru. Można sądzić, że gdzieś około 1780 roku. Do Lublina przybył z Leżajska, był bowiem uczniem słynnego Elimelecha. Mieszkał w różnych miastach, Łańcucie, Rozwadowie, ale jak to często w historiach mistycznych bywa, Anioł kazał mu osiedlić się na stałe w miasteczku Wieniawa.

W mistycznej historii Lublina Anioł zadziałał zatem drugi raz?

Tak. Najpierw w głośnym śnie przyszedł do Leszka Czarnego i wręczył mu zwycięski miecz, którym król pobił Jadźwingów, a w miejscu zdarzenia założył kościół św. Michała. Po raz drugi był u Widzącego. Z tej anielskiej perspektywy Lublin ma większe prawo, żeby się nazywać Miastem Aniołów, niż Los Angeles. Nic nie słyszałem, żeby tam zachodzili Aniołowie, w tym Archanioł Michał. Chyba że aniołowie upadli...

Podobno Widzący pochodził z Lubelszczyzny?

W większości światowych encyklopedii (nieraz jest w nich jedynym obywatelem Lublina) mówi się, że urodził się w Józefowie nad Wisłą. Osobiście podejrzewam, że chodzi o Józefów Biłgorajski, bo po uzyskaniu pełnoletności, co u Żydów ma miejsce w wieku 13 lat, ożeniono go z dziewczyną z Krasnobrodu.

Osiedlił się na Wieniawie, wtedy odrębnej miejscowości. Dlaczego? Musimy pamiętać, że chasydzi byli ruchem kontestatorskim. Ortodoksyjny judaizm traktował ich jak heretyków. Zdarzały się donosy do władz państwowych, polskich i zaborczych. Były aresztowania. Rabin lubelski nigdy nie pozwoliłby, żeby jacyś śpiewający i tańczący cadycy osiedlili się w Żydowskim Mieście w Lublinie.

Sława Widzącego szybko przekroczyła granice Wieniawy?

Rabini mieli papiery, a cadycy charyzmę. Mieli cudowne właściwości, leczyli, uzdrawiali, przewidywali przy-

szłość. Przyszedł w końcu taki moment, kiedy Żydzi lubelscy, zamiast chodzić do swoich synagog, szli na Wieniawę do Widzącego. Rabini głosili, że cudowne właściwości Widzącego są oszustwem niezgodnym z racjami nauki.

A Widzący pomagał ludziom. Nie tylko duchowo?

Potrafił wiele rzeczy przewidzieć. W jakimś momencie ortodoksi musieli go triumfalnie wpuścić. Zgodę na to wydał rabin zwany Żelazną Głową. Kiedyś spytał Widzącego: *Jak to jest, że do ciebie przychodzi tyle ludzi, a do mnie nie? Co to za tajemnica?* Widzący odparł: *Bo tobie na tym zależy, a mnie nie. – Masz powiedzieć, żeby do mnie przychodzili* – nakazał rabin. Rzekł Widzący do Żydów: *Nie przychodźcie do mnie. Idźcie do rabina.* Efekt był odwrotny: przyszli do Widzącego wszyscy. Mało tego – zaczęli przyjeżdżać z zewnątrz. Działo się to na Szerokiej, pod numerem 28. Tam Widzący spędził przynajmniej ostatnie 15 lat swojego życia, tam miał swój dom, a na podwórku synagogę obleganą przez tłumy. Tam się modlił i nauczał, choć inaczej, niż potrafimy sobie to wyobrazić. Dla chasydów modlitwa to nie tylko recytowanie świętych tekstów. Modlitwą było dla nich wszystko. Jedzenie, picie, nawet akt seksualny, taniec. Na przykład biesiadowanie było jedną z podstawowych form chwalenia Pana Boga.

Biesiadowanie?

Tak. Lubelski cadyk bardzo mocno akcentował biesiadę. Z alkoholem! Miał nawet pewną teologię uzasadniającą picie gorzałki. Do dziś w niektórych wspólnotach chasydzkich mocna wódka jest alkoholem sakralnym.

W swojej teologii picia Widzący uwzględniał dwa argumenty. Jeden akcentuje, że gorzałka jest kiepskim alkoholem. Cadyk powiadał: *Widzisz Boże, jak my się tu męczymy, spijając całą gorycz świata.* Wódka jest zatem ekstraktem goryczy, którą znosi się w oczekiwaniu na zbawienie. Drugi argument podkreślał moc trunku – jako symbol ognia i żarliwości. Z tej perspektywy najlepszy był spirytus. Ale jest jeszcze trzeci punkt w tej teologii. Picie nie za dobrze świadczy o pobożnych. Zły interesuje się pobożnymi, ma ich pod kontrolą i patrzy, co robią. Widzi, jak chasydzi przy kieliszeczku przepijają do siebie, dobrze sobie życzą, i nabiera przekonania, że to wcale nie tacy pobożni i święci, jak by się mogło wydawać. Po wypiciu tańczą na stołach i śpiewają, więc może w ogóle

> Dziś myślimy, że istniał tylko problem, jak pogodzić wspólnoty polską i żydowską. Te kwestie były jednak bardziej złożone.

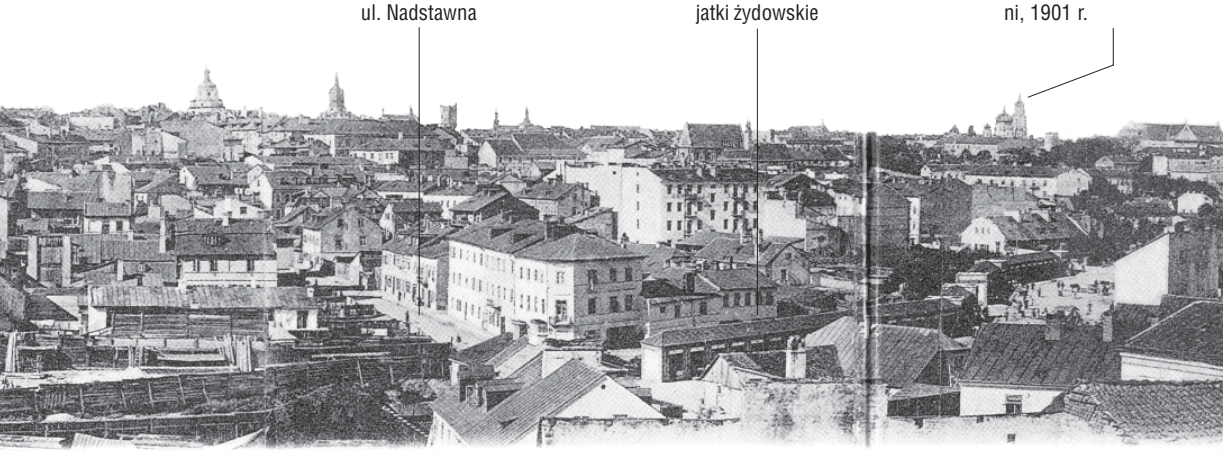

Prawosławny sobór pw. Podwyższenia Krzyża Pańskiego, wybudowany w latach 70 XVIII w. na Placu Litewskim, w centrum miasta. Rozebrany w latach 1924-1925 jako symbol niewoli, podobnie jak sobór w Warszawie. Rozkładana pocztówka. Fot. E. Semadini, 1901 r.

to są niepobożni ludzie? A może już upadli? Szatan nabiera więc przekonania, że nie ma co się na nich skupiać, wytężać diabelskiej energii, żeby ich sprowadzić do upadku, bo oni już upadli. I zostawia ich w spokoju. Picie jest więc swoistą strategią w walce z Szatanem.

Czy wszyscy taki punkt widzenia na alkohol podzielali?

Najlepszy uczeń Widzącego był akurat abstynentem. Kiedyś odwiedził swojego Mistrza. Ten ucieszył się, wyłożył na stół szklaneczki, gorzałkę, nalał, wypił, a uczeń nie! Nie chciał zrobić nauczycielowi przykrości, więc użył swojej mocy, gdyż też był cadykiem obdarzonym wielką mocą, i szklanka pękła. Widzący wykładał kolejne szklanki, uczeń się natężał. Tak pękły wszystkie szklanki. Wreszcie Widzący uderzył w stół i mówi: *Słuchaj, ale ja nie mam więcej szklanek!...*

U chasydów może fascynować właśnie ta ich nieortodoksyjność w każdym sensie. Na przykład fakt, że nie stworzyli żadnego spójnego systemu teologicznego. Ich nauki poznajemy przez literaturę, narrację, anegdoty – i nie są one jakimś produktem ubocznym, lecz samą istota tej szczególnej teologii. Trochę to przypomina nauczania buddyjskie, gdzie – jak wiadomo – opowieści o mistrzach i uczniach są ogromnie ważne.

Lublin mesjański

Widzący widział wiele. Ale nie przewidział chyba swojej tragicznej śmierci?

Chyba nie, chociaż miał niezwykły dar widzenia. Już w dzieciństwie płakał krwawymi łzami i prosił Boga, aby ograniczył mu trochę ten dar. Parę lat chodził z chustą na oczach. Przez całe swoje życie zwracał się do Boga w sprawach zbawienia. Żeby wreszcie przyszedł Mesjasz i skończyły się męki – jego i świata. Ciągle wypatrywał znaków niebieskich, oznajmujących przyjście Mesjasza. I modlitwami, postami, a także magicznymi działaniami próbował pomóc Mu w nadejściu.

Mistyka żydowska dopuszcza, aby człowiek mógł włączać się w plany Boże i mistycy żydowscy od wieków przymuszali Pana Boga do zesłania Mesjasza. Talmud mówi, że zbawienie przyjdzie albo wtedy, gdy wszyscy będą święci i szczęśliwi, albo przeciwnie, gdy wszyscy będą źli, a dookoła będą się szerzyć katastrofy.

Czasy Widzącego obfitowały w dramatyczne wydarzenia. Od Rewolucji Francuskiej do 1815 roku ciągnął się okres wojen i niepokojów. Dla Widzącego były to znaki zwiastujące bliskie nadejście Mesjasza. Razem z dwoma innymi cadykami stworzył magiczny

Dawna studzienka wodociągowa, jedyna pamiątka po ul. Szerokiej.

trójkąt: Rymanów–Kozienice–Lublin. Podzielili między siebie funkcje – jeden z nich był zwolennikiem cara Aleksandra, drugi Napoleona. Nawiązywało to do biblijnego przekazu mówiącego o wojnach Goga i Magoga[4].

Odtąd losy Widzącego są przedziwnie skorelowane z losami Napoleona. Podczas tej próby przywołania Mesjasza Widzący został wyrzucony przez nieznane moce przez okno mieszkania na bruk w 1814 roku, właśnie wtedy, kiedy Napoleon przegrał i został wysłany na Elbę. Potem było 100 dni cesarza zakończone Waterloo w czerwcu 1815 roku. Do Widzącego jeszcze dotarła ta wiadomość, bo w wyniku upadku nie zginął. Wiele miesięcy cierpiał, aż wreszcie odszedł z tego świata 15 sierpnia 1815 roku, kiedy fregata dopływała do Wyspy św. Heleny. Widzący był osobowością tak silną, że żaden z jego synów nie mógł kontynuować jego dzieła. Pozostała tylko pamięć.

Do dziś na jego grobie, znajdującym się na starym kirkucie, modlą się Żydzi z całego świata. Podobno Widzący nadal ma niezwykłą moc i życzliwie spełnia prośby pobożnych?

Wierzy się, że miał i ma nadal lepszy kontakt z Bogiem. Stąd wiara, że jest w stanie pomagać ludziom. Ci, co modlą się przy grobie, czekają na Mesjasza. Judaizm nie ma pojęcia świętości ludzkiej, ale Widzący był świętym chasydów – dlatego przyjeżdżają na jego grób. Badacze podejrzewają, że chasydyzm nie mógł powstać gdzie indziej, tylko właśnie tu – otoczony przez chrześcijaństwo z jego kultem świętych.

Zostawmy Widzącego. Czy z chwilą śmierci cadyka kończy się okres świetności Małej Jerozolimy?

Nie. Jest taka prawidłowość, że czy to państwa, czy ludzie, czy instytucje – tuż przed zgonem przeżywają okres świetności. Często poeci piszą na starość znakomite wiersze, a państwa, które za chwile znikną, przeżywają okres rozkwitu kultury. Tak było i w Lublinie. Zwieńczeniem całego ciągu świetności Żydowskiego Miasta było w 1930 roku otwarcie założonej przez rabina Meira Szapirę kolejnej Akademii Talmudycznej, która, niestety, pracowała raptem tylko dziewięć lat.

Za duży garnitur

Jaki jest wkład żydowskiej wspólnoty w dorobek pokoleń żyjących w Lublinie?

Mamy z tym kłopot. Nie jesteśmy w stanie unieść dziedzictwa Rzeczpospolitej wielu narodów, kultur, języków. Dziś używamy terminu „kultura polska", ale musimy pamiętać, że ona nie

[4] „W okresie bezpośrednio poprzedzającym nadejście Mesjasza dojdzie do wielkiej wojny Goga i Magoga przeciw Izraelowi, której pokłosiem będzie totalne spustoszenie. Wizja owych legendarnych narodów opiera się na proroctwie o Gogu z kraju Magoga (Ez 38, 2). Ich król, Armilus, zrodził się z płciowego zbliżenia Szatana z kamiennym posągiem dziewczyny w Rzymie. Ostatecznie pokona go Mesjasz wraz ze swą armią w wojnie kładącej kres wszelkim wojnom. [...] W czasach prześladowań Żydów, kiedy najbardziej wzmagały się nadzieje na rychłe odkupienie, w różnych okrutnych i wojowniczych potęgach widziano uosobienie Goga i Magoga." Alan Uterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, Warszawa 2000. [Przyp. red.]

Fot. i montaż
Marcin Skrzypek

była identyczna z kulturą tego państwa. Była jego wiodącym, najważniejszym elementem, ale nie wypełniała państwa Rzeczpospolitej Obojga Narodów.

Teraz, jeżeli chcemy mówić o tym dziedzictwie, najpierw musimy sobie odpowiedzieć, co przez nie rozumiemy, co jest „nasze". Czy zawęzić je do wąsko rozumianej „polskości" – i wtedy olbrzymie obszary historii i kultury przestają być nasze, ale jeśli tak, to pytanie, czyje? Czy też uznać za dziedzictwo wszystko, co było tworzone przez obywateli tego państwa, ludzi rozmaitych wyznań i nacji.

Ja opowiadam się za tym drugim wariantem. Polska nie była przecież jakimś niezorganizowanym, amorficznym tworem, gdzie kto chciał, to tworzył. Istniały jakieś ramy prawne, system polityczny i finansowy, w którym się to odbywało. Tak jak w przypadku kultury Stanów Zjednoczonych, żeby wskazać ogólnie znany przykład. Co tworzy kulturę tego typu państwa? Wszystkie etnosy, które tam są. Trzeba więc przyjąć, że naszą tradycją jest i Widzący, i talmudyści, i polscy muzułmanie, i prawosławni, i ewangelicy. Bo inaczej dochodzi do takich kuriozów, jak rozmowa pewnych nauczycieli, której byłem świadkiem. Chodziło o cerkiew Przemienienia Pańskiego z początku XVII wieku: *Czyja ona jest? – Chyba nie nasza. – No to skąd się wzięła? – Były zabory, to pewnie rosyjska.* Ale ją zbudowano akurat w czasie, kiedy to Polacy myśleli o obsadzeniu tronu moskiewskiego. *Więc jak nie rosyjska... no, to czyja?*

Do jakiej ona kultury należy? Do kultury tego miasta. O kulturze Rzeczpospolitej trzeba mówić takim językiem, jakiego wymagają twory złożone: wieloetniczne, wielowyznaniowe. Taką mieliśmy historię. Tworzyło ją wiele kultur, a została z nich jedna. Nosimy teraz za duży garnitur – skrojony zdecydowanie na kogoś innego.

Czy ktoś zaprzecza temu dorobkowi?

Niestety, są tacy, którzy wyznają skarlałą wizję historii.

Czy w tej wizji mieszczą się dzisiejsze echa lubelskiego antysemityzmu?

W pewnym sensie tak. Ale sądzę, że jest to – mimo wszystko – marginalny wątek, aczkolwiek niezwykle dokuczliwy i żenujący.

Czy na pewno? Kiedy Tomasz Pietrasiewicz z Teatru NN zbudował

Swojscy obcy

Najistotniejszym wyróżnikiem obcości na wsi polskiej jest czynnik przestrzenny, bycie „nietutejszym". [...] Dlatego też w przekazach folklorystycznych i wypowiedziach informatorów pojawiają się oceny typu „nasi Żydzi byli dobrzy, ale miastowe to brały dzieci na macę", a w każdym razie byli „nic dobrego". Występowanie postaci „naszego Żyda", stojącego w opozycji do „Żyda obcego", z miasta lub z innej okolicy, było związane zarówno z logiką kosmologii chłopskiej, jak i realiami przedwojennego życia gospodarczego na wsi polskiej. Co więcej, i w rzeczywistości, i w mitologii Żydzi odgrywali tę samą rolę pośrednika – mediatora. [...] Miejscowy Żyd różnił się od chłopa – był inny, ale nie ,,obcy" w pełnym mitologicznym kontekście tego pojęcia. Stąd częste u chłopów dzielenie Żydów na tych, co uczestniczyli w mordach rytualnych (Żydzi z miasta; inni Żydzi) oraz na tych, którzy tego nie robili (nasi Żydzi). [...]

W przedstawieniach Herodów [...] „Żyd" przemieszcza się między tym a tamtym światem, umożliwia nastanie nowego ładu i odrodzenie życia, sprowadza płodność i gwarantuje powodzenie. Podobne funkcje mediacyjne spełnia „Żyd" podczas wesela, kiedy to ułatwia on inicjacyjną podróż panny młodej z jednego stanu (świata) w drugi. [...] Zarówno w Herodach, jak i w ceremoniach weselnych postacie Żydów (tak jak występują w nich czasem dziad czy Cygan) są śmieszne, ale odgrywają zasadniczą dla obrzędu rolę. Jak stwierdził Bogatyriew, omawiając teatr ludowy: „komiczne postacie Żydów mają tu taką samą funkcją jak błazny u Szekspira i innych dramatur-

makietę Żydowskiego Miasta w Lublinie i wciąż próbuje szukać w Lublinie śladów Małej Jerozolimy, zarzucono mu, że... inwentaryzuje pożydowskie mienie, by Żydzi mogli je sobie wygodnie odebrać. Czy to nie kwestia antysemityzmu[5]?

Na tym właśnie polega problem uniesienia wielokulturowego dziedzictwa. Wyraźnie za duży garnitur... kulturowy i moralny. Nie ma to nic wspólnego z mądrym spojrzeniem na przeszłość Lublina, o którym dziś mówimy. Powiem o tym tak: w znacznej mierze mamy tu do czynienia z czymś, co powinno zainteresować psychologa.

Jak przestać być Żydem

Sięgamy aż tak głęboko?

Znakomity historyk kultury Francuz Jean Delumeau w książce *Strach w kulturze Zachodu* pokazał z perspektywy historycznej, jaką rolę odgrywał strach w europejskiej mentalności, kulturze, polityce i zachowaniach. Okazuje się, że był on czynnikiem silnie organizującym wyobraźnię – i czyny – Europejczyków. Strach przed czym? Przed tym, czego człowiek nie rozumiał. Przed innym i innością, przed obcym i obcością. Stały za tym kompleksy, frustracje, poczucie niepewności, zagrożenia, a także dość banalny fakt – bo zło, jak wiemy od Hanny Arendt, jest banalne – że po prostu trudno się żyje i trudno zrozumieć ten świat. Tworzyło to cały konglomerat urazów i lęków – strach, którego nie dało się umiejscowić, zlokalizować.

Delumeau proponuje widzieć ów strach właśnie w takim szerokim „pakiecie". Społeczności bały się i potrzebowały jakiegoś wyjaśnienia. Przede wszystkim potrzebowały „kozła ofiarnego", o którym pisał René Girard. Bo winę trzeba na kogoś zwalić. Taką rolę spełniali właśnie „inni", a Żydzi byli wspólnotą o inności bardzo wyrazistej. Byli wyjątkowo „inni". Pojawiła się na przykład czarna zaraza. Tak się składało, że wspólnoty żydowskie miały najmniejszą umieralność – a więc oskarżano je o czary. Dziś wiemy, że pewną rolę odgrywała tu kuchnia, w której używano warzyw uodporniających

Badania stwierdzają, że w zbiorowej świadomości nasze społeczeństwo wygląda tak, jakby było w nim parę milionów Żydów.

[5] Szerzej na ten temat patrz notka pod tekstem [przyp. red.].

gów, gdzie błazen wyraża najpoważniejsze myśli, czasem zaś jest wyrazicielem poglądów samego autora". [...]

Biorąc pod uwagę znaczenie wymiany kobiet (małżeństw) dla życia społecznego wsi oraz rolę „Godów" w rytualnym cyklu rocznym, powszechne występowanie w nich postaci żydowskich sugeruje znaczny (nawet jeśli głównie podświadomy) respekt kultury ludowej dla Żydów. Przykładem mogą tu być też wizyty „podłaźników" składających gospodarzom życzenia pomyślności, zwykle w okresie „Godów". Tym samym terminem określano także pierwszą kobietę, mężczyznę (a nawet zwierzę!) wchodzących do chałupy w dzień Nowego Roku. Nie wchodząc tu w szczegółową dyskusję, należy jednak stwierdzić, że Żyd (a nie jego ucieleśnienie, jak w innych obrzędach) był najbardziej poszukiwanym gościem. Odwiedzającego częstowano ciastem (zdawano sobie sprawę, że większość potraw nie była koszerna); dawano mu w podarunku zboże, jarzyny itd. Rusini twierdzili w wywiadach, że zapraszali czasem takiego gościa Żyda do wieczerzy wigilijnej! Istniała tu swoista wymiana rytualna, gdyż chłopi odwiedzali potem Żydów podczas święta Purim.

Jeśli dodamy do tego relacje o chłopach czczących cadyków i rabinów i zasięgających rad u miejscowych Żydów (informacje takie pojawiają się i w wywiadach, i w „Księgach pamięci"), uzyskujemy obraz wpływów kulturowych i kontaktów, których nie można ani ignorować, ani banalizować.

Władysław T. Bartoszewski, *Kontakty chłopsko-żydowskie*, „Polska Sztuka Ludowa", 1989, nr 1-2, s. 94.

(czosnek, cebula), a także higiena (obowiązkowe i rytualne kąpiele w mykwie[6]) i odizolowanie w osobnych dzielnicach, co ograniczało rozprzestrzenianie się choroby.

Długo myślałem, że zwalczenie antysemityzmu jest tylko kwestią wiedzy. Że gdy człowiek ma w sobie jakieś resentymenty, to wystarczy, żeby poznał ich przyczynę, zrozumiał, a one znikną. Teraz jednak uważam, że jest to głębszy problem. Frustracji podlega zarówno wykształcony, jak i niewykształcony – będą tylko mówić innym językiem, może jeden mniej prymitywnym, może na innym poziomie. Ale frustracje, nieszczęścia i kompleksy ma każdy.

Nas również historia nie oszczędzała.

Warto zwrócić uwagę, że w Polsce wszelkie antyżydowskie czy antyjudaistyczne wydarzenia są w wyraźnym, bardzo ścisłym związku z siłą państwa. Tolerancja i demokracja istnieją wtedy, gdy państwo i społeczeństwo jest mocne i zamożne. W innych krajach było tak samo. Silna wspólnota uwalnia swoich członków z wielu kłopotów i dlatego stać ją na wyrozumiałość i tolerancję. Ten „drugi" nie przeszkadza – zaczyna przeszkadzać, kiedy zaczyna się źle dziać. Gdyby w dzisiejszych dobrze rozwiniętych państwach stało się coś, co zachwiałoby ich dobrobytem, również przestałyby być tolerancyjne. Wzrost antysemityzmu dał się u nas zauważyć prawie z roku na rok po rozpoczęciu wojen kozackich. Jednocześnie pojawia się też strach przed upiorami, czarownicami, demonami.

Mówi się również w podobnym kontekście o kumulacji energii pozytywnej i negatywnej. Dawniej do upustu tej negatywnej służyły wojny, dziś częściowo sport. W każdym z nas jest taka zła energia. Chcemy ją rozładować, więc poszukujemy ofiary. I tak rodzi się złożony kompleks czynników – częściowo racjonalny a częściowo nie – prowadzących do rozmaitych uprzedzeń.

Jednym z takich racjonalnych, drażliwych, a przy tym świeżych problemów jest obecność Żydów w byłych organach bezpieczeństwa.

Rozumiem, że chodzi nie o samą obecność, ale o nadreprezentację. Interpretacje są różne. Według interpretacji socjologiczno-psychologicznej jest to sytuacja charakterystyczna dla wszystkich mniejszości mniej lub bardziej prześladowanych. W ruchach rewolucyjnych widzą one swoją szansę na awans, dowartościowanie, ponieważ ruchy te przechodzą do porządku dziennego nad różnicami. Jest też interpretacja mistyczna – mesjanizm. Choć do UB szli ateiści, to jednak wywodzili się oni z rodzin religijnych, podobnie jak i nasi „rodzimi" funkcjonariusze. A rewolucje obiecują utopię, szczęśliwość, jak wszystkie apokaliptyki, nowe „Jeruzalem"[7].

W jakiej sytuacji jesteśmy teraz?

Nie mamy Żydów. Ich obecność nie istnieje jako „problem społeczny". Ale przywoływany tu wielokrotnie Delumeau pokazał, że może istnieć antysemityzm bez Żydów! W 1290 roku Anglia jako pierwsza usunęła ich ze swojego kraju, a tym czasem jeszcze na początku XVII wieku echa antysemityzmu pobrzmiewają w *Kupcu weneckim* Szekspira. A więc ponad 300 lat później, i to w kulturze wysokiej. Podobnie było również w innych krajach. Nie ma zatem tych „innych" i „obcych", lecz pozostała potrzeba umiejscowienia źródła ludzkich lęków – i potrzeba kierunku dla społecznej agresji. Miano „Żyd", sama nazwa, doskonale się do tego nadaje. Prawie laboratoryjnie możemy obserwować to zjawisko na przykładzie „obyczajowości" polskich pseudokibiców, którzy dysponując ograniczonym słownictwem, wąskimi możliwościami werbalizacji i artykulacji negatywnych emocji, chcąc powiedzieć o swoich przeciwnikach coś najgorszego, mówią „Jude".

[6] Mykwa – basen służący do rytualnych ablucji, zwykle w osobnym budynku.

[7] „Począwszy od XIX w. socjalizm i marksizm fascynował niektórych Żydów, często zastępując im religię: rewolucyjny i internacjonalistyczny mesjanizm wydawał się im współczesną, autentyczną, a ponadto skuteczną formą mesjanizmu proroków." Josy Eisenberg, *Judaizm*, Warszawa 1999, s. 130. Liczbę Żydów mieszkających w ZSRR oceniano na 2,5-3 milionów, „co oznaczało, iż żelazna kurtyna oddzielała duży odłam ludu żydowskiego nie tylko od reszty żydowskiego świata, ale także jego kultury i praktyk religijnych. Obie te dziedziny objęte były do niedawna tak surowymi zakazami, że radziecki Żyd praktycznie nie mógł uczyć się hebrajskiego, pobierać religijnego nauczania ani przestrzegać rytuałów. Od czasu reform w ZSRR, a zwłaszcza po rozpadzie imperium, sytuacja szybko się zmienia". Tamże, s. 132-133. [Przyp. red.]

Badania stwierdzają, że w zbiorowej świadomości nasze społeczeństwo wygląda tak, jakby w Polsce mieszkało parę milionów Żydów. Według krańcowych opinii Żydów jest chyba nawet więcej niż Polaków. Oczywiście – groteska!

Można by nawet pokusić się o określenie w kilku punktach, kto jest dzisiaj Żydem w kraju, w którym nie ma Żydow. Czyli jak zostać lub przestać być Żydem, ponieważ jest to u nas „cecha" zmienna. A więc, kto ma szanse zostać Żydem? Po pierwsze, każdy, kto nie jest głupi. Im jest „mniej głupi", a bardziej inteligentny, wykształcony, tym ma większe szanse zostać Żydem. Po drugie, każdy, kto ma jakąś pozycję społeczną czy polityczną. Każdy, kto jest blisko jakiejś władzy. Im wyżej, tym ma większe szanse. Wreszcie po trzecie, każdy, kto ma wysoką pozycję ekonomiczną. Jeżeli ktoś łączy w sobie te wszystkie cechy – jest Żydem na 100 %.

A jak nie być Żydem?

Odwrotnie. Tak więc, panowie, nie chcę was martwić, ale tak jak tu siedzimy, to w odbiorze społecznym w rozmaitym stopniu... Karykaturalne, ale „prawdziwe". Rzecz jasna, nie chcę się nabijać z ludzi, bo ten naród był w opresji przez ostatnie 200 lat. Źle się ludziom wiodło i dalej źle się wiedzie, ale też to nie usprawiedliwia nienawiści.

Jest jedna cecha, która wyróżnia nasz antysemityzm – nie jest on podszyty rasizmem. Rasizm zakłada wyższość własnej rasy w stosunku do drugiej, implikuje różnicę lepszy–gorszy. U nas nie. Przeciwnie: to Żydzi są bogatsi, sprytniejsi, mądrzejsi, zdolniejsi, co by potwierdzało, że nasz antysemityzm brał się z poczucia niższości. Niczego ten fakt nie zmienia, lecz do myślenia przecież daje wiele. Myślę, że możemy zakończyć naszą rozmowę puentą mało oryginalną: no cóż, w „mieście aniołów" zamieszkują nie tylko sami aniołowie...[8]

[8] Redakcja tekstu: Waldemar Sulisz i Marcin Skrzypek. Tytuły, śródtytuły, ilustracje i cytaty z innych źródeł pochodzą od redakcji „Scriptores". Krótsza wersja zapisu tej rozmowy w redakcji Waldemara Sulisza została opublikowana w „Dzienniku Wschodnim" 5 kwietnia 2002 roku [przyp. red.].

[5] „Afera" związana z budową makiety lubelskiej dzielnicy żydowskiej w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" miała kilka odsłon, przy czym napięcie rosło, jak w najlepszym thrillerze. Co prawda z perspektywy czasu cała ta historia wydaje się anegdotyczna, ale właśnie dlatego warto zapoznać się przynajmniej z wycinkami prasowymi na jej temat. Bądź co bądź, przez ponad rok pracownikom Ośrodka towarzyszyła groźba „zmian personalnych", a sprawą zajmowali się wybrani demokratycznie urzędnicy samorządowi różnych partii, odpowiedzialni za kulturę i tworzący publiczny wizerunek miasta. „Troszku smieszno, troszku straszno".

(tom), *Zarzuty z czarnej teczki*, „Kurier Lubelski", 29 kwietnia–1 maja 2000 r.:

„Wczoraj przez półtorej godziny radni z Komisji Rewizyjnej Rady Miejskiej Lublina nie chcieli wpuścić dziennikarzy na posiedzenie komisji, na którym zajmowali się wykrywaniem nieprawidłowości w Ośrodku Brama Grodzka – Teatr NN. W kuluarach mówiło się, że części radnych nie podoba się działalność szefa tej placówki i «szukają haków», aby go odwołać ze stanowiska."

Jan Pleszczyński, *Życie to nie teatr*, „Gazeta Wyborcza", 2-3 maja 2000 r.:

„Cztery lata temu Ośrodek podjął się wykonania makiety przedwojennego zespołu staromiejskiego Lublina, którego częścią była nieistniejąca już dzielnica żydowska. Prezentacja makiety i towarzyszącej jej wystawy odbyła się 6 maja ubiegłego roku. Przyjechali Żydzi z Izraela, m.in. Meir Nitzan, burmistrz miasta Rishon Le Zion [miasto partnerskie Lublina – uzupełnienia w nawiasach kwadratowych pochodzą od redakcji „Scriptores"]. Makieta była nieukończona. [...] Zasadnicze prace zakończyły się 15 września. Ale jeszcze w lipcu Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN i dyrektor Pietrasiewicz dostali od ambasady Izraela dyplom za zasługi dla ochrony dziedzictwa kultury żydowskiej w Polsce. [...] Po majowej prezentacji samorząd Lublina przeprowadził cztery kontrole w Ośrodku. Pierwsza, jeszcze w maju, uznała, że Pietrasiewicz zbytnio zawierzył wykonawcy. Druga, z Wydziału Finansowego, zobligowała dyrektora do wykonania 21 zaleceń pokontrolnych. Trzecia, też z Wydziału Finansowego, zbadała przychody Ośrodka. Protokół czwartej, powołanej przez komisję rewizyjną, kończy się słowami o «konieczności podjęcia pilnych zmian organizacyjnych w instytucji i wyciągnięcie wniosków personalnych wobec osób odpowiedzialnych za przedstawione nieprawidłowości»."

(tom), *Szarpanie Bramy*, „Kurier Lubelski", 29 listopada 2000 r.:

„Interpelacje na ostatniej sesji rady Miejskiej Lublina zamieniły się w ostry spór zwolenników i przeciwników Tomasza Pietrasiwicza, dyr. Teatru NN Brama Grodzka. Kontrowersji wokół ośrodka, które wybuchły przed rokiem, nie zakończyła nawet kontrola Najwyższej Izby Kontroli, której wyniki dotarły do ratusza. [...] Kontrolę wewnętrzną prawie rok temu prowadzili Ewa Łoś [przewodnicząca Komisji Kultury] i Jacek Krzyżanowski (AWS) z Komisji Rewizyjnej. [...] Po ujawnieniu wyników

kontroli Komisji Rewizyjnej zażądała ona od władz miasta decyzji personalnych. Zarząd Miasta poprosił o pomoc ekspertów z NIK."

Waldemar Sulisz, *Od kontroli do pomówień*, „Dziennik Wschodni", 30 listopada 2000 r.:

„W lecie do ośrodka wkroczył NIK, by ostatecznie zweryfikować wyniki różnych kontroli. Pozytywnie ocenił realizację działań statutowych oraz przedsięwzięcia podejmowane przez Ośrodek w celu pozyskiwania dotacji od sponsorów. [...] Tymczasem podczas ostatniej sesji rady [miasta] szef komisji rewizyjnej Zdzisław Bielski [SLD] powiedział, że «doszły do niego informacje od ludzi, których nie zna i nie wie, czy to prawda, że Teatr NN dostał milion dolarów na inwentaryzację majątku pożydowskiego w Lublinie»." [Przyp. red.]

Już w XVII stuleciu Rzeczpospolita bywała porównywana do „pstrego ptaka"

Janusz Tazbir

Żydzi polscy w świetle zachowanych źródeł

Według bardzo przybliżonych obliczeń u schyłku istnienia szlacheckiej Rzeczypospolitej ludność polska stanowiła około 40 % ogółu mieszkańców, przy czym tylko jej część posiadała świadomość etniczną. W okresie istnienia II Rzeczypospolitej nastąpił wzrost tej ludności do 60-70 %, całą resztę reprezentowali Żydzi, Białorusini czy Ukraińcy, nie wspominając już o Niemcach.

Tymczasem zarówno z większości podręczników historii Polski, używanych na różnych szczeblach nauczania, jak i z licznych syntetycznych zarysów jej dziejów trudno byłoby się dowiedzieć, iż przez tak wiele stuleci Rzeczpospolita stanowiła mozaikę narodowościową. Stąd też już w XVII stuleciu bywała porównywana do „pstrego ptaka". W podręcznikach skąpo i niechętnie wspominano o Żydach, tradycja ta jest kontynuowana, co bywa wypominane autorom w recenzjach. Natomiast Polacy XVI-XVIII stulecia zdawali sobie sprawę z istnienia w ich gronie wielu zasymilowanych przybyszów: od chrześcijan mówiących pierwotnie po niemiecku, rusku czy litewsku, po dawnych wyznawców islamu (Tatarów) oraz judaizmu (Żydów). I nic to nikomu nie przeszkadzało, najwyżej, od czasu do czasu, znajdując pogłos w dobrotliwych anegdotach na temat chrześcijan świeżej daty. W oczach zaś magnatów czy zamożnych ziemian Żydzi stanowili element pod wieloma względami wręcz niezbędny. W kontaktach zawieranych z dzierżawcami czy karczmarzami tego pochodze-

nia znajdujemy zabawnie dla nas wyglądający warunek: mieli także obowiązek informowania dziedzica o tym, co się dzieje na szerokim świecie...

O ile zaś u schyłku średniowiecza Żydzi stanowili w przybliżeniu 0,6 % ogółu mieszkańców Polski i Litwy, dwóch państw połączonych unią personalną, o tyle w połowie XVII wieku ludność ta liczyła już *circa* pół miliona osób, a więc aż 5 % wszystkich mieszkańców ówczesnej Rzeczypospolitej. Uległa poważnemu zmniejszeniu w okresie powstania Bohdana Chmielnickiego, który w 1648 podniósł sztandar buntu przeciwko szlacheckiemu państwu. Przebiegał on pod hasłem wyrzynania „Lachów" (panów), Żydów i duchowieństwa katolickiego. A więc tych grup, które Kozacy (zwani inaczej Rusinami) obarczali winą za ucisk gospodarczy, religijny i polityczny. Pod nożem i szablą kozacką miało wówczas zginąć ponad 100 tysięcy Żydów. Masowych rzezi dokonywano na terenach, z których pod naporem powstańców ustępowały polskie władze i wojsko. Darowywano jednak życie tym wyznawcom judaizmu, którzy zgadzali się przyjąć prawosławie. Tymczasem w trzysta lat później Żydom zamkniętym w hitlerowskich gettach nic nie pomagały deklaracje, iż przyjęli chrzest i czują się Polakami czy Niemcami.

Z wielu utworów, zwłaszcza satyrycznych, powstałych w XVI-XVIII stuleciu, wynika wyraźnie, iż w podobnych co Żydów słowach krytykowano działalność gospodarczą, przede wszystkim handlową, również osiadłych w Rzeczypospolitej Ormian, Szkotów czy Włochów. Zarzuty, jakie wysuwano pod adresem wyznawców judaizmu, islamu czy wreszcie zwolenników reformacji, były ze sobą niesłychanie zbieżne. Dość często występowali z nimi ci sami autorzy, którym przeszkadzał każdy „obcy", a więc ktoś różniący się od nich językiem, obyczajami i wiarą. Wszystkie niemal cechy, jakie w pospolitym odczuciu składały się na ową obcość, przypisywano zarówno ludności żydowskiej, jak cygańskiej lub tatarskiej.

Żyd-bluźnierca, nieuznający bóstwa Chrystusa, konkurent gospodarczy, uciążliwy wierzyciel, pomawiany o nadmierna lichwę i arogancję, występował także jako quasi-błazen, ktoś tchórzliwy, obawiający się nawet psa, śmiesznie kaleczący polszczyznę, gotów na każde upokorzenie dla niewielkiego nawet zysku. Z kolei Żydzi współwyznawcę zabawiającego chrześcijan pokazywaniem i przedrzeźnianiem tańców (oraz innych obyczajów) żydowskich nazywali pogardliwie *majufesjude*. Jego niejako odpowiednikiem w oczach chrześcijan był tak zwany *szabesgoj*, katolik spełniający dla Żydów, za drobną zwykle zapłatą, czynności zakazywane im w szabas przez własną religię. Uchwałom katolickich synodów kościelnych, zabraniającym ludności chrześcijańskiej wchodzenia w jakiekolwiek kontakty z żydowską, sekundowały orzeczenia rabinów i kahałów, zalecające swoim współwyznawcom takież trwanie w izolacji.

W podobnych co Żydów słowach krytykowano działalność handlową osiadłych w Rzeczypospolitej Ormian, Szkotów czy Włochów.

Również i w Rzeczypospolitej Żydzi bywali nękani od czasu do czasu procesami o rozlew krwi chrześcijańskiej (rzekome mordy rytualne popełniane na małych dzieciach) czy też o profanację wykradanych z kościołów hostii. Znaczna część tych spraw kończyła się wszakże uniewinnieniem oskarżonych, do czego przyczyniał się i ten fakt, iż bronili ich, i to umiejętnie, adwokaci-chrześcijanie wynajmowani i opłacani przez gminy żydowskie. *Waad*, czyli sejm czterech prowincji żydowskich, wzorowany na sejmie polskim, dysponował zresztą stałym fun-

duszem przeznaczonym specjalnie na obronę osób oskarżanych o mordy rytualne czy sprofanowanie hostii. Równocześnie zarówno w XVI, jak i w XVII stuleciu powstają pochwały polskiej tolerancji, dzięki której wygnani skądinąd Żydzi właśnie nad Wartą, Wisłą i Dnieprem znajdowali chleb oraz swobodę wyznania. Dlatego też żydowski kronikarz z Pragi czeskiej David Gans żałował „prawego" króla Zygmunta Augusta. Na ten sam temat wypowiadali się często poeci hebrajscy.

Dopiero w drugiej połowie XIX stulecia dotarły do mieszkańców podzielonej pomiędzy trzech zaborców Polski hasła antysemityzmu, znajdujące przychylny oddźwięk w części społeczeństwa. Wprawdzie już w XVII wieku oburzano się na konkurencję ze strony żydowskich lekarzy, to jednak autorzy pisemek spod znaku antyjudaizmu główną swą uwagę skupiali na gospodarczej działalności Żydów. Procesy asymilacyjne, jakie w XIX wieku objęły wiele środowisk żydowskich, pociągnęły za sobą pojawienie się nie tylko lekarzy i adwokatów, ale i publicystów, profesorów czy wreszcie aktorów i reżyserów żydowskiego pochodzenia. O ile wcześniej konkurentem był Żyd-sklepikarz, karczmarz lub arendarz, o tyle obecnie poczuły się zagrożone tak zwane wolne zawody. Stosunki polsko-żydowskie na terenie Królestwa Polskiego, które stanowiło integralną część zaboru rosyjskiego, uległy pogorszeniu u schyłku XIX stulecia na skutek masowego napływu tak zwanych *litwaków*. Byli to Żydzi wysiedleni z głębi cesarstwa, słabo lub wcale nie władający językiem polskim, za to pozostający pod wyraźnymi wpływami kultury rosyjskiej. Ujrzano w nich kolejną falę rusyfikatorów, których pojawienie się zahamowało procesy asymilacyjne zachodzące wśród polskiego żydostwa. Wszystko to sprawiło, iż nie tylko wśród polskich kupców czy rzemieślników, ale również wśród inteligencji znajdowały posłuch antysemickie hasła głoszone przez Stronnictwo Narodowej Demokracji oraz przez niektóre organy prasy katolickiej.

W czasie na krótko (1918-1939) przez Polskę odzyskanej niepodległości prawica domagała się masowej emigracji Żydów, którzy stanowili u schyłku II Rzeczypospolitej blisko 10 % jej mieszkańców (3,3 miliona na 36 milionów). Brała ich w obronę lewica, widząca źródło poprawy sytuacji gospodarczej jedynie w radykalniejszych reformach społecznych (z reformą rolną na czele), a nie w skolonizowaniu przez polskich Żydów na przykład... Madagaskaru (bo i takie projekty wysuwano). One też walczyły z antysemickim stereotypem Żyda lansowanym przez prasę Obozu Narodowo-Radykalnego, wzorującą się w dużym stopniu na propagandzie III Rzeszy. Nawet jednak i w tej prasie nie pojawiały się opinie sugerujące możliwość rozwiązania kwestii żydowskiej drogą eksterminacji. Stąd też ostrość wypowiedzi na temat tej społeczności nie była hamowana obawą, iż każda krytyka Żydów może zostać odczytana jako pośrednia forma aprobaty dla *Endlösung* i komór gazowych.

Dziś natomiast bywa ona niekiedy utożsamiana wręcz z antysemityzmem, nawet jeśli dotyczy na przykład lichwiarzy żydowskich działających w odległych stuleciach. Dlatego też obiektywne, oparte na rozległej podstawie źródłowej badania nad tą społecznością są tak ważne i potrzebne, i to nie tylko ze względów ściśle naukowych, ale i z uwagi na rezonans w szerokiej opinii społecznej, przede wszystkim takich krajów, jak Izrael i Polska. Oba pojawiły się na mapie politycznej świata dopiero w XX wieku, z tą jedynie „drobną" różnicą, iż nasze państwo po 123 latach nieistnienia. Żydzi natomiast muszą powoływać się na tradycję historyczną sprzed ponad dwóch tysięcy lat[1].

[1] Niniejszy tekst ukazał się w miesięczniku „Nowe Książki", 2002, nr 6, w związku z wydaniem trzytomowej monografii prof. Jakuba Goldberga *Przywileje gmin żydowskich w dawnej Rzeczpospolitej*. Skróty i cytaty pochodzą od redakcji „Scriptores" [przyp. red.].

Wieniawa. Żydowskie miasteczko, a od 1916 r. dzielnica Lublina. Fot. ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

W Polsce Żydzi byli bardziej odseparowani niż w innych krajach. To wynikało nie tylko z czynników negatywnych; nigdzie nie byli tak liczni, nie mieli tak szerokiej autonomii. Mogli swoje sprawy załatwiać między sobą.

Na zajęcia niosę mapę Polski Jagiellonów

Czy to, że mieszka Pan w Izraelu, ma wpływ na Pański obraz dziejów Polski[1]?

Prof. Jakub Goldberg: Należę do polskiej szkoły historycznej. Mieszkam za granicą, ale nie uważam się za cudzoziemca. Na Uniwersytecie Łódzkim kończyłem studia historyczne i przez wiele lat pracowałem naukowo. Mieszkając na stałe w Izraelu, należę zarówno do historiografii polskiej, jak i izraelskiej. Uważam się za historyka Polski i historyka Żydów polskich. Historyka, którego głównym zadaniem jest integralne ujęcie historii Polski i historii Żydów polskich.

Jest Pan polskim Żydem. Czy stąd się wzięło Pańskie zainteresowanie historią Żydów?

Historia zaczęła mnie pasjonować już w szkole. W pierwszych klasach szkoły powszechnej fascynowały mnie opowia-

[1] Z profesorem Jakubem Goldbergiem, autorem monografii *Przywileje gmin żydowskich w dawnej Rzeczpospolitej*, rozmawiali Radosław Januszewski i Jan Strękowski.

Jakub Goldberg – historyk urodzony w Łodzi w 1924 roku. W tym mieście spędził dzieciństwo i młodość. Przez prawie cały okres okupacji hitlerowskiej przebywał w getcie łódzkim, następnie trafił do obozów koncentracyjnych. Był m.in. więźniem Buchenwaldu i Meuselwitz Thurungen. Po wojnie wrócił do Łodzi, tu studiował historię i doktoryzował się.
W atmosferze nagonki antysemickiej, która w Łodzi miała miejsce wcześniej i była silniejsza niż w innych regionach kraju, w 1967 roku wyjechał na stałe do Izraela, gdzie pracował na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, którego jest emerytowanym profesorem, i równocześnie przez cztery lata na uniwersytecie w Hajfie. Był dyrektorem Ośrodka Badań Dziejów i Kultury Żydów Polskich na uniwersytecie w Jerozolimie. Wykładał na wielu uniwersytetach zagranicznych, m.in. w Kolonii, Monachium i Kassel. Był również zaproszony przez Uniwersytet w Oxfordzie oraz ośrodki naukowe w Berlinie. W 1992 roku został doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego. Jest także członkiem Polskiej Akademii Umiejętności. Opublikował m.in. *Stosunki agrarne w miastach ziemi wieluńskiej w drugiej połowie XVII i w XVIII wieku*, *Żydowscy konwertyci w dawnej Rzeczypospolitej* oraz *Społeczeństwo żydowskie w dawnej Rzeczypospolitej*. W 1985 ukazał się pierwszy tom jego największego dzieła dotyczącego polskich Żydów: *Jewish Privileges in the Polish Commonwealth*, obecnie rozszerzony do trzech tomów (trzeci tom w wersji polskiej).
Prof. Jakub Goldberg jest jednym z niewielu historyków w Izraelu zajmujących się problematyką historii Żydów w Polsce, a przede wszystkim współżycia narodów polskiego i żydowskiego w wielonarodowej I Rzeczypospolitej. Widzi ją inaczej niż Walerego Przyborowskiego. Potem doszedł Józef Ignacy Kraszewski. Stąd wzięła się moja wizja historii Polski. Potem sprzęgła się z tym problematyka żydowska. Zadawałem sobie pytanie: ja żyję dzisiaj, a jak żyli moi pradziadowie w polskim środowisku? Kiedy skończyłem studia, stwierdziłem, że istnieje dotkliwa luka – mówi się o wszystkim, a nie mówi się o historii Żydów polskich. Czemu tym się zajmuję dzisiaj? Przyjeżdżam do Izraela i co widzę? Widzę to samo – nie zajmują się Żydami polskimi i nie zajmują się historią Polski, co jest niezbędne dla zrozumienia historii Żydów w ogóle. [...] Aż do czasu wyjazdu w 1967 roku do Izraela zajmowałem się głównie tematyką polską, a tylko marginesowo historią Żydów. A tam, chcąc się zająć również tematyką polską, uznałem, że muszę czynić to poprzez badanie dziejów Żydów w Polsce. Żeby w Izraelu pokazać Polskę, trzeba ją powiązać ze sprawami dotyczącymi Żydów.

Dlaczego zajął się Pan dziejami Żydów w czasach I Rzeczpospolitej, a nie w okresie późniejszym? [...] Ma Pan za sobą straszne przeżycia, getto, obozy, więc może szukał Pan jakiejś pięknej bajki?

Nie, nie, nie. Jako historyka interesowały mnie czasy dawniejsze, charakteryzujące się znacznie większą odrębnością w wielu sferach życia niż czasy nowsze. [...] Żona się ze mnie śmieje, że jestem polskim szowinistą, bo kiedy idę na zajęcia, niosę mapę Polski Jagiellonów.

Jaki był status Żydów w l Rzeczypospolitej? Czy udzielane im przywileje, jak pierwszy, z 1264 roku, zwany statutem kaliskim, a nadany przez księcia Bolesława Pobożnego dla Wielkopolski, były czymś wyjątkowym? Czy mieszczanie też dostawali takie szerokie terytorialnie przywileje?

Trudno porównać te przywileje z uprawnieniami mieszczan. W części były zbieżne, ale dotyczyły też innych dziedzin. Możemy dzisiaj zaryzykować twierdzenie, że przywilej Bolesława Pobożnego stwarzał podstawy do wyodrębnienia się społeczności żydowskiej jako jakby stanu. Uprawnienia ich były bardzo zbliżone do uprawnień mieszczan, ale zawierały więcej ograniczeń aniżeli prawa mieszczan w poszczególnych miastach.

Żydzi byli, obok szlachty, wyjątkiem?

Tak. Stanowe przywileje miała tylko szlachta i Żydzi jako grupa. Żydzi mieli przywileje generalne, obowiązujące w całej Koronie. Ale niezależnie od generalnych były przywileje lokalne i gminne, które nieraz odgrywały większą rolę w praktyce. Ponieważ były dostosowane do lokalnych warunków. I Żydzi sami starali się maksymalnie z tych praw korzystać. I bronili tych praw. A strona mieszczańska z kolei pilnowała, żeby Żydzi owych uprawnień nie przekraczali. Jakie to były ograniczenia? Na przykład nie wolno było Żydom kupować skór na rynkach, zanim nie zrobili tego mieszczanie. Niekiedy Żydom nie wolno było mieszkać na poszczególnych ulicach, budować synagog w pobliżu kościołów.

Gdy był spór, była też mediacja i rozwiązanie w postaci przywileju.

Przywileje są tak fascynującym źródłem historycznym, bo prawie zawsze były ukoronowaniem jakiegoś sporu, najczęściej o charakterze ekonomicznym. Gdy był spór, była też mediacja i rozwiązanie sporu w postaci przywileju. Źródło to jest kapitalne, bo nie tylko ma charakter suchy, prawniczy, ale zawiera też opis okoliczności ustanawiających to prawo. To źródło bardzo żywe.

Jak przywileje żydowskie wyglądają na tle statusu innych narodowości?

Tatarzy, choć nie tak jak Żydzi jednolici, bo zróżnicowani wewnętrznie, byli – że użyję tu terminu Antoniego Mączaka – grupą etniczno-prawną. Sytuacja Żydów była bardzo zbliżona do sytuacji Ormian. Pierwszy badacz historii Ormian, wybitny dziewiętnastowieczny historyk, pozytywista Adolf Pawiński podkreśla zbieżność statusu Żydów ze statusem Ormian. Ale są i różnice: Ormian było mniej, byli skupieni tylko w kilku miastach, przede wszystkim we Lwowie. A Żydzi żyli na terenie całego kraju. Pawiński dodaje, że potem Ormianie się zasymilowali – ich kościół zjednoczył się z katolickim. Może u kogoś przechowała się tradycja ormiańska w rodzinie, można poznać polskiego Ormianina po rysach twarzy, ale zjawisko społeczne znikło, a Żydzi nie znikli. Tatarzy nie znikli, ale się zasymilowali. Ta drobna grupka muzułmańska, która pozostała do dziś, nie ma świadomości odrębności narodowej. A ponadto Tatarów, jak i Ormian, w I Rzeczypospolitej było mało. [...]

Interesują nas losy dokumentów dotyczących Żydów: one są rozproszone tak jak ludzie?

Źródła te są bardzo rozproszone. Przywileje dla gmin żydowskich w szeregu miast królewskich znajdują się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Oryginały pergaminowe, jak i pisane na papierze, w znacznym stopniu zaginęły, zostało natomiast to, co wpisano do ksiąg kanclerskich. Lecz znaczna liczba Żydów mieszkała w miastach prywatnych. Tymczasem dokumenty dla miast prywatnych wpisywane były do ksiąg kanclerskich tylko w wyjątkowych wypadkach, m.in. kiedy przywilej poświadczany był przez króla. Te dokumenty są zatem rozproszone po różnych zbiorach archiwów magnackich, szlacheckich, duchownych lub księgach sądowych grodzkich. Ale tych ksiąg jest bardzo wiele i przeważnie obejmują po kilka tysięcy stron każda. I szukaj tam, człowieku! Część z nich przewertowałem. Tom II zawiera głównie przywileje dla gmin w miastach szlacheckich, które są bardziej rozproszone niż przywileje dla miast królewskich.

Wiele zatem jeszcze można znaleźć?

Ale zorganizowanie sztabu historyków, którzy przewertowaliby te tysiące ksiąg, to rzecz niesłychanie kosztowna i wymagająca umiejętności. [...]

A dokumenty żydowskiego Sejmu Czterech Ziem, który istniał przez dwa stulecia, od około 1580 do 1764 roku?

Pinkas, czyli księga protokołów Sejmu Czterech Ziem, zaginęła jeszcze w XVIII wieku. Zachowało się tylko kilka przekazów. Ale niektóre z uchwał tego sejmu – te, które musiały być w jakiś sposób uwierzytelniane – tłumaczono na język polski i wnoszono do ksiąg grodzkich i ziemskich. W ten sposób uratowała się duża część postanowień Sejmu Czterech Ziem. To są najczęściej tłumaczenia z hebrajskiego.

Czy rozproszenie materiałów archiwalnych oddaje jakoś los Żydów w I Rzeczypospolitej? Wygląda na to, że byli bardzo głęboko zakorzenieni w tamtym społeczeństwie, skoro materiały dotyczące ich dziejów znajdziemy w tak wielu istotnych zbiorach.

Zgadzam się z tą tezą. Żydzi pojawiają się wszędzie – także w materiałach kościelnych. Stąd rozproszenie. Ale ono wynika również z tego, że Polska była państwem zdecentralizowanym. Dobra magnackie, dobra szlacheckie w znacznym stopniu rządziły się same i pozostawiały własną dokumentację. Nie wszystko było rejestrowane centralnie. Aż do połowy XVIII stulecia w dawnej Rzeczypospolitej nie działała centralna władza administracyjna.

Od XVI wieku najważniejsze sprawy urzędowe wpływające na życie codzienne dzieją się w stosunkach między magnatem a Żydami?

czej, niż mówi stereotyp – jako kraj, w którym Żydzi nie tylko ginęli, ale też żyli przez setki lat, centralny ośrodek życia żydowskiego, gdzie Żydzi byli bardziej tolerowani niż gdziekolwiek indziej.

Jego przywiązanie do kraju, z którego się wywodzi, nie jest gołosłowne. Nie ukrywał nigdy, kim jest i jakie są jego korzenie. Mówi, że nigdy nie stał się Jakubem Złotogórskim czy Złotoryjskim. Również w Izraelu nie przyjął nazwiska hebrajskiego. Pozostał Jakubem Goldbergiem. I pozostał polskim historykiem, co podkreśla.

Jan Strękowski

Ale w to wkracza król. Sejm Czterech Ziem i przedstawiciele gmin we wszystkich ważniejszych sprawach interweniowali na dworze królewskim. Wysłannicy Sejmu Czterech Ziem działali na sejmach, byli czynni w otoczeniu króla, starali się unicestwić zamierzenia przedstawicieli mieszczaństwa, którzy próbowali ograniczyć prawa Żydów. Można tam mówić o działaniu dyplomacji żydowskiej. Możemy się o tym dowiadywać w sposób bardzo pośredni. Bo trudno znaleźć dokumentację takich działań.

Pan sam podaje bardzo śmieszny przykład, jak to Jan Kmita – wojewoda krakowski – oskarżając Żydów, że przekupują dobrych chrześcijan, brał pieniądze zarówno od Żydów, jak i od mieszczan. Życie kuluarowe kwitło.

Kwitło przede wszystkim dlatego, że Żydzi nie mieli oficjalnego przedstawicielstwa w sejmie, jedynie w kuluarach działali syndycy, wysyłani przez sejmy żydowskie. Mieszczanie zresztą – w większości – też. Kilka miast, np. Kraków, Poznań, Gdańsk, Lwów, miało prawo wysyłania swoich delegatów na sejmy. Ich przedstawiciele prawnie byli posłami, nie ważyli się jednak zabierać głosu na sejmie szlacheckim. I podobnie jak Żydzi musieli prowadzić grę kuluarową. Ciągle toczyła się jakaś gra. Żydzi szukali w niej poparcia magnatów czy innych wpływowych osobistości na dworze królewskim. To była walka o egzystencję. Przedstawiciele mieszczan z niektórych ośrodków starali się wpłynąć na sejm, by ten uchwalił ograniczenia dla Żydów w zakresie działalności gospodarczej, czego jednak nie wprowadzono dzięki temu, że posłowie szlacheccy najczęściej tych żądań nie popierali.

Do połowy XVIII stulecia w Rzeczypospolitej nie działała centralna władza administracyjna.

Sejm szlachecki miał zatem drugie dno: mieszczańsko-żydowskie?

Na sejmie pojawiało się wielu przedstawicieli różnych korporacji. Tego dokładnie nie sprawdzano. Było, co prawda, tak zwane rugowanie posłów – sprawdzanie, czy mają prawidłowy mandat, ale miała tam miejsce również – jak i w każdym współczesnym parlamencie – jakaś gra tocząca się poza oficjalnymi debatami.

Kto tworzył lobby żydowskie?

To byli przede wszystkim – jak już mówiłem – czołowi magnaci oraz inne wpływowe osobistości na sejmie. W okresie Sejmu Czteroletniego sytuacja się zmieniła, bo pojawił się program polityczno-społeczny dotyczący statusu Żydów, który był popierany już przez szersze kręgi społeczeństwa polskiego.

Mimo że w 1764 roku zlikwidowano żydowski Sejm Czterech Ziem i Sejm Wielkiego Księstwa Litewskiego?

To dwie różne rzeczy. Sejmy żydowskie rozpoczęły działalność dla zbierania pogłównego od Żydów, gdyż skarb państwa nie miał odpowiedniej administracji podatkowej, wobec czego przekazano sprawę Żydom i nałożono na nich ryczałt, który mieli płacić. Ale skoro już powstała taka organizacja, to rozpostarła ona swoją działalność również i na inne dziedziny życia. Różnica pomiędzy Sejmem Czterech Ziem a ruchem politycznym Żydów w okresie Sejmu Czteroletniego polega na tym, że ten ostatni, choć powstał również samorzutnie, nie miał na celu działalności fiskalnej. Natomiast Sejm Czterech Ziem zlikwidowano na skutek reformy przeprowadzonej na sejmie konwokacyjnym w 1764, kiedy powstała Komisja Skarbu Koronnego, która sama zajmowała się inkasowaniem podatków. To nie zdało egzaminu. W kilka lat potem podskarbi wielki koronny, słynny targowiczanin Adam Poniński chciał re-

aktywować sejm żydowski. Okazało się bowiem, że urzędnicy nie są w stanie zbierać pogłównego od Żydów. Potem nastąpiły rozbiory i do sprawy nie wrócono.

Czym naprawdę zajmował się Sejm Czterech Ziem? Niektórzy historycy ograniczają jego rolę tylko do kwestii fiskalnych.

Zakres jego kompetencji był bardzo szeroki. Wypowiadał się w kwestiach religijnych, w sprawie importu książek. Zwracał się niejednokrotnie do rabinów, żeby rzucili ekskomunikę na poszczególne gminy. Jeśli powstaje jakiekolwiek przedstawicielstwo, nawet dla celów fiskalnych, to siłą rzeczy sam fakt istnienia organizacji sprawia, że jej działalność przybiera znacznie szerszy zakres, zwłaszcza że istniała potrzeba takiej działalności. A politycy żydowscy stojący na czele Sejmu Czterech Ziem w trakcie swojej działalności na dworze królewskim i na sejmach Rzeczypospolitej nabywali kultury politycznej.

Był tam i marszałek, i marszałkowie sejmików. Było zrywanie sejmików. Czy to się upodobniało do wzorów szlacheckich?

Były i inne podobieństwa – podział miejsc w Sejmie Czterech Ziem był podobny, jak w sejmie Rzeczypospolitej. Żydzi się na tym wzorowali.

Jak Polacy postrzegali Sejm Czterech Ziem? Jako żydowskie przedstawicielstwo? Jakie były kontakty i z jaką władzą?

Kontakty były przede wszystkim z podskarbimi, ale interwencja podskarbich w działalność sejmu była w XVII wieku jeszcze niewielka, dopiero w XVIII stuleciu przybrała szerszy zakres. Widać było, że podskarbi zdawali sobie w pełni sprawę z tego, iż sejm żydowski prowadzi szerszą działalność, bo gdy dostawali rozliczenia, to stwierdzali, że pewne sumy muszą być przeznaczone na jego wewnętrzną działalność. Sejm Czterech Ziem choć faktycznie pełnił funkcje reprezentacji Żydów, jeśli w jakiejś sprawie interweniował, nie występował jako sejm. Po zlikwidowaniu Sejmu Czterech Ziem w 1764 roku Żydzi jeszcze kilkakrotnie występowali w swoich sprawach, już nie fiskalnych. Odnalazłem kilka takich przekazów, m.in. suplikę do króla Stanisława Augusta, niedotyczącą spraw podatkowych, podpisaną „Żydzi koronni". Czyli w dalszym ciągu ten sejm się zbierał, ale już nie dla celów podatkowych, tylko organizacyjnych.

Mieszczańscy posłowie nie ważyli się zabierać głosu na sejmie szlacheckim. I podobnie jak Żydzi musieli prowadzić grę kuluarową.

Czy dla Żydów większego znaczenia nie miała jednak polityka lobbistyczna prowadzona przez magnatów?

W skali ogólnokrajowej działano poprzez sejm. Magnaci kontaktowali się przede wszystkim z tzw. swoimi Żydami, z reprezentantami gmin, kahałów w ich prywatnych miastach, z przedstawicielami innych instytucji. Bo przecież obok sejmu były także żydowskie sejmiki ziemskie. Kiedy rozwinęło się wśród Żydów karczmarstwo, zamieszkali oni również na wsi, ale należeli do gmin w określonych miastach. W ten sposób gminy żydowskie przekształciły się z ośrodków władzy lokalnej w organizacje o charakterze regionalnym. Magnaci starali się, aby granice poszczególnych kahałów pokrywały się z granicami ich dóbr. To znaczy, żeby Żydzi z ich włości nie podlegali gminie w mieście królewskim albo gminie w mieście należącym do innego magnata. Żydzi też byli tym w pewnym stopniu zainteresowani, bo wówczas mogli się zwracać do „swojego" magnata.

Czy istniała świadomość jednocząca Żydów: jesteśmy Żydami koronnymi, Żydami polskimi? Czy też raczej rozpadała się ona na poszczególne dobra magnackie, miasta, regiony?

To była podwójna świadomość. Niewątpliwie świadomość lokalną mieli Żydzi żyjący w dobrach wielkich magnatów, bo wiedzieli, kto się kryje za decyzjami, byli świadomi ich potęgi. Żydzi u Radziwiłłów, Żydzi u Zamojskich, Żydzi Sieniawskich i Czartoryskich. Oni wszyscy mieli tę świadomość. Ale mieli też świadomość wielkopolską, czerwonoruską. Dopiero po powstaniu ruchu chasydzkiego w drugiej połowie XVIII wieku wśród części Żydów polskich zaczyna się kształtować świadomość przynależności do poszczególnych dworów chasydzkich.

Nie było świadomości ogólnopolskiej, koronnej?

Była ogólna świadomość dotycząca Rzeczypospolitej, a w jej obrębie rozbicie na Litwę i Koronę. Znalazło to wyraz w działaniu dwóch sejmów żydowskich. Istniał nawet wyraźny antagonizm między nimi, jak i między Żydami polskimi a Żydami z innych państw.

Czy prosty Żyd identyfikował się z krajem, w którym mieszkał?

On wiedział, że jest Żydem polskim. Bardzo trudno jest badać mentalność. Można to robić na podstawie pamiętników. Zachowały się trzy, wszystkie z XVIII wieku. Jeden napisał filozof Salomon Majmon, pochodzący z dóbr radziwiłłowskich; pisał po niemiecku. Mając około 20 lat, wywędrował na Zachód, przebywał w kręgu Mojżesza Mendelsohna w Berlinie, twórcy Oświecenia żydowskiego – Haskali. On patrzył na Polskę przez pryzmat Oświecenia żydowskiego w Niemczech. Są jeszcze dwa inne pamiętniki, pisane po hebrajsku: Dowa z Bolechowa, który bardzo dobrze znał język polski i wyraźnie deklaruje, że jest polskim Żydem. I napisany w języku hebrajskim pamiętnik Mojżesza Wasercuga, który pisze tylko o Wielkopolsce. Z jego treści wynika, że wśród Żydów wielkopolskich istniały elementy kultury żydowskiej inne niż na pozostałych terenach dawnej Rzeczypospolitej, na przykład używana przez niego hebrajszczyzna jest inna niż język Dowa z Bolechowa. U Żydów świadomość była podwójna – i lokalna, i regionalna, a czasem ogólnopolska.

Czyli pod tym względem Żydzi byli bliżsi szlachcie niż mieszczanom?

Ależ oczywiście, oczywiście! Przecież Berek Joselewicz, bohater powstania kościuszkowskiego, nie wyskoczył jak Filip z konopi. Już wcześniej musiała być jakaś świadomość przynależności państwowej Żydów polskich. Niezależnie od tego, podobnie jak u mieszczan świadomość przynależności do społeczności miejskiej, u Żydów bardzo silna była świadomość przynależności do poszczególnych gmin. Nadto istniała łączność polegająca na wspólnocie losu skupisk żydowskich w Europie, oparta na więziach narodowo-religijnych.

Ale czy była wspólnota losu z Polakami? Mówi Pan o Berku Joselewiczu, dorzucimy Marysię Żydówkę, która ponoć walczyła w konfederacji barskiej. Czy jednak te dwie społeczności nie żyły osobno?

Jedna z moich tez głosi, że w Polsce Żydzi byli bardziej odseparowani od środowisk nieżydowskich aniżeli w innych krajach. To wynikało nie tylko z czynników negatywnych; w żadnym kraju Żydzi nie byli tak liczni, w żadnym kraju nie otrzymali tak szerokich praw, tak szerokiej autonomii. Tak, że mogli wszystkie swoje wewnętrzne sprawy załatwiać między sobą. Istniały instytucje żydowskie – rozbudowane instytucje gminy, a w I Rzeczypospolitej sejmy żydowskie. Rozmawialiśmy o nich. Dodać trzeba do

tego własne sądownictwo. Ta separacja miała korzenie historyczne.

Chcę podkreślić, że odrębność Żydów wynikała nie tylko z chęci separowania ich przez otoczenie, ale i z tego, że sami Żydzi chcieli się separować. To ostatnie wynikało m.in. z nakazów religijnych. Jeśli przyjrzeć się zbiorowi przepisów religijnych i obyczajowych zamieszczonych w zbiorze *Szulchan-Aruch*, znajdziemy wśród nich wiele zakazów ograniczających sferę kontaktów ze środowiskami nieżydowskimi. Na przykład kobietom żydowskim nie wolno było samotnie udawać się do miejscowości i dzielnic w miastach, w których Żydzi nie mieszkali.

Tylko że nacisk ze strony chrześcijańskiej na odseparowanie Żydów jest stale obecny i bardzo silny, podczas gdy po stronie żydowskiej, poza przepisami religijnymi, nie ma deklaracji świadczących o tym, że Żydzi chcieli żyć osobno. Weźmy przykład żebraków. Nawet ksiądz Wujek pisze, że chrześcijanie żebrzą u Żydów, ale Żyd nie waży się żebrać u chrześcijanina. Wyobrażacie sobie Panowie, aby Żyd w tamtych czasach wyciągnął rękę do mieszczanina albo szlachcica?

A więc obraz tego polsko-żydowskiego współżycia nie jest wcale tak różowy?

Nie chciałbym, żeby naszą rozmowę zdominowała kwestia antysemityzmu. Często tłumaczę, że nie wiem, czy Żydom w Polsce było dobrze, ale było lepiej aniżeli gdzie indziej. Byli bardziej tolerowani aniżeli gdziekolwiek indziej. W Anglii, gdzie Żydzi mieli pełnię praw, było ich bardzo niewielu. Gdy odbierałem doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego, mówiłem, że trudno określić postawę Polaków wobec Żydów w epoce, którą się zajmuję, i dałem mnóstwo przykładów, że ci sami Polacy raz zajmowali postawę pozytywną wobec nich, a niekiedy negatywną. Nie można generalizować. Jeżeli ktoś raz wyraził się negatywnie o Żydach, to nie znaczy, że konsekwentnie zajmował stanowisko antyżydowskie. Przykładem może być Julian Ursyn Niemcewicz, który w pewnych utworach zajmuje stanowisko antyżydTadeusz RadzikPortret historycznyowskie, a w innych staje się propagatorem zbliżenia polsko-żydowskiego.

Jeżeli ktoś raz wyraził się negatywnie o Żydach, to nie znaczy, że konsekwentnie zajmował stanowisko antyżydowskie.

Panie profesorze, czy współczesnych Izraelczyków interesuje w ogóle historia Polski?

Ludzie wywodzący się z Polski siłą rzeczy tą historią się interesują, nawet ci, którzy nie zawsze wykazywali nadmiar sympatii do Polski. Lecz obecnie sytuacja się zmienia, młode pokolenie ma bardzo różne zainteresowania. Wzrósł odsetek Żydów orientalnych, nastąpił masowy napływ Żydów rosyjskich. Powiedzmy sobie prawdę: historia Żydów polskich nie będzie masowo uprawiana w Izraelu, ale badania będą kontynuowane. Istnieje też naturalna motywacja, że badania nad historią Żydów będą się rozwijały w Polsce, ze względu na rolę, jaką odgrywali Żydzi w historii Polski. [...][2]

[2] Przedruk rozmowy i biogramu za: „Nowe Książki", 2002, nr 6. Skróty i cytaty pochodzą od redakcji „Scriptores" [przyp. red.].

Zawsze w radzie miejskiej znajdowali się przedstawiciele patrycjatu wspierający starania Żydów o prawo handlu. Po ich stronie stawała często szlachta ciągnąca z niego korzyści.

Tadeusz Radzik

Portret historyczny

Przez przeszło 400 lat Lublin był miastem, gdzie zamieszkiwała w zwartej grupie mniejszość żydowska. Jak w wielu innych polskich ośrodkach miejskich, np. we Lwowie, w Wilnie, Krakowie czy znacznie młodszej Łodzi, społeczność ta wywierała znaczący wpływ na rozwój miasta, nadawała mu swoisty koloryt, stanowiła liczący się odsetek jego mieszkańców.

Tadeusz Radzik – profesor historii, pracownik naukowy Instytutu Historii UMCS. Zajmuje się historią najnowszą, szczególnie problematyką emigracji, mniejszościami narodowymi, zagadnieniami związanymi z Lublinem i Lubelszczyzną. Autor ponad 100 artykułów i monografii „Polonia amerykańska wobec Polski 1918-39", „Stosunki polsko-żydowskie w Stanach Zjednoczonych w latach 1918-21", „Społeczno-ekonomiczne aspekty stosunku Polonii amerykańskiej do Polski po I wojnie światowej", „Lubelska dzielnica zamknięta", „Uczelnia mędrców Lublina"; współredaktor publikacji: „Lublin w dziejach i kulturze Polski", „Słownik biograficzny miasta Lublina", „Z dziejów społeczności żydowskiej na Lubelszczyźnie w latach 1918-1939", „Żydzi w Lublinie. Materiały do dziejów społeczności żydowskiej Lublina"; redaktor czasopism: „Przegląd polonijny", „Rocznik Lubelski, „Rocznik Chełmski". [Przyp. red.]

Początki

Historycy przyjmują, iż Żydzi pojawili się w Lublinie stosunkowo wcześnie. Wprawdzie, zdaniem Majera Bałabana, było to dopiero w drugiej połowie XV wieku (a w latach siedemdziesiątych tego stulecia mogła już istnieć gmina żydowska), to Stefan Wojciechowski przesuwa tę cezurę znacznie wstecz. Jego zdaniem, osadnictwo żydowskie w Lublinie sięgać może XI wieku (co wydaje się jednak wątpliwe), a istnienie gminy żydowskiej uważa za niemal pewne już w wieku XIV, w okresie panowania Kazimierza Wielkiego. Nie byłoby to zatem osadnictwo późniejsze aniżeli w przypadku innych miast. Przypomnijmy, iż już w końcu XI wieku na Dolnym Śląsku pojawiły się pierwsze grupy Żydów z Pragi czeskiej i Niemiec. W XIV wieku zamieszkiwali oni 35 dolnośląskich miast. W wieku XIII osiadali Żydzi w Wielkopolsce. Od XII wieku przybywali także od strony Rusi. Gdy w XV wieku zamieszkują już na pewno w Lublinie (w nieznanej liczbie), jest ich na terenie Korony i Litwy około 20 tysięcy. W następnym stuleciu ich liczba na terenie państwa polskiego wzrasta do około 100 tysięcy, czyli około 3,5 % ogółu mieszkańców.

W latach siedemdziesiątych XV wieku dochodzi w Lublinie do pierwszego znanego konfliktu na tle narodowościowym. Powodem było osiedlenie się tu rabina Jakuba z Trydentu. Jego pojawienie się spowodowało protesty katolickiego kleru. Zbyt mało mamy informacji

o przyczynach konfliktu i jego konsekwencjach. Przypomnijmy tylko, iż już wówczas nie wszędzie współżycie obydwu społeczności (o ile nie-Żydów można uznać za społeczność jednorodną; byłoby to duże uproszczenie ze względu chociażby na liczną obecność Niemców wśród mieszczaństwa polskiego) układało się dobrze. W Poznaniu i Krakowie dochodziło wówczas do tumultów i procesów o domniemaną profanację hostii.

Handel i prawa

W wieku XVI możemy już określić zakres terytorialny dzielnicy żydowskiej. Kształtowała się ona na północ i północny wschód od wzgórza zamkowego (na terenie prawdopodobnego, wcześniejszego osadnictwa żydowskiego). Wynikało to z przyczyn pragmatycznych, chęci zamieszkiwania jak najbliżej miasta, stanowiącego naturalne centrum handlowe. W samym mieście Żydzi zamiesz-

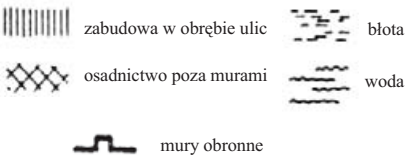

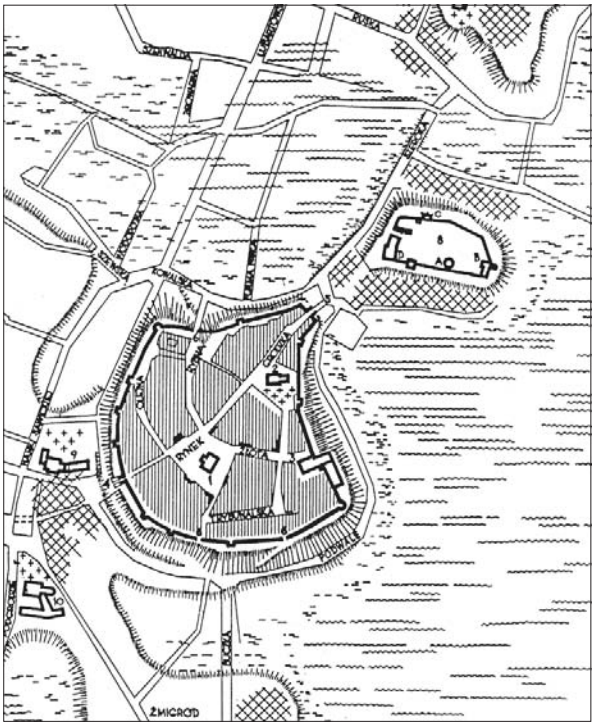

Lublin gotycki XIV i XV w.
Oba plany wg Henryka Gawareckiego i Czesława Gawdzika.

Lublin w XVI -XVIII w.

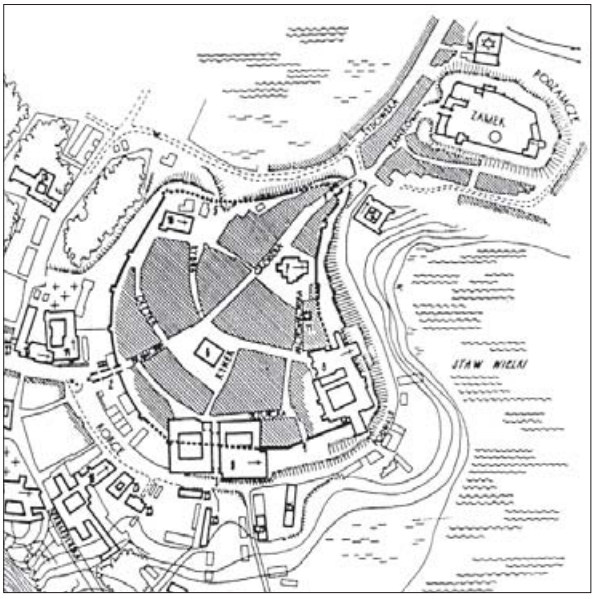

Dopiero oglądając plany dawnego Lublina widać, że przez większość swojego istnienia był on miastem na wodzie i błotach. Te naturalne uwarunkowania wymuszały jego specyficzny „binarny" układ przestrzenny, który z pewnością odciskał swoje piętno na samoświadomości lublinian. Zamek i rozbudowujące się wokół niego miasto żydowskie stanowiły półwysep, do którego wiódł przesmyk przez Bramę Żydowską (Grodzką). Zbiegiem okoliczności plan dawnego Lublina odzwierciedla więc charakterystyczne zależności ówczesnego społeczeństwa: miasto żydowskie stanowi odizolowane getto z centrum zajętym przez zamek królewski, siedzibę władzy, która Żydów do Polski sprowadziła i osadziła na swoich jurydykach niejako protegując ich w ten sposób w stanowym społeczeństwie średniowiecznym. Miasto polskie rozwija się natomiast od punktu łączącego je z zamkiem i jednocześnie z miastem żydowskim – punktu styku kultur i zakresów władzy oraz miejsca wymiany handlowej [przyp. red.].

kiwać nie mogli, ograniczani w tym względzie przywilejem *de non tolerandis Judaeis*, który uzyskali mieszczanie lubelscy. W znacznej mierze chodziło o konkurencję w handlu. Niezwykle dynamiczny rozwój w wieku XVI (który był złotym wiekiem Lublina) miasto zawdzięczało swojemu położeniu na szlakach handlowych, a jarmarki lubelskie znane były szeroko poza Polską. Już w 1521 roku dochodzi do procesu przez sądem królewskim o naruszenie przez Żydów zakazu handlu detalicznego, uprawianie handlu towarami zastrzeżonymi (handel korzenny), stwarzanie miastu konkurencji w handlu zbożem. Prawdopodobnie proces ten nie zakończył się dla miasta sukcesem. Co więcej, w następnych latach otrzymali Żydzi lubelscy od króla Zygmunta I Starego szereg przywilejów celnych. Kolejny proces mieszczan lubelskich z Żydami w 1531 roku o zniesienie płaconego miastu podatku od „wyrobów manufakturowych" miasto jednak wygrało. Z dążności do ograniczenia konkurencji żydowskiej i poddania tej społeczności kontroli miasta wynikały starania, uwieńczone w 1541 roku przywilejem królewskim, o podporządkowanie Żydów sądownictwu miejskiemu. Dodajmy, iż ograniczenia te nie były specyfiką lubelską. Dla XVI i XVII wieku znamy dużą liczbę przykładów ograniczeń nakładanych przez miasta (lub na ich wniosek) na Żydów. Zdaniem historyka handlu żydowskiego Ignacego Schipera, Lublin w ograniczeniach tych był daleko poza innymi miastami.

W miarę spokojna koegzystencja trwała tak długo, jak długo miasto przeżywało okres prosperity.

Fundamentalnym pytaniem jest, na ile życie weryfikowało wszelkie ograniczenia prawne? W przypadku Lublina *Privilegium de non tolerandis Judaeis* uniemożliwiało Żydom nie tylko zamieszkiwanie w obrębie miasta, ale także wynajmowanie pomieszczeń na sklepy. W praktyce przez cały czas istniały od tej zasady odstępstwa. Dotyczyły one wprawdzie początkowo Żydów najbogatszych, a nie biedoty, i nie przybierały skali masowej, ale też świadczyły o tolerancyjnym podchodzeniu do ograniczeń. Wynajmowanie pomieszczeń Żydom przynosiło przecież właścicielom posesji niemałe dochody. Z czasem proceder ten przybrał znaczniejsze rozmiary. Jak pisze w swej pracy Majer Bałaban:

„Do miasta napływali żydowscy kupcy, którzy wynajmowali w zabudowaniach klasztornych

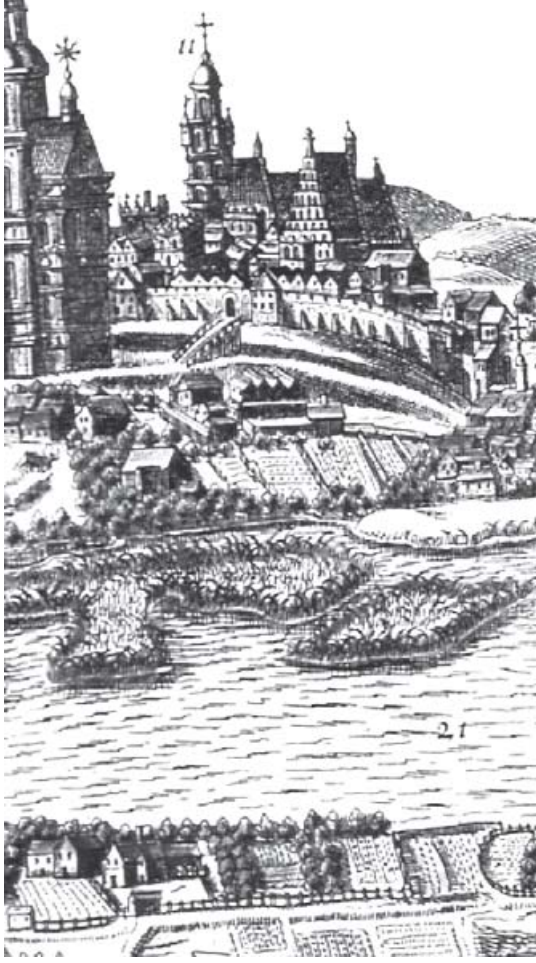

i pałacach szlacheckich pomieszczenia na sklepy i mieszkania. Nawet bogaci patrycjusze nie wstydzili się za duże pieniądze zapewniać w swoich domach schronienia Żydom lub wynajmować im magazyny, piwnice itp. Według wiarygodnych relacji jednego ze współczesnych (Miczyński, *Zwierciadło Korony Polskiej*, Kraków 1618) stary rynek zastawiony został wkrótce żydowskimi straganami. Wokół Trybunału Koronnego [...] Żydzi lubelscy i obcy rozkładali swoje kramy. Z okolic Mostu i Bramy Żydowskiej przenieśli się też tutaj maklerzy, oferujący wszelkiego rodzaju towary i prowadzący potencjalnych kupców do sklepów. Żydowscy rzemieślnicy, zwłaszcza krawcy i kuśnierze szukali tu – pomimo protestów cechów i gildii – pracy i materiałów."

Tak cechy, jak i gildie czyniły wszystko, by konkurencję żydowską wyeliminować; dochodziło do bójek, konfiskaty towarów, procesów sądowych, ale zawsze w radzie miejskiej znajdowali się przedstawiciele patrycjatu wspierający starania Żydów o prawo handlu. Po ich stronie stawała często szlachta ciągnąca korzyści z żydowskiego handlu. Zawierano zatem tzw. *Pacta cum Judaeis inita*, określające na kilka lat rozmiary akceptowanego handlu żydowskiego, odnawiane co jakiś czas, w zakresie coraz korzystniejszym dla Żydów. W okresie, gdy one nie obowiązywały, dochodziło wprawdzie do utarczek i rabunków, ale niepokoje te stwarzały zarazem asumpt do odnowienia umowy. Nie wnikając w szczegóły motywów, którymi kierowała się rada

Lublin, zabudowa wokół Zamku. Fragment miedziorytu J. Brauna i A. Hogenberga z atlasu miast *Civitas orbis terranum*, 1618 r. Numerem 11 oznaczona jest wieża nieistniejącej już fary. Sztych nie zachowuje rzeczywistej perspektywy. W kartuszu nad panoramą umieszczono napis po łacinie: „Widok Miasta Lublina w Królestwie Polskim, sławnego w całym świecie trzy razy na rok odbywającymi się jarmarkami." (*Ikonografia dawnego Lublina*, red. Zbigniew Nestorowicz, Lublin 1999, s. 47-48). To właśnie ze względu m.in. na jarmark odbywający się w czasie święta Matki Boskiej Gromnicznej wybrano Lublin i ten czas na obrady żydowskiego Sejmu Czterech Ziem.

miejska, zawierając *pacta* wbrew woli kupców i rzemieślników, należy zauważyć, iż stwarzało to podłoże dla antyżydowskich zamieszek. Inicjowane przez czeladników i uczniów szkoły jezuickiej, prowadziły czasami do zdarzeń tragicznych. W 1646 roku podczas zajść 8 Żydów straciło życie, 50 zostało rannych, splądrowano 20 domów.

W latach czterdziestych [XVI wieku - przyp. red.] dochodzi do ustabilizowania stosunków pomiędzy gminą żydowską na Podzamczu a miastem. Wyrazem tej stabilizacji były ugody zawierane pomiędzy obydwoma stronami: „około wolności, któreśmy im [tj. Żydom – R. Sz.] dali byli nad prawa i wolności i nad przywileje miejskie, z dobrej wolej naszej w przyjaźni chcąc być z niemi". Oczywiście w latach tych nie brakowało również spięć i konfliktów, ale nigdy nie przybrały one takich rozmiarów jak w latach trzydziestych XVI wieku.

Ryszard Szczygieł, *Konflikty społeczne w Lublinie*, Lubelskie Towarzystwo Naukowe, PWN, Warszawa 1977.

Na ile ograniczenia handlu żydowskiego lub ich próby były skuteczne, określają dane z 1530/1531 roku ilustrujące obrót towarów przewiezionych w tym czasie przez komorę lubelską na słynne jarmarki lubelskie. Z towarów importowanych ze wschodu Żydzi przywieźli w całości pieprz oraz większość innych przypraw: szafranu, imbiru, goździków, muszkatu, a także ryżu. W sumie na 51,5 kamieni i 37 funtów towarów kolonialnych dostarczonych przez kupców żydowskich, kupcy rodzimi (nieżydowscy) przywieźli 21 kamieni tychże towarów. Tkanin kupcy żydowscy mieli trzy razy więcej aniżeli rodzimi, wołów 503 sztuki wobec 310 sprowadzonych przez pozostałych kupców.

Wojny i zabory

Ta w miarę spokojna koegzystencja trwała tak długo, jak długo miasto przeżywało okres prosperity. Starczało wówczas towarów dla licznych kupców, a pracy dla wielu rzemieślników. Wojny XVII wieku, zniszczenia spowodowane przez wojska kozacko-moskiewskie i szwedzkie spowodowały, że miasto, splądrowane, spalone i w znacznej części zniszczone, ledwie wegetowało. Nigdy już aż do końca Rzeczypospolitej, nie odzyskało dawnej świetności.

Wraz z narastającym ubóstwem miasta odżyły dawne konflikty. Ze zdwojoną energią próbowano wprowadzać ograniczenia w odniesieniu do żydowskiego handlu i rzemiosła, szukając w nich drogi do poprawy sytuacji materialnej mieszczan. W 1679 roku na sejmie w Grodnie król Jan III Sobieski uznał za szkodliwą działalność kupców żydowskich, zakazując im zarazem wszelkiego handlu w niedziele i święta (a nawet pokazywania się wówczas w mieście). Unieważnił zarazem wszelkie *pacta* zawarte przez Żydów z miastem. Handel żydowski usunięty został w całości z obrębu miasta i ograniczony do dzielnicy żydowskiej. Zakazano nawet handlu naręcznego. Wszelkie przechwycone w murach miasta towary żydowskie miały być konfiskowane. Przy każdym zakupie kupcy chrześcijańscy uzyskiwali pierwszeństwo. Wszystko to, jak napisano w zatwierdzonym w 1683 roku przez króla statucie Nowej Kongregacji Kupieckiej, dlatego, że „*Perfidia gens judaica* zasłania się stale różnymi protekcjami i sprzedaje wskutek tego w naszym mieście, intra muros, różne towary zwłaszcza podczas obrad Trybunału Koronnego. Przez to doprowadza nasze kupiectwo do ostatniej nędzy; ośmiela się także uprawiać handel w niedziele i święta, czego wielokrotnie zakazywały dekrety sądu grodzkiego".

Trudno się było Żydom lubelskim pogodzić z takim rozwiązaniem. Stąd też przez kilkadziesiąt lat trwał proces o swobodę handlu żydowskiego. Dodajmy, iż jeszcze Jan III Sobieski uchylił większość ograniczeń.

Długo trwała walka mieszczan lubelskich o usunięcie Żydów zamieszkujących w obrębie miasta. Gdy w 1720 roku uzyskano dekret królewski potępiający Żydów i nakazujący im opuścić miasto, jego egzekucja po licznych odwołaniach trwała aż 40 lat. Zakończyła się ostatecznie w 1761 roku wyrokiem sądowym nakazującym staroście lubelskiemu przepędzenie Żydów z miasta. Ponownie zagęściła się dzielnica żydowska na Podzamczu i Kalinowszczyźnie. Powstały nowe skupiska Żydów na podlubelskich Piaskach i Wieniawie. Po rozbiorach Polski władze zaborcze (austriackie, a później i rosyjskie) utrwaliły ten stan rzeczy. Dopiero reformy Wielopolskiego z 1862 roku sprawiły, iż bramy miasta ponownie otwarły się przed społecznością żydowską. W rezultacie w ciągu kilkudziesięciu zaledwie lat Stare Miasto stało się dzielnicą żydowską. Tam bowiem, w pobliżu swej tradycyjnej dzielnicy, najchętniej kupowali Żydzi nieruchomości.

Przez cały wiek XIX Żydzi stanowili w Lublinie poważny odsetek mieszkańców miasta. Pomiędzy rokiem 1819 a 1865 ich liczba wzrosła z 4 771 do 12 992 osób, co stanowiło odpowiednio 48,3 % i 59,2 % ogółu ludności. W następnych dziesięcioleciach odsetek ten utrzymywał się na podobnym poziomie. W 1885 roku Żydzi stanowili 47,6 % ogółu mieszkańców, zaś w 1905 roku 50,7 %. Liczne ograniczenia prawne wydane przez władze carskie uniemożliwiały im uzyskanie „obywatelstwa miejskiego w dziedzinie praw cywilnych". Oznaczało to m.in. zakaz nabywania nieruchomości, ograniczenie możliwości dzierżawy, podleganie dodatkowym podatkom. Znane są z Lublina starania zamożniejszych przedstawicieli tej ludności o uzyskanie obywatelstwa. Czynił je m.in. Icek Landau – dostawca wojskowy (podanie swoje uzasadniał m.in. tym, że w czasie powstania listopadowego zaopatrywał w żywność armię rosyjską), czy Jakub Meir, również dostawca wojskowy. W obydwu przypadkach odpowiedź była odmowna. Motywowano to tak stanem prawnym, jak i interesem miasta (dodatkowe podatki). W drugim przypadku także tym, że zainteresowany nosił ubiór żydowski.

Należy wyraźnie stwierdzić, iż do lat sześćdziesiątych XIX wieku społeczność żydowska była wyraźnie dyskryminowana. Ograniczona była nie tylko możliwość swobodnego wyboru miejsca zamieszkania, ale obowiązywał zakaz wykonywania niektórych zawodów, a dodatkowe podatki, np.: koszerne, rekrutowe itp., były także ciężarem finansowym.

Ograniczenia władz carskich uniemożliwiały Żydom uzyskanie „obywatelstwa miejskiego w dziedzinie praw cywilnych".

Interesujące może być spojrzenie na strukturę społeczno-zawodową ludności żydowskiej i odpowiedź na pytanie, jaki był stopień zamożności i koncentracji kapitału w rękach tej ludności. Z badań Bronisława Mikulca, specjalisty od tej tematyki, wynika, iż np. z początkiem lat sześćdziesiątych XIX wieku 15,4 % zakładów przemysłowych Lublina należało do Żydów, 53,8 % do Polaków, 23,1 % do Niemców oraz 7,7 % do Anglików. Nie można było zatem mówić nawet o proporcjonalności zamożności tej grupy w stosunku do jej liczebności.

W roku 1882 proporcje własności zakładów przemysłowych w stosunku do narodowości były już dla ludności żydowskiej bardziej korzystne. Z 17 istniejących w Lublinie zakładów zatrudniających powyżej 5 osób, 6 tzn. 35,3 % należało do Żydów (do Polaków – 41,2 %). Dodajmy jednak, iż spośród 4 zakładów zatrudniających od 51 do

100 osób, aż 3 należały do Żydów. Kolejne dane z 1902 roku potwierdzają stopniowy awans tej społeczności. Spośród 33 zakładów przemysłowych Lublina do Żydów należało 12, czyli 36,4 %, w tym jeden z dwóch największych, zatrudniających przeszło 100 osób (największym zakładem w mieście była manufaktura tabaki Leopolda Kronenberga zatrudniająca około 100 osób, a następnie inna Fabryka Tabaczna Dawida Zylbera i Samuela Jakelesa przy ul. Ruskiej, zatrudniająca przeszło 130 osób). Wprawdzie nadal było to nieco mniej aniżeli odsetek ludności żydowskiej Lublina, ale dysproporcje zanikały. Uwidoczniła się przy tym koncentracja ludności żydowskiej w przemyśle spożywczym, mineralnym, poligraficznym i chemicznym. Trzy żydowskie fabryki wódek w Lublinie wyprodukowały w 1869 roku 49 700 wiader różnego rodzaju wódek, co stanowiło ponad 80 % tego rodzaju produkcji w Lublinie. Trzy spośród pięciu lubelskich browarów należało w latach sześćdziesiątych do Żydów, ale w początkach XX wieku już żaden.

Jaka była struktura społeczno-zawodowa ludności żydowskiej XIX wieku? Dominowały handel i rzemiosło. Wśród osób zajmujących się handlem nie było kupców zaliczanych do I gildii, a zaledwie 4-5 żydowskich kupców zaliczono do II gildii. Warstwę najliczniejszą stanowili kramarze, przekupnie, tandeciarze i faktorzy. Stanowili oni w latach sześćdziesiątych ponad 62 % Żydów zajmujących się handlem, ale aż 89 % wszystkich osób tej profesji w mieście. Rzemieślnicy żydowscy stanowili w połowie stulecia przeszło 58 % ogółu rzemieślników. Niechętnie widziani w cechach, funkcjonowali jako tzw. rzemieślnicy konsensowi (zdawali egzamin zawodowy w magistracie), stanowiąc w latach czterdziestych 87 % ogółu tej grupy rzemieślników w mieście. W sumie społeczność żydowska dziewiętnastowiecznego Lublina jawi się jako uboga, zacofana, a do lat sześćdziesiątych spychana ograniczeniami administracyjnymi do izolacji.

Edukacja

O ile stan oświaty w Lublinie w XIX wieku trudno uznać za zadowalający, to sytuacja oświatowa społeczności żydowskiej była wyjątkowo trudna aż do czasu I wojny światowej. Od czasu uka-

Problem słabości i siły

Polscy Żydzi, określając swoją sytuację w nowożytnym państwie polsko-litewskim, często cytowali obietnicę złożoną Izraelitom przez Boga zapisaną w Księdze Kapłańskiej: „Jednakże nawet wtedy, kiedy będą w kraju nieprzyjacielskim, nie odrzucę ich i nie będę się brzydził nimi do tego stopnia, żeby ich całkowicie zniszczyć i zerwać moje przymierze z nimi, bo Ja jestem Pan, ich Bóg" (Kpł 26, 44). Ten wers pozwalał Żydom na wyjaśnienie dwojakiego charakteru ich położenia: z jednej strony byli oni pogardzaną i znienawidzoną mniejszością w świecie chrześcijańskim („w kraju nieprzyjacielskim"), z drugiej tworzyli bezpieczną i wierzącą w swoje siły społeczność, cieszącą się, w ich rozumieniu, łaską Boga („nie odrzucę ich i nie będę się brzydził nimi"), stanowiąc, zwłaszcza ze względu na swoją działalność ekonomiczną, integralną część społeczeństwa polsko-litewskiego.

Bardzo często uważano, że owe dwa zjawiska, tj. sukces ekonomiczny Żydów i antyżydowskie nastroje, są ze sobą połączone. Na przykład w roku 1580 Sejm Czterech Ziem [sejm żydowski – przyp. red.] wydał zarządzenie mające na celu ograniczenie bujnie rozwijającej się działalności ekonomicznej Żydów, aby powściągnąć wrogie nastawienie do nich konkurentów. [...] Trzeba też podkreślić, iż decyzje sejmików w sprawach żydowskich cechowała z jednej strony głęboka wrogość wobec Żydów jako społeczności religijno-etnicznej, z drugiej zaś sta-

zu carskiego z 1864 roku określającego zasady kształcenia elementarnego dzieci istniały trzy rodzaje szkół: rządowe, wyznaniowe oraz prywatne. Jedyną elementarną szkołą rządową dla dzieci żydowskich była dwuklasowa szkoła dla chłopców. Działała nieprzerwanie przez pół wieku. Cieszyła się dużą popularnością i tylko limit miejsc, około 200, wynikający z budżetu, ograniczał jej rozwój. Na drugim biegunie znajdowało się 14 szkółek religijnych (chederów), do których uczęszczało 481 dzieci (1865 rok), co dobitnie świadczy o ich wielkości. Ponadto w latach 1864-1915 funkcjonowało 39 prywatnych żydowskich (jedno-, dwuklasowych) szkół elementarnych. Były to najczęściej szkółki efemeryczne i do wyjątków należały takie, które przetrwały 5-10 lat. Jednocześnie istniało nie więcej niż 7 tego rodzaju szkółek. Wspomniane chedery wymykały się nawet kontroli władz. Ich liczba wahała się od 14 w 1865 roku do 182 w 1904 i 44 w 1912 roku. W znacznej części prowadzone były nielegalnie (i likwidowane przez policję), aczkolwiek do ich otwarcia wystarczyło złożyć podanie do kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego, zaświadczenie o kwalifikacjach kandydata na nauczyciela oraz zobowiązanie do nauczania języka rosyjskiego. Chedery liczyły najczęściej od kilku do kilkunastu uczniów. Te mające ponad 20 należały do rzadkości.

W wieku XIX w Lublinie nie funkcjonowało żadne żydowskie gimnazjum. Młodzież żydowska, głównie chłopcy, uczęszczała do gimnazjów rządowych bądź polskich szkół prywatnych. W tych pierwszych dbano, aby odsetek uczniów żydowskich nie przekraczał 5-15 % ogólnej liczby uczniów. W szkołach prywatnych z prawami granica przyjęć sięgała 30 %. W szkołach średnich bez praw żadnych ograniczeń nie było. Dopiero liberalizacja przepisów po 1905 roku spowodowała, iż w mieście powstały w latach 1909-1912 trzy średnie szkoły żydowskie z prawami.

Jedno z pierwszych rozporządzeń władz austro-węgierskich dotyczyło równouprawnienia Żydów.

II Rzeczpospolita

Zasadnicza zmiana położenia społeczności żydowskiej Lublina nastąpi-

nowcze poparcie ich działalności ekonomicznej oraz korzyści, jakie przynosiła ona szlacheckiej gospodarce. [...]

Jakimkolwiek jednak Żydzi cieszyli się poparciem, nie wydaje się, by ich status wobec właścicieli ziemskich był znacząco wyższy niż innych grup społecznych w ramach danego majątku. Jeśli Żyd bez zgody właściciela przeniósł się do innego majątku, był na równi z chłopem traktowany jak „zbiegły poddany", właściciel zaś mógł podać jego nowego pana do sądu, który orzekał ekstradycję zbiega. [...]

Analiza stosunków polsko-żydowskich wyłącznie z punktu widzenia względnej siły i słabości ludności żydowskiej odsłania jedynie część prawdy. Wskazane przypadki przestępstw i aktów przemocy nie poddają się łatwo klasyfikacji w tych kategoriach, ponieważ nie jest oczywiste, czy gotowość niektórych Żydów do wykorzystywania ludności nieżydowskiej jest oznaką siły. Wydaje się raczej, że jest to wskaźnik ich integracji ze społeczeństwem – rabowali i byli rabowani tak jak mieszczanie, a nawet przedstawiciele szlachty. Również akty przemocy ze strony szlachty, w których ucierpieli, stanowiły część ogólniejszego zjawiska charakterystycznego dla Polski tamtych czasów. Zakres, w jakim korzystali z możliwości odwoływania się do sądów zamkowych i ich traktowanie w ramach tego systemu prawnego również świadczy o stopniu ich integracji z polskim społeczeństwem, bardziej niż o ich sile bądź słabości.

Adam Teller, *Przedmowa,* w: H. Gmiterek, *Materiały źródłowe do dziejów Żydów w księgach grodzkich lubelskich z doby panowania Augusta II Sasa 1697-1733*, Lublin 2001, s. 27-28.

ła dopiero w latach I wojny światowej. Jedno z pierwszych rozporządzeń okupacyjnych władz austro-węgierskich dotyczyło równouprawnienia Żydów. Wieniawa, stanowiąca dotychczas osobną gminę, włączona została w granice miasta. W lubelskich synagogach pojawili się liczni żołnierze wyznania mojżeszowego. Utworzony został Żydowski Komitet Ratunkowy, wykazujący dużą aktywność w działalności charytatywnej, a wspomagany przez kilka innych podobnych organizacji. Powstało kilka towarzystw oświatowych. Rozwijało się szkolnictwo żydowskie, tak prywatne, jak i publiczne. W 1916 roku w mieście funkcjonowało 12 elementarnych prywatnych szkół żydowskich i 3 gimnazja. Od 1916 roku ukazywał się w języku polskim miesięcznik „Myśl Żydowska", a od 1918 roku dziennik „Lubliner Tugblat". Także w 1916 roku powstał żydowski teatr amatorski, a w radzie miejskiej pojawili się żydowscy radni (17 na 60). Był to okres niezwykłej aktywności tej społeczności, wynikającej z zaistniałych możliwości legalnego działania.

W dwudziestoleciu międzywojennym liczebność społeczności żydowskiej w stosunku do ogółu mieszkańców miasta nadal była znacząca. Według spisu z 1921 roku spośród 94 412 mieszkańców miasta wyznanie mojżeszowe zadeklarowało 37 337 osób, czyli 39,54 % ogółu ludności. Dziesięć lat później, w 1931 roku spośród 112 285 mieszkańców miasta 38 935, a więc 34,87 % ogółu mieszkańców deklarowało wyznanie mojżeszowe. Oznaczałoby to, iż dynamika przyrostu ludności żydowskiej była nieco mniejsza aniżeli ogółu ludności miasta. W praktyce przyrost ludności miasta dokonywał się nie tyle w rezultacie przyrostu naturalnego, co migracji, której uczestnikami byli głównie mieszkańcy wsi. Przyrost naturalny ludności żydowskiej był wyższy aniżeli Polaków. Spośród największych miast Polski wyższy niż Lublin odsetek ludności żydowskiej wśród mieszkańców miał tylko Lwów, ale już nie Łódź, Warszawa czy Wilno.

Charakterystyczną cechą społeczności Żydów lubelskich był wyjątkowo niski stopień asymilacji (przynajmniej językowej). Był on najniższy dla 10 największych miast Polski. Tylko 2,5 % społeczności żydowskiej Lublina zadeklarowało w 1931 roku posługiwanie się językiem polskim jako ojczystym. W Warszawie wskaźnik ten wynosił 5,5 %, w Wilnie 4,4 %, w Krakowie 18,8 %, we Lwowie 24,1 %, w Poznaniu 29,2 %, a w Bydgoszczy 46,1 %. W skali całego kraju, a więc z uwzględnieniem także małych miasteczek, odsetek osób wyznania mojżeszowego podających język ojczysty żydowski lub hebrajski stanowił 87,7 %. Był to ewidentny dowód wolniejszych aniżeli w innych rejonach kraju procesów asymilacyjnych. Oznacza to, iż ludność żydowska w większym niż gdzie indziej stopniu pozostawała w kulturowej izolacji, że relacje ze światem zewnętrznym były słabsze.

Charakterystyczną cechą społeczności Żydów lubelskich był wyjątkowo niski stopień asymilacji.

Róża Fiszman w swych wspomnieniach *Mój Lublin* przypomina sklepiki żydowskie na ul. Lubartowskiej, gdzie każde pojawienie się kontrolera z komisji cennikowej wywoływało popłoch, gdyż na każdym sprzedawanym artykule należało wywiesić karteczkę z nazwą towaru i jego ceną. Wymagało to znajomości języka polskiego, tymczasem – jak pisze Fiszman – większość handlujących nie znała polskiego. Jak wspomina Fiszman, szacunek wzbudzał sąsiad utrzymujący się z pisania podań

do urzędów państwowych. Był to zawód wymagający biegłej znajomości języka polskiego: „Niewielu Żydów starszego pokolenia mogło się tym pochwalić. Skupieni w dzielnicach żydowskich rozmawiali ze sobą po żydowsku. W domu, w którym mieszkaliśmy, jedynym Polakiem był dozorca". Dodajmy, iż – jak wspomina autorka – jego dwaj synowie biegle posługiwali się językiem żydowskim (jidysz), spędzając czas wśród rówieśników.

Wspomniany niski stopień asymilacji językowej oznaczał zarazem, iż odsetek Żydów wykonujących pracę umysłową był w Lublinie niższy aniżeli w innych miastach, inteligencja bowiem asymilowała się szybciej. Co więcej, odsetek osób deklarujących język hebrajski jako język ojczysty w stosunku do języka żydowskiego był w Lublinie niższy (3,8 %) niż w innych miastach (Warszawa 6,3 %, Łódź 8 %, Lwów 11,5 %, Wilno 14,9 %). Oznacza to, iż stopień wykształcenia wyznaniowego lubelskich Żydów był także niższy aniżeli w innych większych aglomeracjach miejskich. Można tu co prawda wnieść zastrzeżenie, że stopień deklaracji języka hebrajskiego jako ojczystego mógł być związany z zakresem wpływów ruchu syjonistycznego, propagującego powrót do hebrajskiego nie tylko w liturgii. Należałoby zatem porównać wpływy syjonistów w Lublinie i innych miastach. Deklaracje językowe mogły być zarazem deklaracjami politycznymi.

Kolejną cechą społeczności żydowskiej Lublina w międzywojennym dwudziestoleciu był wysoki wskaźnik analfabetyzmu, 42,5 % w 1921 roku w stosunku do 26,9 % dla rzymskich katolików. Był to wskaźnik odbiegający znacznie od współczynnika dla ogółu ludności żydowskiej Polski, wynoszącego wówczas 28,3 %, a dla mieszkańców miast 25,1 %. Dodajmy, że w skali całej Polski odsetek analfabetów wśród Żydów był niższy aniżeli w pozostałych grupach ludności. Wynikało to z zasad religijnych, które nakazywały, by każdy ojciec uczył syna Tory i posyłał dzieci do szkoły. Najwyższy wskaźnik analfabetyzmu wśród lubelskich Żydów odnotowano wśród starszych kobiet. Dla grupy powyżej 60 lat wynosił on 58,9 %. Był to także rezultat tradycji. Nie otrzymały one bowiem możliwości nauki w chederze ani w szkole świeckiej. W rezultacie społeczność żydowska Lublina jawi się na tle tak kraju, jak i innych miast, jako mało wykształcona, zacofana, bardziej niż inne ograniczona własnym kręgiem.

Niewiele zmieniła się od wieku XIX struktura zawodowa społeczności żydowskiej. Nadal dominowało zatrudnienie w handlu i rzemiośle z widoczną koncentracją w tzw. przemyśle odzieżowym i galanteryjnym, częściowo spożywczym i budowlanym. Przeważały maleńkie sklepiki i warsztaty, zatrudniające najczęściej jedynie rodzinę właściciela i krewnych. Zmiana tej struktury była bardzo trudna. Na przykład ograniczenia natury religijnej, tzn. konieczność świętowania dwóch dni w tygodniu (soboty jako święta żydowskiego i niedzieli jako chrześcijańskiego), utrudniały znalezienie pracy w dużym zakładzie, i to niekoniecznie państwowym. Sobotnia nieobecność w pracy dezorganizująco wpływałaby na proces produkcji. Istniała poza tym pewna niechęć do zatrudniania Żydów w instytucjach i przedsiębiorstwach państwowych i komunalnych w sytuacji, gdy wielu Polaków pozostawało bez pracy. Można zatem mówić o pewnej dyskryminacji społeczności żydowskiej, ale wydawała się ona wówczas na tyle oczywista, że traktowano ją jako zjawisko normalne. W 1921 roku wprowadzono państwowy monopol tytoniowy i rząd wykupił wszystkie prywatne przedsiębiorstwa tej branży, co automatycznie równało się zamknięciu przedsiębiorstw żydowskich w Lublinie

i utracie pracy przez 150 żydowskich robotników. Podobne skutki spowodowało powstanie monopolu spirytusowego.

Dodajmy, iż żydowski inteligent, absolwent wyższej uczelni, jeżeli nie otworzył własnej kancelarii adwokackiej, gabinetu lekarskiego czy innego zakładu lub też nie znalazł pracy w instytucji żydowskiej, miał niewielkie szanse, aby poza społecznością żydowską dostać pracę w swoim zawodzie. Niejednokrotnie deklasował się, otwierając, zmuszony koniecznością, kolejny żydowski sklepik lub podejmując pracę w warsztacie ojca. Na marginesie dodajmy, iż stan ten był częstym powodem frustracji, także politycznych, popychających młodzież żydowską w kierunku komunizmu, deklarującego (przynajmniej w teorii) równe dla wszystkich prawa realizowania aspiracji życiowych.

Okupacja

Lata II wojny przyniosły zagładę społeczności żydowskiej Lublina. Według spisu przeprowadzonego w październiku 1939 roku w Lublinie zamieszkiwało przeszło 37 tysięcy Żydów. Od początku wojny traktowano ich jako osoby pozbawione elementarnych praw. W październiku 1939 roku na polecenie nadburmistrza Krugera przeprowadzono wśród ludności żydowskiej rekwizycję butów, bielizny, futer oraz żywności. Od listopada wszyscy Żydzi musieli nosić specjalne opaski identyfikacyjne. Gwiazdą Dawida oznaczone być musiały wszystkie przedsiębiorstwa i sklepy żydowskie. W tym samym miesiącu nałożono na gminę żydowską kontrybucję w wysokości 342 tysięcy złotych. Wszyscy Żydzi w wieku 15-60 lat podlegali obowiązkowi pracy. Wypełniano ten obowiązek, tworząc dla ludności żydowskiej obozy pracy na terenie miasta, a następnie wysyłając robotników do kilkudziesięciu obozów pracy rozsianych po całej Lubelszczyźnie. W 1940 roku usunięto ludność żydowską z „chrześcijańskich dzielnic" miasta, co po części związane było także z przygotowaniem mieszkań dla niemieckiej administracji wojskowej i cywilnej. Kolejnym krokiem było utworzenie w marcu 1941 roku „dzielnicy zamkniętej", obejmującej część Starego Miasta, ul. Lubartowskiej oraz Podzamcza i Kalinowszczyzny. Także w 1941 roku rozpoczęto akcję wysiedlania ludności żydowskiej z Lublina do innych powiatów dystryktu lubelskiego. Od marca 1942 roku było to wysiedlanie przymusowe połączone z masową eksterminacją w obozach zagłady, przede wszystkim w Bełżcu, gdzie straciła życie większość lubelskich Żydów. Kilka tysięcy pozostałych przy życiu przeniesiono w kwietniu 1942 roku do nowego getta przy Majdanie Tatarskim na przedmieściach Lublina. We wrześniu, październiku i listopadzie tegoż roku skierowano ich z nowego getta do pobliskiego obozu na Majdanku, gdzie w listopadzie w komorach gazowych oraz przez rozstrzelanie nastąpiło „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej". Po wymordowaniu Żydów dzielnice przez nich zamieszkałe, tzn. Podzamcze, Wieniawa, Majdan Tatarski, zostały zrównane z ziemią.

Stary cmentarz żydowski, budynek Jeszybotu, niewielka izba pamięci przy ul. Lubartowskiej przypominają o wielowiekowej obecności tej społeczności w dziejach Lublina, społeczności, która zniknęła w tak tragicznych okolicznościach. Cerkiew Przemienienia Pańskiego, kościół ewangelicki nadal są ośrodkami, które gromadzą zamieszkujących w mieście prawosławnych i ewangelików, przypominają o ich wielowiekowym trwaniu, o obecności w dziejach miasta, wkładzie w jego rozwój materialny i kulturalny. Pamiętajmy o wszystkich, którzy przez wieki żyli z nami, o wszystkich, dla których Lublin przez pokolenia był miastem rodzinnym[1].

[1] Fragment tekstu Tadeusza Radzika o mniejszościach narodowych Lublina pt. *Żyli z nami*, który ukazał się w książce *Lublin w dziejach i kulturze Polski*, pod red. T. Radzika i A. A. Witusika, Lublin 1997, s. 260-269. Tytuł, śródtytuły i materiały uzupełniające pochodzą od redakcji „Scriptores".

Fot. Stefan Kiełsznia. Ze zbiorów TNN.

ועשית לו זר זהב סביב ועשית לו מסגרת טפח
סביב ועשית זר זהב למסגרתו סביב ועשית לו
ארבע טבעת זהב ונתת את הטבעת על ארבע
הפאת אשר לארבע רגליו לעמת המסגרת
תהיין הטבעת לבתים לבדים לשאת את השלחן
ועשית את הבדים עצי שטים וצפית אתם זהב
ונשא בם את השלחן ועשית קערתיו וכפתיו
וקשותיו ומנקיתיו אשר יסך בהן זהב סהור תעשה
אתם ונתת על השלחן לחם פנים לפני תמיד
ועשית מנרת זהב טהור מקשה תיעשה המנרה
ירכה וקנה גביעיה כפתריה ופרחיה ממנה יהיו
וששה קנים יצאים מצדיה שלשה קני מנרה
מצדה האחד ושלשה קני מנרה מצדה השני שלשה
גבעים משקדים בקנה האחד כפתר ופרח ושלשה
גבעים משקדים בקנה האחד כפתר ופרח כן
לששת הקנים היצאים מן המנרה ובמנרה ארבעה
גבעים משקדים כפתריה ופרחיה וכפתר תחת שני
הקנים ממנה וכפתר תחת שני הקנים ממנה וכפתר
תחת שני הקנים ממנה לששת הקנים היצאים מן
המנרה כפתריהם וקנתם ממנה יהיו כלה מקשה
אחת זהב טהור ועשית את נרתיה שבעה והעלה
את נרתיה והאיר על עבר פניה ומלקחיה ומחתתיה
זהב טהור ככר זהב יעשה אתה את כל
הכלים האלה וראה ועשה בתבניתם אשר אתה
מראה בהר ואת המשכן תעשה
עשר יריעת שש משזר ותכלת וארגמן ותלעת
שני כרבים מעשה חשב תעשה אתם ארך היריעה
האחת שמנה ועשרים באמה ורחב ארבע באמה
היריעה האחת מדה אחת לכל היריעת לחמש יריעת
היריעת תהיין חברת אשה אל אחתה ולחמש יריעת

Konstanty Gebert

Judaizm: Tora – Prorocy – Pisma

Żydów utworzyła Księga. Z Egiptu wyszła banda zbiegłych niewolników, w większości potomków Abrahama, mętnie pamiętających obietnice, jakie Pan poczynił ich ojcom. Dołączyli do nich inni niewolnicy, by na górze Synaj wspólnie stać się narodem.

A stali się nim, gdy Mojżesz zniósł z góry Przykazania „wyryte w kamieniu". „Nie czytaj *herus* (wyryte) – uczy Talmud – lecz *herut* (wolność)". Mojżesz zniósł zbiegłym niewolnikom wolność wyrytą w kamieniu, a ona uczyniła z nich Żydów.

Mówimy o sobie *am ha-sofer* – „naród Księgi". Najpierw tej pierwszej, a już Pięciokrotnej, którą otrzymał Mojżesz i która odtąd, przepisywana w nieskończoność na pergaminowych zwojach, towarzyszy Żydom zawsze i wszędzie. Trzy razy w tygodniu czytana jest w synagodze, tak by w ciągu roku przeczytać całość Pięcioksięgu. Po każdym czytaniu unoszona jest wysoko nad głowami wiernych, by każdy mógł ją zobaczyć i zaświadczyć we wspólnej modlitwie, że „Oto jest Tora, którą Mojżesz przedłożył przed dziećmi Izraela, na polecenie Pana, poprzez rękę Mojżesza".

Do tej pierwszej księgi dołączyły następne, zwane Prorocy i Pisma, które razem z Pięcioksięgiem składają się na Biblię hebrajską, zwaną też, od inicjałów owych trzech podstawowych części, Tanach. Poszerzona o rozmaite księgi lub ich fragmenty, które nie zachowały się w hebrajskim oryginale, inaczej uporządkowana i zredagowana, Biblia hebrajska znana jest, w mniej lub bardziej wiernych przekładach na języki świata, jako chrześcijański Stary Testament. Żydzi jednak z trudem rozpoznają swoje księgi w tej redakcji i przekładzie.

Język bowiem stanowi o wszystkim, a niektórzy wręcz uważają, że to nie my zostaliśmy wybrani, lecz nasz język, a my jedynie niejako na doczepkę. Liczy się każde zdanie, każde słowo, każda litera i pełna milczących znaczeń przestrzeń między literami. Pierwsza litera pierwszego słowa pierwszego wersu pierwszego rozdziału pierwszej księgi Tory – zauważył rabbi Izaak Luria – to *bet*, której wartość liczbowa (bo każdej literze hebrajskiego alfabetu odpowiada inna liczba) wynosi 2. Gdyby Autor zaczął od litery *alef* (wartość liczbowa l) – mówi Luria – byłoby to absolutnie zrozumiałe, wszak l to początek. Ale On, mając pełną swobodę doboru liter, wybrał *bet.* To coś musi znaczyć. I znaczy najpewniej to, byśmy pamiętali, że wszystko, co po tym *bet* następuje, ma naturę dwoistą, że w tekście jawnym kryje się tekst ukryty, który dopiero trzeba będzie odczytać.

Na stronie sąsiedniej, 37. i na końcu zeszytu: fragment zwoju Tory znalezionego w ścianie remontowanego domu w Wohyniu (woj. lubelskie) w 2001 r. Ze zbiorów TNN.

Dlatego też nigdy nie będzie jednej Księgi, a zawsze będą Księgi, w nieustającej ze sobą rozmowie, dialogu, sporze. Już Tora musiała być pięciokrotna – cała biblioteka rozdziałów i ksiąg, a za nią przyszły biblioteki następne, Prorocy i Pisma. Tu kończy się objawienie, a zaczyna rozumienie.

„Krwie twego brata wołają do mnie spod ziemi" – mówi Pan Kainowi (por. Rdz 4, 10). Po hebrajsku jednak, podobnie jak i po polsku, słowo „krew" nie przybiera liczby mnogiej. Hebrajskie *dmej* jest stylistycznie równie rażące, jak polskie „krwie". W talmudycznym komentarzu czytamy, że słowo to jest w nieoczekiwanej liczbie mnogiej dlatego, by nas nauczyć, że kto zabija człowieka, to zabija nie tylko jego, lecz także i jego synów, i synów ich synów, do siódmego i siedemdziesiątego siódmego pokolenia. Dlatego też kto zabija jedno życie, to jakby zabijał świat cały, a „kto ratuje jedno życie, to jakby ratował świat cały". Czytelnicy Starego Testamentu znają, być może, to motto, wyryte na medalach „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata", lecz nie będą wiedzieli, co ono znaczy ani skąd się wywodzi, gdyż w przekładzie czytamy „krew twego brata", a nie „krwie".

Niemal każde słowo Tanachu obrosło takim komentarzem. Wiemy, że mamy dzień święty święcić – ale Dziesięć Przykazań nie mówi nam, jak. Wiemy jedynie z innych miejsc w Torze, że nie wolno w ten dzień podróżować, rozniecać ognia ani pracować. Rozniecanie ognia zdefiniować łatwo (ale czy elektryczność należy uważać za formę ognia? – po długiej debacie na przełomie XIX i XX wieku rabini uznali, że tak), podróżowanie – już trudniej. Nie wolno jeździć konno i wozem – ale czy wolno iść piechotą? Jak daleko? Całe traktaty poświęcono na zbadanie takich szczegółów Bożej myśli.

Tak powstał Talmud, gigantyczna, sześćdziesięcioczterotomowa biblioteka, będąca zapisem debat toczonych przez mędrców na przestrzeni setek mil i setek lat. Pośrodku strony Talmudu znajdujemy Misznę, zwięzły komentarz do Pisma spisany w II wieku ery wspólnej. Wkrótce jednak stało się jasne, że Miszna sama wymaga komentarza i tak powstała Gemara, skodyfikowana dwieście lat później i zamieszczana w Talmudzie poniżej Miszny. Wnet i sama Gemara obrosła uwagami i komentarzami, analizami i przypisami, umieszczanymi po obu stronach Miszny i Gemary. Kodyfikację Talmudu ukończono w VI wieku ery wspólnej, ale w głębszym sensie Talmud nadal trwa. Krytyczna analiza, debata i spór stały się centralnym punktem żydowskiej tożsamości. Nieprzypadkowo – uczą komentatorzy – środkowa litera Tory, dzieląca Pięcioksiąg na dwie równe części, przypada na opis sporu między Mojżeszem a Aaronem o sposób sprawowania pewnej ofiary. W centrum Tory jest spór.

Dlatego najważniejsze było, by księgi będące zapisem objawienia i jego rozumienia przetrwały. Podczas oblężenia Jerozolimy przez Rzymian grupa rabinów uciekła z walczącego miasta, rzuciła się do stóp Tytusa i wybłagała odeń prawo założenia szkoły w małej miejscowości Jawne. Wkrótce runęła Druga Świątynia, lecz wiedza żydowska przetrwała w Jawne i innych ośrodkach, które powstały na jego wzór. Tak przetrwali Żydzi.

Ale ich księgi – bluźniercze jakoby, heretyckie i zgubne – wielokroć na polecenie władz kościelnych palono. Każdą trzeba było przepisywać potem ręcznie, korzystając z cudem ocalałej kopii lub z pamięci skryby. Z każdym płomieniem ginęła cząstka szansy na żydowskie przetrwanie. Dopiero wynalazki druku, a potem offsetu, komputera, Internetu sprawiły, że księgi stały się wirtualnie nieśmiertelne. Nic dziwnego, że wśród ultraortodoksyjnych Żydów, któ-

rzy zapewne nie bardzo wiedzą, czy ludzie już lądowali na Księżycu czy też nie, tylu jest znawców elektronicznych mediów. Tyle Żyda, ile Księgi: Tanachu, Talmudu, kabalistycznych traktatów *Zohar* czy *Sefer Jecira*, chasydzkiej *Tanja*. I zawsze Księga ważniejsza jest od jej autora; jest tylko jeden Autor, o Którym tego powiedzieć niepodobna. Autorzy dzieł wybitnych już za swego życia honorowani byli w ten sposób, że mówiono o nich, używając tytułów ich dzieł. I tak na przykład rabin Isroel Meir ha-Kohen z Lublina trwa w pamięci wiernych jako Chofec Chaim.

Lecz gdy nie było komputerów, czy choćby offsetów, a druk był kosztowny i rzadki, miejscem, w którym miały przetrwać żydowskie księgi, była żydowska pamięć. Od maleńkości dzieci w chederze uczone były na pamięć całych stron Talmudu, zapisanych w języku aramejskim, którego nie znały, a traktujących na przykład o zabijaniu ofiar na ołtarzu Świątyni czy o czystości małżeńskiej. We wszystkich pamiętnikach i wspomnieniach ten pierwszy okres edukacji zgodnie jest wspominany jako koszmar. Ale gdy pamięciowej wiedzy było już dosyć, gdy młody uczeń nie tylko umiał wyrecytować z pamięci spory, jakie toczyli ze sobą przed półtora tysiącleciem i dawniej uczeni mężowie, gdy potrafił odkryć istotne między nimi podobieństwa i różnice, kategorie rozumowania i struktury dyskursu – wówczas metoda nauczania nagle zostawała odwrócona. Nauczyciel zadawał mu stronę Talmudu, powiedzmy ze sporem, który zakończył się przyjęciem przez wszystkich poglądu rabbiego Eliezera, ale zarazem wydawał mu nowe polecenie: „Udowodnij, że rabbi Eliezer się myli".

To nieważne, że polecenie to nie mogło zostać spełnione. To nieważne, że dziesięcioletni Josi, pochylony w podnieceniu nad ogromnym talmudycznym tomem, nie jest przecież w stanie pokonać wielkiego rabbiego Eliezera, a jego niezbyt wykształcony nauczyciel prawdopodobnie nie będzie umiał tego zauważyć, nawet gdyby Josi dokonał takiego cudu. Ważne jest co innego: że to w ogóle jest możliwe. Że on, Josi, jest partnerem dla Eliezera i wielkich rabinów przeszłości. Że jest, być może, wielkim rabinem przyszłości. Że staje się oto uczestnikiem Talmudu, nie tylko jego użytkownikiem.

To nic, że za oknem nie palestyńskie palmy, lecz owiana śniegiem mazowiecka równina. To nic, że w izbie chłodno, w domu głodno, a na ulicy wrogo. To nic, że trzeba nadal w cierpliwej pokorze czekać na Mesjasza. Dziesięcioletni Josi zanurza się w ocean Talmudu, pije jego życiodajną wodę, podejmuje dyskusję, włącza się w spór. Jak pokolenia przed nim i po nim, Josi dopiero teraz naprawdę przystępuje do Narodu Księgi[1].

[1] Źródło: *Kalendarz Ekumeniczny 2002*, Wydawnictwo Diecezjalne, Sandomierz 2001.

Ryszard Löw

O (żydowskiej) miłości do (hebrajskich) ksiąg

Miłość do książek stała się na przestrzeni wieków wyłączną treścią życia bardzo wielu ludzi. Bibliofilstwo, pietyzm dla książek i ich zbieractwo jest z pewnością jednym z najstarszych, a zarazem też jednym z najszlachetniejszych rodzajów kolekcjonerstwa.

Przedmiotem jego bowiem jest książka – i jako nosicielka kultury, i jako dzieło sztuki. Były w historii książki okresy o mniejszym lub większym natężeniu zainteresowania nią, okresy snobistycznego zachwytu bibliofilskiego i okresy bestialskiego jej niszczenia. W pewnych epokach i pewnych środowiskach przechodziło bibliofilstwo w modę pogoni za książką rzadką, z jakichś względów wyjątkową, kiedy indziej zaś zamierało, pozostając w kręgu zainteresowania jedynie nielicznych.

Jednak niemal wszędzie i zawsze było bibliofilstwo sprawą jednostek lub bardzo ograniczonych grup społecznych. Wśród Żydów natomiast narastało jako cecha stała, powszechna i nierozerwalna z ich bytem narodowym. Kształtował je odwieczny kult dla słowa pisanego, przekazującego tradycję wiary, kanonów kultury, zasady misji „narodu wybranego". Trzeba je zatem rozumieć jak najszerzej, jako zjawisko wprost masowe, które oznacza „poszanowanie książki w ogóle i obejmuje również troskę o właściwy sposób jej wytwarzania, zabezpieczenia i wykorzystywania"[1]. Tak rozumiane bibliofilstwo zakłada traktowanie książki nie jako celu samego w sobie, lecz jedynie środka, prowadzącego do czegoś pomostu, a jest nim oczywiście poznawanie treści książki, jej studiowanie[2].

Gdy zatem historyk drukarń i druków stwierdza, że w Polsce epoki Odrodzenia „zbieractwo książek nabrało cech zjawiska niemal masowego", było pasją, która „ogarniała najwyższe szczyty hierarchii państwowej [...] szlachtę, patrycjat miejski, jak również szerokie kręgi ówczesnej inteligencji"[3], pojęcie masowości jest tu odmienne od tego, z którego skorzysta historyk życia intelektualnego Żydów. Albowiem w zasadzie wśród Żydów, pośród mężczyzn przede wszystkim, nie istniał analfabetyzm, a więc masowość należy tu rozumieć dosłownie. Od rabinów do szewców; od lekarzy do grabarzy. Bez względu na kraj osiedlenia diasporycznego nabywali Żydzi znajomości języka hebrajskiego, niezbędnej dla praktyk religijnych i studiów talmudycznych, a o kulcie dla książek w tym wyłącznie języku będziemy tutaj mówić.

[1] 'bibliofilstwo', *Encyklopedia wiedzy o książce*, Ossolineum 1971.

[2] M. N. Kufajew, *Bibliofilja i bibliomanija*, Leningrad 1927, s. 24, 82.

[3] A. Kawecka-Gryczowa, *Rola drukarstwa polskiego w dobie Odrodzenia*, Warszawa 1954, s. 90.

Kult książki hebrajskiej

„Narodem księgi" przez muzułmanów nazwani, często z wędrówek swych unosili Żydzi tylko zwój Tory, foliant księgi zawierającej mądrość „narodu wybranego". Od późnego Średniowiecza począwszy, w licznych tekstach pisarzy żydowskich, uczonych rabinów, filozofów, poetów znajduje się olbrzymia liczba porad, nakazów i zakazów dotyczących książki:

• „Z pożaru ratuj księgi przed innemi rzeczami";

• „Nie kładź książki na ziemię ani niczego na niej, a gdy upadnie, podnieś ją i ucałuj";

• „Spośród dwóch idących jeden niesie książkę: ten ma pierwszeństwo w przejściu";

• „Biedą przyciśnięty sprzedasz książki na ostatku";

• „Splamiwszy inkaustem odzież i książkę – książkę odkupisz najpierw, nawet jeśli odzienie było drogocenne";

• „Chcąc czytaną książkę unieść i przybliżyć sobie, nie podłożysz pod nią innej książki, co będzie dla niej obrazą, jako sprzeczne z jej przeznaczeniem; rolę tę może przecież spełnić kawałek drewna lub kamień"[4];

• „Książka nie jest przeznaczona, by dawać ją w zastaw, ale żeby się z niej uczyć i kopiować ją"[5].

Trzeba tu też dodać, że specyficzny kult książki był przede wszystkim wykładnikiem czci okazywanej samemu pismu, alfabetowi hebrajskiemu, w którym została napisana księga ksiąg – Tora, czyli Pięcioksiąg.

Książki niszczone

Książki będące w posiadaniu Żydów ulegały zniszczeniu i zatracie w stopniu nieznanym innym narodom. W okresach wygnań i ucieczek stawały się jednym z pierwszych przedmiotów konfiskowanych i z narażeniem życia chronionych przez ich posiadaczy; przepadały, bezprawnie zmieniały właściciela. Na przykład w roku 1391 uniwersytet w Heidelbergu przywłaszczył sobie sporo książek pozostałych po wygnanych Żydach, w tym też czasie (1397) na własność biblioteki paryskiej Sorbony przeszło pięćdziesiąt rękopisów znalezionych w pożydowskim domu, zaś pod koniec XV stulecia zrabowanymi Żydom foliantami obłowiła się biblioteka w Lizbonie[6]. Ginęły książki żydowskie w powtarzających się periodycznie od wieku XII pogromach i tumultach, przepadały palone na stosach inkwizycji kościelnej. Ginęły też z rąk samych posiadaczy, którzy woleli oddać je ziemi niż w ręce rozbestwionego tłumu molestującego żydowskie kwartały[7].

Specyficzny żydowski kult książki wytworzył dziwną cechę obyczajowości: Żydzi obchodzą się z księgą święta, tj. Torą, jak z istotą żywą. Nie przechowują jej zniszczonych zwojów, o tekście chociażby nieznacznie uszkodzonym, „kalekim". Manuskrypty takie grzebie się uroczyście w osobnym miejscu koło synagogi.

Kopiści

Jednocześnie z narastaniem pietyzmu dla książki kształtował się wśród Żydów wyjątkowy stosunek do różnych profesji jej towarzyszącym. Specjalnym nimbem otaczane były zawody związane z produkcją książki, jej rozpowszechnianiem i zabezpieczaniem. Kopista książki rękopiśmiennej był najczęściej utrzymywany kosztem całej gminy, chcącej powiększyć swój księgozbiór synagogalny i biblioteki domowe ludzi niezamożnych, aby brak środków materialnych nie uniemożliwiał im posiadania książek.

Własna biblioteka domowa honorowała nie tylko jej właściciela. Jej zasobność opromieniała sławą całą gminę. Duża liczba zgromadzonych przez członków gminy woluminów zapewniała uznanie i respekt wśród innych

[6] E. Czerikover, hasło 'biblioteki', w: *Evrejskaja enciklopedia*, t. IV, Petersburg bd. [1906], s. 469.

[7] Sz. Federbusch, *Chibat hasefer by-israel* [*Miłość do książek wśród Żydów*], „Amha-sefer", październik 1957, nr 4, s. 1019; I. Kohen, *Kovrej sfarim ve-kovrej sfarim* [*Pomnożyciele książek i grabarze książek*], „Moznaim", maj-czerwiec 1988, s. 139-143.

[4] S. Assaf, *Am ha-sefer ve-ha-sefer* [*Książka i naród książki*], Safed 1964, s. 12-14.

[5] A. M. Haberman, *Toldot ha-sefer ha-ivri* [*Historia książki hebrajskiej*], Jerozolima, 1945, s. 14.

gmin[8]. Stąd też powtarzające się sprzeciwy kahałów wobec przenoszenia książek z ich terenu, z miasta do miasta, w wyniku zapisanej w testamencie darowizny lub sprzedaży[9].

Zawód kopisty był otaczany szacunkiem i uprawiali go często sławni pisarze, podobnie jak zawód korektora w okresie początkowym po wynalezieniu druku. Był to trudny fach i zawsze dawał się odczuć brak dobrych kopistów. Charakterystyczna jest nazwa nadana przez Żydów drukarstwu, które przejęło przecież czynność kopisty (choć w odniesieniu do zwojów Tory do dzisiaj jej nie wyeliminowało): „święte rzemiosło" – *mlechet ha–kodesz*.

Introligatorzy

Posiadacz biblioteki prywatnej zobowiązany był do strzeżenia – tak to właśnie formułowano – honoru książek. Do jego powinności należała dbałość o właściwą ich oprawę, o szafy biblioteczne, utrzymywanie ich w czystości i systematyczne odkurzanie. Pewien cadyk zjawił się przyjacielowi we śnie ze skargą, iż sprofanowano jego grób. Z pewnością dlatego – powiedział – że nie oprawił swoich książek w trwałą oprawę[10].

We wszystkich większych skupiskach żydowskich istniały związki „naprawiaczy książek", *mytaknej sefer*, czyli po prostu introligatorów. Większe gminy gromadziły książki do oprawy i gdy zebrała się dostateczna ich liczba, kontraktowały introligatorów utrzymywanych, podobnie jak kopista, wspólnym kosztem. Introligatorom takim pomagały w pracy kobiety, które odegrały również wybitną rolę w rozwoju drukarstwa hebrajskiego[11].

Przy oprawianiu książek zwracano uwagę przede wszystkim na trwałość i solidność wykonania, chociaż i piękno oprawy nie było rzeczą obojętną. „Mając przedmioty ze srebra i złota, sprzedasz je, by kupić ładną szafę na księgi, które pięknie oprawisz. [...] Trzeba się starać, aby oprawa była i piękna, i wykwintna"[12]. Zadaniem oprawy była ochrona książki, przedłużanie jej materialnego bytu, nie musiała jednak „kusić oka" wyrafinowaniem wykonania, nie stawała się bowiem przedmiotem swoistego kultu bibliofilskiego[13].

Materiały służące do sporządzania opraw – pergamin, skóra, części metalowe do zamykania futerałów – były drogie i dlatego nadawano wspólną oprawę paru różnym dziełkom (tzw. „klocek"). Wśród Żydów istniała tendencja do oprawiania każdej książki, każdego tomu osobno. Książki współoprawne bowiem ograniczały możność korzystania z nich, przede wszystkim zaś ich wypożyczania.

Wypożyczanie książek

Wypożyczanie książek w środowisku żydowskim pełniło szczególną rolę jako forma samopomocy unormowanej pewnymi rygorami i w takiej postaci nie było znane nigdzie indziej. Przed wynalezieniem druku istniał olbrzymi głód książek. Były one drogie i trudno osiągalne, a ich dystrybucja zawiła. Książki przepisywane w bogatszych środowiskach i będące tam w liczbie dostatecznej (Włochy) nie zawsze docierały do środowisk uboższych (Niemcy, Polska). W tej sytuacji pożyczenie książki potrzebującemu stawało się obowiązkiem, gdyż tylko dzięki temu można było kontynuować nauczanie i prowadzić studia. Wobec osób odmawiających pożyczania wyciągano przykre konsekwencje. Rabbi Izrael Iserlin (połowa XV wieku) nie dopuścił do udziału w lekcjach w swojej jesziwie ucznia, który nie chciał pożyczyć koledze ksiąg Gemary i Komentarzy[14].

„Jeśli ktoś ma dwóch synów – powiada Jehuda z Regensburga (przełom XII i XIII wieku) – i jeden z nich pożycza książki z chęcią, a drugi nie, to

[8] Assaf, dz. cyt., s. 23.

[12] Assaf, dz. cyt., s. 52-58.

[9] Federbusch, dz. cyt.

[13] J.-F. Gilmont, *L'objet livre et le livre-objet,* w: *Fermentum massae mundi*, Warszawa 1990, s. 258.

[10] Federbusch, dz. cyt.

[11] A. Yaari, *Mechkarej sefer* [*Studia o książce*], Jerozolima 1957, s. 256-302, poświęca osobny szkic roli kobiet w drukarstwie hebrajskim w artykule: *Naszim by-mlechet ha-kodesz* [*Rola kobiet w świętym rzemiośle*].

[14] Yaari, dz. cyt., s. 190.

w spadku pozostawi je temu, który chętnie pożycza i będzie mu to zapisane jako wielkie dobro. [...] Pożycza się książkę biednym, a dopiero potem bogatym"[15]; „Prawość (sprawiedliwość) czyni ten, kto pisze (kopiuje) książki i pożycza je innym"[16].

Ludzie zamożni niejednokrotnie kupowali książki z myślą o pożyczeniu ich, a nawet darowaniu biednym. Z myślą o innych, którzy będą z nich potem korzystać, dbano o dobry stan woluminów, o niepodkreślanie i niezamazywanie. Chasydzi niemieccy i polscy w XVII wieku sporządzili nawet specjalny kanon wypożyczania książek. Zgodnie z nim posiadacz książki nie był jej wyłącznym właścicielem, lecz jedynie depozytariuszem wspólnej własności wszystkich chcących z niej korzystać[17].

Oczywiście, zdarzały się wypadki odmowy pożyczenia książek do studiowania czy przepisania. Namiętność i żądza książki są przecież nierozłączne z bibliofilstwem. Niektórzy poeci i rymotwórcy hebrajscy komponowali nawet specjalne wierszyki usprawiedliwiające ich niechęć do dzielenia się zasobami swoich księgozbiorów. Mieli nieczyste sumienie[18]. Byli i tacy, którzy zazdrośnie strzegli tajemnicy zawartości swoich zbiorów – nie chcieli, aby wiedziano, co w nich posiadają[19].

Ekslibrisy[20]

Ten z pewnością wyjątkowy stosunek do sprawy własności książek stał się – o czym wspomnieć tu można na prawach dużego nawiasu – przyczyną znacznego opóźnienia w przyjęciu przez Żydów ekslibrisu. Ekslibris, jak wiadomo, jest znakiem własnościowym, określającym przynależność konkretnego woluminu do konkretnej osoby. Kiedy posiadane przez osoby prywatne książki traktowano jako własność wspólną całej społeczności, a byle zasobniejszą bibliotekę poniekąd jak książnicę narodową – oznaczanie książki druczkiem ekslibrisu stawało się jakby przywłaszczeniem własności wspólnej. Do zainteresowania się ekslibrisem bibliofilów żydowskich skłoniła dopiero popularyzacja książki drukowanej, spadek jej ceny, jak też powstanie szeregu większych bibliotek judaistycznych przy bibliotekach narodowych i uniwersyteckich[21].

Kupno książki

Księgarz, najczęściej wędrowny handlarz książek, nie był uważany za „zwykłego" kupca, lecz za wykonującego czynność specjalnie miłą Bogu, a pożyteczną ludziom. Istnieje wiele tekstów hebrajskich, przeważnie wierszowanych, nakłaniających do kupna i zbierania książek, dających „za grosz – złoto wiedzy". Oto jeden z nich, Hai Gaona z Pumpedity (X wiek): „Pomyśl, trzy rzeczy warto ci posiąść: pole, przyjaciela i książkę"[22]. Sprzedaż książki otrzymywała czasem formę wyjątkowo poważną. Dzieło Rambama [Mojżesz Maimonides, 1135-1204 – przyp. red.] *Jad ha-chazaka* sprzedano we Włoszech w roku 1558 (a więc już w stulecie prawie po wynalezieniu druku) „w sposób specjalnie uroczysty, z podpisaniem kontraktu, jakby chodziło o rzecz znacznie wartościowszą"[23].

Posiadanie książek

Nabywca książek cieszył się wyjątkową estymą. Gminy żydowskie w diasporze były środowiskiem zamkniętym, i to wcale szczelnie, rządzącym się swoimi własnymi prawami. W tym właśnie środowisku – zarówno w Polsce, jak i w Hiszpanii, Włoszech czy Niemczech – jednym z zasadniczych kryteriów osądu człowieka był jego osobisty stosunek do książek[24].

Kupowanie książek było nakazem – zakazem zaś ich pozbywanie się. Mogło ono nastąpić w sytuacji wyjąt-

[15] Assaf, dz. cyt., s. 14-16.

[16] Federbusch, dz. cyt.

[17] Yaari, dz. cyt., s. 187.

[18] Yaari, dz. cyt., s. 194.

[19] Shulvass, *Chajej ha-jehudim by-Italia by-tkufat ha-renesans* [*Życie Żydów we Włoszech w epoce Renesansu*], New York 1957, s. 246.

[20] „Najstarszy znany nam exlibris żydowski pochodzi z Polski. Jest nim napis na dużym foliancie łacińskim dzieła farmaceutycznego z 1651 r.: «Sum ex bibliotheca D. D. Maijri Winckler, Medici Hebraeorum Lublineusium [Pochodzę z biblioteki Majera Wincklera, lekarza Żydów lubelskich]. Lublin 1668». Jest to najprawdopodobniej jedyny exlibris żydowski z wieku XVII" – R. Löw, *Żydowskie exlibrisy*, „Od Nowa. Tygodnik Izraelski", 1959, nr 22 (41). [przyp. red.]

[21] Löw, dz. cyt.; A. Weiss, *The Jewish book-plate*, w: *Exhibition of Jewish Book-Plates*, Jerusalem 1956, s. VII–XI.

[22] Assaf, dz. cyt., s. 22

[23] Shulvass, dz. cyt., s. 246.

[24] Federbusch, dz. cyt.

kowo trudnej dla ich posiadacza. W każdym przypadku sprzedaż domu (nieruchomości) oraz kosztowności winna poprzedzić sprzedaż biblioteki[25]. Ludzie, którzy usiłowali zaskarbić sobie szacunek współziomków, kupowali książki, zbierali je, upiększali nimi swoje pokoje, mimo że właściwie nie interesowali się nimi. Nie były to z pewnością przypadki sporadyczne, skoro stały się przedmiotem bardzo ostrych przymówek i nagan. Szemuel Hanagid, żyjący w Hiszpanii na przełomie X i XI wieku, napisał taki czterowiersz:

Który potrudził się i zaopatrzył w książki,
Lecz ich do serca próżnego nie przyłożył,
Jest jak chromy, który na ścianie
wyrzeźbił kształt nogi
I chce wstać – a nie może[26].

Poeta Josef Szer zaś jest autorem następującego fragmentu z 1573 roku:

Dużo książek w ich pokojach,
A szczur na ich grzbietach tańczy.
Rozrzucił kurz osiadły na okładkach,
Bo nie próbowali z nich się uczyć[27].

Selekcja książek

Natrafiamy na nieco dziwną praktykę wyboru książek stosowaną niegdyś przez Żydów. Ustaliły się mianowicie pewne kryteria selekcji stosowane przy kupnie nowych dzieł, kryteria, należy przyznać, dość śmiałe i arbitralne zarazem. Żydzi starali się nie nabywać takich dzieł (lub już nabyte usuwać, nie zachowywać i wręcz niszczyć), które do traktowanej przez siebie dziedziny nie wnosiły niczego nowego. Niczego, co by je odróżniało od już uprzednio napisanych na ten sam temat, znanych i w bibliotece właściciela księgozbioru obecnych[28].

W tym postępowaniu można dopatrzyć się swoistej postaci uprawiania krytyki – krytyki anonimowej, trudno ustalić, jak dalece masowej, z pewnością jednak skutecznej (bo apodyktycznej) w trzebieniu produkcji piśmienniczej. Zatracono w ten sposób wiele dzieł. Była to oczywiście praktyka diametralnie odmienna od ogólnie panującej. „W wielkiej bibliotece [...] każdej książce daje się te same szanse" – jak pisze Jan Parandowski, dodając: „Nikt tu nie jest wzgardzony ani odsunięty, nie ma tu ani stopni, ani hierarchii"[29].

Złodzieje książek

Średniowieczne klasztory okładały klątwą złodziei bibliotecznych i osoby niezwracające książek wypożyczonych z ich zbiorów. Rzadko tylko wypożyczano sobie nawzajem kodeksy dla sporządzenia odpisów. Najcenniejsze zaś przykuwano łańcuchami do półek i pulpitów – widoczny symbol ich unieruchomienia[30]. Były to praktyki Żydom obce i wśród nich niestosowane. Od kiedy jednak istnieją książki i biblioteki, istnieją i grasują w nich złodzieje. Długowieczna ich działalność przyczyniła się do powstania specyficznego rodzaju piśmiennictwa zaklęć przeciwko złodziejom książek, przeważnie wierszowanych, czasem satyrycznych, czasem pełnych oburzenia. Zaklęcia takie, zarówno przeciwko złodziejom, jak i przeciw niezwracającym pożyczonych książek, istnieją także w języku hebrajskim. Przeważnie są to teksty anonimowe, ale poniższy ma swojego trzynastowiecznego autora, Josefa syna Tanchuma Jerozolimczyka:

Szelma pożyczył książkę ode mnie,
Oczy jego nie widziały, jak ją zwracał.
Za dobro złem mi odpłacił.
Zło nie opuści jego domu[31].

[25] Assaf, dz. cyt., s. 30.

[29] J. Parandowski, *Cywilizacja książki*, w: *Wspomnienia i sylwety*, Ossolineum 1960, s. 160.

[26] Assaf, dz. cyt., s. 24.

[30] J. Grycz, *Historia bibliotek w zarysie*, Warszawa 1949, s. 22.

[27] Haberman, dz. cyt., s. 14.

[28] Federbusch, dz. cyt.

[31] Haberman, dz. cyt., s. 14.

Szkic z tomu: Ryszard Löw, *Pod znakiem starych foliantów*, Kraków 1993.
Przedruk za internetowym pismem „Zwoje": www.zwoje.com

Joanna Zętar

Drukarnie hebrajskie w Lublinie

Lublin był warownym miastem, leżącym wśród pól i bagien. I jakże dalekim pałacom nad Bosforem, szafirowym wodom mórz, nawet starym brunatnym fasadom Ghetto Yecchio.

Było wiosenne popołudnie. Zmierzchało i zaczął padać deszcz. Abraham i Beatrycze spojrzeli na siebie z rozpaczą. Chciało im się płakać.

To rabin Mordechaj Joffe, bawiący przejazdem w Wenecji, namówił Abrahama do tego wyjazdu, twierdząc, że w Polsce Żydom dobrze się powodzi, a król Zygmunt Stary zwolnił ich z obowiązku noszenia żydowskich oznak. Mordechaj Joffe mieszkał w Lublinie, gdzie po śmierci Salomona Lurii – oby Przenajświętszy – błogosławione niech będzie Jego imię! – zachował duszę męża sprawiedliwego! – pełnił obowiązki rabina i kierownika jesziwy.

Opowiadał Abrahamowi o lubelskich jarmarkach, na które zjeżdżali rabini wraz z uczniami z całej Małopolski, z Wielkopolski, a nawet z Litwy, w poszukiwaniu ksiąg, których brakowało, chyba że udało się je sprowadzić z Krakowa czy też z dalekiej Pragi. Abraham wahał się jednak. Dopiero gdy rabin oznajmił, że jego syn Kalonymos pragnie założyć drukarnię i poszukuje wspólnika ze znajomością sztuki druku, Abraham się zdecydował.

I oto teraz, minąwszy szare przedmieście pełne drewnianych chałup wyrosłych na błotnistej skarpie, Abraham i Beatrycze stali u wrót miasta, gdzie tłoczyły się niskie wozy, konie o szerokich zadach i ludzie w spłowiałych sukmanach, sprawiający wrażenie zupełnie niewrażliwych na deszcz. A więc to była Polska[1]?

[1] Marek Halter, *Lublin. Historia miłosna*, w: tegoż, *Synowie Abrahama*, Warszawa 1993, s. 404.

Naród żydowski jest „Narodem Księgi". Nie byłoby go bez słów Biblii Hebrajskiej. Przed narodzinami świata istniała Tora służąca Bogu jako instrument stworzenia. Jej tekst został przekazany Mojżeszowi na górze Synaj i jako Pięcioksiąg spisany na pustyni podczas Exodusu. Najważniejszym opracowaniem ustnej Tory jest Talmud.

Tekst Tory jest pieczołowicie przechowywany w pergaminowych zwojach umieszczonych we wnętrzu *aron ha-kodesz* – szafy znajdującej się w każdej synagodze na ścianie wskazującej Jerozolimę. Rękopisy są otaczane szczególną czcią, *sofer* przepisujący Torę musi spełniać warunki czystości zgodnej z przepisami religijnymi, podczas czytania można dotykać liter tylko za pomocą pałeczki *jad*[2] , zużyte księgi są przechowywane w *genizie*[3] – specjalnie przygotowanym miejscu w piwnicy lub na strychu synagogi. Święty tekst czytany codziennie w synagodze, znany na pamięć od najmłodszych lat, towarzyszył Żydom przez cały rok i całe życie.

Konstanty Gebert napisał: „Liczy się każde zdanie, każde słowo, każda litera

[2] jad (hebr. „ręka") – pałeczka z zakończeniem rzeźbionym w kształcie dłoni z wyciągniętym palcem wskazującym.

[3] Zużyte księgi religijne przechowuje się w genizie (hebr. „schowek"), ponieważ ich świętość musi być uszanowana, a zawartych w nich imion Boga nie wolno świadomie niszczyć. Kiedy geniza się zapełnia, księgi zabiera się na cmentarz, aby je pogrzebać.

i pełna milczących znaczeń przestrzeń między literami"[4]. Manuskrypty zawierają opis objawienia, a drukowane książki są zapisem komentarzy i wyjaśnień pomocnych w jego rozumieniu. Mówi się niekiedy: „Tyle Żyda, ile Księgi". Księga jest ważna, ponieważ zawiera zapis słowa, a na początku było słowo pochodzące od Boga. W tym kontekście lepiej można zrozumieć, jak wielkie znaczenie w utrwalaniu i rozpowszechnianiu się judaizmu miał druk. Przy pomocy drukowanych inkunabułów popularyzowano komentarze do Talmudu, drukowano modlitewniki i literaturę religijną. Dlatego drukarstwo było jednym z ważniejszych rzemiosł, jakimi zajmowali się Żydzi.

Pierwsza w Polsce drukarnia hebrajska powstała w latach trzydziestych XVI wieku w Krakowie. W niej wydrukowana została w 1534 roku pierwsza na ziemiach polskich książka w języku hebrajskim. Niedługo później powstała żydowska drukarnia w Lublinie. Obok oficyn w Żółkwi, Wilnie, Grodnie, Lwowie, Korcu i Nowym Dworze jest wymieniana jako jeden z najważniejszych ośrodków drukarstwa hebrajskiego[5].

Mimo dużego znaczenia dla rozwoju drukarstwa w Polsce, dzieje drukarni hebrajskiej w Lublinie oraz chronologia i typologia dzieł w niej wydanych są zagadnieniami słabo opracowanymi. Drukarnia lubelska nie doczekała się pełnego opracowania monograficznego. O historii drukarstwa żydowskiego w Lublinie wspomina się głównie przy okazji wprowadzenia w historię drukarstwa lubelskiego, jak można się domyślać, w stopniu niewystarczającym. Niniejszy artykuł nie ma na celu wypełnienia tej luki, jest jedynie próbą zebrania informacji, jakie ukazały się w dotychczasowych opracowaniach tego tematu.

Głównym źródłem informacji jest artykuł Majera Bałabana opublikowany w 1931 roku pod tytułem *Drukarstwo żydowskie w Polsce w XVI wieku*[6]. Tekst ten jest wielokrotnie cytowaną podstawą badań hebrajskiego drukarstwa w Lublinie. Paweł Gdula w obszernym artykule *Drukarstwo lubelskie* poszerza informacje zawarte w tekście Bałabana, uściślając niektóre fakty z historii oficyny[7]. Informacje porządkujące wiedzę o historii lubelskiej drukarni hebrajskiej odnajdujemy w tekście Krystyny Korotasowej *Drukarnie żydowskie*[8]. Artykuł zawiera pełną historię drukarni lubelskiej, wykaz nazwisk właścicieli, współwłaścicieli i pracowników oficyny oraz tytuły wykonanych dzieł. Autorka przesuwa początki lubelskiej drukarni na 1547 rok i podaje nowe fakty z jej historii do początku XVII wieku. Dzieje dru-

Reprodukując Talmud, który cieszył się pośród wyznawców judaizmu w nauczaniu religijnym znacznie większą popularnością niż Biblia, drukarze przyczynili się do rozwoju studiów talmudycznych. Wspomagali oni złożony proces edukacyjny, w którym oprócz nich, dostarczających księgi ze świętymi tekstami, uczestniczyli także rabini, rektorzy jeszyw, sędziowie sądów rabinicznych, zarządy kahałów, rodziny żydowskie, zwłaszcza ojcowie odpowiedzialni za religijne wykształcenie synów, słowem całe gminy. Przekaz Tory poprzez druk Talmudu w kraju, w którym judaizm od XVI w. znalazł swoje europejskie centrum, utrwalał jednocześnie u wyznawców judaizmu poczucie odrębności od chrześcijan, przyczyniając się do większej ich samoświadomości narodowej i religijnej. W czasie, kiedy w Europie faktycznie druk Talmudu był znacznie ograniczany przez kolejnych papieży, a w państwach włoskich, słynących z rozwiniętego drukarstwa, całkowicie niemożliwy, żydowscy drukarze w Polsce podjęli wyzwanie zapewnienia ciągłości przekazu religijnego za pomocą nowo wynalezionego medium, jakim była drukowana książka. Medium to zdobyło sobie szybko uprzywilejowaną pozycję w judaizmie, który od wieków kultywował święte teksty.

[4] Cyt za: K. Gebert, *Judaizm: Tora – Prorocy – Pisma,* w: *Kalendarz ekumeniczny 2002*, Sandomierz 2001, s. 28.

[6] M. Bałaban, *Drukarstwo żydowskie w Polsce, w: Pamiętnik Zjazdu Naukowego im. J. Kochanowskiego,* Kraków 1931, s. 102-116.

Krzysztof Pilarczyk, *Rozpowszechnianie Talmudu w Polsce w XVI i XVII wieku a duchowość żydowska* w: *Duchowość żydowska w Polsce. Materiały do konferencji. Kraków 26-28 IV 1999*, red. M. Galas, Kraków 2000, s. 53-54.

[7] P. Gdula, *Drukarstwo lubelskie*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Sklodowska", sectio F, vol. VIII, 2 (1957), s. 39-109.

[8] K. Korotasowa, *Drukarnie żydowskie*, w: *Drukarze dawnej Polski od XV do XVIII wieku*, t. I, *Małopolska*, cz. I, *Wiek XV-XVI*, red. A. Kawecka-Gryczarowa, Wrocław 1983, s. 375-392.

[5] H. W. [H. Węgrzynek], *Drukarze* żydowscy, w: A. Cała, H. Węgrzynek, G. Zalewska, *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*, Warszawa 2000, s. 75-76.

karni po 1603 roku omawia Irena Strelnikowa w artykule *Drukarstwo lubelskie w XVI i XVII wieku*[9].

Początki lubelskiej drukarni hebrajskiej datuje się na 1547 rok[10]. Założycielami i pierwszymi drukarzami byli przybyli z Pragi Izaak syn Chaima i Józef Jakar. Działalność mieszczącej się przy synagodze przy ulicy Szerokiej drukarni została prawnie usankcjonowana w 1550 roku na mocy zezwolenia króla Zygmunta Augusta. W 1554 roku wydrukowano *Siddur* (modlitewnik) całoroczny w języku hebrajskim, zawierający pełny zbiór modlitw odmawianych w dzień powszedni w synagodze i podczas rytuałów domowych[11].

Około 1556 roku do Lublina przybyła grupa Żydów. Był pośród nich doskonały drukarz Eliesar syn Izaaka, który przywiózł ze sobą materiał typograficzny. W związku ze śmiercią w 1554 roku Izaaka syna Chaima przybysze mieli sprzyjające warunki do założenia spółki drukarskiej. Jej pierwszym dziełem było wydanie w 1558 roku Pięcioksięgu. Podjęto ponadto zadanie wydania traktatów talmudycznych, w uważanej za najbardziej autorytatywną wersji babilońskiej. Teksty mieli ustalać rabini jesziw Polski, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Moskwy. Pierwszy z traktatów – *Szawuot* ukazał się w 1559, ostatni w 1573 roku.

Rok 1559 był ważny dla historii lubelskiej drukarni, ponieważ ówcześni właściciele – Chaim syn Izaaka i Anna Jakar – otrzymali od Zygmunta Augusta przywilej na wyłączny druk i sprzedaż ksiąg hebrajskich w Królestwie Polskim. W tym samym roku w związku z epidemią oficyna opuściła Lublin. W Końskowoli, dokąd przeniesiono sprzęt typograficzny, wydrukowano kolejne części traktatów talmudycznych. Po powrocie do Lublina w 1563 roku wydano książkę Izraela Kaca *Szeelat Hanszama* (Pragnienia duszy).

W 1567 roku wydrukowano *Machazor*, czyli ilustrowany modlitewnik na święta całego roku oraz kolejne traktaty talmudyczne. Niestety, na skutek zużycia się czcionek wydawnictwa nie były na najlepszym poziomie typograficznym. Ówczesny właściciel Eliesar zdecydował o zamknięciu oficyny. Po odnowieniu warsztatu praca w drukarni znacznie się ożywiła, pierwszą książką, jaką wydrukowano po przerwie, było dzieło Izaaka syna Abrahama *Pachad Izchak* (Niepokoje Izaaka).

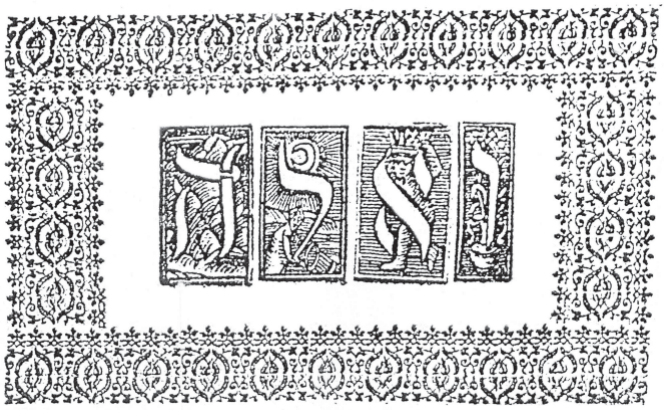

Okładka księgi *Zohar* wydrukowanej w Lublinie.

Od 1573 roku drukarnią kierował Kalonymos syn Mordechaja Jaffe. Oprócz druku kolejnych traktatów Talmudu babilońskiego pod jego kierownictwem wydano kilka ważnych książek. Jedną z nich była *Szeelot Weteszuwot* (Responsy) Salomona Lurii. *Responsy* są kolekcjami pytań i odpowiedzi na niejasności powstałe po zakończeniu redakcji Talmudu babilońskiego. Stanowią wykład autorytetów rabinicznych dotyczący spraw natury praktycznej, żydowskiego rytuału i prawa, będąc podstawą Halachy, czyli spuścizny prawnej judaizmu. Drugą interesującą książką była *Birchat Hamazon,* zawierająca tekst błogosławieństwa pokarmu uzupełniony komentarzami Natana Szapiry (Spiry) z Grodna.

Prawo Kalonymosa do prowadzenia drukarni i sprzedaży książek w niej wykonanych zostało zatwierdzone w 1578 roku mocą przywileju króla Stefana Batorego. Niestety, krótko po tym fakcie, mimo stosowania wzorców typograficznych używanych w oficynach wło-

[9] I. Strelnikowa, *Drukarstwo lubelskie w XVI i XVII wieku*, „Bibliotekarz Lubelski", 1971, nr 3/4, s. 14-32.

[10] Korotasowa, *Drukarnie żydowskie*, s. 388. Majer Bałaban, a za nim Paweł Gdula, jako datę rozpoczynającą dzieje lubelskiego drukarstwa podają 1554 rok. Bałaban, *Drukarstwo żydowskie*, s. 106; Gdula, *Drukarstwo lubelskie*, s. 45.

[11] W późniejszych czasach ten typ modlitewnika był szczególnie cenny dla chasydów, wierzących, że w jego tekście zawarty jest świat tajemnic. Tekst posiadał wiele cech ludowych, charakterystycznych dla pobożności chasydzkiej, zakładającej między innymi, że modlitwa prostego człowieka ma większe znaczenie niż modły uczonych. A. J. Herschel, *Pańska jest ziemia. Wewnętrzny świat Żyda w Europie Wschodniej*, Warszawa 1996, s. 57-58.

skich i czeskich, drukarnia została zamknięta, ponieważ nie mogła sprostać konkurencji z drukami wykonywanymi w Krakowie. Oficyna wznowiła działalność w 1590 roku po gruntownej modernizacji polegającej na odnowieniu zaplecza technicznego. Zaczęto wydawać literaturę religijną: modlitewniki, zbiory psalmów, komentarze.

Pod koniec 1592 roku drukarnia, uciekając przed kolejną epidemią, przeniosła się do Bystrzejowic. Jedynym wydanym tam dziełem była *Hagada*. Bogato ilustrowany tekst *Hagady* obejmuje najpopularniejsze obrazy i wątki literatury żydowskiej dotyczące historii wybawienia z Egiptu. Jest ona księgą używaną podczas wieczerzy sederowej[12] i zawiera instrukcje na temat spożywania macy, teksty psalmów pochwalnych, hymnów, a nawet piosenek dla dzieci. Po powrocie do Lublina wydano Misznę. Miszna to najstarsze dzieło literatury rabinicznej, składające się z elementów „ustnej Tory", jedna z podstaw żydowskiego prawodawstwa.

Śmieć Kalonymosa w 1603 roku spowodowała powolny upadek drukarni. Po jej całkowitym zniszczeniu w 1656 roku podczas pożaru dzielnicy żydowskiej została odbudowana dopiero sześć lat później. Po reaktywowaniu działała do 1682 roku. Ostatnim właścicielem oficyny był Salomon Zelman Jaffe, a ostatnią wydrukowaną książką było dzieło *Chiduszej Halachot* krakowskiego rabina Jozuego Herszla. Działalność drukarska w Lublinie została wznowiona w 1790 roku na mocy listu-przywileju króla Stanisława Augusta, który rabina ziemskiego Herszka Szewłowicza vel Szawelowicza mianował tytułem drukarza i zezwolił na założenie drukarni[13]. Przegląd rodzajów ksiąg, jakie opuściły warsztat lubelskiej drukarni, wskazuje, że drukowano w niej dzieła o dużym znaczeniu dla religii żydowskiej. Spośród nich na szczególną uwagę zasługuje księga *Zohar*.

Księga Zohar, właściwie *Sefer ha-Zohar* (Księga blasku), to średnio-

Szczególne miejsce wśród współpracowników drukarzy zajmowali korektorzy traktatów talmudycznych, będący najczęściej rabinami, kierownikami jesziw lub sędziami sądów rabinicznych. Od nich w dużym stopniu zależało, jaki tekst był drukowany w kolejnych wydaniach Talmudu. Na nich ciążył obowiązek jak najlepszego przygotowania do druku tekstu traktatów, w który przez lata ingerowała cenzura kościelna. Mieli oni dbać o jego wierność, nic nie uronić z opisywanych w nim dawnych wielkich wydarzeń, nic nie zaprzepaścić z przekazywanej przez wieki tradycji, a wszystko po to, aby uratować od zagłady niszczycielskiego czasu owo pradawne spotkanie starożytnego Izraela ze świętością, z wielkim Prawodawcą, i przenieść je w stanie możliwie najlepiej zachowanym. Judaizm bowiem istniał przez wieki dzięki stałemu kontaktowi swoich wyznawców z objawionym Prawem – Torą, dzięki pielęgnacji wspomnień o owej prachwili przekazania Tory i nieustannemu odczytywaniu jej znaczenia, zwłaszcza przez duchowych przywódców kolejnych pokoleń, w kontekście zachodzących przemian cywilizacyjnych.

[...] Korektor, odpowiedzialny wraz z drukarzem za tekst w ostatecznej postaci przekazywany do druku, musiał dokonywać potrójnego wyboru. Pierwszy polegał na odtwarzaniu tekstu Talmudu przy ograniczonym dostępie do nieskażonych źródeł, będących podstawą reprodukcji. [...] Drugi wybór dotyczył zakresu stosowanej przez drukarzy i korektorów autocenzury, której celem była obrona oficyny i nakładów poszczególnych wydań przed ewentualnymi represjami cenzorskimi, które mimo posiadanych wolności były możliwe i przynajmniej dwa razy się zdarzyły. Wówczas kończyło się to konfiskatą nakładu, a nawet zamknięciem drukarni. Trzeci wybór polegał na dobraniu do podstawowego tekstu Talmudu najcenniejszych dodatków: komentarzy, orzeczeń halachicznych z różnych kompendiów, opracowywanych przez wieki, i z responsów, *chiduszim* (nowel) oraz opatrzenie tekstu rozmaitymi przydatnymi dla studiujących odsyłaczami.

Pilarczyk, dz. cyt., s. 54-55.

[12] Seder to rytualny posiłek spożywany w diasporze w dwa pierwsze dni Pesach (Pascha, pamiątka wyjścia Izraela z niewoli egipskiej, w tradycji chrześcijańskiej odpowiada jej Wielkanoc). W trakcie sederu „każdy powinien się właściwie poczuć, jakby sam został wybawiony z niewoli w Egipcie, a charakterystyczne obyczaje sederowe mają pomóc dzieciom w zrozumieniu Exodusu". Temu służy m.in. rodzinne czytanie *Hagady* (cytat za: A. Uterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, tłum. O. Zienkiewicz, Warszawa 2000) [przyp. red.].

[13] Irena Strelnikowa odnosi się w swoim artykule do sugerowanej przez Pawła Gdulę kwestii istnienia w Lublinie dwóch drukarni żydowskich. Twórcą drugiej z drukarń miał być Hirsz syn Abrahama Kalonymusa Jaffe. O istnieniu drukarni świadczyłyby następujące fakty: paszkwil Sebastiana Miczyńskiego opublikowany w *Zwierciadle Korony Polskiej*, w którym czytamy, że „Żydzi w Lublinie dwie drukarnie mają", ponadto kopia dokumentu Zygmunta III z 1631 roku zalecającego wydanie „instrumentów i druków ze zlikwidowanej drukarni żydowskiej", notatka Hieronima Łopacińskiego o druku *Sefer Ibronoth,* „którą wystawił uczony Hirsz syn Abrahama Kalomniumus Jaffe", oraz informacja Jerzego Brandtke przytaczającego list z 1628 r. wojewody Mikołaja Oleśnickiego do króla Zygmunta III z prośbą zwrócenie Żydom zabranej im drukarni. Informacje wskazywałyby, iż w połowie XVII wieku w Lublinie istniały dwie żydowskie drukarnie. Irena Strelnikowa jednak stwierdza, że „na pytanie, czy w pierwszej połowie XVIII wieku istniały w Lublinie dwie drukarnie żydowskie, nie można dać zarówno odpowiedzi twierdzącej, jak i przeczącej" (Strelnikowa, *Drukarstwo lubelskie*, s. 16-17).

wieczny traktat mistyczny zawierający podstawowy wykład kabały, uznawany za biblię kabalistów. Termin „kabała" jest stosowany dla określenia tradycji mistycznej, zgłębiającej wewnętrzne mechanizmy działania boskości w odniesieniu do człowieka. Tradycją kabalistyczną zajmowali się między innymi Izaak Luria i ruch chasydzki. Kabała miała duży wpływ na żydowską symbolikę.

Księgę *Zohar* opublikował Hiszpan Mojżesz z Leonu (1240-1305). Tekst został sporządzony na podstawie rękopisu Szymona ben Jochaja, mistyka żyjącego w II wieku n.e., który według tradycji miał otrzymać jej ustny przekaz od ukrywającego się w jaskini Eliasza. Księga napisana w językach aramejskim i hebrajskim składa się z 20 traktatów opisujących powstanie świata, naturę boskości i zawierających komentarz do Pięcioksięgu. Księga *Zohar* jest jednym z najobszerniejszych tekstów żydowskich. Władysław Panas podaje, że liczy ona około 2 400 stron[14]. Do XX wieku ukazały się tylko dwa pełne wydania Księgi, z czego jedno w 1623 roku zostało wydane w Lublinie. Stąd wielkie znaczenie Lublina nie tylko dla żydowskiego drukarstwa, ale również dla rozwoju mistyki i kabały.

Księga *Zohar* opisuje rzeczywistość ezoteryczną związaną z codziennością każdego człowieka. Świat emanuje z Istoty Boskiej za pośrednictwem pulsujących boskim życiem *sefirot*, czyli dziesięciu boskich struktur tworzących różne poziomy rzeczywistości. Produktem ubocznym procesu emanacji jest *sitra achra*, czyli mocarstwo zła pełne demonów z Samaelem na czele. Człowiek ma za zadanie pomóc w ponownym zespoleniu boskości z jej pierwiastkiem żeńskim, zwanym w kabale Szechina, na który napiera *sitra achra*. Każde słowo Tory symbolizuje jeden z aspektów sefirot, ponieważ prawdziwy sens Tory kryje się w jej warstwie mistycznej. Wypełnianie przykazań oddziałuje dodatnio na wyższą sferę, podczas gdy grzech umacnia *sitra achra*. Odkupienie świata nastąpi dopiero, gdy każda ludzka istota drogą wędrówki dusz dopełni swojego dzieła jednoczenia[15].

Interesujące jest również przypuszczenie, że w Lublinie na początku XVIII wieku miał miejsce pierwodruk najpopularniejszej książki w języku jidysz. Napisany przez Jakuba syna Izaaka Aszkenazi z Janowa Lubelskiego komentarz do Pięcioksięgu przeznaczony dla kobiet zatytułowany *Cene urene* (Wyjdźcie i patrzcie)[16] do czasów obecnych doczekał się blisko 250 wydań. Wśród uczonych istnieją spory w kwestii ustalenia miejsca pierwodruku książki. Z dużą dozą pewności można stwierdzić, iż kolejne wydania były drukowane w Lublinie.

Na ślad innej, ciekawej publikacji natrafił Hieronim Łopaciński, który pośród licznych zainteresowań zajmował się również drukami hebrajskimi i najwcześniej dostrzegł problematykę lubelskiego drukarstwa hebrajskiego. W opracowaniu *Wydawnictwa perjodyczne w Lublinie* opisuje: „Drugi z kolei wiadomy nam kalendarz z 1640 roku [...] jest to książka hebrajska *Sefer Ibronoth*. Książka o układzie kalendarza. Drukowana jest w drukarni, którą wystawił znany Hirsz syn Abrahama K(a)lon(y)mus Jafe, roku 5400 (1640 ery chrześcijańskiej). W polskim i ruskim kalendarzu wymienia święta chrześcijańskie i miejsca jarmarków"[17]. Z informacji tej można wnioskować, iż był to rodzaj „kalendarza ekumenicznego"[18]. Za sprawą Łopacińskiego druki żydowskie znalazły się na „Wystawie Przedmiotów Sztuki i Starożytności w Gmachu Podominikańskim w Lublinie" otwartej w czerwcu 1901 roku. Pośród nich były cztery traktaty talmudyczne wydane w Lublinie w 1628 roku. Ciekawe, iż na póź-

[15] Informacje z: Unterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, s. 302-303; Cała, Węgrzynek, Zalewska, *Historia i kultura*, s. 314.

[16] Pisownia tytułu: *C'ene u-R'ene* i *Ceena u-reena*.

[14] Rozmowa z prof. Władysławem Panasem w niniejszym numerze [przyp. red.].

[17] Rafał Lubicz (H. Łopaciński), *Wydawnictwa periodyczne w Lublinie*, Lublin 1890, s. 5.

[18] Współczesną publikację o podobnych charakterze zatytułowaną *Kalendarz Ekumeniczny* wydawano w Lublinie latach 1999 i 2000. Więcej informacji na stronach: www.tnn.lublin.pl/ke2001 [przyp. red.].

niejszych wystawach książki lubelskiej dzieła z drukarni hebrajskiej nie były eksponowane.

Dzieje drukarni hebrajskiej funkcjonującej w Lublinie od połowy XVI wieku są bardzo interesującym i ważnym faktem z historii miasta. Rozwój i funkcjonowanie w Lublinie drukarni obok istnienia tu jesziwy i Sejmu Czterech Ziem spowodowały, że miasto stało się jednym z najważniejszych ośrodków żydowskich. Wydaje się, że szczegółowe prześledzenie dziejów drukarni, jak również próba analizy jej dorobku wydawniczego są zagadnieniem wartym podjęcia, tym bardziej że pomijanym w dotychczasowych badaniach nad dziejami książki i drukarstwa w Lublinie. Historia istnienia w Lublinie jednego z najważniejszych w tej części Europy ośrodków drukarstwa żydowskiego podkreśla po raz kolejny znaczenie tego miasta w dziejach społeczności żydowskiej w Polsce.

[19] 1648 po Chrystusie.

[20] szamasz (szames) – woźny w bożnicy.

Mesjasz nie nadszedł o czasie zapowiadanym w *Zoharze*, choć minął rok 5408[19], więc zaczęto go oczekiwać od nowa. Sześć lat później nastąpiło zaćmienie słońca, co jednogłośnie poczytano za zły znak. Rabin Jakub ben Ezechiel Halei z Płatowa oznajmił, że słyszał płacz i jęki umarłych, a szamasz[20] wielkiej synagogi twierdził, że widział na własne oczy, jak dawno umarłe dzieci gromadziły się wokół świętej arki. Jesienią tego samego roku wybuchła zaraza, pochłaniając setki ludzkich istnień.

Ci, którzy dostrzegli w owych wydarzeniach zapowiedź nieszczęścia, nie pomylili się: nie minął rok, gdy na horyzoncie znów pojawili się Kozacy krwawego atamana Chmielnickiego, paląc i mordując gminy żydowskie leżące w zachodniej części kraju oraz na Litwie – w ten sposób gmina wileńska zniknęła z powierzchni ziemi.

Zima nadeszła wcześnie tego roku i dzieci ślizgały się na zamarzniętej Bystrzycy, a nawet na Czechówce w pobliżu drukarni. Gdy groźba najazdu Kozaków nabrała realnych kształtów, trzej braca przerwali rozpoczętą pracę nad Biblią dla kobiet, napisaną w języku jidysz, i zatytułowaną *Cene Urejne*, zastanawiając się, czy nie lepiej będzie wyjechać.

– Możemy schronić się do Parczewa – zaproponował Azaria. – Może wuj Icchak jeszcze żyje.

Karta tytułowa Wrót Dury, dzieła Icchaka Bar Reubena z Dury o przepisach koszerności wydanej przez Kalonymusa Jaffe ben Mordechaja. Źródło: Księga Pamięci Lublina wyd. w Tel Awiwie. Ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego.

– Lub do Amsterdamu – zasugerował Herszel. – Żydzi są tam dobrze traktowani, poza tym mam mnóstwo znajomych i znam język.

Lecz gdy po raz pierwszy w życiu sam proponował wyjazd, wtedy właśnie postanowiono jeszcze trochę zaczekać. Nazajutrz ogłoszono w imieniu księcia oraz wojewody zakaz opuszczania miasta i wywozu dóbr. Po upływie dwóch dni dowiedziano się, że padł Zamość. Kozacy byli już blisko. Następnego dnia, 15 października, Kozacy wjechali na Krakowskie Przedmieście.

Kilku Żydów zdołało się schronić u zaprzyjaźnionych chrześcijan, jeszcze inni kupili sobie kryjówkę, wreszcie chrześcijańska część miasta zamknęła swe bramy, wzmacniając obronę. Tylko dzielnica żydowska, leżąca poza murami, była całkowicie bezbronna i wydana na pastwę kozactwa. Żydzi zebrali się w synagogach w oczekiwaniu na rezultat pertraktacji między członkami Rady Miejskiej a Moskalami, którzy nadciągnęli tuż za Kozakami. [...]

Nagle drzwi rozwarły się z hałasem. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę wejścia. W drzwiach stał Beniamin, syn Dawia.

– Kozacy palą nasze domy! – zawołał.

Dawid wymknął się jako jeden z pierwszych i popędził wraz z synem w kierunku drukarni. Azarię i Herszla zatrzymał ścisk przy drzwiach.

– Żydzi – nawoływał stary rabin – dokąd biegniecie? Zostańcie i módlmy się razem do Wiekuistego!

Płonęło całe Podzamcze. Dawid z Beniaminem przedostali się do pracowni. Panowała w niej atmosfera spokoju, płynąca z otoczenia znajomych przedmiotów i zapachu tuszu. Dawid o mało nie upadł na kolana na samą myśl, że to wszystko mogłoby ulec unicestwieniu. Ostatkiem sił podbiegł do kufra, w którym, wraz z rachunkami i wekslami przechowywano egzemplarze Księgi Abrahama i stary zwój z Jeruzalem. Złapał drewnianą szkatułkę, wysypał jej zawartość i starannie ułożył w niej manuskrypty, jeden egemplarz Księgi i jeden komplet czcionek. Wszystko razem owinął szmatą zaplamioną tuszem, jaka akurat znalazła się pod ręką, i wręczył swemu synowi.

– Czy widziałeś, Beniaminie, co tam włożyłem?

– Tak, ojcze.

– Nie zgub tej szkatułki, Beniaminie!

Na zamarzniętym podwórzu rozległ się dźwięk kroków i śmiech mężczyzn.

– Uciekaj tylnym wejściem, Beniaminie. Spróbuj dotrzeć do Parczewa. Jeśli Bóg da, dołączę do ciebie.

Dawid położył ręce na głowie syna, pobłogosławił go i rzekł:

– Amen, amen, amen! Uciekaj! Niech cię Bóg prowadzi! Beniamin wymknął się wąskim przejściem wychodzącym na wzgórze. W tym samym momencie drzwi wyleciały z trzaskiem z zawiasów.

Halter, *Lublin. Historia miłosna*, s. 447-449.

ANEKS

Kalendarium działalności drukarni hebrajskiej w Lublinie[21]

1547 – Izaak syn Chaima i Józef Jakar syn Jakuba zakładają drukarnię zlokalizowaną przy ulicy Szerokiej.

1550 – prawne usankcjonowanie działalności oficyny na mocy zezwolenia króla Zygmunta Augusta.

1554 – druk hebrajskiego modlitewnika całorocznego Siddur. Śmierć Izaaka syna Chaima.

Około 1556 – przybycie z Pragi grupy Żydów, pośród których jest uznany drukarz Eliesar syn Izaaka. Przybysze przywożą ze sobą materiał typograficzny i zakładają spółkę drukarską.

1558 – wydanie Pięcioksięgu oraz podjęcie zadania publikacji traktatów Talmudu Babilońskiego.

1559 – druk pierwszego z traktatów talmudycznych Szawuot.

27 maja 1559 – Chaim syn Izaaka i Anna Jakar otrzymują od króla Zygmunta Augusta wyłączny przywilej na druk i sprzedaż ksiąg hebrajskich na terenie Królestwa Polskiego.

1559 – w związku z epidemią oficyna opuszcza Lublin, sprzęt tpograficzny zostaje przeniesiony do Końskowoli.

1561 – wydanie kolejnej części traktatu talmudycznego Psachim.

1562 – wydanie traktatu Gitin.

1563 – powrót do Lublina. Wydanie książki Izraela Kaca *Szeelat Hanszama* (Pragnienia duszy).

1564 – śmierć Chaima syna Izaaka, zamknięcie drukarni.

1566 – reaktywowanie oficyny przez Eliesara syna Izaaka.

1567 – wydanie *Machazor*, modlitewnika na święta całego roku według obowiązującego w Polsce obyczaju żydowskiego (dzięki wsparciu Meira syna Mordechaja Lewi).

1568 – druk kolejnych części traktatów talmudycznych: *Bejca*, *Suka* i *Iruwin*; Eliesar decyduje o zamknięciu oficyny, ponieważ wydawnictwa nie są na najlepszym poziomie typograficznym.

[21] Kalendarium opracowane na podstawie: Gdula, *Drukarstwo lubelskie*, s. 45-48; Korotasowa, *Drukarnie żydowskie*, s. 375-380, 388-392; Strelnikowa, *Drukarstwo lubelskie*, s. 15-17.

Około 1570 – po odnowieniu warsztatu i zakupieniu nowych czcionek praca w drukarni znacznie się ożywia; druk kolejnego modlitewnika.
1571 – wydanie traktatu *Kiduszin*.
1572 – druk dzieła Izaaka syna Abrahama *Pachad Izchak* (Niepokoje Izaaka).
1573 – przejęcie drukarni przez Kalonymosa syna Mordechaja Jaffe; wydanie kolejnych traktatów Talmudu Babilońskiego: *Awoda Zara*, *Jebamot*, *Baba bartha* oraz książek: *Szeelot Weteszuwot* (Responsy) Salomona Lurii i *Birchat Hamazon* (Błogosławieństwo pokarmu) z komentarzami Natana Szapiry (Spiry) z Grodna.
7 marca 1578 – Kalonymos otrzymuje od króla Stefana Batorego przywilej zezwalający na założenie drukarni hebrajskiej i sprzedaż książek.
1579 – zamknięcie drukarni, która nie może sprostać konkurencji z drukarnią krakowską i książkami importowanymi z Włoch.
1590 – wznowienie działalności po gruntownej modernizacji zaplecza technicznego; druk dzieł literatury religijnej: modlitewników, zbiorów psalmów, komentarzy.
1592 – wybuch kolejnej epidemii, przeniesienie drukarni do Bystrzejowic.
1593 – wydanie *Hagady*.
1596 – Powrót do Lublina; wydanie sześciu części Miszny.
1603 – śmierć Kalonymosa; drukarnię przejmuje jego wnuk – Cwi, syn Abraham Kalonymosa Jaffe.
1623 – wydanie Księgi *Zohar*.
1656 – zniszczenie drukarni podczas pożaru dzielnicy żydowskiej.
1672 – otwarcie odbudowanej przez Jakuba Jaffe oficyny.
1682 – zamknięcie drukarni; ostatnim właścicielem jest Salomon Zelman Jaffe; ostatnią wydrukowaną książką – dzieło *Chiduszej Halachot* krakowskiego rabina Jozuego Herszla.
1790 – wznowienie działalności drukarskiej w Lublinie na mocy listu-przywileju króla Stanisława Augusta, który rabina ziemskiego Herszka Szewłowicza vel Szawelowicza mianuje tytułem drukarza i zezwala na założenie drukarni.

Zestawienie właścicieli[22]

1547-1554 Izaak syn Chaima, współwłaściciele: Chaim Schwartz z Oleśnicy, Józef syn Jakuba Jakar
1556-1564 Chaim syn Izaaka, współwłaściciele: Anna Jakar, Eliesar syn Izaaka, Jakub syn Dawida Gotorda, Kalonymos syn Mordechaja Jaffe
1566-1572 Eliesar syn Izaaka, współwłaściciele: Eliesar Lippman syn Meszulama, Izaak syn Eliesara, Jakub syn Dawida Gotord, Kalonymos syn Mordechaja Jaffe, Naftali syn Joela Szwarca
1573-1603 Kalonymos syn Mordechaja Jaffe, współwłaściciele: Chaim syn Kalonymosa
od 1603 Cwi syn Abraham Kalonymosa Jaffe
od 1672 Jakub Jaffe
do 1682 Salomon Zelman Jaffe

[22] Zestawienie na podstawie: Korotasowa, *Drukarnie żydowskie*, s. 375-380, 388-392.

Podstawowe informacje o drukarzach[23]

Izaak syn Chaima

(ur. ? - zm. po 1554) syn Chaima Schwartza z Oleśnicy, był drukarzem w Ichenhausen w Bawarii i Heddernheim koło Frankfurtu, pierwszy drukarz lubelski. Do Lublina przybył w 1547 roku i zajął się organizowaniem drukarni. Wraz ze szwagrem Józefem Jakarem otrzymał w 1550 roku od króla Zygmunta Augusta zezwolenie na prowadzenie drukarni hebrajskiej.

[23] Informacje zaczerpnięte z: Korotasowa, *Drukarnie żydowskie*, s. 375-380, 388-392.

Chaim syn Izaaka
(ur.? - zm. ok. 1564) syn Izaaka syna Chaima, był drukarzem w Lublinie w latach 1556-1564 i Końskowoli 1561-1562. W 1554 roku wraz z Elisarem synem Izaaka, Jakubem synem Dawida Gotorda i Kalonymosem synem Mordechaja Jaffe założył w Lublinie spółkę drukarską. Prowadził ją do 1564 roku.

Anna Jakar
współwłaścicielka drukarni w Lublinie w latach 1559-1574, córka Józefa syna Jakoba Jakara, współwłaściciela pierwszej hebrajskiej drukarni w Lublinie i wnuczka Chaima Schwartza drukarza w Oleśnicy. Po śmierci ojca – około 1559 roku – została współwłaścicielką drukarni. W tym samym roku razem z Chaimem synem Izaaka otrzymała przywilej na wyłączny druk dzieł hebrajskich w Królestwie i państwach doń należących. Chaim syn Izaaka był jej ciotecznym bratem, istnieją przypuszczenia, że także jej mężem. Po 1566 roku poślubiła Kalonymosa syna Mordechaja Jaffe.

Eliesar syn Izaaka
kiedy przybył do Lublina był uważany za doskonałego drukarza. Wszedł do spółki drukarskiej założonej w 1554 roku. Natomiast po śmierci Chaima w 1566 roku zorganizował oficynę na nowo. W 1572 roku sprzedał część materiału typograficznego wspólnikowi Kalonymosowi Jaffie i wraz z synem Izaakiem udał się do Safeed w Górnej Galilei, gdzie założył w 1577 roku drukarnię.

Kalonymos syn Mordechaja Jaffe
(zw. Kleonymos, Kolonymus, Calman, Mardochej, Mordochaj, Mardocaj) syn rabina Mordechaja Jaffe, autora wielu dzieł talmudycznych, przed 1558 rokiem był wspólnikiem drukarni Chaima syna Izaaka, po śmierci Chaima przebywał przez pewien czas w Opatowie, gdzie pracował jako księgarz. Od 1573 do 1603 roku pracował w Lublinie wraz z synem Chaimem.

Karta tytułowa pierwszego wydania Responsów Maharszala (Lublin 1574-75). Źródło: Księga Pamięci Lublina wyd. w Tel Awiwie. Ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Literatura tematu

Bałaban M., *Drukarstwo żydowskie w Polsce*, w: *Pamiętnik Zjazdu Naukowego im. J. Kochanowskiego*, Kraków 1931, s. 102-116.

Brandtke J. S., *Historya drukarń w Królestwie Polskim i Wielkim Księstwie Litewskim*, Kraków 1826.

Cała A., Węgrzynek H., Zalewska G., *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*, Warszawa 2000.

Gdula P., *Drukarstwo lubelskie*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Sklodowska", sectio F, vol. VIII, 2, (1957), s. 39-109.

Gebert K., *Judaizm: Tora – Prorocy – Pisma*, w: *Kalendarz ekumeniczny 2002*, s. 27-30.

H. W. [H. Węgrzynek], *Drukarze żydowscy*, w: A. Cała, H. Węgrzynek, G. Zalewska, *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*, Warszawa 2000, s. 75-76.

Hebrew Printing in Poland. Till the Mid-17th Century. Exhibition, Jerusalem 1988.

Katalog wystawy przedmiotów sztuki i starożytności w gmachu podominikańskim w Lublinie w czerwcu i lipcu 1901 roku, Lublin 1901.

Korotasowa K., *Drukarnie żydowskie*, w: *Drukarze dawnej Polski od XV do XVIII wieku*, t. I, *Małopolska*, cz. 1, *Wiek XV-XVI*, red. A. Kawecka-Gryczarowa, Wrocław 1983, s. 375-392.

Rosiak R., *400 lat drukarstwa lubelskiego,* w: *Kalendarz lubelski 1960*, s. 143-147.

Strelnikowa I., *Drukarstwo lubelskie w XVI i XVII wieku*, „Bibliotekarz Lubelski", 1971, nr 3/4, s. 14-32.

Szyndler B., *Wstęp*, w: *Studia z dziejów drukarstwa i księgarstwa w Lublinie w XIX i XX wieku*, red. B. Szyndler, Lublin 1988, s. 5-15.

Unterman A., *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, tłum. O. Zienkiewicz, Warszawa 2000.

Zygmunt Hoffman

Od chederu do jesziwy

Razem z autorem towarzyszymy Dawidkowi w jego edukacji

Dla Żydów starszej generacji, wywodzących się z małych miasteczek, początki nauki w chederze kojarzą się z dużą izbą, rzadko kiedy wietrzoną, pełną kuchennych zapachów i krzątaniny rebecyny (żony rebego). W izbie po zabłoconej podłodze raczkowały małe dzieci gospodarzy domu, a blisko okna stał długi stół i przy nim dwie ławy, z gęsto – głowa przy głowie – wokół mełameda siedzącą dziatwą.

O takim chederze w Tyszowcach opowiadał Jechiel Stern, pedagog i etnograf. Kiedy chłopczyk miał trzy lata, wówczas ojciec i matka opatulali go w ojcowski tałes i zanosili do chederu. Przed wyjściem z domu matka ubierała mu na koszulkę *arba kanfot*, czyli tzw. „mały tałes", popularnie zwany *cyces*. *Arba kanfot* były symbolem pełnego podporządkowania się nakazom Tory. Pobożny Żyd nosił je do końca życia.

Wysupłanego z ojcowskiego tałesu chłopczyka (nazywać go będziemy Dawidkiem, a gdy dorośnie Dawidem) sadzano przed rebem, a ten pokazywał dziecku litery: *szin*, *dalet*, *jud*, *alef*, *mem*, *taw*. Potem łączył je w słowa *Szadaj emet* (Wszechmocny jest prawdą). Imienia Boga nie było wolno wymawiać, mówiono w miejsce imienia jeden z boskich przymiotów. Dawidek powtórzył za rebem i w ten sposób zaczęła się jego chederowa edukacja.

Nie zatrzymamy się przy opisie szczegółowej metodyki wdrażania Dawidkowi i jego kolegom z chederowej ławy kolejnych etapów nauki czytania, a potem pisania, jako że sprawy te interesować mogą specjalistów – pedagogów. Dla jasności sprawy powiemy w tym miejscu, że metodyka nauczania początków czytania nie zmieniała się w chederach od wieków i w niezmienionej postaci zachowała się w tradycyjnych chederach po dzień dzisiejszy. Była to scholastyczna metoda „wkuwania" na pamięć nauczanego materiału. Młodym, dziecięcym jeszcze prawie umysłom Dawidków w klasie wstępnej chederu, zwanej *dardeki*, przyswojenie materiału nie sprawiało specjalnych trudności.

Po upływie pół roku spędzonego na nauce w chederze Dawidek czytał już biegle teksty krótkich modlitw (właściwie znał je na pamięć) i wszystkie potrzebne mu błogosławieństwa, które pobożny Żyd odmawiał przy okazji każdego posiłku. Wpojono mu zarówno w domu, jak i chederze, że byłoby grzechem przełknięcie pierwszego kęsa strawy lub łyku płynu bez dziękczynienia oddanego Panu.

Wyższym etapem chederowej nauki Dawidka, po etapie *dardeki*, był etap nauki Tory z komentarzem Raszi (skrót od **ra**bbi **Sz**lomo **I**cchaki z Troyes, 1040–1105). Zanim to nastąpiło, w domu rodziców Dawidka odbyła się piękna uroczystość na jego cześć. Jej przebieg opisał wspomniany uprzednio Jechiel Stern. W uroczystości uczestniczyli, oprócz najbliższych, znajomi i przyjaciele rodziny, był również obecny nowy nauczyciel Dawidka, jego *chumasz mełamed*[1]. Dawidek w nowym ubranku, zacałowywany przez kobiety i obsypywany przez nie rodzynkami i migdałami, wygłaszał w języku hebrajskim pierwszą uroczystą oracje w formie odpowiedzi na pytania mełameda. Tok tej oracji podaję w niezbędnym skrócie:

Mełamed: Mały chłopcze, co robią teraz twój ojciec i matka?

Dawidek: Ojciec i matka mają teraz piękną uroczystość.

Mełamed: Czy uroczystość ta bierze się stąd, że zaczynasz uczyć się Chumaszu?

Dawidek: Tak, mój nauczycielu, odgadłeś.

Mełamed: Może chciałbyś powiedzieć coś, co znasz z Tory?

Dawidek: Oczywiście, jestem do tego przygotowany. Chociaż nie dorosłem jeszcze, by słowami Tory mówić przed tobą, mój nauczycielu, powiem kilka zdań... (Dawidek recytuje pierwsze zdania z *Księgi Bereszit*).

Etnograf zapisał w tym miejscu trzy błogosławieństwa pod adresem Dawidka; przekażemy ostatnie z nich, gdyż wiele w nim aromatu biblijnej poezji: „Życzę ci, aby spełniły się błogosławieństwa, których wysłuchałeś, a sam chciałbym do nich dodać tylko to, by twe życie i życie twych najbliższych było tak nasycone słodyczą, jak owoce krzewu, który kwitnie w porze wiosny".

Dyskurs między mełamedem a Dawidkiem trwał dalej:

Mełamed: Czego się teraz uczył będziesz, mój mały przyjacielu?

Dawidek: Chumaszu, mój nauczycielu.

Mełamed: Co oznacza słowo *chumasz*?

Dawidek: „Pięć".

Mełamed: Pięć czego?

Dawidek: Pięć ksiąg świętej Tory.

Mełamed: Jak nazywają się te księgi?

Dawidek: *Bereszit*, *Szemot*, *Wajjikra*, *Ba-midbar*, *Dewarim*.

Mełamed: Której księgi uczył się będziesz teraz?

Dawidek: Uczył się będę księgi trzeciej.

Mełamed: Jak się ta księga nazywa?

Dawidek: *Wajjikra* (Kapłańska).

Mełamed: Co znaczy *wajjikra*?

Dawidek: „I przywołał".

Mełamed: Kto przywołał, może kogut na kominie?

Dawidek: Nie, to Bóg przywołał Mojżesza, aby go pouczyć o sposobach składania ofiar... (dialog trwał dalej).

Zasługuje na uwagę okoliczność, że nauczania Pięcioksięgu Mojżesza nie rozpoczynano w chederze od księgi pierwszej (Rodzaju) z jej barwną i ciekawą kosmogonią, opisami raju, tragiczną winą i tragiczną karą pierwszych ludzi. Naukę zaczynano od pedantycznie nudnej księgi trzeciej, w której skodyfikowane są przepisy o składaniu ofiar i o świętach, a także o trądzie, zanieczyszczających wyciekach, zakazie czynów niemoralnych, karach za nieposłuszeństwo. Jest kilka teorii wyjaśniających ten odwrócony porządek

[1] Chumasz – Pięcioksiąg, czyli Tora. Zawiera księgi: Rodzaju, Wyjścia, Kapłańską, Liczb i Powtórzonego Prawa [przyp. red].

nauki w chederze: jest on prawdopodobnie starszy niż pierwsze chedery w Polsce.

Drugi etap edukacji chederowej wypełniła Dawidkowi nauka Pięcioksięgu wraz z komentarzem Raszi. Nauka ta trwała dwa lata. Dawidek i jego koledzy nauczyli się szybko czytać teksty komentarza, drukowanego inną czcionką aniżeli teksty Chumaszu, a podobną do tej, którą drukowano pierwsze książki w języku żydowskim przeznaczone dla kobiet. Mełamed czytał tekst oryginału, podając po każdym zdaniu tłumaczenie żydowskie, oparte na wydanym jeszcze w początkach XVII wieku podręczniku Beer-Mosze (Mojżesz Sertels, autor tłumaczenia Chumaszu na żydowski, Praga 1604), stanowiącym prawdopodobnie jedną z pierwszych w historii szkolnictwa pomoc naukowo-dydaktyczną do nauczania języków.

Coraz bardziej plastyczna, codziennie ćwiczona w chederze pamięć dziecka utrwalała zarówno teksty hebrajskie, jak i ich żydowskie przekłady w interpretacji mełameda. W regulaminie świętego bractwa Talmud Tory w Krakowie z 1551 roku jest postanowienie ustalające, że jeżeli uczeń potrafi już samodzielnie zrozumieć wyjaśnienia Raszi, wówczas jego dalszą naukę oprzeć należy wyłącznie na komentarzu. Reguła ta była najprawdopodobniej stosowana również w innych chederach, co świadczyłoby, że tradycyjny schemat nauczania nie był przeszkodą utrudniającą zdolniejszym uczniom przyśpieszony tryb nauki.

Drugi etap chederowej nauki był właściwie wstępem do prawdziwych studiów: studiów Talmudu. W „klasie" drugiej decydował o wszystkim mełamed: on podawał i tłumaczył słowa tekstu, chwytane i w lot zapamiętywane przez uczniów. W trzeciej i czwartej klasie chederowej, w których nauka trwała do trzech lat w każdej, uczeń poznawał Gemarę z komentarzem Raszi oraz pisma proroków, a na końcu (w najwyższej klasie) zajmował się wyłącznie szczegółowym studium Talmudu z komentarzami zarówno dawnymi, jak i najnowszymi. W klasach tych uczniowie nie byli już „prowadzeni za rękę", a mełamed był już dla nich raczej instruktorem i konsultantem. Nauka przestała być dla nich sprawą

Charakterystyczną cechą rabinizmu ukształtowanego w jesziwach Rzeczypospolitej w XVI i XVII w., przez nie tak liczną, jakby się zdawało, grupę osób, było skupianie uwagi w przekazie religijnym na literaturze halachicznej [dot. norm rel. – przyp. red.]. Wykształcona na niej grupa żydowskich uczonych przeniosła następnie swój typ umysłowości i religijności do gmin zachodniej Europy, gdzie wielu z nich objęło ważne funkcje, oddziałując na duchowość członków. Zawężanie przez nich wykształcenia żydowskiego do znajomości tradycji religijnej zawartej w Talmudzie nie wyczerpywało bogactwa całej kultury Żydów, zwłaszcza tej będącej dorobkiem diaspory hiszpańsko-arabskiej, włoskiej i prowansalskiej. Horyzonty umysłowe wyznawców judaizmu z ziem polskich zostały ograniczone – ogólnie mówiąc – do teologii. Natomiast ci z Żydów, którzy posiadali wiedzę z zakresu tzw. nauk świeckich, np. medycyny czy farmacji, zdobywali ją za granicą, głównie we Włoszech.

Mimo niedostatków dostrzeżonych w tzw. „polskich" edycjach Talmudu, samo podejmowanie przez żydowskich drukarzy jego druku, który zajmował najważniejsze miejsce w ich repertuarach wydawniczych, należy uznać za istotny udział diaspory z Polski w podtrzymaniu ciągłości przekazu religijnego i za przejaw poczucia odpowiedzialności za rozwój judaizmu w czasach, gdy kontynuacja świętej tradycji w niektórych diasporach europejskich była poważnie zagrożona. Przekaz ten pełnił przede wszystkim funkcję łącznikową między pokoleniami, w mniejszym zaś stopniu ochronną wobec tradycji i adaptacyjną do przemian cywilizacyjnych.

Pilarczyk, dz. cyt., s. 56-57.

„pamięciowego wkuwania" i rutyny, stawała się kwestią zdolności intelektualnych.

Będąc w trzeciej, a potem w czwartej klasie chederu, Dawidek miał 12-13 lat. Nauka szła mu łatwo. Jego pamięć była wyćwiczona w takim stopniu, że potrafił recytować z pamięci cale traktaty Talmudu[2]. Rodzice Dawidka stali przed ważną dla jego przyszłości decyzją: czy pozwolić mu uczyć się dalej, a więc czy Dawidek (ciągle jeszcze Dawidek, chociaż nie było mu dane zaznać prawdziwego dzieciństwa) rokuje nadzieję, że dalsza nauka zapewni mu pozycję wśród uczonych w piśmie (*talmid chacham*), czy też należy zakończyć jego naukę i skierować go na praktykę do rzemiosła lub handlu. W tej sprawie wypowiadali się nie tylko znający Dawidka nauczyciele – *gemara mełamed* i *tosafot*[3] *mełamed* – ale również przyjaciele domu, znający Talmud i walory umysłowe Dawidka. Byli oni zgodni co do wyboru dalszej życiowej drogi Dawidka. Tym sposobem rozpoczął on dalszy etap nauki w akademii talmudycznej – jesziwie, w naszym przypadku w lubelskiej uczelni talmudycznej.

Słuchaczy akademii talmudycznych w miarę postępu studiów obowiązywała coraz pełniejsza i dokładniejsza znajomość halachicznej wykładni norm rozstrzygania nieprzebranego mnóstwa praktycznych przypadków, rozbudowanych płataniną uzupełnień wnoszonych przez Gemarę. Ale w drugiej połowie XVI wieku minęło już tysiąc lat od okresu, kiedy spisanym tekstom Talmudu nadano rangę obowiązującego kanonu. Tylko najbardziej ogólne zasady, kategorie starotestamentowego dekalogu, wytrzymać mogły, mimo zmieniających się warunków, próbę czasu dłuższą niż tysiąclecie, nie tracąc w ogólnym sensie nadanej im na samym początku, pozaczasowej siły dotarcia do serc i umysłów. Talmud nie miał takiej siły. Wyposażony w zasady bardziej szczegółowe (całkowicie uzasadnione w okresie ich powstawania) nie wytrzymał próby tak długiego upływu czasu. Życie je dezaktualizowało, domagało się ich modernizacji, przystosowania do całkowicie, z upływem stuleci, zmienionych warunków. W Polsce, zadanie tej swoistej „nowelizacji" wzięli na siebie twórcy tak zwanej „literatury rabinicznej", autorzy kodeksów komentujących Talmud i starsze komentarze (*peruszim*), uzupełniających rozpraw na specjalne tematy talmudyczne (*chiduszim*), responsów w kwestiach zawiłych problemów i decyzji w trudnych sprawach (*szeelot u-teszuwot*). Czynili to wszystko, by religia, spełniająca u Żydów pełny program opieki nad kultem, wykonywać mogła równolegle zadania związane z wszechstronnym regulowaniem wszelkich spraw społecznego i osobistego życia, nie zrywając w tych właśnie sprawach zawsze aktualnego kontaktu z wierzącymi. Twórcami literatury rabinicznej byli najczęściej rektorzy uczelni talmudycznych, korzystający z rozległych uprawnień autonomicznych swych szkół.

Zasługą lubelskiej uczelni talmudycznej była szeroka sława polskich jesziw. Niektóre z nich utrzymywał kahał (Kraków, Poznań, Lublin, Lwów). Było jednak sporo jesziw prywatnych. Z lubelskiej akademii rabina Szaloma Szachny, nazywanego przez współczesnych kronikarzy „ojcem nauki rabinicznej", wyszło w XVI wieku wielu sławnych rabinów Polski i Litwy. Jednym z nich był Mojżesz Isserles z Krakowa. Z Isserlesem na jednej ławie zasiadał Chaim ben Becalel, późniejszy rabin w Niemczech, który wspominał we wstępie do jed-

Społeczność żydowska tworzyła szkoły odpowiadające potrzebom i aspiracjom poszczególnych ugrupowań politycznych.

[2] Jeszcze w latach trzydziestych naszego stulecia wymagano od kandydatów, przyjmowanych do lubelskiej akademii talmudycznej znajomości 400 stronic Talmudu opanowanych na pamięć.

[3] *Tosafot* (dodatki, suplementy) to szczegółowe okołotalmudyczne komentarze wielu autorów, m.in. do talmudycznych komentarzy rabbiego Raszi [przyp. red.].

Źródła duchowości żydowskiej tego okresu [XVI-XVII w. – przyp. red.] należy upatrywać w wierze w objawienie Boże i wybraństwo Izraela, będące specjalnym i niezasłużonym darem Boga dla Żydów jako zbiorowości i jako poszczególnych jednostek. W treści tej wiary monoteistycznej zawarte są naczelne prawdy o życiu, normy postępowania, wzory osobowe oraz sankcje dotyczące odpowiedzialności za dobro i zło. Najważniejszym wkładem pokoleń Żydów, żyjących w tym okresie w Polsce w ich religijną kulturę, jest kontynuowanie przekazu ukształtowanych wcześniej obrazów Boga i ich doskonalenie, czego nie mogli w pełni czynić Żydzi z innych gmin europejskich represjonowani przez różne środowiska kościelne. Prowadziło to do wywołania odpowiadających tym obrazom postaw osobowych i wspólnotowych. W judaizmie, religii objawionego Prawa, w XVI i XVII w. – podobnie jak i wcześniej – akcentowano stworzoność człowieka, zachęcając głównie do postawy bojaźni Bożej i posłuszeństwa wyrażanego w rytuale, który obejmował niemal całość osobistego i wspólnotowego życia, oraz wpajano potrzebę dążenia do zjednoczenia z Bogiem, głównie przez studium Tory, które nie rozwijało się w innych krajach tak jak w Polsce.

Pilarczyk, dz. cyt., s. 56-57.

nego z traktatów: „Moją ojczyzną była Polska, tam się wychowywałem pod opieką przełożonych jesziw, a szczególnie w jesziwie wielkiego uczonego zmarłego rabina Szachny".

Zachowało się świadectwo opisujące organizację i system nauczania w polskich uczelniach talmudycznych w XVII wieku. Jest nim kronika *Bagno głębokie* (*Jawen mecula*) Nalana Hannowera, wydana w Wenecji w 1653 roku. Autor pisze m.in. (wg tłumaczenia tekstu hebrajskiego Majera Bałabana):

„Nie trzeba na to dowodu, że nigdzie wśród rozproszenia Izraelitów nie było tyle nauki, ile w Polsce. W każdej gminie utrzymywano jesziwę i coraz to większą dawano płacę rektorowi, aby mógł pracować bez trosk i aby nauczanie było jego zawodem. [...] Każda gmina utrzymywała młodzieńców i wyznaczała im tygodniowe zapomogi, aby mogli pobierać naukę u rektora jesziwy. Każdy młodzieniec musiał uczyć dwóch chłopaków Gemary, komentarzy i suprakomentarzy w ten sposób, jak się sami uczyli w jesziwie. I dawano chłopcom pożywienie z kasy dobroczynności lub z kuchni dla biednych. [...]

A taki był rozkład nauki w ziemi polskiej: młodzieńcy i chłopcy byli obowiązani do uczenia się u rektora jesziwy w lecie od początku miesiąca Ijar do 15 ab, a w zimie od początku miesiąca cheszwan do 15 szewat [4]. Od początku miesiąca ijar do zielonych świąt (Szawuot), a w zimie od początku miesiąca cheszwan do święta Chanuka uczyli się studenci bardzo pilnie Gemary z komentarzem Raszi i Tosafot: codziennie przerabiali jedną „halachę", to znaczy jedną stronę Gemary z komentarzem Raszi i Tosafot.

[...] W lecie nie opuszczano szkoły, aż dopiero po południu. Od zielonych świąt, względnie od Chanuki do Paschy, względnie do Nowego Roku nie zajmował się rektor jesziwy „pilpulistyką"[5], lecz wykładał mędrcom poskim[6], „cztery turim"[7] wraz z glossatorami, a młodzieńców uczył Alfas[8] lub innych dzieł tego rodzaju. [...] Na kilka tygodni przed 15 ab lub przed 15 szewat pozwalał rektor słuchaczom, aby jeden lub drugi w zastępstwie nauczyciela wyłożyli chiluk[9] dla mędrców lub dla młodzieńców. Oni więc wykładali chilukim, a rektor przysłuchiwał się wykładowi lub polemizował z nimi: miało to na celu wyostrzenie rozumu uczniów jesziwy.

[...] W całej Polsce uczono się Talmudu w porządku sześciu ksiąg. Każdy rektor miał szkolnika, który chodził codziennie od jednej klasy do drugiej i doglądał, aby wszyscy uczyli się. W czwartek musieli chłopcy pójść ra-

[4] – początek ijar – koniec kwietnia lub początek maja – 15 ab (lub aw) – mniej więcej druga dekada sierpnia – początek cheszwan (lub marcheszwan) – zwykle koniec października – 15 szewat – pierwsza połowa lutego [przyp. red.]

[5] Pilpul, pilpulistyka – swoista forma dyskusji wprowadzona do nauczania Talmudu w akademiach talmudycznych w Krakowie przez Jakuba Pollaka i w Lublinie przez Szaloma Szachnę.

[6] *Poskim* – decyzje rabinów.

[7] Cztery *turim* (*acba turim*) – kodeks halachiczny Jakuba ben Aszera († 1340), najważniejsza po Majmonidesie próba skodyfikowania całego materiału halachicznego zawartego w obu Talmudach, responsach gaonów i kodeksach.

[8] *Alfas* – dzieło komentatorskie do Talmudu Izaaka Alfasi z Fezu, uczonego z XI wieku.

[9] Własna wykładnia tekstów Talmudu – wyjaśnienie poniżej [przyp. red.].

zem do przełożonego kahału [...], a ten ich egzaminował z tego, czego się uczyli w bieżącym tygodniu. Jeśli zaś który nie umiał lub pomylił się w odpowiedzi, otrzymywał na polecenie przełożonego od szkolnika tęgie kije oraz wystawiano go na wstyd wobec innych uczniów [...]".

Rzeczowość cytowanych fragmentów kroniki Hannowera, relacjonujących o organizacji nauki i materii nauczania w jesziwach, przypomina styl i język wzorowych inspektorów szkolnych w naszym stuleciu. *Bagno głębokie* jest jednocześnie jak gdyby czerpanym z Ksenofonta, znakomitym w swej prostocie opisem tragedii żydowskich mieszkańców Niemirowa, Tulczyna, Baru, Ostroga i innych miast, które znalazły się na szlaku buntowniczych pochodów hetmanów kozackich Nalewajki, Pawluka, Chmielnickiego... Hannower dostrzegł i zanotował rolę księcia Jeremiego Wiśniowieckiego w ratowaniu ludności żydowskiej przed Kozakami.

Opisana przez Hannowera organizacja nauczania w jesziwach, nie zmieniana w sposób zasadniczy w ciągu stuleci, przetrwała formalnie do ostatnich dni drugiej Rzeczypospolitej. Wszechwładnie panowała metoda *pilpulu*, na którą już w początkach XVII wieku skarżył się popularny wówczas kaznodzieja i moralista Salomon Efraim z Łęczycy.

Co oznaczają słowa *pilpul*, „pilpulistyka"?

Pilpul oznacza dosłownie „pieprz", a pilpulistyka zapewniać miała zwiększoną aktywność intelektualną uczniów uczelni talmudycznych, wyostrzając ich reakcje na rzeczywiste lub sztucznie wywoływane niezgodności lub sprzeczności w tekstach Gemary i innych dzieł. *Pilpul* wymagał ogromnej erudycji opartej na pamięciowym opanowaniu nie tylko sposobu interpretacji danego zagadnienia przez Talmud, ale również komentarzy i suprakomentarzy autorów do Talmudu. Tak nagromadzona wiedza stwarzać miała warunki dla przedstawiania własnej wykładni (*chilluk*). Uwaga i wysiłek wygłaszającego *chilluk* skupiona była na dowodzie, że powołani autorzy popełnili taki lub inny błąd logiczny w swej argumentacji, że zatem nie mogą mieć racji, rację zaś ma wygłaszający *chilluk*. Jego wywody musiały być nie tylko logicznie przejrzyste, powinny być również retorycznie doskonałe. *Pilpul* oznaczał w istocie wysunięcie na pierwszy plan argumentacji dowodowej, akcesoriów formalnych zagadnienia, z całkowitym najczęściej pominięciem jego merytorycznej istoty. Od epoki oświecenia *pilpul* był już tylko zmumifikowaną postacią wczesnośredniowiecznej scholastyki, spóźnionej o kilka wieków, a więc skarykaturowanej, w której występowały jedynie elementy talmudycznej patrystyki.

Pilpulistyka miała zwiększać aktywność intelektualną w reakcji na rzeczywiste lub sztuczne niezgodności w tekstach.

Wspomnieliśmy już wcześniej, że tradycyjny tryb i porządek nauki w akademiach talmudycznych przestrzegany był nawet w okresach najbardziej trudnych dla Żydów. Gmina mogła być po uszy zadłużona, ludzie mogli żyć w krańcowej nędzy (np. Galicja pod koniec XVIII i na początku XIX wieku), ale zawsze był cheder i jesziwa – ośrodki żydowskiej nauki. Nędzne i słabe, ale były, wspierane odwiecznie praktykowaną społeczną dobroczynnością, nawet wtedy, kiedy chederowi mełamedzi lub rektor jesziwy nie byli ani erudycją, ani pedagogicznie do swych zadań przygotowani jak należy.

Nie jest paradoksem twierdzenie, że gdyby warunki zewnętrzne bytu ży-

dowskiego w Polsce były lepsze ekonomicznie i społecznie w XVIII wieku, dużo wcześniej i bardziej gruntownie przełamany byłby monopol szkoły religijnej i jej duch przybłąkany z zakamarków przeszłości.

Przygasającemu światłu lubelskiej akademii talmudycznej przywrócił pełny blask dopiero w latach trzydziestych ubiegłego stulecia rabin Meir Szapira, niestrudzony organizator Uczelni Mędrców Lublina, odnowiciel starej jesziwy, czterdziesty jej rektor. Kamień węgielny pod nowy budynek *Jesziwas Chachmej Lublin* położono 22 maja 1924 roku. Uczelnię otwarto 24 czerwca 1930 roku. Następnego dnia wybrano Meira Szapirę rabinem lubelskiej gminy żydowskiej. W nominacji tej znajdujemy dalekie odbicie przywileju nadanego lubelskiemu „gimnazjum" talmudycznemu przez króla Zygmunta Augusta w 1559 roku, stawiającego jego rektora ponad rabinem lubelskim. Kahał, który dokonywał wyboru rektora, znalazł najlepsze rozwiązanie ewentualnych sporów kompetencyjnych: mianował go rabinem gminy.

Meir Szapira był działaczem religijnym nieprzeciętnego formatu. W żydowskim środowisku ortodoksyjnym dał się szybko poznać jako szermierz wiary. Narzędziem umacniania wiary miało być powszechne studiowanie Talmudu. Na światowym kongresie Żydów ortodoksyjnych w 1923 roku we Wiedniu rzucił hasło, by każdy pobożny Żyd przeznaczał dziennie jakiś czas, chociażby godzinę, na studia Talmudu, ucząc się tej samej karty, co inni. Postępując w ten sposób, każdy ortodoksyjny Żyd przestudiowałby w ciągu 7 lat wszystkie traktaty Talmudu. Aby ten system utrwalić i upowszechnić, proponował, by poszczególne dni tego siedmiolecia nazywano numerem karty Talmudu aktualnie czytanej. Szapira widział już wszystkich Żydów złączonych więzią wspólnej nauki, jedynego, jego zdaniem, środka budującego jedność rozproszonego narodu.

Myśl przewodnia zbudowania w Lublinie wielkiej uczelni kształcącej rabinów z najbardziej utalentowanej młodzieży ortodoksyjnej nawiązywała do pięknych tradycji tej uczelni z drugiej połowy XVI stulecia. Jeżeli odczytywana codziennie, przez wszystkich ta sama karta Talmudu miała być widomym znakiem jakiegoś ogólnoświatowego bractwa, którego świętą regułą jest wierność dla wiary, to nauka i modlitwa w kierowanej przez niego Jesziwie Mędrców Lublina zapewnić miały nieskażony niejako proces zdobywania rabinackiej charyzmy.

> Zdaniem Szapiry, wspólna nauka była jedynym środkiem budującym jedność rozproszonego narodu.

Lato 1930 roku. Powszedni dzień pracy Dawida, ucznia nowej jesziwy lubelskiej, wyglądał następująco.

Wstawał o godz. 5^{30}; o 6^{00} był już zatopiony w *daf jomi* – karcie Talmudu przeznaczonej do lektury w danym dniu; o 7^{30} uczestniczył w zbiorowej modlitwie porannej; po śniadaniu od godziny 10^{00} studiował samodzielnie materiał, który miał być tematem wykładu rektora, o 12^{00} – słuchał wykładu rektora lub jednego z nauczycieli, jeśli był słuchaczem niższego kursu. Po obiedzie i przechadzce w parku szkolnym studiował codzienne pensum talmudyczne połączone z lekturą komentarzy, gloss tossafistów oraz z codzienną partią kodeksu *Szulchan Aruch*. Po modlitwie popołudniowej (*mincha*) studiował teksty dotyczące problemów

etycznych aż do modlitwy wieczornej (*maariw*). Wieczorem, rekapitulując jak gdyby pracę całego dnia, sięgał do tekstów znakomitych komentarzy Samuela Eidelsa (Maharsza), Majera ben Gedalii (Mahara) – wielkich rektorów lubelskiego gimnazjum talmudycznego w XVI wieku. Wielu słuchaczy wracało do foliałów po kolacji, przesiadując nad nimi do późnej nocy.

Prawdziwą nowością w życiu jesziwy były pieśni śpiewane z okazji różnych uroczystości religijnych i szkolnych. Mury jesziwy, które przedtem przypominały klasztor kamedułów, rozbrzmiewały często pieśniami o melodyce przypominającej motywy ukraińskich dumek, tęsknych i żałosnych, niekiedy zaś skocznych i zadziornych jak tańce góralskie. Zwyczaj śpiewania pieśni przyjął się od momentu, kiedy obyczaje wprowadzone na „ulicę żydowską" przez ruch chasydzki dotarły i zapanowały w lubelskiej jesziwie.

W działalności rabina i rektora Majera Szapiry było wiele autentycznego poświęcenia religijnego. Chociaż nie był chasydzkim cadykiem, lecz ortodoksyjnym rabinem, miał ogromny wpływ nie tylko na młodzież zgromadzoną w akademii talmudycznej, ale także na dorosłych, również rabinów, czynnie wspierających jego idee wychowawcze. Marzyła mu się powszechna u Żydów recepcja myśli i słowa Talmudu, a wszyscy Żydzi rozczytani w traktatach talmudycznych i literaturze z nimi związanej znaleźć powinni drogę do całkowitego oddania się prawdzie i wspaniałości Tory, drogę powrotu synów Izraela do Ojczyzny.

Ale były to już lata trzydzieste dwudziestego stulecia. Absolutny monopol szkolnictwa religijnego w dziedzinie nauczania i wychowania młodzieży żydowskiej dawno ustąpił wiele z zajmowanego dotychczas miejsca szkolnictwu świeckiemu, które znamionowała bardzo rozległa różnorodność założeń i programów ideowo-wychowawczych. Różnorodność ta znajdowała odbicie w doborze przedmiotów nauczania oraz treści nauczania tych przedmiotów, które według ówczesnych pojęć miały decydujący wpływ na kształtowanie postaw i oblicza przyszłego obywatela polskiego wyznania mojżeszowego lub też obywatela polskiego narodowości żydowskiej, albo po prostu – obywatela polskiego, za którym, w świadomości społecznej, wlokło się jego żydowskie pochodzenie, chociaż subiektywnie był Polakiem.

Rosnący proces laicyzacji społeczności żydowskiej stwarzał szczególnie przychylne warunki dla współistnienia organizacji szkolnych, których zadania wychowawcze nie były zgodne, a często nawet diametralnie przeciwstawne. W tych warunkach mogła w Lublinie istnieć obok Jesziwy Mędrców Lublina, pysznej i dostojnej nawet fasadą frontową od ulicy Lubar-

Ozdobny nagłówek papieru korespondencyjnego Jeszywas Chachmej Lublin. Ze zbiorów APL.

towskiej, skromna świecka szkoła, w której nauka odbywała się w języku żydowskim. Szkoła prowadzona była przez centralę szkolną CISZO[9] i zajmowała się m.in. nauczaniem dorosłych. W jej programie nie było w ogóle nauczania religii, ponieważ CISZO odrzuciła fideistyczne elementy typowego programu szkolnego. Wyrazem rosnącej laicyzacji społeczeństwa żydowskiego były szkoły polsko-hebrajskie, hebrajskie i polsko-żydowskie a także powszechne i średnie prywatne szkoły wyłącznie z polskim językiem nauczania. Najpełniejszym dowodem laicyzacji był fakt, że z podstawowego nauczania w szkołach powszechnych państwowych lub miejskich korzystało już ponad 61 % młodzieży żydowskiej.

Proces laicyzacji nie oznaczał tendencji likwidacyjnych w odniesieniu do szkolnictwa religijnego, wyrażał tylko kurczenie się jego bazy społecznej. Była ona w przededniu wybuchu wojny wystarczająco duża i silna. Samych tylko jesziw, podległych centrali szkolnej *Chorew* (organizacja podporządkowana stronnictwu ortodoksyjnych Żydów *Aguda*), do której należała również *Jesziwas Chachmej Lublin*, było 152.

W każdym społeczeństwie szkoła jest instrumentem polityki w najszerszym znaczeniu tego słowa. Polityka zaś była najsilniejszym czynnikiem sprawczym, decydującym o charakterze szkół żydowskich. Społeczność żydowska w Polsce, zdana na własne siły w dziedzinie własnego narodowego szkolnictwa, tworzyła szkoły i zakłady naukowe odpowiadające potrzebom i aspiracjom społecznym poszczególnych ugrupowań politycznych, liczących się w środowisku[10].

[9] Centrale Jidisze Szul Organizacje – zjednoczenie szkół żydowskich, związane z partiami robotniczymi Bund i Poalej-Syjon.

[10] Tekst zaczerpnięty z *Kalendarza żydowskiego 1985-1986* wyd. przez Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego w PRL, Warszawa 1984 r. [przyp. red.].

Ilustracje z elementarza żydowskiego wydanego w Wilnie w 1939 r. Ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Sylwia Bojczuk

„Księgi pamięci" – geneza i charakterystyka

Księga, której celem jest uczczenie i ocalenie od zapomnienia poszczególnych osób czy też miejsc, które już nie istnieją, nie jest w kulturze żydowskiej zjawiskiem nowym. Już w okresie wczesnego średniowiecza w Nadrenii powszechny był zwyczaj odczytywania długich list nieżyjących członków gminy lub wspominania okoliczności, w jakich miały miejsce antyżydowskie pogromy. Zwyczaj ten ugruntowały tzw. *Memorbiicher*, spotykane często na terenie środkowych Niemiec, Szwajcarii, Bawarii i Alzacji, ukazujące się od średniowiecza do XVIII wieku. Tradycja ta nie zaniknęła. W okresie międzywojennym, po pogromie w Proskurowie w 1919 roku wychodzi księga opisująca te wydarzenia oraz wymieniająca nazwiska pomordowanych wówczas mieszkańców miasteczka.

Po tragedii, jaką dla narodu żydowskiego był Holokaust, ukazał się szereg ksiąg poświęconych pamięci ludzi i świata, który przestał istnieć. *Pinkas zikkaron* lub *sefer zikkaron* po hebrajsku lub *jizker buch* w języku jidysz odnoszą się zawsze do konkretnego miejsca, które mają upamiętnić. Ruch wydawania tych ksiąg rozpoczął się w okresie II wojny światowej i trwa do dziś. Powstał w środowiskach ziomkostw byłych mieszkańców gmin żydowskich Europy Wschodniej. Wydawane księgi odnoszą się do obszarów, które podczas ostatniej wojny znalazły się pod okupacją niemiecką. Są to najczęściej księgi o bardzo małym nakładzie, drukowane w niewielkich drukarniach.

Szacuje się, że zredagowano 526 ksiąg pamięci dotyczących wyżej wymienionych obszarów, z czego 428 ksiąg jest opisem miejscowości leżących do 1939 roku w ówczesnych granicach Polski. Liczba wydanych ksiąg nie jest równa liczbie gmin opisywanych w *sefer zikkaron*, ponieważ niektóre miejscowości mają po kilka ksiąg, a inne zawierają wspomnienia o kilku gminach sąsiadujących ze sobą. W wymienionych wyżej 428 księgach znaleźć można dane o 547 skupiskach żydowskich.

Wydanie księgi pamiątkowej to jeden z najważniejszych przejawów działalności ziomkostwa. Powoływano z tej okazji specjalny komitet wydawniczy, do którego należeli mieszkańcy danej miejscowości. Gdy wśród nich brakowało odpowiedniego kandydata na redaktora księgi, do współpracy zapraszano osoby mające doświadczenie w tej dziedzinie. W rezultacie w latach sześćdziesiątych wykształcił się zawód redaktora ksiąg pamięci. Wśród redaktorów często powtarzają się więc te same nazwiska. Ważną cechą ksiąg jest to, iż autorzy poszczególnych artykułów czy rozdziałów zawsze byli mieszkańcami miasteczka opisywanego w księdze.

Protokół Nr 14/136

Poza opracowaniami dotyczącymi historii gminy żydowskiej w każdej księdze znajdujemy artykuły o charakterze sprawozdawczym oraz wspomnienia. Pojawiają się także wiersze nawiązujące w swej tematyce najczęściej do okresu Zagłady. Osobną grupę stanowią publikacje dokumentów. Zaliczają się do nich prywatne listy, wycinki z gazet, statuty i spisy członków poszczególnych organizacji społecznych i politycznych, dokumentacja fotograficzna i rysunkowa. Istotną częścią każdej księgi jest opis Zagłady – daty i okoliczności utworzenia getta, poszczególne restrykcje i tragiczny koniec gminy. Zawsze wymienia się osoby, które przeżyły Zagładę oraz okoliczności ucieczki i ukrywania się.

Wszystko to mogłoby sugerować, że księgi pamięci stanowią historyczne monografie poszczególnych miejscowości. Nie spełniają jednak warunków im stawianych, nie jest to też literatura pamiętnikarska, powinny zainteresować natomiast antropologa kultury. Na ich przykładzie można prześledzić dwa zjawiska kulturowe – poddawanie przeszłości procesowi mitologizacji oraz nieświadome tworzenie mitu miasteczka żydowskiego.

Okoliczności opuszczenia miasteczka przez autorów dzieła były tragiczne, związane z przeżyciami, które uniemożliwiają zrównoważone podejście do opisywanych zdarzeń i krytyczne spojrzenie w przeszłość. W tym tkwi przyczyna idealizacji przeszłości, powstania mitu spokojnego życia w mieście, gdzie panowała powszechna miłość bliźniego i poszanowanie podstawowych praw współżycia. Z tych samych przyczyn dochodzi do przerysowania roli instytucji o charakterze kulturalno-społecznym. Ich działalność nie była tak ważna i tak żywa, jak sugerują niektóre księgi. Jednocześnie zauważa się tendencje do zmniejszania roli instytucji i prądów religijnych w kształtowaniu życia codziennego. Zjawisko to można wytłumaczyć tym, iż członkowie komitetów wydawniczych wywodzili się najczęściej z rodzin o tradycjach: syjonistycznej i bundowskiej lub, wywodząc się z rodzin religijnych, zbuntowali się przeciw domowej tradycji i wstąpili do partii o charakterze syjonistycznym czy lewicowym.

Z takich kręgów wywodzili się również członkowie komitetu redakcyjnego lubelskiej księgi pamięci – *Sefer Zikkaron Lublin* – A. Keszerman (Izrael), M. Cukerman (Izrael), D. Sztokfisz (Izrael), M. Grosman (Nowy Jork), C. Paper (Paryż) i J. Grizolt (Izrael). Stanowiska redaktorów objęli Nachman Blumental i Meir Korzeń. Księga ta ukazała się w Tel-Awiwie w kwietniu 1957 roku dzięki staraniom „Irgun Jocej Lublin", czyli ziomkostwa lubelskiego w Izraelu, Francji i Stanach Zjednoczonych.

Sefer Zikkaron Lublin, licząca 814 stron, znajduje się w Żydowskim Instytucie Historycznym. Całość podzielono na dziesięć rozdziałów:

I. Na szlaku pokoleń
– Dzieje Żydów w Lublinie
– Sejm Czterech Ziem
– Oskarżenia o mord rytualny (1636)
– Żydzi lubelscy w ruchu powstańczym
– Rabbi Szlomo Luria – Maharszal
– Synagoga imienia Maharszala
– Chasydzi w Lublinie

II. Miasto i jego ulice
– Lublin – wiersz
– Spacer po getcie lubelskim
– Żydowski Lublin
– Ulice i zaułki
– Zaułek (*dos Gesl*)
– Ulica Ruska
– Dzieci w ogrodzie miejskim
– Społeczny dom „Spółdom"
– Przedmieścia Czechów i Wola
– Przedmieście Piaski

III. Wspomnienia i spisy
– Epoka za epoką
– Wspomnienia ze wstrząsających lat
– Milicja w roku 1915
– Czwartek – dzień krwi w Lublinie
– Zachowywanie ostrożności
– Ważni goście

Na sąsiedniej stronicy: strony (w tym tytułowa) z *Księgi Pamięci Lublina* (*Dos buch fun Lublin*) w jidysz wydanej w Paryżu w 1952. Kolejność oryginalna, czyli z prawej do lewej. Na stronie w lewym górnym rogu zamieszczono źródłowy cytat po polsku: „Pytani pomienieni Żydowie na questyach na coby krwie chrzecianskiey potrzebowali... zeznali (nie zaraz), bo byli dobrze czarami obwarowani, aż gdy im głowy i brody ogoliwszy dobrze boki y głowy gorzałką polewając palono, iz ie ieden w chlebie przaszynym, drudzy w winie używaią..." (źródło: *Zwierciadło Korony Polskiey*, s. 15-16, 1598 lub 1618 rok). Zdjęcie na stronie w prawym dolnym rogu przedstawia fragment Wielkiej Synagogi (Maharszalszul) [przyp. red.].

– Święto Borochowa na Zamku
– Wizyta w Lublinie
– O Lublinie, którego nie ma
– Przerażająca zjawa

IV. Władza samorządowa
– Kahał w latach 1928-1939
– Żydzi w administracji państwowej

V. Partie i prądy polityczne
– Ruch syjonistyczny
– Wspomnienia o bliskich
– Związki zawodowe
– Poalej Syjon Lewica
– „Cahar" i „Bejtar"
– Mizrachi
– Robotnicza Partia „Bund"
– „Bund" w roku 1939
– Partia Komunistyczna w latach 1931-1932

VI. Ruchy młodzieżowe
– „He-chaluc"
– „He-chaluc Ha-cair"
– „Ha-szomer Ha-cair"
– Młodzi syjoniści
– „Jungbor" – Związek dzieci pracujących

VII. Życie gospodarcze i związki zawodowe
– Walka robotników w latach 1902-1918
– Związek zawodowy drukarzy
– Tragarze lubelscy
– Branża tekstylna
– Przemysłowcy drzewni
– Związek urzędników w Lublinie
– Związek garbarzy i elektryków
– Przemysł w Lublinie
– Rodzaje handlu żydowskiego
– Banki
– „Gmilut Chasidim"

VIII. Edukacja, kultura i instytucje
– Nacisk na rozwój duchowy
– Cadyk z Białej w Lublinie
– Cadyk z Turzyska i chasydzi cadyka Icchaka Gitlisa
– Szkoła „Tarbut" w latach 1932-1936
– Gimnazjum Szpera
– Wspomnienia uczennicy
– Lista szkół ludowych w Lublinie
– Szkoła „Bejt Jakow"
– Szkoła „Jawne"
– „Lubliner Tugblat"
– Przedstawienie „Duchas" w Lublinie
– Instytucje kulturalne
– Zespół muzyczny Jontila
– Żydowskie kluby sportowe
– Instytucje dobroczynne
– Towarzystwo „TOZ" w Lublinie
– Z dziejów szpitala żydowskiego
– Szpital żydowski
– Syjonistyczny związek kobiet
– Osobistości

IX. Zagłada
– Jak napiszę o Tobie, Lublinie?
– O zagładzie Żydów w Lublinie
– Lubelskie getto – Majdan Tatarski
– Cierpienie dzieci w getcie lubelskim
– Majdanek
– W szponach gestapo
– Światła z getta
– Majdanek 1946

X. Żydzi lubelscy na świecie
– Lublin, moje święte miasto
– Żydzi lubelscy w Izraelu
– Życie społeczne Żydów lubelskich w Nowym Jorku
– Ziomkostwo lubelskie w Paryżu
– Związek Żydów w Montrealu
– Ziomkostwo lubelskie w Kalifornii[1]

[1] Wstęp do pracy magisterskiej Sylwi Bojczuk *Dziedzictwo kulturowe Żydów lubelskich w świetle „Sefer Zikkaron Lublin" („Księga Pamięci Lublina"), Tel Awiw 1957* napisanej pod kierunkiem dr. Romana Marcinkowskiego, Uniwersytet Warszawski, Instytut Orientalistyczny, Zakład Hebraistyki.

Miasto i jego ulice

Fragmenty II rozdziału *Księgi pamięci Lublina*

Josef Achtman

Żydowski Lublin

Żydowski Lublin to nie Krakowskie Przedmieście czy Ogród Saski. Nasz Lublin rozpoczynał się od strony zachodniej Bramą z Zegarem (*Di Bram*[1]) i ulicą Grodzką, która prowadziła nas do zaułków Miasta Żydowskiego – Nadstawnej (*dos Gesl*), Krawieckiej, Ruskiej, krzyżujących się i zakręcających, aby połączyć się z Kowalską, Szeroką i Lubartowską. Dobiegały one do krańca drogi zwanej „Zaułkiem Cmentarnym" (*Kwarim Geslech*), dalej do Woli Kalinowszczyzna i kończyły się w Majdanie Tatarskim.

Tuż za Bramą, po jej prawej stronie ciągnęła się wąska, rozkopana, kręta uliczka. To ulica Jezuicka, na końcu której wznosił się budynek teatru „Panteon". Jego właścicielem był Makowski, Polak z pochodzenia. Często rozbrzmiewały stąd dźwięki banalnych, prostych, aczkolwiek miłych dla ucha i serca melodyjek. W „Panteonie" przedstawiano, ku wielkiej radości miejscowych Żydów, żydowskie ludowe sztuki, niejednokrotnie nagradzane burzą oklasków, chociaż czasami, gdy spektakl nie podobał się, rozlegały się głośne gwizdy.

Niedaleko od ulicy Jezuickiej, przy ulicy Złotej, mieszkał autor kilku sztuk wystawianych w „Panteonie", pisarz Jankiel Waksman, noszący sympatyczny pseudonim *Direkteszi.* Był on, tylko Bóg raczy wiedzieć czemu, starym kawalerem lub wdowcem. Mieszkał na parterze pięknego domu, będącego niegdyś własnością rodziny szlacheckiej. Waksman zajmował kuchnię i pokój. Były to pomieszczenia umeblowane częściowo w stylu *jeke*[2], a częściowo na sposób polski. Współlokatorami „Dyrektora" były kot, papuga i kanarek. Ci, którzy pamiętają jeszcze Jankiela Waksmana, wspominają jego postawną, grubawą wręcz sylwetkę i szeroki nos. Znany był nawet wśród słynnych żydowskich aktorów, takich jak Estera Rachel Kamińska i Zygmunt Turkow. Oprócz tego, że Waksman był znanym impresario teatralnym, zajmował się także pisaniem listów urzędowych, próśb do wszelkiego rodzaju instytucji, czym kontynuował tradycję zawodową rodziny Waksmanów w Lublinie.

[1] *Di Bram* – Brama Krakowska [przyp. red.].

[2] *jeke* – skrót od hebr. *Jehudej kasze hawana* – „myślący z trudem Żydzi", przydomek nadawany żydowskim uchodźcom z Niemiec.

Niedaleko stąd znajdowała się kiedyś siedziba gminy żydowskiej. Któż nie pamięta Lejble Lerera, zapalczywego bohatera, który chciał nauczyć członków Agudy ideologii Bundu, lub Herszla Ajzenberga, członka Agudy, bystrego uszczypliwego oratora, fanatycznego przeciwnika Bundu. Walka była ostra, lecz nie psuła szeregów.

Nie wszyscy wiedzą, lub może nie pamiętają, że w tej dzielnicy przed 45 laty znajdował się cheder Webera o bardzo postępowym charakterze. Uczono w nim rosyjskiego, rachunków i hebrajskiego oraz śpiewano *ha-Tikwę*[3], lecz w taki sposób, aby nie usłyszeli tego Rosjanie.

Kilka kroków dalej, przy ulicy Grodzkiej, naprzeciwko domu Mosze Zalmana stał budynek, w którym mieścił się żydowski dom sierot, zwany „Ochronką". Była ona, podobnie jak szpital, przepełniona i wciąż miała kłopoty finansowe. Dla poprawienia sytuacji materialnej tego typu instytucji organizowano charytatywne koncerty, występy i projekcje filmowe. Dzięki takim akcjom dom sierot przy Grodzkiej mógł funkcjonować przez szereg lat. Początkowo dyrektorem sierocińca była pani Tojwenfeld, a później zastąpiła ją jej przyjaciółka – Hania Kuperfeld, kobieta niezwykle oddana swej pracy. Została ona zamordowana przez Niemców w 1941 roku wraz z jej podopiecznymi, dziećmi i starcami, na Woli Kalinowszczyźnie. Hitlerowcy na oczach Hani zabijali dzieci, a ją samą zamordowali na końcu.

„Po drugiej stronie Bramy Żydowskiej rozpoczynała się ulica Krawiecka, będąca «wrotami do ludu»..." W głębi widoczny wylot ul. Zamkowej, Krawiecka zaczynała się za prawym rogiem. Reprodukcja powojennej pocztówki. Fot. dr T. Przypkowski. Ze zbiorów TNN.

Idąc w kierunku ulicy Nowej, mijało się kościół pod wezwaniem bł. Kolberga, a naprzeciwko niego stał budynek, w którym mieścił się Ha-Zomir[4]. Tuż za nim wznosiła się górka, a obok niej lodowisko. Dzieci żydowskie zjeżdżały z górki na saneczkach lub nawet bez nich, prosto na ulicę Kowalską. Na górce tej mieszkała Prili Hejfa, która wypiekała z żytniej mąki gorące ciasteczka z masłem. Były one bardzo popularne w Lublinie, podobnie jak cienkie wafle cebulowe. Po prawej stronie ulicy Grodzkiej, na końcu której stała księgarnia Nissenbauma, ciągnęła się równolegle do Domu Sierot ulica zwana „Przy Łazarzu". Tam, jeśli wierzyć temu co, mówiło się w Lublinie, grasowali ludzie ze świata przestępczego, zwani „ludźmi przemocy" (*kojech gejers*), którzy gwałcili młode Żydówki.

Po drugiej stronie Bramy Żydowskiej[5] rozpoczynała się ulica Krawiecka, będąca „wrotami do ludu", zabudowana małymi chatami z drewna lub smoły, które naprawdę stały na kurzych nóżkach. Po prawej stronie ulicy Krawieckiej, poniżej jej poziomu, w niewielkiej odległości od „Klasztoru Żydowskiego" rozciągał się krajobraz Woli Kalinowszczyzna, przepięknego, zielonego przedmieścia ostro kontrastującego z szarzyzną biednych dzielnic.

Na końcu ulicy Krawieckiej stała łaźnia Cukiermana, z której w sobotnie wieczory i w święta rozlegał się hałas. Czynili go Żydzi, którzy podczas kąpieli uderzali się kłującymi miotełkami chrustowymi, wykrzykując: „Zimno, jeszcze jedno wiadro wrzątku".

Przechodzimy stamtąd wąskim, przełamanym mostkiem zawieszonym nad małym strumieniem, którego wody wyschły już dawno temu, i docieramy do

[3] *Ha-Tikwa* – pieśń syjonistyczna, która stała się hymnem Izraela.

[4] Ha-Zomir – Lubelskie Żydowskie Towarzystwo Muzyczno-Literackie założone w 1908 roku. Jego siedziba znajdowała się przy ul. Złotej 5 (Stare Miasto).

[5] Brama Żydowska – inaczej Brama Grodzka [przyp. red.].

ulicy Ruskiej, na której stoi prawosławna cerkiew. Naprzeciwko niej widać ulicę Szeroką i Kowalską, a za ulicą Jateczną (*Jatke gas*) – Lubartowską. Z ulicy Szerokiej przechodzimy podwórkami na ulicę Nadstawną, słynącą z bardzo dużej liczby chederów. Niemalże w każdym domu mieści się cheder, a w nim mełamed ze skórzanym rzemieniem i grupka psotników, a wśród nich wielu z wetkniętymi w czapeczki piórkami. Była to kara za to, że zirytowali rodziców lub mełameda, lub za to, że nie przerobili żądanego fragmentu Chumaszu[6]. Od bladego świtu do późnej nocy, latem i zimą z chederów rozlegały się głosy uczniów powtarzających za nauczycielem wersety z ksiąg Tory. Na ulicy Szerokiej, na którą przechodzimy z Ruskiej, widzimy synagogi Maharszal i Maharam oraz Talmud-Torę, przylegającą do nich z tyłu. Jej uczniowie podczas przerw bawili się często błotem przy kanałku kanalizacyjnym na posypanym piaskiem podwórku Talmud-Tory.

„...widzimy synagogi Maharszal i Maharam oraz Talmud-Torę, przylegającą do nich z tyłu. Jej uczniowie podczas przerw bawili się często błotem przy kanałku kanalizacyjnym na posypanym piaskiem podwórku Talmud-Tory."
Obie synagogi mieściły się pod jednym dachem, przy ul. Jatecznej, zaraz przy zboczu wzgórza zamkowego. Na zdjęciu makieta Wielkiej Synagogi wykonana przez Tomasza Krajewskiego, zwycięzcy w konkursie modelarskim zorganizowanym przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN". Fot. Marta Kubiszyn.

O ile świszczący rzemień i ciągnięcie za uszy aż do krwi były najskuteczniejszymi metodami pedagogicznymi w chederach ulicy Nadstawnej, o tyle w Talmud-Torze takie zachowanie uważane było za znęcanie się nad dziećmi.

Nie należy zapomnieć o ulicy Furmańskiej z jej tragarzami i woźnicami, z Abrahamem Hojsziwo, który zasłynął dzięki temu, że ukrócił poczynania największego lubelskiego chuligana – Motyki. Nie zapomnijmy też o ulicy Lubartowskiej, przedzielonej na wysokości ulicy Jatecznej mostkiem nad rzeką, o ulicy która wyprowadzała nas z Miasta Żydowskiego na nieżydowskie ulice Lublina. Lubartowską cechowała duża liczba sklepów i wieczny tłok. Była to ulica długa i ciągnęła się przez dużą część miasta. To właśnie przy niej stała Jesziwat Chachmej Lublin, szpital żydowski i plac tartaczny, miejsce tzw. *ha-chszary*[7], będące własnością organizacji młodzieżowej Ha-Szomer-Ha-Cair. Tak wyglądał żydowski Lublin, otoczony Czechowem, Czwartkiem oraz cmentarzami żydowskimi – starym i nowym.

Dziś tego Lublina już nie ma. Dziś, kiedy stoisz na skrzyżowaniu ulic Nowej i Lubartowskiej, czy Lubartowskiej i Kowalskiej, ulic, które kiedyś tętniły żydowskim życiem, widzisz tylko pusty, wyburzony plac, a na nim ruiny zamku ostałe jako symbol męki i żalu.

[6] Pięcioksiąg Mojżesza.

[7] *ha-chszara* – miejsce, gdzie przyuczano młodzież z ugrupowań syjonistycznych do pracy fizycznej [przed wyjazdem do Palestyny – przyp. red.].

Abraham Cwi Mizies

Zaułek (*dos Gesl*)

Do momentu wybuchu pierwszej wojny światowej Żydzi lubelscy mieszkali w charakterystycznej dzielnicy, zwanej przez ludzi po prostu „dzielnicą żydowską". Mimo iż nie była to dzielnica zamknięta, tylko nieliczni Żydzi zdecydowali się otworzyć sklepy w dzielnicy chrześcijańskiej. Natomiast ci, którzy tam zamieszkali, wywodzili się z kół inteligencji żydowskiej. Byli to najczęściej prawnicy i lekarze, jednak większość tych ostatnich pozostała pośród swoich – w dzielnicy żydowskiej. Prawie wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy w ogóle nie

wychodzili poza jej obręb, nie kontaktowali się z mieszkańcami dzielnic chrześcijańskich i żyli w sposób nakazany przez tradycję. Wszyscy Żydzi, oprócz inteligencji, ubierali się w tradycyjny sposób – nakładali kapotę, a na głowie nosili żydowską czapkę. Mówiono tutaj w jidysz. Szabat władał całą dzielnicą żydowską. W momencie, gdy zachodziło piątkowe słońce i zbliżał się czas zapalania szabasowych świec, zamykano wszystkie sklepy i wracano do domów, aby uczcić ten świąteczny dzień.

Żydzi nadawali swym ulicom własne określenia, nie wiedząc nawet czasami, jak brzmią ich nazwy oficjalne. Często nazwa żydowska była dosłownym tłumaczeniem z języka polskiego, na przykład: *Hintern Szlos* (Za Zamkiem) to Podzamcze, a *Di Jatke Gas* to ulica Jateczna. Czasami tłumaczenie było niedokładne, jak w przypadku ulicy Ruskiej, którą nazywano *Rajsze*.

Bardzo często między nazwą oficjalną a nazwą, jaką wymyślili Żydzi, nie było w ogóle podobieństwa. Ulicę Szeroką zwano „ulicą Żydów" (*Jidn Gas*), a większość nie wiedziała nawet, że nazwa *dos Gesl* (Zaułek) jest określeniem ulicy Nadstawnej. Dla Żydów był to po prostu Zaułek, w którym każde żydowskie dziecko stawia swe pierwsze kroki w nauce Tory.

Chciałbym teraz o nim opowiedzieć.

Zaułek położony jest w sercu żydowskiego Lublina i zaliczany jest do uliczek niewielkich. Z jednej strony graniczy z bazarem żydowskim.

Na terenie Miasta Żydowskiego znajdowały się dwa bazary – polski, ciągnący się wzdłuż ulicy Nowej aż do zegara miejskiego, i bazar żydowski, mieszczący się przy ulicy Lubartowskiej, niedaleko od rzeczki przecinającej ją na pół. Czemu bazary te nazywały się „polski" i „żydowski"? Pierwszy z nich mieścił się w niedalekiej odległości od dzielnicy chrześcijańskiej i jatki znajdujące się na tym bazarku były własnością chrześcijan. Drugi natomiast położony był w samym środku dzielnicy żydowskiej, a jego jatki należały do żydowskich rzeźników i sprzedawano tam koszerne mięso. Chłopi przywożący codziennie warzywa i drób na obydwa bazarki świetnie odnajdywali się w zwyczajach żydowskich i zaopatrywali tę dzielnicą przez wszystkie pory roku – przed Jom Kippur przywozili drób, przed świętem Pesach jajka, drób itd.

Między bazarkiem żydowskim a Zaułkiem przepływa rzeka[8], w której kobiety prały bieliznę. Po drugiej stronie Zaułku ciągnęła się wąska uliczka, zwana wtedy *dos Aptejk gas* (ulica Apteczna), która wiła się za domami ulicy Cyrulicznej i Żydowskiej. Na Aptejk Gas, tuż za synagogą Kotlarzy, mieściła się apteka zwana „Apteką Żydowską", mimo że jej właściciele nie byli Żydami.

Wszystkie dzieci, chłopcy i dziewczynki od trzeciego roku życia ciągnęły w kierunku Zaułka, aby pod okiem mełameda uczyć się alfabetu. (W okresie tym także dziewczynki mogły uczyć się w chederach.) Na ulicy tej mieściły się przeróżne chedery – dla dzieci najmłodszych, chedery gdzie uczono Chumaszu, i chedery, w których studiowano Gemarę.

W chederach dla najmłodszych dzieci w wieku od trzech lat uczyły się kaligrafii. Kiedy osiągały piąty rok życia, przechodziły do „chederów Chumaszu", a później do klas starszych, w których zgłębiały Gemarę i przygotowywały się do Tosafot[9].

Mełamedzi nie tylko uczyli w chederach, ale wraz ze swoimi rodzinami także w nich mieszkali. Ci, którzy uczyli dzieci najmłodsze, zajmowali parter ze względu na wygodę i bezpieczeństwo. Liczba dzieci uczących się u tych mełа-

[8] Czechówka.

[9] *Tosafot* – okołotalmudyczne komentarze [przyp. red.].

medów nie była ograniczona. Przyjmowano każdego, kto tylko chciał, nie było też ustalonych dat przyjmowania uczniów. [...]

Mełamedzi chederów dla dzieci najmłodszych zatrudniali często dwóch asystentów. Pierwszy z nich, starszy, pomagał mełamedowi w nauczaniu i otrzymywał pensję w części od niego, a w części od rodziców dzieci. W większości przypadków był to *awrech*, młody student jeszywy, przygotowujący się do zawodu mełameda. Kiedy mełamed chederu kończył swą pracą ze względu na podeszły wiek, student zajmował jego miejsce. Drugi pomocnik był młodym chłopcem i jego obowiązkiem było przyprowadzanie dzieci do chederu i zabieranie ich do domu po zakończonych lekcjach. Zimą, gdy drzewo pochylone nad rzeką, pełniące funkcję kładki, pokryte było zamarzniętą wodą wylaną z wiader ludzi czerpiących ją z rzeki, dzieci przechodzące przez nie narażone były na duże niebezpieczeństwo. Zadaniem młodszego pomocnika było więc przenoszenie każdego dziecka na drugą stronę rzeki.

Obydwaj asystenci żywili się u rodziców dzieci, każdego dnia u innej rodziny.

Młodsi pomocnicy mieli zwyczaj przynoszenia dzieciom bączków chanukowych, kołatek na Purim, a na Simchat Torę chorągiewek i otrzymywali za to zapłatę od rodziców dzieci. W Purim przekazywali prezenty purimowe, jakie wzajemnie robili sobie mełamedzi i rodzice.

W chederach dla najmłodszych nauka trwała do momentu, gdy na niebie świeciło słońce. Dzieci starsze, w chederach Chumaszu, uczyły się nawet zimowymi wieczorami i kiedy wracały do domu, musiały oświetlać sobie drogę latarkami. Ponieważ mełamedzi mieli zwyczaj uczyć każde dziecko z osobna, większość uczniów całe dnie bawiła się na podwórku i tylko od czasu do czasu wzywani byli przez mełameda lub pomocnika.

Mełamedzi szczególnie dbali o to, by inspektor szkolny, którego spodziewano się z reguły w określonych godzinach, nie natknął się na dużą gromadkę dzieci beztrosko hasającą przed chederem. Każda wizytacja inspektora wzbudzała panikę. Mełamed pospiesznie przerywał lekcję, nakazywał dzieciom, aby rozbiegły się na wszystkie strony i broń Boże nie mówiły, gdzie się uczą. Podniecone i wystraszone dzieci zbiegały ze schodów i niejednokrotnie podczas takich ucieczek robiły sobie krzywdę.

Czas wolny dzieci uczących się Chumaszu był bardziej ograniczony, ponieważ musiały poświęcać dużo więcej godzin na swoją naukę niż trzylatki. W tego rodzaju chederach mełamed także potrzebował pomocy awrecha ze względu na nieograniczony limit miejsc, nie było natomiast potrzeby zatrudnienia asystentów młodszych. Dzieci w tym wieku same przychodziły do chederu i same wracały do domu. [...]

„Między bazarkiem żydowskim a Zaułkiem przepływa rzeka, w której kobiety prały bieliznę."
Na pierwszym planie ul. Nadstawna (Zaułek). Powyżej ul. Furmańska. Po przekątnej Czechówka, a za nią targ żydowski z charakterystycznym rzędem jatek. Ze zbiorów Jakuba Kamińskiego.

Wraz z nadejściem tych świąt nastawał dla mełamedów trudny okres Zmuszeni byli wtedy zajmować się pozyskiwaniem nowych uczniów do swych chederów, co w rezultacie oznaczało, czy będą mieli dostateczne źródło utrzymania na następny rok. Lekcje w tym czasie nie odbywały się, a mełamedzi odwiedzali rodziców w ich domach.

Z chederów Chumaszu dzieci przechodziły do chederów Gemary, w których nadal uczyły się Chumaszu, a także Rasziego i Gemary. Nauka w chederach Gemary trwała około dwóch lat, a mełamedzi nie potrzebowali pomocy asystentów. Przyjmowano określoną liczbę dzieci i często zdarzało się, że ojcowie zanim wysyłali swe dziecko do chederu Gemary, sprawdzali, czy nie jest on przepełniony. Przyjmowano, że optymalna liczba uczniów w chederze tego typu to dwanaście – trzynaście osób.

W każdym chederze były chwile radości i święta. [...] Matki rozdawały uczniom słodycze w dniu, gdy po raz pierwszy przyprowadzały swoje dzieci do chederu. Dużo większym wydarzeniem był dzień, gdy dziecko zaczynało naukę Chumaszu. Święto to nazywano po prostu „Rozpoczęcie Chumaszu" i organizowano je w szabas tego tygodnia, w którym dziecko kończyło pięć lat.

„Po prawej stronie ulicy Krawieckiej [...] rozciągał się krajobraz Woli Kalinowszczyzna, przepięknego, zielonego przedmieścia ostro kontrastującego z szarzyzną biednych dzielnic."
Kalinowszczyznę z Lublinem

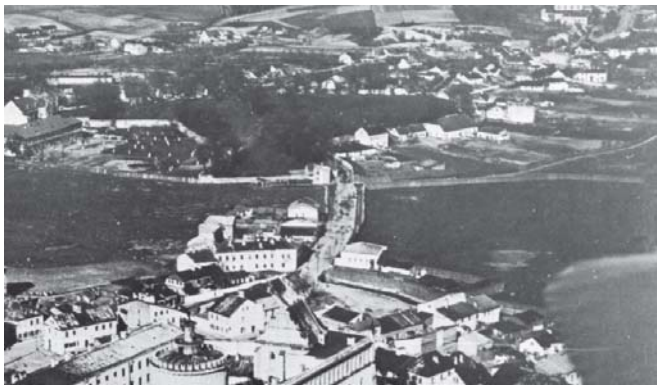

łączyła ul. Sienna, do której dochodziła Krawiecka, obiegająca Zamek z prawej strony. Łąki rozciągały się tam, gdzie jeszcze w piętnastym wieku i później były stawy i mokradła. Fragm. fot. z arch. WOSOZ Lublin.

Zarówno dzieci, jak i ich rodzice przygotowywali się do tego święta przez długi czas. Dziecko uczyło się na pamięć pierwszego wersetu *Waikry*, dlatego że tym zdaniem trzeba było odpowiadać na pytania zadawane przez *meworachim* (dzieci specjalnie przygotowane przez mełameda do zadawania tych pytań).

W godzinach popołudniowych szabatu, w który przypadało „Rozpoczęcie Chumaszu", zaproszeni goście zbierali się po to, aby usłyszeć wystąpienie dziecka. Obecni przy tym byli także mełamed, jego asystent i grupka dzieci z chederu (mełamed nie przyprowadzał wszystkich dzieci i na każdą ceremonię tego typu zabierał inną grupkę).

Chłopca w jedwabnej czapeczce na głowie, ubranego w świąteczną atłasową kapotę i opasanego jedwabnym paskiem, stawiano na stole. Bohater dnia, wyglądający jak dorosły chasydzki mężczyzna, stał naprzeciwko *meworachim*, którzy zadawali mu pytania. Po zakończeniu dialogu wszystkie dzieci biorące udział w ceremonii dostawały kolorowe torebki ze słodkościami, natomiast „chumaszowy chłopiec" dostawał porcję podwójną. Wręczano mu dwie torebki z łakociami, jedną w kolorze złotym, drugą w srebrnym.

W chederze Gemary nie odbywały się wyżej wymienione uroczystości, przygotowywane były natomiast małe uczty. Odbywały się one zimowymi wieczorami po skończonej nauce, jak też i przed świętem Pesach. Każde dziecko przynosiło parę groszy i żona rabina przygotowywała posiłek złożony z ciastka i szklaneczki wina. W chederach Gemary uczty odbywały się przy długim stole i raczono się na nich rybami i mięsem.

Trzydziesty trzeci dzień miesiąca *omer*[10] był świętem obchodzonym we wszystkich chederach bez wyjątku. Urządzano wtedy wycieczki za miasto i każde

[10] *Omer* to okres 7 tygodni między drugim dniem Paschy a świętem Szawuot, czyli dniem Pięćdziesiątnicy, kiedy Żydzi otrzymali Torę na górze Synaj (w chrześcijaństwie odpowiada to okresowi między Wielkanocą a Zesłaniem Ducha Świętego). Dni tego okresu symbolizują wstępowanie Izraela po 49 stopniach prowadzących z głębi duchowej nieczystości w Egipcie do czystości odpowiadającej nadaniu Tory. Jest to czas postu związany m.in. z tym, że według tradycji w okresie pierwszych 33 dni omer w II w. n.e. zmarło 24 tysiące studentów Rabbiego Akivy. Post przerywany jest właśnie 33. dnia (Lag Ba-omer), który upamiętnia śmierć Szymona Ben Jochaja, palestyńskiego mistyka z II w. n.e., któremu przypisuje się nauki

dziecko zabierało ze sobą czerwono pomalowane jajko[11] (aby otrzymać taki kolor, gotowano jajko w wodzie z łuskami cebuli). Mełamed wynajmował dorożkę, dzieciaki wsiadały do niej i wyjeżdżano z Lublina. Po jednej stronie dorożki usadawiał się mełamed, a z drugiej strony asystent, aby pilnować wychylające się z dorożki dzieci i chronić je przed wypadnięciem. Już na miejscu dzieci mogły wyhasać się do woli i zjeść jajka przywiezione ze sobą.

W Zaułku znajdowało się parę sklepów spożywczych, w żaden sposób nie oznaczonych, bez szyldów i napisów. Przez szare szyby trudno było dostrzec ich wnętrza. W takim sklepie stał worek z solą, kilka kilogramów cukru i trochę nafty. Na półkach leżało kilka bochenków chleba, a na blasze wafle, ciastka i różnego rodzaju słodycze. Sklepiki utrzymywały się dzięki dzieciom z chederów. Konkurencję robiły im sklepy otwierane przez żony mełamedów. W nich także można było kupić słodycze i kobiety starały się zachęcać małych klientów do kupowania właśnie tutaj. Oprócz tego po obu stronach Zaułka stały stoły z ciastkami i cukierkami i tu także klientami były dzieci z pobliskich chederów.

Lekcje w chederze odbywały się najczęściej w dużym pomieszczeniu. W jednym jego kącie siedział mełamed z grupą dzieci, a w kącie drugim jego asystent z drugą grupą. Wyposażenie chederu stanowiły stoły i ławki. Na ścianie wisiało zezwolenie na działalność chederu wydane przez inspektora szkolnego oraz portret cara Mikołaja II. Kilka razy w miesiącu przychodził do chederu nauczyciel języka rosyjskiego. Na jego lekcjach dzieci uczyły się rosyjskich pieśni i hymnów pochwalnych ku czci cara i jego rodziny. Podczas każdej wizytacji inspektora mełamed i jego uczniowie z werwą wyśpiewywali jedną z tych pieśni oraz hymn rosyjski i w ten sposób przebiegało egzaminowanie uczniów.

W Zaułku prawie zawsze panował gwar i harmider, sprawcami których były dzieci chederowe, a także chasydzi ściągający tutaj do cadyka Abrahama Eigera. Najwięcej chasydów przybywało do niego w święta. Ubrani w lisie czapki i czarne chałaty, tworzyli niepowtarzalną atmosferę, jakiej nie dało się odczuć w pozostałe dni roku.

księgi *Zohar*. Śmierć w rozumieniu mistycznym jest wydarzeniem radosnym, ponieważ oznacza „zaślubiny", zjednoczenie duszy z Bogiem (za: A. Uterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, Warszawa 2000). Dzień ten obchodzono też jako święto ucznia, upamiętniając chłopca, który, wg relacji z Talmudu, „w czasie oblężenia Jerozolimy przez Nabuchodonozora (586 p.n.e.) strzelił do jednego z dowódców, czym spowodował panikę i odstąpienie wojsk nieprzyjacielskich. Tego dnia dzieci nie uczyły się, lecz wraz z nauczycielami opuszczały szkołę, aby na dworze bawić się w wojnę z wojskami Nabuchodonozora" (za: A. Cała, H. Węgrzynek, G. Zalewska, *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*, Warszawa 2000). Z dniem tym związanych jest szereg zwyczajów i „każdy powinien postępować wedle zwyczajów obowiązujących w jego rodzinie i społeczności" (za: E. C. Abrahamson, *Sefiras HaOmer*, http://members.aol.com/Lazera/sefira.htm) [przyp. red.].

[11] Z jajkiem jako pokarmem w judaizmie związana jest symbolika żałobno-postna [przyp. red.].

Mosze Kac

Ulica Ruska

Nie znam historii tej ulicy ani nie wiem dokładnie, skąd pochodzi jej nazwa. Prawdopodobnie stąd, że znajdowała się na niej rosyjska cerkiew. Żydzi zjudaizowali nazwę tej ulicy i mówili na nią *Rajsze*. Cerkiew nie przyciągała zbyt wielu odwiedzających. W każdą niedzielę przybywali tutaj na modlitwę prawosławni żołnierze ósmej brygady, która stacjonowała w Lublinie, w pozostałe dni tygodnia cerkiew niemalże świeciła pustkami.

Budki z wodą sodową i sokiem oraz dwie piwiarnie, które znajdowały się na Ruskiej, czekały na niedzielę, aby trochę zarobić dzięki tym, którzy przyjdą na nabożeństwo. Atmosfera panująca wśród wyznawców prawosławia była wręcz przyjacielska i często po odprawionych nabożeństwach spacerowano przez długie godziny wzdłuż ulicy *Rajsze*.

Połączona była ona z pobliskimi ulicami, będącymi sercem „żydowskiego Lublina" – z ulicą Szeroką (ulica Żydowska), Lubartowską, bazarem żydowskim oraz przedmieściem Wola, miejscem, w którym znajdowało się kilka żydowskich garbarni.

Ruska nie była ulicą handlową. Jej mieszkańcy – robotnicy, rzemieślnicy i kramarze – poza stróżami domów wszyscy byli Żydami. Dwa razy do roku *Rajsze* zapełniała się tysiącami Żydów lubelskich. Działo się tak w jomkippurowy wieczór oraz w święto Tisza be-Aw[12]. Zmierzali oni w kierunku cmentarzy żydowskich – starego i nowego, jednak w święto Tisza be-Aw większość zbierała się na cmentarzu starym. W tych dniach także pozostałe ulice Miasta Żydowskiego były pełne jego mieszkańców. Najzamożniejsi z nich pojawiali się nawet na dorożkach, większość jednak decydowała się na spacer, albowiem po drodze można było spotkać znajomego, uciąć krótką pogawędkę o tym i o owym.

Szereg instytucji mieszczących się na ulicy Ruskiej dodawał jej ważności. Na Ruskiej 2 znajdowała się jesziwa rabbiego Barucha Kockera, a przy Ruskiej 18 Szkoła Ludowa imienia Borochowa, gdzie wieczorami odbywały się kursy dla dorosłych. Zajęcia te organizowane były przez towarzystwo „Lekcje Wieczorne"[13].

Dom z numerem 34 był siedzibą kilku związków zawodowych robotników żydowskich – na przykład rymarzy, piekarzy, garbarzy itd. Naprzeciwko tego budynku mieściła się synagoga bractwa „Bikur Cholim"[14].

Przełożeni tej synagogi oraz jej szamesi także mieszkali na ulicy Ruskiej i nigdy nie było problemu z zebraniem się minjanu na modlitwę wieczorną, a tym bardziej na nabożeństwa szabatnie lub świąteczne.

Jesziwa, synagoga, szkoła ludowa i żydowskie związki zawodowe nadawały tej biednej, skromnej uliczce kolorytu i różnorodności i na każdym kroku czuło się niepowtarzalną atmosferę ulicy Ruskiej.

[12] Dzień, w którym zmarł Widzący z Lublina, oraz dzień, w którym dwukrotnie zburzono Świątynię Jerozolimską (568 p.n.e. i 70 n.e.). Jest on symbolem wszelkich prześladowań i nieszczęść narodu żydowskiego.

[13] Towarzystwo Kursów Wieczornych powołane zostało na podstawie statutu zatwierdzonego w 1926 roku. Do chwili likwidacji w 1933 roku powołało na terenie całego województwa 20 swoich oddziałów w 10 powiatach. Największą popularność zyskało sobie w środowiskach robotniczych. Ze względu na swój lewicowy charakter było zwalczane przez ortodoksów, jak i syjonistów. Na czele zarządu mieszczącego się przy Ruskiej 18 stał Szlome Mittelman.

[14] „Bikur Cholim" („Wspieranie Chorych") – filantropijna żydowska organizacja społeczna, której celem było wspieranie biednych, chorych Żydów. Lubelska siedziba tej organizacji mieściła się przy ul. Bramowej 6. Stowarzyszenie liczyło 260 członków. Udzielało pomocy mieszkańcom przedmieść Bronowice, Kośminek oraz ulic Foksal i Bychawskiej. Najczęściej pomoc polegała na pokryciu części kosztów lekarstw i leczenia.

Cia Flam-Franenberg

Spółdzielczość mieszkaniowa „Spółdom"

Któż nie pamięta pięknego, dużego budynku na ulicy Probostwo 19?

Budynek ten nie był jedynym w całości zamieszkanym przez Żydów domem, lecz wyróżniało go to, iż nawet jego stróż był Żydem. Zdobył to stanowisko na drodze walki z gojowskim związkiem stróżów (obowiązywała zasada *numerus nullus*[15]).

Wszyscy mieszkańcy tego domu, trzydzieści sześć rodzin, chętnie pozwalali, aby ich dzieci (40-50) bawiły się z trójką dzieci ubogiego szewca Arina – stróża „Spółdomu".

Te cztery duże oficyny otoczone były parkami, sadami oraz rzeką i kiedy skręcało się z ulicy Lubartowskiej na Probostwo, od razu czuło się powiew świeżego, czystego powietrza. „Spółdom" zbudowany został w latach 1928-1930. Istotny wkład w jego budowę mieli późniejsi jego lokatorzy z energicznym Lejbuszem Glibterem i inżynierem Bakarem Braszerem na czele. Ogromny wysiłek przyczynił się do szybkiego osiągnięcia zamierzonego celu i wnet oddano do użytku rodzinom żydowskim około czterdziestu dużych mieszkań.

[15] *numerus nullus* (łac. liczba żadna) – całkowite niedopuszczenie pewnych grup kandydatów na studia, do urzędów itp. (www.slownik-online.pl/kopalinski) [przyp. red.].

Nowe miejsce było atrakcyjne nie tylko ze względu na czystość powietrza. Wszyscy żyliśmy tutaj jak jedna wielka rodzina.

Mieliśmy klub (z radiem, telefonem i stołem do ping-ponga), gdzie spotykaliśmy się, aby spędzić większość naszego wolnego czasu. Często słuchaliśmy tam ciekawych wykładów i rozmawialiśmy o aktualnych problemach. Niejeden raz prowadziliśmy zawiłe dyskusje na tematy polityczne i, jak to jest w zwyczaju Żydów, tak długo wodziliśmy oczami po zebranych, aż znajdowaliśmy wśród nich zwolenników wszystkich partii i prądów politycznych. Spotykało się tam Jakowa Kantora, przywódcę Mizrachi Lublin, Mosze Gerdela, prowadzącego partię ludową, Altera Winberga, zięcia rabbiego z Białej, członka Agudat Israel, oraz Goldbauma, zwolennika Bundu.

Wszyscy dyskutujący na zawsze pozostaną w mej pamięci jak żywi, a moja tęsknota za nimi wciąż jest ogromna.

„Spółdom" miał nawet swój *bet ha-midrasz* z babińcem, zwierzchnikiem jego był Blejndera, a żydowski stróż służył w nim przez pewien czas jako szames. Wiele kobiet i wielu mężczyzn ściągało nawet z bardzo daleka do „Spółdomu" na Jamim Noraim, aby posłuchać śpiewów i modlitw chazana, wynajętego na te dni.

„Któż nie pamięta pięknego, dużego domu na ulicy Probostwo 19?"
Zakręcająca ulica to Probostwo. Na dole ul. Lubartowska i fragment żydowskiego targu. Na górze z prawej – „Spółdom". Ze zbiorów Jakuba Kamińskiego.

Jednym słowem – „Spółdom" był małym żydowskim królestwem w środku gojowskiej ulicy. Antysemickie zachowania dawały się tutaj zaobserwować rzadko. Dlatego uczniowie żydowskich szkół często przychodzili tu i spacerowali po naszym placu przed „Spółdomem", a żydowskie dzieci grały w piłkę nożną. Letnimi popołudniami całe żydowskie rodziny przybywały, aby wypocząć w naszym parku. A gdzież, jak nie przy „Spółdomie", brodaty Żyd w długiej kapocie mógł spać na trawie snem sprawiedliwego w szabasowe popołudnie? Tutaj nikogo nie dosięgły proce chuliganów i ukąszenia rozwścieczonych psów.

W latach 1937-1938 nasiliły się antysemickie ataki i rozpoczął się okres pikietowania przy żydowskich sklepach i rozbijania ich wystaw (w Warszawie dochodziło nawet do podpalania benzyną wózków dziecięcych stojących w sklepach). Wtedy matki przestały pozwalać swym dzieciom na bawienie się w lubelskim Ogrodzie Saskim i zaczęły zaprowadzać je do „Spółdomu".

Niejeden z nas, patrząc z balkonu na setki żydowskich dzieci i młodzieży, bawiących się wokół „Spółdomu", rozmyślał: „Prawdopodobnie tak to wszystko wygląda w Izraelu".

Z całego kolektywu „Spółdomu" przeżyłam ja, mój mąż Berisz i dwójka naszych dzieci – Sara i Heniek. Cudem uratowaliśmy się w Warszawie. Oprócz nas pozostało przy życiu dwóch synów Mosze Gerdela – Izrael i Emanuel, którzy uciekli do Związku Radzieckiego. Jedyni, którzy ocaleli...

Serce łka na wspomnienie tych wszystkich ze „Spółdomu", których straciliśmy – malutkiej cząstki wielkiego łańcucha, jakim był żydowski Lublin. Straciliśmy uzdolnionych muzyków, dwóch synów Emanuela Nojmana, kierownika szkoły „Bejt Jaakow", zginął Heniek Dejtszer, reporter „Małego Przeglądu" (cotygodniowego dodatku dla dzieci do żydowsko-polskiego dziennika „Nasz Przegląd"), zginął też Szlomo Winberg, artysta plastyk, wnuk rabina z Białej i dziesiątki innych dzieci tego domu, które przyniosłyby dumę i sławę naszemu narodowi.

Okazały budynek „Spółdomu" pozostał nieuszkodzony i jeszcze przez długi, długi czas będzie stał jak samotna macewa.

M. Szildkrojt

Przedmieścia Czechów i Wola

Do żydowskiego Lublina zaliczamy nie tylko ulice tego miasta, lecz także jego peryferie, w których mieszkają Żydzi.

Chociaż Żydzi z przedmieść stworzyli swoje instytucje i mieli swych przywódców, byli oni jednocześnie bardzo mocno związani z Żydami lubelskimi. Instytucje należące do Żydów lubelskich, takie jak szpital, dom sierot i starców, jesziwy, szkoły, zakłady dobroczynne były wspierane także przez Żydów z przedmieść. Brali oni też udział w przedsięwzięciach politycznych, czyli w wyborach do Sejmu, Rady Miejskiej, Rady Gminy Żydowskiej oraz w Kasie Chorych. W wyborach lokalnych każda partia polityczna starała się wciągnąć na swoją listę wpływowe osobistości z peryferii, aby zebrać w ten sposób większą liczbę głosów.

Czechów

Nazwa tego miejsca pochodzi od rzeki Czechówki przepływającej przez to przedmieście i wpadającej do Bystrzycy. Jej brzegi zarośnięte były rozległymi połaciami trawy, na których pasło się różnego rodzaju bydło. Ponieważ Żydzi raczej nie zajmowali się hodowlą bydła czy koni, czechowscy starozakonni hodujący takie zwierzęta nazywani byli „Kozami Czechowa".

Czechowscy Żydzi posiadali coś, czego nie miały Wola i Piaski – był to cmentarz. [...]

Na Czechowie, podobnie jak w pozostałych żydowskich przedmieściach Lublina, istniał szereg instytucji dobroczynnych, a także działała grupka młodzieży rewolucyjnej (pod szyldem instytucji prawniczych). Dużą aktywnością wykazywał się też klub sportowy „Wieniawa", a jego lewicujący szefowie często organizowali wykłady o tematyce sportowej i politycznej. Klub ten zdobył zaufanie wielu mieszkańców Czechowa.

„Gdy mieszkaniec Woli wychodził z domu, mówił: «idę na ulicę», natomiast mieszkaniec Czechowa mówił, że «idzie do miasta»".
Widok Lublina od strony Czechowa. Tam, gdzie nie było przedmieść, granica między miastem a wsią była bardzo ostra. Fot. Józef Czechowicz. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

Wola

[...] Na Woli mieściły się trzy duże garbarnie. Ich właścicielami byli Żydzi znani nawet poza granicami Lublina – Pesach Brokman, Sz. Zilbersztajn i Szmuel Ejchenbojm. W garbarniach tych pracowało około sześciuset robotników, w tym ponad trzystu Żydów. Stosunki między nimi a robotnikami nieżydowskimi były poprawne, obydwie grupy należały nawet do jednego zrzeszenia robotników. [...]

Większa część młodzieży wolskiej zatrudniona była Lublinie i tam też upływało prawie całe ich życie. [...] Gdy mieszkaniec Woli wychodził z domu, mówił: „idę na ulicę", natomiast mieszkaniec Czechowa mówił, że „idzie do miasta". [...] Wola połączona była z ulicą Ruską, Szeroką, Podzamczem i Błoniami. Błonie były własnością towarzystwa TOZ[16] i tysiące żydowskich dzieci spędzało tam swój wolny czas i wypoczywało w letnie dni.

Wola i Czechów, bogate w ludowy żydowski folklor, podzieliły los żydowskich ulic Lublina i zostały doszczętnie zniszczone.

[16] TOZ – Towarzystwo Ochrony Zdrowia Ludności Żydowskiej w Polsce. Udzielało porad lekarskich, prowadziło badania laboratoryjne, szczepienia, gabinet dentystyczny. Organizowało także odczyty, pogadanki, półkolonie przy ul. Siennej 3 oraz kolonie letnie i zimowe w Kazimierzu nad Wisłą.

Szloma Sztokfisz

Przedmieście Piaski

Dotychczas nie ukazała się większa praca dotycząca naszego przedmieścia Piaski, a przecież warto poświęcić mu jeden rozdział tej księgi, chociażby ze względu na jego bogaty żydowski folklor oraz barwne życie tutejszych Żydów. Piszący te słowa przyznaje, że nie jest w stanie zająć się wszystkimi dziedzinami tętniącego życiem przedmieścia, natomiast postara się opisać wszystko, co pozostało w jego pamięci. [...]

Skąd wzięła się taka nazwa? Najprawdopodobniej stąd, iż niemalże cały teren tego przedmieścia to po prostu piasek. [...]

Tereny od dworca kolejowego do mostu zaludnione były w przeważającej większości przez Żydów, na pozostałej powierzchni Piasków stanowili oni niewielki procent mieszkańców. [...] Mieściła się tutaj synagoga, *bet ha-midrasz* towarzystw „Glimut Chasidim"[17] i „Bikur Cholim" oraz ich domy modlitw zwane *sztiblechami*. [...]

Piaski były przedmieściem rzemieślników i robotników, bogacze i więksi handlowcy nie mieszkali tutaj w ogóle. Zajmowano się drobnym handlem (najczęściej sklepy spożywcze) i rzemiosłem (krawiectwo i szewstwo).

Do pierwszej wojny światowej w Piaskach, podobnie jak w innych tego rodzaju małych miejscowościach, panowało zacofanie i ciemnota. [...] O skali ciemnoty w Piaskach może świadczyć następujący fakt: Żydzi tego przedmieścia nazywali znanego przez wszystkich sanitariusza Zeliga Bergauta gojem żydowskim. Mimo że co tydzień chodził z dziećmi do synagogi. Zelig otrzymał takie przezwisko, ponieważ „dopuścił się trzech występków" – nosił krótkie ubranie, rozmawiał ze swoimi dziećmi po polsku i w szabat brał pieniądze od chorych. Z tych przyczyn miejscowi Żydzi odnosili się do niego z ogromnym dystansem.

Nowy duch wstąpił w Żydów w momencie wybuchu pierwszej wojny światowej, pod okupacją austriacką. Chęć czytania i dyskutowania o kluczowych problemach, realizowania marzeń o nowym, lepszym jutrze podniecała wyobraźnię młodych ludzi. Nagle podwórko synagogi, gdzie spędzili lata dziecięce, stało się zbyt ciasne. Zaczęła ich nęcić i przyciągać „ulica"[18], będąca symbolem wielkiego świata. Dla dzieci żydowskich rozpoczęło się nowe życie. Władze austriackie wprowadziły powszechny obowiązek nauki w szkołach podstawowych i zreformowały chedery. Dzięki reformom zaczęły znikać ciasne, duszne chedery, w których zmuszano dzieci do zajmowania się różnego rodzaju pracami i wypełniania obowiązków narzucanych przez żonę rabina. Ich miejsce zajęły chedery przestronne i obszerne, których celem było wyłącznie nauczanie dzieci.

Rozwój życia politycznego i społecznego nastąpił dopiero po roku 1918. W Lublinie zaczęły powstawać różne partie polityczne, koła i kluby. Młodzież Piask włączyła się w ten nurt i zaczęła brać czynny udział w życiu społecznym swego miasta, niestety, „na ulicy". Często wtedy dało się słyszeć naszą młodzież zaciekle dyskutującą o socjalizmie, syjonizmie, o partiach, o Marksie, Hercu, Leninie. Z otwartych okien warsztatów pełnych robotników rozlegały się tony *Ha-Tikwy*, *Międzynarodówki*, bundystycznych i syjonistycznych hymnów, pieśni niosących przesłanie wolności i nadziei.

W tym czasie na Piaskach nie istniały jeszcze tego typu partie i ugrupowania. Dopiero w 1923 roku z inicjatywy Chaima Lizmana i Simchy Anjera, dwóch

[17] „Gmilut Chasidim" – społecznie prowadzona, korzystająca z pomocy filantropów kasa udzielająca niskoprocentowych pożyczek Żydom, których dotknęły wydarzenia losowe lub ludziom, którzy potrzebowali pieniędzy w celach inwestycyjnych [druga synagoga nie opisana – przyp. red.].

[18] Mianem tym określano nieżydowską część miasta.

„Tereny od dworca kolejowego do mostu zaludnione były w przeważającej większości przez Żydów, na pozostałej powierzchni Piask stanowili oni niewielki odsetek mieszkańców".
Powyżej dworzec kolejowy oraz nowe zabudowania. Fot. ze zbiorów Wojciecha Turżańskiego. Poniżej ul. Bychawska, obecnie Wł. Kunickiego. W głębi widoczny wiadukt. Dziś widok ten jest podobny. Z lewej na pierwszym planie budynek zwany przed wojną „domem Izraelity", należący do kamienicznika noszącego taki przydomek (nazwisko?). Za widocznym na skraju zdjęcia płotem rozciągał się pusty ugór, skraj Lublina. Fot. ze zbiorów Janiny Kostarz.

szewców, komunistów z Za Przejazdem[19], zebrała się pierwsza nielegalna grupa uczniów i młodzieży pracującej. [...]

Po odbyciu długiej dyskusji zadecydowano o utworzeniu klubu sportowego. Dwóch jej uczestników zadeklarowało się, że pokryje wszystkie koszty związane z założeniem klubu. Ich zamierzenie było oczywiste: chcieli wykorzystać klub do celów politycznych, lecz młodzież Piask była bardziej zainteresowana meczami piłki nożnej, aniżeli włączeniem się w działalność polityczną. Zrezygnowano więc z dalszych prac nad przygotowywaniem tego klubu, a jakiś czas później powstał sportowy klub „Orzeł". Mimo iż od razu zyskał wielu zwolenników i sympatyków, prowadził działalność nielegalną, więc nie miał oficjalnej siedziby, a tym samym nie był w stanie sprostać zapotrzebowaniom kulturalnym młodzieży. Po trzech latach współpracy z przeróżnymi „dzikimi" klubami „Orzeł" przeszedł w ręce „Poalej Syjon" (odłam prawicowy) i zjednoczył się z grupą „Uliczni gracze". W tym okresie założono żydowski sportowy klub „Hapoel", działający aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Był to jeden z największych klubów Lublina.

Na Piaskach nie działał wtedy żaden klub, towarzystwo czy organizacja. Dopiero w latach 1929-1930 z inicjatywy grupy młodych maskili z Icchakiem Szpirą, działaczem „Poalej Syjon Lewicy" na czele zorganizowała założycielskie zebranie bezpartyjnego koła. [...] Na zebraniu tym postanowiono skierować do gubernatora okręgu wniosek o zalegalizowanie koła i w tym czasie zebrać pieniądze na budowę klubu. Organizacji nadano nazwę „Chog Perec". Na decyzję władz czekaliśmy prawie dwa lata (prawdopodobnie odstraszyła go właśnie bezpartyjność naszego towarzystwa), lecz pod koniec 1931 roku mogliśmy rozpocząć legalną działalność [...]. „Chog Perec" rozwijał się bardzo intensywnie i zdobywał popularność dzięki działalności kulturalnej – organizował wykłady, odczyty i dyskusje. [...] W kole tym kierowano się zasadą, że nie przyjmowano do swych szeregów robotników z tendencjami lewicowymi i w ten sposób starano się przypodobać ówczesnym władzom. Nie polepszyło to jednak sytuacji i w 1932 roku władze zawiesiły działalność klubu.

Upłynęło sporo lat, zanim pojawił się na Piaskach kolejny legalny klub. W 1934 roku narodził się pomysł założenia sportowego klubu, lecz ówczesna sytuacja polityczna nie pozwalała nowo powstającym legalnym klubom na zachowanie niezależności. Zwrócono się wtedy do sportowych klubów „Ejlat Haszachar" (Bund) i „Kochaw" („Poalej

[19] Część przedmieścia [przyp. red.].

Syjon Lewica") istniejących już od dłuższego czasu. Zorganizowano konferencję, w której wzięli udział ich przedstawiciele. Odbyła się ona w domu Nechemiasza Pejna przy ulicy Bychawskiej 3 i wzięło w niej udział kilku przedstawicieli Bundu – m.in. Dubiński i Nissenbojm. Podkreślili oni, że gotowi są na założenie filii „Ejlat Haszachar" na Piaskach pod warunkiem, że będzie to klub o tendencjach bundystycznych. Odbyła się burzliwa dyskusja, podczas której mieszkańcy naszego przedmieścia kilkakrotnie podkreślali, iż niezależność klubu jest sprawą podstawową oraz że ma on służyć interesom różnych partii politycznych, a nie tylko Bundu. Bund nie przyjął takich warunków, nie doszło więc do zrealizowania pomysłu. Po pewnym czasie intensywną działalność o charakterze kulturalno-towarzyskim rozpoczęła filia klubu „Kochaw".

Fantazja i witalność młodzieży były zadrą dla ówczesnych władz i w święto Pesach 1937 roku zamknięte zostały wszystkie lubelskie kluby lewicowe, takie jak „Tor" (PPS), Żydowski Klub Sportowy „Wieniawa" oraz nasza filia Klubu „Kochaw". Większość działaczy tych klubów aresztowano i zamknięto w więzieniach na długie lata[20] za działalność komunistyczną. Od tamtej pory działały tylko wspomniane już wyżej charytatywne i religijne towarzystwa wspomagające najbiedniejszych mieszkańców Piask oraz przedstawiciele kahału Szejela Erlichman, Eija Tofel i Josef Kalwas.

Działali aż do najazdu hitlerowców. Wtedy wymordowano prawie wszystkich Żydów i zburzono żydowskie miasta i miasteczka, wśród których było także nasze ulubione przedmieście Piaski.

Z hebrajskiego tłum. Sylwia Bojczuk[21]

[20] Chodzi o czasy powojenne [przyp. red.].

[21] Fragmenty pracy magisterskiej Sylwi Bojczuk (patrz przypis na końcu poprzedniego tekstu). Ilustracje i podpisy pochodzą od redakcji „Scriptores". Pisownia nazwisk i nazewnictwo w większości zachowane bez zmian.

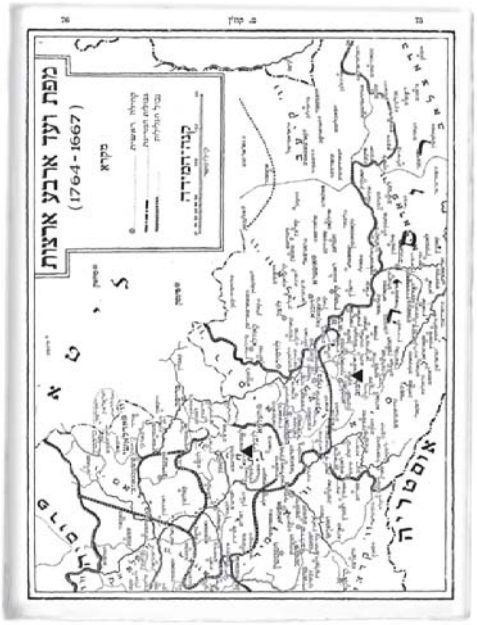
מפת ועד ארבע ארצות
(1764-1667)
מקור
קהילות הנמנות עם ועד ארבע הארצות
קהילות שאינן נמנות עם ועד ארבע הארצות
גבול פולין
גבול ליטא
גבול מחוז פודוליה
גבול מחוז וולין
גבול מחוז קייב
גבול מחוז ברסלב
גבול מחוז פודוליה
גבול מחוז וולין
גבול מחוז קייב
גבול מחוז ברסלב
פולין
ליטא
אוסטרליה
מולדביה
רוסיה

2 1

4 3

Kilkudziesięcioletni okres wymazywania pamięci o lubelskich Żydach pogłębił niewiedzę o bogactwie ich kultury. Dziś powinniśmy szukać odpowiedzi nawet na najbardziej podstawowe pytania.

Robert Kuwałek

Czy Lublin miał żydowskie elity?

Przez lata prawie w ogóle nie wspominało się w publikacjach, że wśród lublinian, którzy coś znaczyli dla miasta lub regionu, było wielu Żydów. Pamięta się o Franciszce Arnsztajnowej (poetce), Henryku Wieniawskim (skrzypku) czy Michale Arccie (lekarzu). Zainteresowani potrafią jeszcze wymienić cadyka Jakuba Izaaka Horowitza, czyli „Widzącego z Lublina", i rabina Meira Szapiro, twórcę Jesziwas Chachmej Lublin. A przecież nie przez przypadek mówiło się o Lublinie „żydowski Oxford" czy „Jerozolima Królestwa Polskiego". W naszej świadomości za tymi hasłami nie kryją się jednak żadne postaci.

Musimy pamiętać, że kwitnąca kiedyś kultura lubelskich Żydów nie była tożsama z kulturą chrześcijańskiego Lublina. W zasadzie aż do II wojny światowej w mieście istniały obok siebie dwie kultury, dwa nurty życia religijnego i umysłowego, które stykały się ze sobą rzadko, przy czym Żydzi częściej korzystali z polskich kin, teatrów, prasy, szkół i bibliotek niż odwrotnie. Barierą w dostępie Polaków do kultury żydowskiej była przede wszystkim nieznajomość języków: jidysz lub hebrajskiego, ale i brak elementarnego zainteresowania sąsiadami o odmiennej religii i sposobie życia oraz różne formy antysemityzmu.

Dla przeciętnego Polaka nawet najbardziej uczony w Piśmie rabin był symbolem zacofania, a żydowskie tra-

Robert Kuwałek, jak sam przyznaje, lubelskimi Żydami zaczął zajmować się kilkanaście lat temu dzięki spotkaniom z nimi w czasie stu-

Na sąsiedniej stronicy: strony z Księgi Pamięci Lublina wydanej w Tel Awiwie, z której pochodzą przetłumaczone fragmenty (pełny adres bibliograficzny: *Encyclopaedia of the Jewish Diaspora. A Memorial Library of Countries and Communities. Poland Series. Lublin Volume*. Red. N Blumenthal and M. Korzen. Jerusalem – Tel Aviv 1957). 1 – kilkadziesiąt pierwszych stron ksiąg pamięci ilustrują zdjęcia macew. 2 – mapa terenów objętych administracją Sejmu Żydów Korony w latach 1667-1764. Trójkątami zaznaczono Lublina i Lwów. 3 – fragment z notesu rabina Dova Berisza Aszkenazego z podpisem. 4 – stronica z biogramami. Ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego.

dycje i kultura wydawały się czymś niegodnym uwagi.

Po II wojnie światowej kilkudziesięcioletni okres wymazywania pamięci o lubelskich Żydach pogłębił niewiedzę o bogactwie ich kultury. Dziś powinniśmy więc szukać odpowiedzi na proste i nawet najbardziej podstawowe pytania dotyczące tej części historii Lublina i Polski.

Co to znaczy „żydowskie elity"?

Aż do XIX wieku – kiedy pojawiła się nowoczesna, liberalna inteligencja żydowska – istniały w Lublinie w zasadzie dwa rodzaje żydowskich elit: ludzie nauki (rabini, doktorzy, autorzy i wydawcy ksiąg) oraz ludzie pieniądza (wielcy kupcy, bankierzy i artyści rzemieślnicy). Należy pamiętać, że do dzisiaj wśród wszystkich Żydów istnieje wielki kult nauki. O pozycji społecznej dawnego Polaka decydowało najczęściej urodzenie i majątek, a Żyd mógł obracać milionami, ale bez odpowiedniego wykształcenia pozostawał dla społeczności nikim. Żyd ubogi, ale uczony w Piśmie mógł natomiast zostać rabinem, a nawet przywódcą gminy.

Żyd mógł obracać milionami, ale bez odpowiedniego wykształcenia pozostawał dla społeczności nikim.

Im większa była gmina i większymi tradycjami się szczyciła, tym więcej ściągało do niej wybitnych osobistości. Tak było w przypadku Lublina, który w XIX wieku mógł już jedynie cieszyć się dawną chwałą, a jednak tradycje wielkiego kahału przyciągały rabinów, talmudystów i uczonych w Piśmie. By się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do twórczości Izaaka Bashevisa Singera, w której lubelscy Żydzi jawią się mieszkańcom małych wschodnich miasteczek jako wzór uczoności i wielkomiejskiego stylu bycia, choć w rzeczywistości mentalność żydowskich lublinian różniła się niewiele od myślenia ich małomiasteczkowych współbraci.

Lublin renesansowy – złoty wiek Polski i polskich Żydów

Jedynym namacalnym śladem wielkości intelektualnej i religijnej żydowskiego Lublina jest stary cmentarz żydowski na Kalinowszczyźnie, nekropolia bardziej znana w świecie niż wśród

Stary kirkut w Lublinie. Fot. Marta Kubiszyn.

diów na KUL oraz dziadkom, którzy bez uprzedzeń wspominali swoich żydowskich sąsiadów sprzed wojny. W ten sposób powstała jego praca magisterska: Organizacja Ogólnych Syjonistów w Lublinie w latach 1926-1939. Obecnie jako doktorant Instytutu Historii UMCS przygotowuje pracę doktorską pod kierunkiem prof. dr. hab. Zygmunta Mańkowskiego pt. Żydowska Gmina Wyznaniowa w Lublinie 1821-1914. Funkcjonowanie instytucji samorządu religijnego i narodowego. Pracuje jako adiunkt w Dziale Naukowym Państwowego Muzeum na Majdanku, gdzie zajmuje się tematem „Obóz koncentracyjny na Majdanku a Akcja «Reinhard»". Dwukrotnie odwiedził Izrael, zbierając relacje lubelskich Żydów. Współredaguje poświęcone im strony: kft.umcs.lublin.pl/stona/zydzi_lubelscy.html. Działa jako wiceprezes w lubelskim Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Izraelskiej i prezes Stowarzyszenia Środkowoeuropejskiego „Dziedzictwo i Współczesność", którego celem jest zwalczanie uprzedzeń pomiędzy Polakami, Niemcami, Żydami, Białorusinami, Ukraińcami i Litwinami. Współpracuje z Ośrodkiem „Brama Grodzka-Teatr NN". [Przyp. red.]

współczesnych lublinian. Na Starym Cmentarzu spoczywają najwybitniejsi lubelscy rabini, doktorzy, przywódcy żydowscy. Jednym z najważniejszych, który ma tu swój grób, był Szalom Szachna (zm. 1558).

Jego wiedzę i sławę doceniał nawet król Zygmunt I Stary, obniżając mu podatki i dając wolność osiedlania się. Pochodził z wybitnego rodu związanego od dawna z Lublinem. Jego ojciec Josko był dzierżawcą podatków królewskich (we Lwowie, Busku, Hrubieszowie, Lublinie i Chełmie) i najbogatszym Żydem we wschodniej części Korony. Posiadał majętności ziemskie na Rusi i jako jedyny lubelski Żyd cieszył się królewskim przywilejem zamieszkiwania w obrębie chrześcijańskiej dzielnicy. Nic dziwnego, był bowiem osobistym bankierem króla. Po jego śmierci interesy i przywileje odziedziczył drugi z jego dwóch synów – Pesach, natomiast Szalom Szachna poświęcił się karierze uczonego i rabina.

Był sławny zarówno wśród współwyznawców, jak i chrześcijan, którzy nazywali go Doctor Judaeorum Lublinensium. Ściągali do niego po naukę Żydzi z całej Europy. W czasie wielkich jarmarków kupcy zwracali się do niego o rozstrzyganie wyjątkowo zawikłanych problemów. W dowód wielkiego uznania, jakim się cieszył w połowie XVI wieku, powierzono mu funkcję rabina generalnego Małopolski. Zmarł w 1588 roku. Do jego nagrobka na starym cmentarzu żydowskim w Lublinie do dzisiaj pielgrzymują pobożni Żydzi, by „u wielkiego rabina znaleźć siłę i pocieszenie".

Słowa wyryte na macewie Szachny dobitnie dowodzą jego sławy i uznania: „Kamień ten, który postawiłem jako stelę, będzie domem schronienia dla męża Boga świętego i strasznego, który krzewił Torę w Izraelu bardziej niż wszyscy, którzy byli przed nim w ostatnich pokoleniach. I przywrócił do dawnego stanu koronę [nauki] i wykształcił wielu uczniów tak, że wszyscy mieszkańcy ziemi z ust jego żyją i wodę jego piją"[1].

Innym wybitnym rabinem, którego ciało spoczywa na starym cmentarzu na Kalinowszczyźnie, był Salomon Luria (zm. 1573), pierwszy rektor lubelskiej jesziwy założonej w 1567 roku. Luria przybył do Lublina, ciesząc się już sławą wybitnego rabina w wołyńskim Ostrogu. Podczas jego wykładów sala w jesziwie zawsze była pełna. Jako wróg scholastyki i klasycznej filozofii, którą uważał za obcą duchowi żydowskiemu, skłaniał się ku kabale. To on podniósł rangę lubelskiej jesziwy do poziomu światowego, dzięki czemu uczelnia stała się konkurencją dla jesziwy krakowskiej, uchodzącej za czołową w Rzeczpospolitej. Do dzisiaj dochowały się, niestety, tylko fragmenty jego nagrobka.

Podobny los spotkał także miejsce pochówku innego sawnego rabina lubelskiego – Maharszala. Samuel Eliezer Halewy Ejdeles, bo tak nazywał się w rzeczywistości Maharszal[2], uchodził

Niestety, powiększa się ciągle liczba kandydatów na rabinów, z których tylko znikoma garstka posiada dostateczną znajomość Talmudu. Wzmaga się natomiast ilość pyszałków, którzy natychmiast po uzyskaniu dyplomu rabina zaczynają grupować koło siebie uczniów, aby w ten sposób dodać sobie powagi i splendoru. Oni to są małymi lisami, które bezczeszczą „ogród Boży", a nawet wśród starszych rabinów nierzadko się zdarza, że nie rozumieją łatwego ustępu talmudycznego. Natomiast wydają oni za dużym wynagrodzeniem dyplomy uczniom, których nie znają. Oni sprawując rządy dusz, rzucają klątwy i je uchylają. Domagają się ciągle pieniędzy. Dlatego rozlegają się ciągle szemrania na talmudystów, którzy każą sobie płacić w wypadku obrazy funt złota.

Szlomo ben Jechiel Luria (Maharszal), *Jam siei Szlomo. Bawa kamma,* VIII, § 45, cytat za: Krzysztof Pilarczyk, *Talmud a duchowość żydowska w Polsce w XVI i XVII w.*, w: *Duchowość żydowska w Polsce. Materiały do konferencji. Kraków 26-28 IV 1999*, Kraków 2000, s. 54-55.

[1] A. Trzciński, J. P. Woronczak, *Nagrobki z XVI wieku na starym cmentarzu żydowskim w Lublinie*, w: *Żydzi w Lublinie. Materiały do dziejów społeczności żydowskiej Lublina*, red. T. Radzik, Lublin 1998.

[2] Dla laika określenie tożsamości postaci żydowskiej kultury nie jest łatwe, ponieważ często używa się w odniesieniu do nich szeregu imion i przydomków. W polskich łatwo dostępnych słownikach Maharszal nazywany jest „Szlomo ben Jechiel". Encyclopaedia Judaica podaje akronimowe źródło jego przydomku „Morenu ha-Rav Shelomo Luria". Wymieniona w tekście wersja imienia i nazwiska Maharszala została zaczerpnięta z polskiego tłumaczenia Majera Bałabana, który pisał po niemiecku [przyp. red.].

za jednego z największych w Polsce znawców Talmudu. Jego przydomkiem nazwano w Lublinie Wielką Synagogę, której budowę rozpoczęto w 1567 roku. Pod jednym dachem z Wielką Synagogą mieścił się przy ulicy Jatecznej jeszcze jeden dom modlitwy – synagoga Maira ben Gedalii, zwanego też Mairem Lublin lub Maharamem, poprzednika rabina Maharszala. Maharam zmarł w Lublinie w 1616 roku. On również został pochowany na Kalinowszczyźnie. Niestety, nie zachował się jego nagrobek.

W XVI i XVII wieku oprócz rabinów mieszkali w Lublinie również inni uczeni, jak chociażby wybitni medycy: Ezechiel Izaak Maj, fundator działki pod budynek lubelskiej jesziwy i wielkiej synagogi przy ulicy Jatecznej, Mojżesz [znany tylko z imienia – przyp. red.], którego syn Cwi Hirsz, zwany Hirszem Doktorowiczem, był nadwornym faktorem Zygmunta III Wazy i Władysława IV (od niego dostał przywilej wybudowania własnej synagogi przy Szerokiej 2). Z Lublinem był związany i tu zmarł w 1637 roku Mojżesz Montalto, słynny lekarz europejski, przed przybyciem do Lublina między innymi nadworny lekarz króla Francji Ludwika XIII. Jego ojciec, sefardyjczyk wygnany z arcykatolickiej Portugalii, pełnił funkcję nadwornego medyka panujących we Francji Medyceuszy, a syn Vital Feliks piastował urząd nadwornego lekarza królewskiego na dworze Michała Korybuta Wiśniowieckiego.

Dzięki Lublinerowi chasydyzm w Królestwie Polskim urósł do rangi ruchu masowego popieranego przez elity finansowo-religijne żydowskiej diaspory.

Renesansowy Lublin to także – a może przede wszystkim – miasto ksiąg hebrajskich. Od 1547 roku[3] działało tu kilka znanych w całej Europie hebrajskich drukarni. Do dzisiaj dzieła wydane w oficynie Kalonymusa ben Mordechaja Jaffe, syna jednego z rektorów lubelskiej jesziwy, uchodzą za przykład sztuki zdobniczej. Drukarnia ta funkcjonowała do 1682 roku, mimo że sam Kalonymus zmarł w 1603 roku. Firmę przejęli po nim jego synowie i wnukowie. Szczególny zbyt na księgi hebrajskie w Lublinie miał miejsce podczas jarmarków zimowych, gdy do miasta ściągały rzesze Żydów z całej Korony, a wraz z nimi wybitni uczeni żydowscy, rektorzy i studenci jesziw. W tym czasie w jesziwie lubelskiej organizowano otwarte wykłady, dzięki którym oficyna wydawnicza rodu Jaffe miała zbyt na swoje księgi.

Jeszcze jedna instytucja ściągała do Lublina wybitne jednostki żydowskie, zaliczające się do elit – był to funkcjonujący w mieście od 1581 roku Sejm Czterech Ziem, świadczący o rozwiniętym samorządzie żydowskim. Na jego sesje ściągali słynni rabini, znawcy Talmudu, ale także kupcy. Sam kahał lubelski miał także jedną z najwybitniejszych reprezentacji znawców tradycyjnego prawa żydowskiego. Znaczącą postacią Sejmu był jego przedostatni marszałek Abraham Heilpern, członek lubelskiej diaspory i potomek słynnego w całej Europie rodu rabinackiego.

Okres wojen i najazdów – chasydzi i mitnagdim

Sława żydowskiego Lublina jako wielkiego ośrodka intelektualnego podupadła w połowie XVII wieku, gdy dzielnica żydowska została kompletnie zniszczona w wyniku kozackich najazdów. Przestała funkcjonować słynna jesziwa, Sejm Czterech Ziem przeniósł swoje obrady do innych miast Korony. Jednakże sława tradycji lubelskiego kahału nadal przyciągała tu osobistości, tym bardziej że do początku XVIII wieku nie zaprzestały działalności znakomite drukarnie.

Od osiemnastego stulecia mamy do czynienia w Lublinie z pojawieniem się

[3] W tym roku ukazały się w Lublinie pierwsze modlitewniki i książki hebrajskie.

nowego typu elity. Dzięki obecności Izaaka Horowitza-Szternfelda (znanego również jako „Choze", „Widzący z Lublina" lub po prostu „Lubliner") miasto stało się na przełomie XVIII i XIX wieku głównym ośrodkiem chasydyzmu w centralnej Polsce. Tutaj zjeżdżali po nauki późniejsi słynni cadycy, tutaj przy ulicy Szerokiej 28, w podwórku kamienicy rodziny Horowitz-Szternfeld powstała pierwsza po tej stronie Wisły oficjalna chasydzka synagoga – Bethamidrasz de Chassidim. W domu Chozego ważyły się również polityczne losy polskiego żydostwa. W okresie wojen napoleońskich za radą Widzącego Żydzi polscy odrzucili hasła emancypacji i pozostali przy tradycji, o czym do dzisiaj mówią ich legendy. Reformy, które niósł ze sobą Napoleon, były dla nich całkowitym zaprzeczeniem odwiecznej tradycji i religii. Odrzucenie propozycji cesarza Francuzów nie oznaczało bynajmniej automatycznego poparcia dla Rosji, za którą tradycyjni Żydzi też nie przepadali, choć przynajmniej w tym okresie car Aleksander I nie usiłował narzucić im żadnych reform. Dzięki Lublinerowi chasydyzm w Królestwie Polskim urósł do rangi ruchu masowego, popieranego przez elity finansowo-religijne żydowskiej diaspory.

Kiedy ktoś przyjeżdża do Lublina, powinien wyobrazić sobie, że Lublin jest Erec Izrael, że dziedziniec bejt midrasz [domu nauki] jest Jerozolimą, że bejt midrasz jest Górą Świątynną, że jego mieszkanie jest Przedsionkiem, że balkon jest Sanktuarium, że jego pokój Świętym Świętych i że Szechina przemawia przez jego usta. Wtedy zrozumie on, czym jest nasz rabin.

Słowa ucznia Widzącego, cadyka Uriego ze Strzelisk. Źródło: M. M. Walden, *Nifloat ha-rabi*, Warszawa 1911, s. 87, nr 290; cyt. za: D. Assaf, *Upadek Widzącego z Lublina: jedno wydarzenie, dwie interpretacje*, w: *Duchowość żydowska w Polsce. Materiały z konferencji. Kraków 26-28 IV 1999*.

Oczywiście obok chasydyzmu istniał nadal nurt tradycyjny w religii żydowskiej – mitnagdim. Wśród jego lubelskich zwolenników również spotykamy wybitne postacie, jak choćby największy przeciwnik Widzącego rabin Azril Halewy Horowitz, zwany ze względu na sprzeciw wobec chasydzkiego mistycyzmu „Eisernekopf", czyli „Żelazna Głowa". Jego nagrobek na starym cmentarzu mitnagdim otaczali równie głęboką czcią, jak chasydzi stojącą obok macewę Chozego. Z rodziny rabina Żelazna Głowa wywodziła się Franciszka Arnsztajnowa, szczycąca się tą koligacją. Tutaj mała dygresja – nawet wśród Żydów o liberalnym podejściu do religii pochodzenie z rodów rabinackich uchodziło za powód do dumy.

Stary kirkut w Lublinie. Nagrobek Widzącego. Fot. Marta Kubiszyn.

Specjalnego splendoru Lublinowi w tamtych czasach dodawała obecność trzech wybitnych rabinów z rodu Aszkenazych: Meszullama Zalmana, Berisza oraz Jehoszuy Heszela, którzy w latach 1829-1867 sprawowali funkcję lubelskich nadrabinów. Każdy z nich był nie tylko przewodnikiem duchowym miejscowej społeczności, ale również autorem ważkich dzieł o charakterze rabinackim.

Na uwagę zasługuje zwłaszcza Jehoszua Heszel. Przybył on do Lublina w 1853 roku z Grodna, gdzie uznawany był za sztadłona, czyli przywódcę nie tylko religijnego, ale również społeczno-politycznego diaspory. Takim sztadłonem był też w Lublinie. Przewodził miejscowej społeczności w trudnych czasach powstania styczniowego i choć brał udział w nabożeństwach patriotycznych, a jego krzesło ustawiano w kruchcie katedry lubelskiej, to samo powstanie zdecydowa-

nie potępił jako godzące w żydowską tradycję lojalności wobec władzy. Zwłaszcza że równouprawnienie Żydów w Królestwie Polskim nastąpiło dopiero w 1862 roku na mocy edyktu cara. Zwycięstwo powstańczego Rządu Narodowego nie oznaczało dla Żydów żadnej poprawy losu.

Jehoszua Heszel Aszkenazy przyczynił się do zreformowania lubelskiej Talmud Tory, czyli szkoły dla ubogich chłopców. Dzięki niemu wprowadzono w niej obowiązek nauki języka polskiego. On też jako jeden z pierwszych rabinów uznał chasydów za równoprawnych członków żydowskiej społeczności i dopuścił lubelskiego cadyka Judę Lejba Eigera do współdecydowania o losach społeczności. Podobnie dopuścił do władz kahału przedstawicieli rodzącej się dopiero warstwy postępowej inteligencji żydowskiej. Był postacią o nieprzeciętnej wiedzy, uchodził za jednego z najwybitniejszych talmudystów na ziemiach polskich, szczycił się znajomością kilku języków, m.in. hebrajskiego, chaldejskiego, syryjskiego, polskiego i rosyjskiego. Był honorowym obywatelem Cesarstwa Rosyjskiego. Cieszył się wielkim uznaniem zarówno wśród Żydów, jak i Polaków.

Zwycięstwo powstańczego Rządu Narodowego nie oznaczało dla Żydów żadnej poprawy losu.

Po jego śmierci w 1867 ukazał się w Kurierze Lubelskim pełen pochwał nekrolog: „Jako dowód uznania zasług zmarłego widzieliśmy na pogrzebie tegoż zgromadzonych wielu dostojnych urzędników i do 12 000 współwyznawców, my zaś nad grobem jego możemy powtórzyć płynące z przekonania słowa jednego z niemieckich pisarzy «Kto w swojem życiu wiele czynił, ten żył dla wszystkich pokoleń». Cześć jego popiołom!”[4] Jako ciekawostkę warto dodać, że prawnukiem lubelskiego rabina był znany historyk i dyplomata Szymon Aszkenazy.

Cadycy po „Widzącym”

W czasach Jehoszuy Aszkenazego żył i nauczał w Lublinie Juda Lejb Eiger, założyciel lubelskiej dynastii cadyków. Ten wnuk słynnego Gaona Poznańskiego Akiby Eigera i syn Salomona Eigera rabina w Kaliszu i Poznaniu – zaciętych przeciwników chasydyzmu – zetknął się z nowym prądem religijnym u reb Josefa Mordechaja Leinera z Izbicy, założyciela wielkiej, istniejącej do dzisiaj w Izraelu dynastii chasydzkiej Izbica-Radzyń.

Dwór reb Judy Lejba, mieszczący się przy Szerokiej 40 w Lublinie, stał się wkrótce centrum chasydzkich pielgrzymek z całego Królestwa Polskiego. Zwano go „Płaczącym Cadykiem”, ponieważ spędzał dużo czasu na modlitwie i umartwianiu się połączonym z płaczem i ekstatycznymi okrzykami. Po śmierci reb Menachema Mendla Morgenszterna z Kocka w 1859 roku stał się niekwestionowanym przywódcą chasydów na Lubelszczyźnie. W przeciwieństwie do rabina Aszkenazego był zdecydowanym przeciwnikiem asymilacji i jakichkolwiek zmian w żydowskiej tradycji. To właśnie jego wpływowi należy w dużej mierze zawdzięczać fakt, że asymilacja i liberalizm żydowski przyjmowały się w Lublinie bardzo opornie. W przeciwieństwie też do rabina Aszkenazego nigdy oficjalnie nie angażował się w życie polityczne.

Jego ogromną wiedzę talmudyczną i wpływ na społeczność żydowską doceniali nawet przeciwnicy, zwalczający chasydzki mistycyzm. Będąc autorem dzieł o tematyce religijnej, utrzymywał rozległe kontakty z wybitnymi rabinami nie tylko na ziemiach polskich. Gdy zmarł w 1888 roku, w jego pogrzebie wzięły udział tysiące Żydów. Tego dnia wszystkie sklepy ży-

[4] „Kurier Lubelski” nr 17 z dnia 31 stycznia / 12 lutego 1867.

dowskie w mieście pozostawały zamknięte na znak żałoby.

Następcą Judy Lejba Eigera został jego syn Abraham Eiger, ostatni z wielkich Eigerów, którzy „przewodzili Lublinowi". I tym razem ulica Szeroka w wielkie żydowskie święta, Rosz Haszana i Jom Kipur, ciemniała od czarnych kapot chasydów, czekających cierpliwie na błogosławieństwo swojego rebe. Abraham Eiger był niekwestionowanym liderem większości Żydów na Lubelszczyźnie. Wielką czcią obdarzali go rabini z innych miast i to jemu, a nie oficjalnemu lubelskiemu nadrabinowi Eliaszowi Klatzkinowi powierzono reprezentowanie Żydów Lubelszczyzny na Zjeździe Gmin Żydowskich Królestwa Polskiego w 1910 roku.

Chasydzkie elity miały swoje miejsca modlitwy. Do najbardziej znanych należał Bethamidrasz de Kohen, mieszczący się w kamienicy przy Placu Targowym. Tu modlili się, spotykali, ustalali wspólne plany, a także studiowali Torę członkowie najbardziej znaczących i najzamożniejszych rodów mieszkających przy tzw. lepszych ulicach Żydowskiego Miasta – Lubartowskiej i Kowalskiej. Do takich zaliczały się m.in. rodziny Szpirów, Szyfferów, Königsbergów, Herszenhornów. Ci ludzie nie oddawali córek byle komu. Dbali o odpowiedni poziom wykształcenia swoich dzieci. Synowie mieli najlepszych mełamedów, a o świeckiej nauce nie mieli prawa nawet myśleć. Dla córek sprowadzano najlepszych nauczycieli, Polaków i Niemców. Posyłano je też do świeckich gimnazjów, ale tylko dla splendoru. Jednak wyedukowane i częściowo wyemancypowane panny z tych domów myślały już innymi kategoriami. Jeżeli nawet dalekie były od porzucenia tradycji, to potem dbały, by ich dzieci miały nowoczesne wykształcenie. Z takich rodów wywodzili się w Lublinie najwybitniejsi żydowscy działacze społeczni i polityczni. Wystarczy tu wspomnieć o dwóch już dzisiaj zapomnianych kobietach, które chwalebnie zapisały się w dziejach żydowskiego Lublina.

„Wyzwolone" chasydzkie córki

Pierwszą z nich była Bela Szpiro-Nissenbaum, której ojciec był bogatym chasydem lubelskim, zwolennikiem rodu Eigerów. Jego siostra była nawet żoną reb Salomona Eigera. Córka, zmuszona do przerwania nauki w gimnazjum z powodu ślubu z bogatym chasydem, zbuntowała się. Zerwała z mężem, czasowo z rodzicami oraz całkowicie z chasydzką tradycją i włączyła się w nurt działalności socjalistycznej. Związawszy się z Bundem, zajmowała się działalnością oświatową wśród dzieci. Zakładała w Lublinie szkoły powszechne z wykładowym językiem jidysz. Pomagała także niezamożnym żydowskim kobietom. Zasłynęła z przemówień w międzywojennej Radzie Miejskiej, podczas których występowała zażarcie przeciwko nędzy Żydów i spychaniu ich do roli obywateli drugiej kategorii. Nigdy jednak nie była nazbyt radykalna w poglądach, choć postrzega się ją czasami jako jedną z pierwszych feministek w Lublinie.

Synowie o świeckiej nauce nie mieli prawa nawet myśleć. Córki posyłano do świeckich gimnazjów, ale tylko dla splendoru. Jednak wyedukowane i częściowo wyemancypowane panny myślały już innymi kategoriami.

Po przeciwnej stronie barykady stanęła Bela Dobrzyńska, córka Kopela Königsberga, chasyda i hurtownika cukru, kierowniczka koła Międzynarodowej Kobiecej Organizacji Syjonistycznej w Lublinie[5]. Podobnie jak Bela Szpiro, była również radną miejską i działaczką oświatową. Współdziałała przy tworzeniu Gimnazjum Huma-

[5] Socjalistyczny Bund od początku swojego istnienia zwalczał syjonizm jako ideologię utopijną. Bundowcy nie wierzyli, że Żydzi są w stanie odbudować swoją państwowość w Palestynie. Zgodnie z własnymi hasłami dążyli do budowy autonomii żydowskiej w krajach diaspory.

nistycznego i szkoły powszechnej Tarbut, w których uczono języka hebrajskiego i starano się zaszczepić młodym Żydom lubelskim idee powrotu do Erec Izrael.

W czasie wojny obie panie zajmowały się działalnością społeczną w getcie. Bela Szpiro związana była także z konspiracją żydowską i polską. Aresztowana przez lubelskie Gestapo, zginęła najprawdopodobniej w Ravensbrück. Bela Dobrzyńska została zamordowana w obozie koncentracyjnym na Majdanku. Miała możliwość ukrywania się na aryjskich papierach, ale nie chciała opuścić swojego syna Arie, któremu zbyt semicki wygląd nie dawał szans na ocalenie.

Uciekinierzy z kulturowego getta – zmiana wyznania

W ten sposób dotarliśmy do problemu nowych elit żydowskich – nowoczesnej inteligencji żydowskiej. Pojawiła się ona w Lublinie dopiero w XIX wieku wraz z ideą asymilacji w kulturze polskiej. Od razu też należy zaznaczyć, że przez bardzo długi czas problem kształtowania się żydowskiej inteligencji w Lublinie czy też w ogóle na Lubelszczyźnie dotyczył w zasadzie tylko jednostek – pojedynczych osób lub rodzin.

Ortodoksyjna społeczność Żydów lubelskich, z bardzo silnymi wpływami chasydyzmu uniemożliwiała w bardzo wielu przypadkach wyrwanie się z zamkniętego kręgu tradycji i kultury, swoistego getta. Kulturowej ucieczce z Żydowskiego Miasta nie sprzyjała także postawa samych chrześcijan. Od 1822 roku do 1862 roku obowiązywało prawo, oparte na dawnym przywileju *de non tolerandis Judaeis*, ustanawiające osobne rewiry żydowskie, co w wymiarze lubelskim oznaczało, że Żydom nie wolno było zamieszkiwać i prowadzić sklepów poza Miastem Żydowskim, Kalinowszczyzną i Piaskami.

Przewidziano jednak wyjątki. Żyd, który chciałby zamieszkać poza wyznaczonym rewirem, musiał się wykazywać odpowiednio dużym majątkiem lub wyższym wykształceniem (ale nie żydowskim) albo też musiał posiadać tytuł tzw. „poczesnego obywatela" (dzisiaj nazwalibyśmy to obywatelstwem honorowym) przyznany przez cara. Nie robiono też przeszkód osobom, które z żydowskiego getta wyrywały się przez chrzest, ale dla samych Żydów ludzie ci przestawali być automatycznie współziomkami.

Tak było chociażby z rodziną Wieniawskich w Lublinie. Jest to intere-

„[...] Czy znacie Panowie tę bezgraniczną nędzę mas żydowskich? Czy znają Panowie dzielnice i nory, w których biedota żydowska wegetuje, w jakich okropnych warunkach sanitarnych ci ludzie żyją, a wraz z nimi i dzieci, które po to się rodzą, by prędko ze świata schodzić? Śmiertelność wśród dzieci ubogiej ludności żydowskiej jest olbrzymia, co Panowie Lekarze stwierdzić mogą, te zaś, co zostają przy życiu, również są skazane na zagładę fizyczną i moralną. Zimne, wilgotne, bez słońca piwnice są grobem za życia dla tych dzieci, rzadko które się wydostaje, a jeśli – to po to, by je zamienić na ulicę, w nie lepszym utrzymaną stanie, prócz wyboi i cuchnących kałuż dziecko tam nic nie spotyka, zakrzewienie, trawniki i bruki dla innych dzielnic Magistrat przeznacza i tak bruka dziecko swe ciałko i duszę.

Biedne dzieci przeważnie są opieki pozbawione, gdyż nędza matki po zarobek wygania, nie dziw więc, że dziecka choroba fizyczna, zaniedbanie moralne i nawet występek się imają. Dla tych oto nieszczęśliwych, opuszczonych, głodnych i zaniedbanych dzieci Związek nasz ochronkę – przychodnię założył. Dziecko tam spędza większą część dnia. Jest tam myte, przebierane, dostaje latem trzy razy dziennie zdrowy posiłek, zimą dwa razy dziennie, oddycha czystem powietrzem i pod okiem troskliwych wychowawczyń odradza się fizycznie i duchowo. Ochronka nasza szła tego lata jeszcze dalej. Pragnąc sumiennie się wywiązać ze wziętego na siebie

sujący przykład, jak osoby pochodzenia żydowskiego mogły być członkami polskich elit, a zwykle nie wywodziły się z elit żydowskich i za takie przez samych Żydów nie były uznawane. Lublinianie chlubią się rodziną Wieniawskich, zwłaszcza wybitnym skrzypkiem Henrykiem, podkreślając ich żydowskie korzenie, choć sami Wieniawscy poprzez chrzest zerwali całkowicie z żydowską przeszłością. Jest to paradoksem historii, ale także świadectwem swoistego rozumienia żydowskiej tożsamości przez polskich mieszkańców Lublina. Dla dziejów i kultury żydowskiego Lublina rodzina Wieniawskich jest prawie nic nieznaczącą i o tym dzisiejsi lublinianie zapominają.

Podobnie rzecz się ma z rodem Arctów, zasłużonych w Królestwie Polskim księgarzy. Biografowie i historycy podkreślają ich żydowskie pochodzenie, podczas gdy sami Arctowie odcinali się od niego. Wystarczy przeczytać wspomnienia Andrzeja Arcta, gdzie nie znajdziemy w ogóle wzmianki o tym, że rodzina ta miała jakiekolwiek związki z żydostwem, a wręcz podkreślane są związki z najwybitniejszymi rodami ewangelickimi, a nawet szlacheckimi w Kongresówce.

Zarówno Wieniawscy, jak i Arctowie, na długo przed 1862 rokiem mieli prawo do zamieszkiwania w Lublinie poza rewirem żydowskim, ale tylko dlatego, że poprzez chrzest całkowicie zerwali ze swoimi żydowskimi korzeniami. Jeszcze dziadkowie Andrzeja Arcta mogli uchodzić za przedstawicieli nowoczesnej inteligencji żydowskiej, ponieważ chrzest w obrządku ewangelickimi przyjęli dopiero pod koniec życia. Stryj Andrzeja Arcta, dr Franciszek Arct, prawie do końca życia używał podwójnego imienia Franciszek-Froim, ale i on w ostatnich latach swojego życia przeszedł na ewangelicyzm. Postać dr. Franciszka-Froima Arcta była również bardzo interesująca, niestety, dzisiaj prawie całkowicie zapomniana. Można o nim z powodzeniem powiedzieć, podobnie zresztą, jak i o całej tej rodzinie, że był to jeden z pierwszych przykładów asymilacji lubelskich Żydów.

Po studiach medycznych w Wilnie i Dorpacie Franciszek Arct powrócił do Lublina jeszcze jako Żyd, ale już nie musiał zamieszkiwać w Mieście Żydowskim. Jego ojciec, Michał, był już wtedy uznanym lekarzem w mieście i mieszkał przy staromiejskim Rynku. Brat Franciszka Stanisław-Samuel prowadził w Lublinie przy Krakowskim

zadania, sama urządziła dla swych dzieci kolonię letnią, trzymając je 6 tygodni na letnisku, mimo wysiłku, który przekroczył możliwości finansowe Związku.
Ratując dzieci, uzdrawiamy i społeczeństwo. Komisja Finansowo-Budżetowa, nie bacząc na to wszystko, skreśliła preliminowaną na tę instytucję subwencję. [...] Podnoszę przeciw temu najostrzejszy protest, protest przeciw krzywdzie, która naprawioną być winna i zwracam się z apelem do Świetnej Rady o poparcie moich wniosków, o przyznanie subwencji [...] na rzecz ochronki przy Związku Kobiet Żydowskich [...]"[1].

Do wystąpienia Beli Dobrzyńskiej ustosunkowała się na posiedzeniu Rady Miejskiej 2 października 1928 roku radna klubu PPS Józefa Kunicka:

„[...] Radna Dobrzyńska z dobrą wolą i sercem mówiła o nędzy, jak żydów, tak i Polaków. O niedoli najbiedniejszych nie zapomniał Klub Radnych P.P.S., lecz my nie umiemy głośno krzyczeć, tylko coś robić! Z ciężkim sercem trzeba było pójść na skreślenia i to tylko dlatego, że finanse miasta tego wymagają, bo troska o całość Samorządu tego wymagała [...]"[2].

W dalszej części swojego wystąpienia radna Kunicka zaznaczyła, iż skreślenia dotknęły zarówno instytucji żydowskich, jak i polskich. Ogólna kwota subwencji wyniosła 289 tys. zł, z tego ogólnych było 59 tys.; 86 tys. zł przyznano dla instytucji polskich i 144 tys. dla instytucji żydowskich[3].

[1] APL, Akta Magistratu m. Lublina, sygn. 49, s. 145-146.
[2] Tamże, s. 150.
[3] Fragment pracy magisterskiej Tomasza Czajkowskiego pt. *Mała wspólnota – mieszkańcy kamienicy przy ulicy Krawieckiej 41 w Lublinie w wirach historii XIX i XX wieku.* W kamienicy tej, w latach 1932-1939, mieściło się przedszkole „Ognisko" założone i prowadzone przez Związek Kobiet Żydowskich. Obszerniejsze fragmenty na temat tej kamienicy i związanego z nią projektu badawczego zostaną zamieszczone w następnym numerze [przyp. red.].

Przedmieściu znaną księgarnię. Cała rodzina była całkowicie zasymilowana i najprawdopodobniej z Żydami lubelskimi nie miała już żadnego kontaktu. Jedynie dr Franciszek Arct, będąc lekarzem, piastował oficjalne stanowisko ordynatora Szpitala Starozakonnych i tu wykazywał się wielkim poświęceniem, za które zapłacił życiem. W I połowie XIX wieku Królestwo Polskie nawiedzane było częstymi epidemiami cholery, która najwięcej ofiar zbierała w zagęszczonych ponad miarę dzielnicach żydowskich. Podczas jednej z takich epidemii w Lublinie w 1853 roku dr Franciszek Arct zapadł na tę chorobę, odwiedzając chorych w Mieście Żydowskim. Pomagał cierpiącym do ostatniej chwili. Jeszcze na dzień przed śmiercią jego dorożkę widziano na Podzamczu, gdzie wizytował swoich podopiecznych w ich mieszkaniach.

W tym samym czasie, gdy Wieniawskim i Arctom zezwolono na zamieszkanie poza żydowskim rewirem, tego samego prawa odmówiono na przykład rodzinie Cohnów, którzy dysponowali krociowym majątkiem, uchodzili za jedną z najbogatszych familii w Królestwie Polskim i posiadali honorowe obywatelstwo Imperium Rosyjskiego nadane im przez cara. Nawet w Warszawie mogli mieszkać poza żydowską dzielnicą. Powodem, dla którego Cohnom odmówiono zrównania w prawach (przynajmniej osiedleńczych) w Lublinie, był prosty fakt – nie zamierzali zmieniać wyznania. Wśród elity finansowej podobnych przypadków było więcej.

Reformy Wielopolskiego i niepodległość – Polacy wyznania mojżeszowego

Mimo presji tradycyjnych Żydów i braku zainteresowania ze strony większości chrześcijan na żydowskim Podzamczu coraz częściej dawały o sobie znać jednostki, które chciały wyrwać się z ciasnych okowów żydowskiej tradycji. Stały się one zalążkiem nowoczesnej żydowskiej elity. Były to rodziny zamożnych kupców i kamieniczników: Warmanów, Lichtenfeldów, Meyersohnów czy Marguliesów, które jako pierwsze po 1862 roku[6] opuściły Żydowskie Miasto i przeniosły się na staromiejskie ulice i Krakowskie Przedmieście. Ci ludzie niewiele mieli wspólnego z chasydzkimi elitami, chociaż, piastując stanowiska w instytucjach Żydowskiej Gminy Wyznaniowej, musieli liczyć się z ortodoksyjną większością.

Jako pierwsi starali się dać swoim dzieciom świeckie wykształcenie. Co prawda nie mogli posyłać ich do chrześcijańskich szkół, ale najmowali chrześcijańskich nauczycieli. Po 1862 roku to oni walnie przyczynili się do wprowadzenia nauczania języka polskiego i przedmiotów świeckich do Talmud-Tory, gminnej, tradycyjnej szkoły dla ubogich chłopców, co nie obyło się bez zażartej walki z chasydami. Ci ludzie także poparli polskie aspiracje wolnościowe, biorąc czynny udział w powstaniu styczniowym, co również nie podobało się chasydzko-ortodoksyjnej większości. Posunęła się ona nawet do tego, że donosami sprowokowała Rosjan do przeprowadzenia drobiazgowego śledztwa w tej sprawie. Tylko wysokie łapówki i głośne deklaracje lojalności wobec cara uchroniły ten krąg od zsyłki na Sybir. Szczególną lojalnością musiał się wtedy wykazać Dawid Warman, piastujący funkcję przewodniczącego Zarządu Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Lublinie.

Ci ludzie postawili na rozum i wykształcenie. Chcieli stać się „Polakami wyznania mojżeszowego", zachłystując się jednocześnie pozytywizmem. Zarzucali ciemnotę i zabobon swoim bardziej tradycyjnym współwyznawcom, przez których postrzegani byli z kolei jako obcy. Nazywano ich lekko pogardliwie „żydowską arystokracją" lub *apikorsim* („grzesznicy, odstępcy").

[6] Rok 1862 w historii relacji polsko-żydowskich oznacza „reformy Wielopolskiego". Aleksander Ignacy Wielopolski był politykiem nastawiony prorosyjsko, dzięki czemu został powołany m.in. na stanowisko dyrektora Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz Naczelnika Rządu Cywilnego w Królestwie Polskim. Dążył do odbudowy autonomii Królestwa w ramach państwa rosyjskiego. Z jego inicjatywy w 1862 roku m.in. zniesiono ograniczenie praw ludności żydowskiej. Był przeciwnikiem zbrojnych wystąpień, jednak zarządzona przez niego imienna branka do wojska rosyjskiego, mająca spacyfikować sytuację wewnętrzną, stała się bezpośrednią przyczyną wybuchu powstania styczniowego (1863-1864). [Przyp. red.]

Nawet w czasie nabożeństw w Wielkiej Synagodze narażeni byli na zaczepki ze strony dzieci pobożnych Żydów. Modlili się więc osobno w salach Talmud-Tory. W ten sposób obok dziesiątków chasydzkich *sztiblech* w Lublinie powstał postępowy dom modlitwy, który jednak ze względu na słabość lubelskiego środowiska asymilatorów nigdy nie przekształcił się w postępową synagogę. Istniały co prawda plany jej powołania w budynku Starego Teatru przy Jezuickiej, ale kres położyła im niechętna postawa chrześcijan, którzy nie życzyli sobie mieć modlących się Żydów w pobliżu katedry.

W II połowie XIX wieku środowisko żydowskiej inteligencji powoli rozrastało się. Swoistą opiekę nad nimi sprawowali: wspomniany Dawid Warman (który swojego syna Bolesława-Bera wysłał na studia prawnicze do Warszawy), Majer Lichtenfeld (kupiec papierniczy) oraz Bernard Meyersohn z żoną Malwiną-Małką (rodzice Franciszki Arnsztajnowej). Sam Meyersohn, rodem z Tykocina, kupiec bławatny, piastował w tym czasie różne zaszczytne funkcje w gminie żydowskiej. Przez pewien czas prezesował jej, opiekował się Talmud-Torą i Ochronką – czyli żydowskim sierocińcem mieszczącym się przy ulicy Grodzkiej, gdzie również nauczano dzieci języka polskiego i pożytecznych przedmiotów.

Interesującą postacią była jego żona Malwina-Małka z Horowitzów, której przodkiem był właśnie słynny rabin Horowitz „Żelazna Głowa". Malwina Meyersohn była pierwszą lubelską Żydówką, która pisała i wydawała swoje utwory po polsku. Jej pozytywistyczna powieść, zatytułowana *Z ciasnej sfery*, drukowana była w odcinkach na łamach „Kuriera Lubelskiego" w latach siedemdziesiątych XIX wieku. Może nie była to twórczość najwyższych lotów i przyćmiewało ją w tym czasie pisarstwo Orzeszkowej, ale jak na prowincjonalny Lublin było to wielkie wydarzenie literackie. Oczywiście, wiodącym tematem pisarstwa Meyersohnowej była asymilacja i potrzeba oświaty wśród ortodoksyjnych mas żydowskich. Nic też dziwnego, że trafiła na łamy warszawskiego „Izraelity", głównego organu asymilatorów w Królestwie Polskim.

Stary kirkut w Lublinie. Jedna z macew uszkodzona, kiedy cmentarz służył hitlerowcom za poligon artyleryjski. Fot. Marta Kubiszyn.

Meyersohnowie prowadzili także swoisty salon towarzyski, w którym spotykali się żydowscy i chrześcijańscy inteligenci. W takiej to właśnie atmosferze wychowała się Franciszka Arnsztajnowa oraz jej brat Emil Meyersohn, mniej znany w Lublinie, chociaż stąd pochodzący filozof francuski. Mimo że rodzice Arnsztajnowej nie zaliczali się do typowych, ortodoksyjnych Żydów, poetka dość mocno tkwiła korzeniami w swoim żydowskim pochodzeniu i nigdy się go nie wypierała.

Podobnie było z jej mężem dr. Markiem Arnsztajnem, pochodzącym z Kazimierza Dolnego. Człowiek ten, choć całkowicie zasymilowany (trudno bowiem wyobrazić sobie mariaż ortodoksyjnego Żyda z całkowicie postępową Żydówką), był ordynatorem Szpitala Żydowskiego i krótkotrwałym przewodniczącym Zarządu Żydowskiej Gminy Wyznaniowej. Mimo że jego sława jako wybitnego lekarza, działacza społecznego i niepodległościowego porównywalna była ze sławą polskiego wybitnego lekarza dr. Mieczysława Biernackiego, pamięć o nim jest dzisiaj

w Lublinie bardzo słaba. Jako Żyd pochowany został na nowym cmentarzu żydowskim, który po likwidacji getta został prawie całkowicie zniszczony przez hitlerowców.

Pod koniec XIX wieku, m.in. dzięki poparciu rosyjskiego gubernatora lubelskiego, w Lublinie istniało na tyle spore grono żydowskich liberałów, że ich obecnością i aktywnością przerazili się chasydzi i talmudyści. Byli to już prawie całkowicie zasymilowani inteligenci, kupcy i przedsiębiorcy, nie mający prawie żadnego kontaktu z żydowskimi masami z Podzamcza. Od Polaków różnili się tylko wyznaniem, do którego zresztą wielu z nich nie przywiązywało wagi, czym narażali się na oskarżenia o ateizm ze strony religijnych współbraci. Trzeba przyznać, że narodowo i konserwatywnie nastawionym Polakom z lubelskiej prowincji takie osoby też się nie podobały, zwłaszcza że skończyły się czasy pozytywizmu, a nastał okres fascynacji ideami narodowymi, odrzucającymi asymilację Żydów.

To wtedy w mieście pojawiły się takie osoby, jak chociażby Jakub Kipman, który łączył świat żydowski z polskim, postać dziś w Lublinie całkowicie zapomniana. Działał zarówno w organizacjach przeznaczonych dla ludności wyznania mojżeszowego, jak również w polskich stowarzyszeniach. Był prezesem lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru i wieloletnim dyrektorem lubelskiego oddziału Łódzkiego Banku Kupieckiego. W latach 1904-1924 prezesował lubelskiej Gminie Wyznaniowej, w okresie I Wojny Światowej kierował Żydowskim Komitetem Ratunkowym, pomagającym Żydom poszkodowanym na skutek wypadków wojennych, i przez wiele lat przewodniczył Żydowskiemu Towarzystwu Dobroczynności. Chociaż wśród ortodoksów wzbudzał wielkie kontrowersje, to po jego śmierci w 1924 roku wszystkie warstwy społeczności żydowskiej w Lublinie były zgodne, że należy mu się społecznie wystawiony pomnik na nowym cmentarzu żydowskim. Zawsze stał na stanowisku, że interes ludności żydowskiej jest dla niego bardzo ważny i w pierwszej kolejności stał na straży obrony praw Żydów, ale mimo to nie był nacjonalistą żydowskim i twierdził, że Żydzi i Polacy mogą żyć ze sobą w zgodzie.

Obok Kipmana, którego uważano jeszcze za asymilatora w starym stylu, pojawili się też inni, bardziej radykalni. Do takich należał syn Dawida Warmana, adwokat Bolesław Warman. Po śmierci Kipmana to on przewodniczył gminie, którą kierował do swojej śmierci w 1934 roku. Niewątpliwie do wybitnych osób należał także okulista dr Mojżesz Zajdman, publikujący swoje artykuły na łamach „Kuriera Lubelskiego", wydawanego przez I wojną światową przez dr. Biernackiego. Całkowicie optował wtedy za asymilacją. Po zakończeniu wojny, zrażony nie tyle do kultury i języka polskiego, ile do Polaków z powodu ich prymitywnego antysemityzmu (został osobiście obrażony przez studenta KUL-u podczas jednej z publicznych dysput na temat narodowości żydowskiej), poświęcił się całkowicie żydowskiej idei narodowościowej – syjonizmowi. Lubelskiej Organizacji Syjonistycznej prezesował aż do swojej śmierci.

Przykłady można byłoby mnożyć, ale, jak stwierdzali sami żydowscy asymilatorzy, ich krąg w Lublinie w okresie I wojny światowej, czyli podczas największego rozkwitu tej grupy, ograniczał się do zaledwie stu pięćdziesięciu rodzin – lekarzy, nauczycieli, dziennikarzy, przedsiębiorców. Była to elita. Niestety, ludzie ci uważali siebie za jedynych przewodników lubelskich Żydów, mając pozostałą resztę swoich współwyznawców za coś gorszego. Taka

była jednak ich mentalność, czego świadectwem niech będzie stwierdzenie opublikowane na łamach „Myśli Żydowskiej", pierwszej i ostatniej lubelskiej gazety żydowskiej w języku polskim, założonej i redagowanej przez jednego z asymilatorów, Henocha Rechtszafta: „W naszych zaś stosunkach polsko-żydowskiej prowincji, poza garstką inteligencji, popierającej przedsięwzięcia kulturalne czynem i słowem, stoi liczna ciemna masa, pogrążona w toni egoistycznych i materialnych aspiracji, apatyczna i obojętnie usposobiona do wszelkich spraw, przekraczających światopogląd i sferę interesów materialnych"[7].

Był to obraz bardzo mocno przesadzony, bo w tym czasie inne wyznaczniki uczoności i autorytetu były wśród religijnych Żydów, a inne wśród zwolenników żydowskiej idei narodowej, która sama w sobie również nie była jednorodna. Jeden jej odłam zakładał, że Żydzi powinni budować swoją tożsamość w oparciu o hasła odbudowy państwowości żydowskiej w Palestynie i kultury hebrajskiej, a drugi widział świetlaną przyszłość w tradycyjnej kulturze jidysz, rozbijając się na nurt mieszczański i lewicowy. Społeczność żydowska w Lublinie na początku XX wieku było magmą, która wciąż kipiała i nigdy nie była jednolita w swojej konsystencji.

Społeczność żydowska w Lublinie na początku XX wieku było magmą, która wciąż kipiała i nigdy nie była jednolita w swojej konsystencji.

W kręgu tradycji – rabini i filantropi

Dla religijnych Żydów, zwłaszcza dla środowisk chasydzkich, Lublin nadal był „Jerozolimą Królestwa Polskiego", chociaż coraz częściej rabinami zostawali tu ludzie o zdecydowanie szerszych horyzontach myślowych niż przyzwyczajeni do tego byli tradycyjni mieszkańcy Podzamcza. Niedaleko od asymilującej się inteligencji odbiegał na przełomie XIX i XX wieku, przybyły do Lublina z Suwałk, rabin Hillel Arie Lipszyc, pochodzący z litwackich Inflant. Chociaż pochodził z rabinackiego rodu, miał świeckie wykształcenie (jako absolwent gimnazjum rosyjskiego w Mitawie) i oficjalny tytuł nauczyciela szkół rządowych. Wiedzę rabiniczną posiadł u swojego ojca. Można by go nazwać człowiekiem wszechstronnym – pisał zarówno komentarze do Talmudu, jak i artykuły do hebrajskojęzycznej prasy, używając pseudonimu literackiego „Ha-Le`eh". Na język hebrajski tłumaczył powieści historyczne.

W Lublinie cieszył się wielkim uznaniem wśród świeckiej inteligencji żydowskiej, ale jego działalność publicystyczna nie wzbudzała entuzjazmu wśród religijnych Żydów, przyzwyczajonych do tradycyjnego obrazu rabina zatopionego w świętych księgach i rozsądzającego religijne spory. Gdy zmarł w 1907 roku, ortodoksyjna większość, z pewnością przerażona jego pozareligijną działalnością, odrzuciła kandydaturę jego syna Eliezera.

Następca Lipszyca w Lublinie, chociaż zdecydowanie bardziej tradycyjny od swojego poprzednika, też wzbudzał kontrowersje wśród konserwatywnych lubelskich Żydów. Rabin Eliasz Klatzkin, żyjący i nauczający w Lublinie w latach 1910-1929, już w dzieciństwie uchodził za geniusza. Podobnie jak Hillel Arie Lipszyc był litwakiem – pochodził z litewskiej rodziny rabinackiej. W wieku dwunastu

[7] „Myśl Żydowska", 1917, nr 38.

lat posiadł kompletną znajomość Talmudu. Nazywano go Szklower Illui – „Cudowne Dziecko ze Szkłowa". Gdy miał dwadzieścia trzy lata, inni rabini mówili o nim, że nie ma sobie równych. Oprócz wiedzy rabinicznej posiadał gruntowną wiedzę z zakresu medycyny, farmakologii, chemii, historii, geografii, matematyki, a przy tym znał kilka języków. Dzisiaj powiedzielibyśmy – człowiek renesansu. Mimo że chasydzkie elity w Lublinie odkryły, że rabin Klatzkin interesował się syjonizmem, to szybko przekonano się do niego jako wielkiego autorytetu w zakresie wiedzy rabinicznej. Po poradę zwracali się do niego Żydzi z terenu Polski i Litwy.

W 1929 roku opuścił Lublin i wyjechał do Palestyny, gdzie zmarł w 1932 roku. Pozostawił po sobie dzieła religijne zarówno po hebrajsku, jak i po rosyjsku, w tym kazanie wygłoszone w czasach, gdy był rabinem w litewskim Mariampolu, zachwalające syjonizm jako panaceum na rozwijający się w Europie antysemityzm. To właśnie to kazanie wzbudziło takie kontrowersje w tradycyjnym Lublinie, gdzie ideą odbudowy państwa żydowskiego w Palestynie zafascynowana była w tym czasie zaledwie nieliczna grupa młodzieży żydowskiej, pochodzącej z inteligenckich rodzin. Mimo wczesnych kontrowersji wokół rabina Klatzkina lubelscy Żydzi do dzisiaj uważają tę postać za jedną z najwybitniejszych związanych z Lublinem. Warto tu wspomnieć też o synu rabina Klatzkina – Jakubie Klatzkinie, który uważany jest za jednego z najwybitniejszych ideologów syjonizmu. W okresie międzywojennym był jednym ze współwydawców *Encyclopaedia Judaica*, publikowanej w Niemczech w latach 1924-1938.

Obecność i działalność Meira Szapiro w Lublinie powodowała, że miasto zaczęto określać mianem „twierdzy żydowskiej ortodoksji".

Po Klatzkinie rabinem w Lublinie został Meir Szapiro, twórca i pierwszy rektor Jesziwas Chachmej Lublin. Chociaż najbliższy był ideałowi tradycyjnego rabina, potrafił działać nowocześnie i z wielkim rozmachem i cieszył się uznaniem cadyków, czego dowodem była zarówno ich obecność podczas uroczystego otwarcia jesziwy w Lublinie w 1930 roku, jak i w czasie jego pogrzebu w 1933 roku. Z ramienia ortodoksyjnej partii Agudat Israel zasiadał w polskim Sejmie. Jego autorytetu w Lublinie obawiali się wszyscy przywódcy liberalnych partii żydowskich, twierdząc, że pojawił się w mieście człowiek, który chce na nowo uczynić z miejscowych Żydów zwartą społeczność o ortodoksyjnym charakterze. Obecność i działalność Meira Szapiro w Lublinie powodowała, że miasto zaczęto określać mianem „twierdzy żydowskiej ortodoksji".

Jego zasługą była nie tylko budowa nowoczesnej jesziwy, ale także integracja środowiska lubelskich konserwatystów żydowskich. Następcą Szapiro na stanowisku *rosz-jesziwa*, czyli rektora uczelni, wyznaczonym zresztą osobiście przez niego, został ostatni cadyk lubelski reb Szloma Eiger, podczas gdy ostatnim sekretarzem jesziwy aż do września 1939 roku był jeden z wybitnych działaczy ortodoksyjnej partii Agudat Israel – Szloma Halbersztadt, zastępca przewodniczącego Gminy Żydowskiej.

Co prawda działacze Agudat Israel zawsze posiadali większość we władzach Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Lublinie, ale dzięki obecności rabina Szapiro udało się im zmobilizować do działania także wielu zwykłych religijnych Żydów lubelskich. Przykładem tego mogą być skarbonki, które wystawiono w wielu żydowskich domach, by zebrać odpowiednie fundusze na budowę jesziwy i jej utrzymanie.

Z rabinem Szapiro współpracował jeszcze jeden człowiek zaliczający się nie tylko do politycznej i religijnej, ale także finansowej elity miasta. Był nim Hersz Jojna Zylber, bodajże najbogatszy lubelski Żyd, właściciel kilku kamienic w centrum miasta, w tym także okazałego pałacyku przy ul. Cichej, który był siedzibą rodową Zylberów (dzisiaj mieści się tam Izba Pielęgniarska, ale do dzisiaj też można znaleźć tam, umieszczony na stałe ruchomy dach balkonowy, który pełnił rolę tradycyjnej kuczki na Święto Szałasów). Zylber był także znanym przemysłowcem lubelskim – m.in. do niego należał browar przy ul. Kunickiego, nazwany od jego imienia „Jeleń" (*hersz* znaczy w jidysz „jeleń"). Każdego roku Zylber przekazywał znaczne sumy pieniędzy zarówno na cele religijne i dobroczynne, jak i na wielkie fundusze syjonistyczne wspierające osadnictwo żydowskie w Palestynie.

Hersz Jojna Zylber cieszył się wielkim autorytetem wśród religijnych i niereligijnych Żydów lubelskich. Nic też dziwnego, że w latach 1932-1939 z ramienia Agudat Israel pełnił funkcję przewodniczącego Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Lublinie. Zasiadał w Radzie Miejskiej i zarządzie Keren Hajesod – Narodowego Funduszu Żydowskiego, wspierającego emigrację Żydów do Palestyny. Był też współzałożycielem Komitetu Pomocy Uchodźcom-Żydom z Niemiec. Poszukiwany przez nazistów za przynależność do tej ostatniej organizacji, opuścił Lublin w 1940 roku i przeniósł się do Otwocka. Tam, pomagając dr. Januszowi Korczakowi zakładać sierociniec dla dzieci żydowskich, zaraził się tyfusem i zmarł w 1942 roku.

Takich zamożnych religijnych osób, działających w Lublinie w okresie międzywojennym na rzecz własnej społeczności, było więcej. Można tu wspomnieć Mojżesza Szczarańskiego, samego założyciela Agudat Israel w Lublinie, i Szmula Ajchenbauma, jednego z liderów Agudat Israel i przemysłowca, który podarował plac pod budowę jesziwy. Swój znaczny majątek poświęcał on także pomocy najuboższym w mieście. Znany był wśród nich nie tylko z tego, że wspierał organizacje filantropijne, ale także dlatego, że zapraszał najuboższych Żydów do swojego domu na święta i wesela swoich dzieci. Zaproszenia te ukazywały się w prasie żydowskiej.

Większość Żydów lubelskich należących do elit finansowych angażowało się także w działalność polityczną i społeczną. Zasiadali w rozlicznych radach opiekujących się np. szkołami dla żydowskich dzieci i instytucjami kulturalnymi. Byli członkami organizacji gospodarczych, zakładając bezprocentowe kasy pożyczkowe i banki lub zajmując się pomocą charytatywną, jak na przykład Symcha Bromberg, właściciel składów chmielu na tyłach kamienicy przy ulicy 3 Maja. To właśnie od nich powstała nazwa ulicy Chmielnej. Symcha Bromberg przybył do Lublina z Międzyrzeca Podlaskiego w II połowie XIX wieku. Pochodził z ubogiej rodziny szczotkarzy. Międzyrzec jeszcze przed II wojną światową uchodził za krajowe centrum produkcji szczotek i zajmowali się tym głównie żydowscy rzemieślnicy.

Dzięki własnej smykałce do interesów i uporowi szybko zaczął w Lublinie zdobywać majątek i pozycję. Wżenił się tutaj w zamożną rodzinę Borensztajnów, dzięki czemu pomnożył własne dochody. Szybko też piął się po szczeblach lubelskiej drabiny społecznej. Już po I wojnie światowej był członkiem Zarządu Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Lublinie. W okresie międzywojennym został również wiceprezesem Lubelskiej Izby Przemysłowo-Handlowej, a także zaangażował się w działalność Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem – obydwie

organizacje posiadały zarówno polskich, jak i żydowskich członków. Oprócz tego starał się być także pomocny młodym Żydom w Lublinie. Sam nie posiadając wyższego wykształcenia, zapewnił je własnym dzieciom, ale także fundował stypendia dla niezamożnych studentów żydowskich.

Wojny nie przeżył. W 1939 roku uciekł do Lwowa, a w 1941 roku, gdy i tam wkroczyli Niemcy, próbował przedostać się do Zamościa, gdzie w tamtejszym getcie przebywali jego syn i synowa. Niestety, po drodze ze Lwowa został aresztowany wraz z żoną i zamordowany w nieznanym miejscu.

Naprawiacze świata – socjaliści, syjoniści i inni

Charakterystyczne dla Lublina było to, że bardzo wielu znanych działaczy żydowskich, zarówno socjalistycznych, jak i syjonistycznych, pochodziło z religijnych rodzin. Być może ich zaangażowanie w nowoczesną działalność polityczną, często radykalną, było swoistą ucieczką z kulturowego i religijnego getta, jakim był chasydyzm i ortodoksyjny judaizm w Lublinie. Na początku XX wieku, wbrew woli religijnych rodziców i presji otoczenia, uciekali z chederów, jesziw czy z tradycyjnie kojarzonych małżeństw, by nie tylko zdobywać świecką wiedzę, ale także angażować się w nowoczesne ideologie. Przy tym działalność polityczna nie była jedyną formą ich aktywności.

Za przykład tego, jak w Lublinie, gdzie dominowały chasydzkie i talmudyczne idee, pojawiały się nowoczesne kręgi inteligencji, mogłaby posłużyć biografia Henryka Ehrlicha, jednego z najwybitniejszych przywódców polskiego Bundu w okresie międzywojennym. Został on rozstrzelany w 1941 roku w Moskwie razem z innym bundowskim liderem Wiktorem Alterem. Wyrok wykonano na osobisty rozkaz Stalina. Bund był organizacją, która chociaż miała marksistowskie korzenie, to jednak sprzeciwiała się bolszewickim metodom.

Henryk Ehrlich, a w zasadzie Hersz-Wolf Ehrlich, pochodził z zamożnej, ale chasydzkiej rodziny. Jego ojciec, Mosze, zwolennik cadyka z Góry Kalwarii, był całkowicie przeciwny świeckiemu wykształceniu syna, matka na-

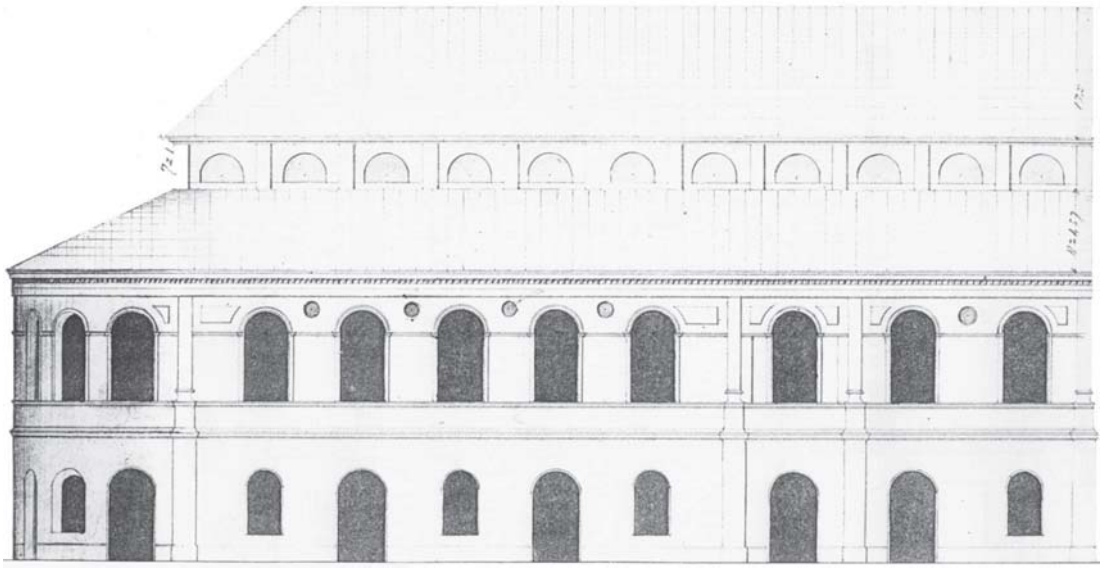

Elewacja zachodnia synagogi Maharszala – rysunek. II poł. XIX w. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

tomiast starała się, by oprócz wiedzy religijnej jej dzieci posiadały podstawy innego wykształcenia. W tajemnicy przed mężem, posłała syna do gimnazjum. Normalnie chłopak chodził w chałacie, zaś w gimnazjum wymagano mundurków szkolnych, więc po wyjściu z domu młody Henryk Ehrlich przebierał się w mundurek w jednej z bram.

Fakt wychodzenia syna do świeckiej szkoły ojciec odkrył i w złości zniszczył mu gimnazjalny strój. Ehrlich za namową matki ze szkoły jednak nie zrezygnował i potem dostał się na studia do Warszawy, gdzie związał się z działaczami bundowskimi. Po relegowaniu go za działalność socjalistyczną na Uniwersytecie Warszawskim musiał na trzy lata wyjechać przymusowo do Rosji. Trzy lata zesłania w Petersburgu wykorzystał na zakończenie studiów prawniczych. Tam ożenił się z Zofią Dubnow, córką jednego z najsłynniejszych historyków żydowskich Szymona Dubnowa.

Od 1912 roku był jednym z liderów Bundu w carskiej Rosji. W czasie rewolucji lutowej w Rosji działał w Piotrogrodzkiej Radzie Delegatów, z której wystąpił po bolszewickim przewrocie październikowym na znak protestu wobec dyktatury Lenina. Fala bolszewickiego terroru, skierowana także przeciwko socjalistycznym opozycjonistom, zmusiła go do ucieczki do Polski. Powrócił wraz z żoną i dwoma synami do rodzinnego Lublina i zamieszkał w domu ojca.

Jego sława działacza, który odżegnywał się od radykalizmu politycznego i potrafił godzić zwaśnione strony, zapewniła mu czołową pozycję w polskim Bundzie. W 1919 roku na zaproszenie Komitetu Centralnego tej organizacji przeniósł się do Warszawy, gdzie zdobył mandat radnego miejskiego i zasiadał w Radzie Żydowskiej Gminy Wyznaniowej. Zajmował się działalnością polityczną, publicystyką i adwokaturą, jako wzięty obrońca w czasie procesów politycznych.

W 1939 roku, po agresji hitlerowskiej, wraz z Wiktorem Alterem i innymi działaczami bundowskimi zbiegł do Brześcia nad Bugiem. Tu w ręce NKWD wydał go jeden z żydowskich komunistów (w okresie międzywojennym Ehrlich zasłynął między innymi dzięki sądowym obronom żydowskich komunistów, chociaż w działalności politycznej był przeciwnikiem współpracy z nimi). Początkowo on i Alter zostali skazani na karę śmierci. Potem wyrok zamieniono im na 10 lat więzienia. Po agresji niemieckiej na ZSRR na mocy amnestii dla obywateli polskich zostali zwolnieni i od razy zaangażowali się zarówno w działalność na rzecz niepodległości Polski, jak i reaktywowania żydowskiego życia politycznego, m.in. wchodząc w skład Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego.

Pewnego grudniowego dnia 1941 roku zostali zaproszeni na jakiś kongres organizowany przez władze radzieckie i tam przepadli bez wieści. W poszukiwania Ehrlicha i Altera zaangażowały się żydowskie organizacje na całym świecie oraz rząd polski gen. Sikorskiego. W końcu pod naciskiem wielu organizacji strona radziecka w 1943 roku przyznała się, że obydwaj zostali aresztowani i rozstrzelani w moskiewskim więzieniu na Łubiance pod absurdalnym zarzutem szpiegostwa na rzecz hitlerowskich Niemiec. W rzeczywistości Stalin pozbył się dwóch ludzi, którzy występowali aktywnie przeciwko bolszewickiemu terrorowi.

Pod wpływem syna, na początku XX wieku nowymi ideałami zainteresował się jego ojciec Mosze Ehrlich. Zerwał z konserwatyzmem religijnym i związał się z ruchem syjonistycznym (socjalizm był dla tego zamożnego kupca lubelskiego zbyt radykalny). Był współtwórcą lubelskiej organizacji Chibbat Cion („Miłośników Syjonu")

i uchodził za jej głównego ideologa. Utrzymywał też bliskie kontakty z najwybitniejszymi działaczami syjonistycznymi na świecie, między innymi z Ahadem-Haamem, głównym ideologiem tego ruchu, nazywanym także twórcą syjonizmu duchowego.

Warto pamiętać, że Lublin miał wiele elit i nie zawsze mówił i tworzył tylko po polsku.

Rodzina Ehrlichów, bardzo zamożna i aktywna, uchodziła za typowy przykład lubelskiej elity finansowej i społeczno-politycznej. Z rodziną tą związani byli ludzie, którzy włączali się w życie społeczne całego miasta, jak chociażby Izaak Słobodkin, mąż Gitel, córki Mosze Ehrlicha. Rodziny zięcia i teścia łączyła głęboka religijność, ale Słobodkin, pochodząc z rodziny typowych Żydów litewskich, litwaków i mitnagdim, sprzeciwiał się chasydyzmowi. Sam był absolwentem słynnej jesziwy w Wołożynie. Już jako zamożny człowiek przybył z Nowogródka do Lublina, gdzie stał się znanym przemysłowcem – właścicielem garbarni. Mimo że Żydzi z Królestwa Polskiego bardzo negatywnie postrzegali litwaków, to jednak Izaak Słobodkin cieszył się w Lublinie dużym uznaniem. Niezwiązany z żadnym ruchem politycznym, udzielał się na polu gospodarczym. Był założycielem Banku Spółdzielczego, członkiem Izby Przemysłowo-Handlowej i wreszcie radnym miejskim. Co ciekawe, jako jeden z nielicznych lubelskich Żydów cieszył się także uznaniem ludności chrześcijańskiej, zwłaszcza wśród polskich kupców i przemysłowców, tradycyjnie postrzegających Żydów jako konkurencję.

Innym przykładem takiej ucieczki z tradycji religijnej w socjalizm jest dr Szloma Herszenhorn. Pochodził z religijnej rodziny znanych lubelskich drukarzy specjalizujących się w publikacji ksiąg rabinicznych. Z socjalizmem zetknął się, studiując w jesziwie, którą porzucił na rzecz świeckiego gimnazjum i uniwersytetu, aby już jako lekarz przyłączyć się do lubelskiego Bundu. Z ramienia tej organizacji zasiadał w radzie miejskiej i Rady Gminy Żydowskiej. Był jednym z najbardziej znanych członków Towarzystwa Ochrony Zdrowia i jednocześnie angażował się w życie kulturalne miasta.

W 1939 roku uciekł wraz z rodziną na tereny okupowane przez Rosjan. Tam, jak wielu bundowców, został aresztowany i zesłany na Syberię, gdzie stracił żonę i jedynego syna. Po wojnie powrócił do Lublina i tu od 1944 roku usiłował reaktywować żydowskie życie społeczne. Potem udzielał się w Centralnym Komitecie Żydów w Warszawie. Rozczarowany do polskiej rzeczywistości powojennej i antysemityzmu, postanowił wyemigrować do Izraela, gdzie spędził kilka lat w domu starców. Tam również nie mógł znaleźć sobie miejsca i wyemigrował do Australii, gdzie schorowany zmarł w 1953 roku

Kolejna postać, o której warto wspomnieć, to Szlomo Baruch Nissenbaum, księgarz i historyk żydowskiego Lublina w jednej osobie. Już pod koniec XIX wieku był właścicielem niewielkiej, ale znanej księgarni, położonej pomiędzy Ochronką a Bramą Żydowską, przy ul. Grodzkiej. Zaplecze tej księgarni było również miejscem spotkań pierwszych lubelskich syjonistów z Chibbat Cion. Nissenbaum był założycielem tej grupy, a jednocześnie pozostawał w korespondencyjnym kontakcie z najważniejszymi ideologami syjonizmu w Europie.

Szlomo Baruch Nissenbaum wywodził się jeszcze z tradycyjnego, religijnego żydowskiego Lublina. Jego zachowane fotografie przedstawiają go jako patriarchalnego, brodatego Żyda w tradycyjnym stroju. Umysłowo jednak należał już do nowoczesnej inteli-

gencji, zagłębiającej się w świeckich naukach, dysponującej głęboką wiedzą. Nissenbaum był typem starego maskila – wykształcenie uzyskał tradycyjne, a następnie sam kształcił się w zakresie nowoczesnych przedmiotów. Uczył się u mełameda – żydowskiego nauczyciela z chederu – i sam początkowo był także takim nauczycielem, ale poszerzył swoją wiedzę o tak zwane „światowe przedmioty". Znał zarówno żydowską literaturę religijną, jak i kanon literatury świeckiej. Wszyscy, którzy się z nim stykali, podziwiali go za wielką erudycję i głęboką wiedzę. Jego największą pasją była historia żydowskiego Lublina, którą starał się popularyzować poprzez swoje badania. W efektem tych studiów i badań, prowadzonych w oparciu o dawne dokumenty żydowskie, które jeszcze wtedy można było znaleźć w Lublinie, jak i na podstawie informacji zawartych na nagrobkach wybitnych postaci żydowskich spoczywających na starym cmentarzu żydowskim, w 1899 roku ukazało się jego najważniejsze dzieło, opublikowana po hebrajsku niewielka książeczka, zatytułowana *Le-korot ha-Jehudim be-Lublin*. Są to biografie najwybitniejszych Żydów lubelskich, a zarazem rzecz o dziejach żydowskiego Lublina widzianych przez pryzmat tych postaci.

W 1913 roku w Petersburgu ukazała się kolejna praca Nissenbauma, tym razem po rosyjsku. Były to *Jewrejskije nadgrobnyje pamiatniki goroda Lublina (XVI-XIX v.)* (Żydowskie nagrobne zabytki miasta Lublina) – książka poświęcona zarówno dziejom starego cmentarza żydowskiego na Kalinowszczyźnie, jak i osobom, które na nim spoczywały. Jednocześnie Szlomo Baruch Nissenbaum był pierwszym lubelskim Żydem, który zwrócił uwagę na problem konserwacji tego zabytkowego cmentarza i dzięki jego staraniom miejscowa Gmina Żydowska na

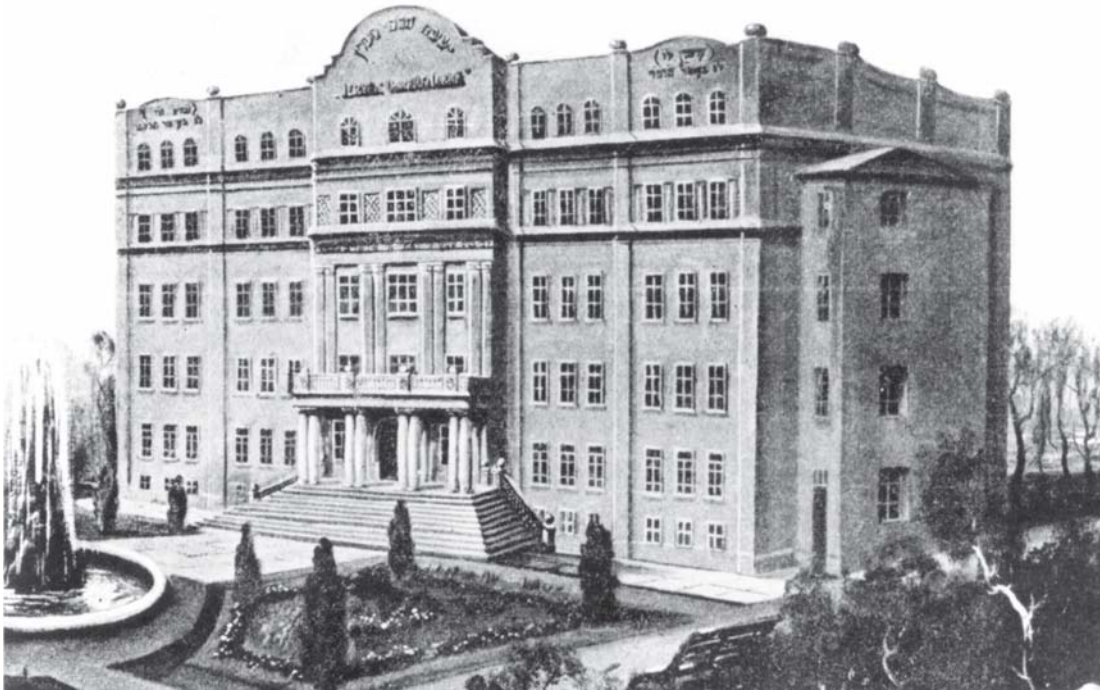

Jesziwas Chachmej Lublin. Pocztówka. Ze zbiorów TNN.

przełomie XIX i XX wieku odnowiła kilka szczególnie cennych macew znajdujących się na starym kirkucie, w tym nagrobek rabina Szaloma Szachny.

Walkę o stary cmentarz Nissenbaum prowadził do końca swojego bogatego życia. Raz po raz, już w okresie międzywojennym, na łamach lubelskiego żydowskiego dziennika „Lubliner Tugblat" ukazywały się jego apele o ratowanie tego najcenniejszego żydowskiego zabytku w Lublinie. W gazecie tej, z którą związany był jako stały współpracownik, publikowano także jego artykuły o dziejach Lublina i jego żydowskich mieszkańców. Jako zwolennik syjonizmu udał się w latach dwudziestych do Palestyny, skąd jednak powrócił do rodzinnego Lublina. Efektem tej podróży był cykl palestyńskich reportarzy opublikowanych również w „Lubliner Tugblat".

Szlomo Baruch Nissenbaum zmarł w Lublinie w 1927 roku i tu został pochowany na nowym cmentarzu żydowskim. Po jego nagrobku nie został nawet ślad. Jedynie w Bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego znajduje się jego praca o wybitnych lubelskich Żydach. Jest to jej wznowienie z 1921 roku.

Szlomo Baruch Nissenbaum był jednym z pierwszych żydowskich historyków w Lublinie. Po nim dziejami miejscowej społeczności żydowskiej zajmowali się inni: dr Leon-Lejb Szper, rabin i znawca religijnej historii Żydów, nauczyciel tegoż przedmiotu w przedwojennym żydowskim Gimnazjum Szperów, dr Bela Mandelsberg-Szyldkraut, studentka prof. Majera Bałabana zajmująca się historią Żydów w Lublinie w XVI-XVII wieku, jak również nauczycielka w gimnazjum żydowskim w Lublinie, czy wreszcie prof. Nachman Blumenthal, którego szczyt kariery przypadł już na okres powojenny – pracował najpierw w Centralnej Komisji Historycznej Żydów w Polsce, zbierającej i publikującej relacje ocalałych z Zagłady, a następnie już w Izraelu, w Instytucie Pamięci Yad Vashem, zajmował się studiami nad Holokaustem w Polsce.

W kręgu nauki i kultury

Drugą postacią wartą przypomnienia był Jakub Waksman, znany przed wojną w lubelskim środowisku żydowskim jako dramaturg i reżyser amatorskiej grupy teatralnej grającej w języku jidysz. Związany był z Towarzystwem „Hazomir", zajmującym się propagowaniem życia kulturalnego w języku jidysz. Do organizacji tej należeli jeszcze przed I wojną światową najbardziej aktywni Żydzi lubelscy, w tym Bela Szpiro, grywająca również w amatorskich przedstawieniach. Żydowscy aktorzy amatorzy sięgali zarówno po własnych klasyków – Szolem Alejchema, Icchaka Lejba Pereca czy Szaloma Asza – jak również po sztuki pisane na miejscu, w Lublinie, właśnie przez Waksmana.

Waksman reżyserował także własne przedstawienia, wystawiane w najpopularniejszych teatrach na terenie Lublina. Żydowskie spektakle grywano w międzywojennym Lublinie w salach kinoteatrów, ponieważ Teatr Żydowski nie miał w mieście własnej sceny. Nawet przyjezdne grupy warszawskie, wileńskie czy łódzkie, z żydowskimi sławami przedwojennego teatru w Polsce: Idą Kamińską, braćmi Turkow, Reginą Cukier czy Aleksandrem Granachem, musiały występować w salach kinoteatru „Panteon" lub „Corso". Zwłaszcza w tym pierwszym, w „Panteonie" przy Jezuickiej (Stary Teatr), najczęściej wystawiano żydowskie sztuki, cieszące się wielkim powodzeniem w Lublinie. Tu też grano Waksmana i on tu reżyserował.

Waksman mieszkał przy ulicy Złotej, przy tej samej, gdzie swój salon prowadziła Franciszka Arnsztajnowa.

Złota musiała mieć jakiś artystyczno-poetycki koloryt, skoro żyli na niej ludzie trudniący się literaturą. Nie wiem, czy Arnsztajnowa utrzymywała jakiś kontakt z Waksmanem, mimo że obydwoje byli Żydami. Należeli jednak do dwóch różnych światów – ona czuła się Polką wyznania mojżeszowego i obracała się przeważnie w polskim środowisku, on całkowicie związany był z lubelskimi Żydami – pisał w jidysz dla publiczności, dla której język ten był środkiem codziennej komunikacji. Jakub Waksman całkowicie zatopiony był w kulturze własnego narodu. Tak to już było w ówczesnym Lublinie, że nawet żyjąc na jednej ulicy, można było być dla siebie całkiem obcym, mimo wspólnej przynależności do jednej grupy narodowej. Jeszcze głębiej ten podział przebiegał pomiędzy Polakami i Żydami, a zwłaszcza pomiędzy elitami. Obydwoje zginęli jako Żydzi – Arnsztajnowa w getcie warszawskim, Waksman w lubelskim, prawdopodobnie zastrzelony na ulicy podczas akcji likwidacyjnej. Obydwoje nie mają też grobów.

O żydowskich elitach i słynnych postaciach, nawet tych tylko w wymiarze lokalnym, można byłoby pisać jeszcze wiele. Powyższy opis najważniejszych postaci z żydowskiego Lublina, związanych z miastem i tworzących jego historię na równi ze słynnymi Polakami, niech będzie tylko wstępem do przywracania pamięci o ludziach, którzy coś tutaj znaczyli, żyli i zasłużyli się. Dzisiaj prawie bezimienni, często nie mający nawet własnego miejsca na cmentarzach, nic nie znaczą dla obecnych mieszkańców miasta. Może jednak warto pamiętać, że Lublin miał wiele oblicz, elit, słynnych postaci i nie zawsze mówił i tworzył tylko po polsku.

Żydowskie elity w Nałęczowie. Ze zbiorów Jana Błaszczaka.

„Uobywatelniajmy się”
– takie hasło wypisano na sztandarze tygodnika.

Bartosz Panek

Pierwsza i ostatnia „Myśl”

Pierwszy organ prasowy lubelskich Żydów – i ostatni w języku polskim

Gdy przedłużały się trwające od lutego 1916 roku walki pod Verdun, a Claude Monet zastanawiał się nad namalowaniem serii „Lilie wodne”, w Lublinie ukazał się pierwszy numer polskojęzycznej „Myśli Żydowskiej”.

Ośmiostronicowe wydanie kosztowało 20 groszy, a większość nakładu sprzedawała się w prenumeracie. Dominowała publicystyka; krótkie informacje zamieszczano w „Kronice tygodnia”. Przeciętnie 2 strony „Myśl” przeznaczała na ogłoszenia i reklamy (bardzo często i pierwszą stronę, prawie w całości).

Tezy naczelnego

7 marca 1916 roku nowy tygodnik ogłosił piórem redaktora naczelnego, że „w społeczeństwie tem [żydowskim – przyp. B. P.] już dawno dojrzała świadomość posiadania własnej trybuny, która by broniła jego praw”. Ludwik Rechtszaft (zastąpiony w końcu 1917 roku przez Izaaka Kerszmana) deklarował jednocześnie pokojowy charakter pisma („Nie rzucamy nikomu rękawic”) i działanie na rzecz zbliżenia Polaków i Żydów. Kwestia asymilacji była jednak otwarta – „Myśl” nie chciała rozpatrywać, czy „żargon na brudnych i ciasnych ulicach dzielnicy żydowskiej zastąpiony będzie polską mową”.

Za skłócenie obu nacji winił Rosjan i ich judeofobską politykę, zgodną z zasadą *divide et impera*, która wykształciła w Polakach „mściwą nienawiść wobec Żydów”. Jednakże i swoim rodakom Rechtszaft nie żałował gorzkich słów: „Winniśmy wyzbyć się swej karygodnej obywatelskiej obojętności i wejść w ścisły kontakt ze sferą działań społecznych”. „Uobywatelniajmy się” – takie hasło wypisano na sztandarze tygodnika.

Nowy tygodnik wydawany przez gminę żydowską był ewenementem – dotychczas Żydzi, największa mniejszość narodowa w mieście, nie mieli własnego organu prasowego. Co więcej, „Myśl” stała się według słów Rechtszafta pierwszym pismem o takim charakterze w zaborze austriackim[1].

[1] Przez większość zaborów Lublin był pod panowaniem rosyjskim. Tutaj chodzi więc łącznie o tereny zaboru austriackiego i obszary kontrolowane przez wojska austro-węgierskie pod koniec I wojny światowej [przyp. red.].

Reakcja nacjonalistów

Samo pojawienie się pisma wzburzyło skrajną prawicą i prasą z nią związaną. Atak w tonie dość niewyszukanej propagandy rozpoczęła „Ziemia Lubelska”. Dziennik, poruszony faktem, że na terenach „rdzennie polskich istnieje żywot drugi, też tubylczy”, ostrzegał przed inspirowanym z zagranicy organizowaniem się żydostwa w kraju. (Jak widać, zmieniło się niewiele.) Smaczku sprawie dodał fakt, że artykuł *Z powodu „Myśli żydowskiej”* miał przedruki w krakowskim „Głosie Narodu”, „Kurierze Lwowskim”, „Kurierze Warszawskim”, a nawet w „Dzienniku Poznańskim”. Pod głównymi tezami tekstu mogli podpisać się bowiem wszyscy redaktorzy prawicowych pism. Taki był początek przydługiej, bo trwającej prawie do końca 1916 roku polemiki między „Myślą” a „Ziemią”.

Poszukuję w dzielnicy Krak.-Przedmieścia i przyległych ulic dobrych i świeżych obiadów przy solidnej i inteligentnej rodzinie. Wiadomość w redakcyi.

Dyskurs w pewnym momencie stał się bardziej rzeczowy. Autor podpisujący się „A. Napiórkowski” pisał, że inteligencja żydowska powinna raczej zająć się problemem biedoty z Podzamcza niż wydawaniem czasopisma. Wtedy nikt nie formułowałby żadnych zarzutów. Ale już kolejnym razem ten sam Napiórkowski pytał wprost, dlaczego Żydzi nie mają jeszcze własnego państwa, choć dysponują dużymi pieniędzmi. Proponował, by osiedlili się na słabo zaludnionych terenach Turcji[2].

„Myśl” odpowiadała na prawie każdy tekst. Początkowo repliki były wyważone („polityka negacji to środek w stosunkach z Żydami”, „Żydzi byli kopciuszkami rosyjskiej państwowości”), ale z czasem nabierały rumieńców. Zaiskrzyło nieco, gdy redaktorzy z Radziwiłłowskiej 3/9 oświadczyli, że „nieprzestrzeganie równości obywateli wobec prawa wyklucza państwo z szeregu krajów Europy”. Co więcej, pojawiały się polemiki personalne: „mam przed sobą nie trzeźwo myślących dziennikarzy, a pozbawionych równowagi umysłowej zdziczałych maniaków”.

Na początku roku 1917 „Myśl” napisała o trudnościach w akceptacji pisma, nieufności ze strony Polaków i niezrozumieniu intencji Żydów. To dawało choć trochę nadziei na poprawę tej sytuacji, tym bardziej że ton pisma był już stale umiarkowany. „Wierzymy, że zajaśnieje wielkie światło tolerancji” – pisano.

Chcemy równo!

Poza systematyczną polemiką z „Ziemią Lubelską”, która zdominowała pierwszy rok ukazywania się pisma, „Myśl Żydowska” poświęcała wiele miejsca równouprawnieniu Żydów. Chodziło w pierwszym rzędzie o włączenie tej mniejszości do prac Lubelskiego Komitetu Ratunkowego, który zajmował się niesieniem pomocy wojennej cywilom. Sprawa zakończyła się powołaniem osobnego komitetu żydowskiego.

[2] „Ziemia Lubelska” z 31 marca i 1 kwietnia 1916.

Rok II. № 19 (57). Lublin, 14 Maja 1917 roku

W Lublinie cena 34 halerzy po za Lublinem „ 40 halerze

MYŚL ŻYDOWSKA

TYGODNIK SPOŁECZNY

CENA PRENUMERATY w Lublinie

— Redakcya i Administracya: Radziwiłłowska № 3 m 9. — — Skrzynka pocz. № 24.

REDAKCYA OTWARTA. w Poniedziałki Środy i Czwartki od g. 5 7 pp.

CENA OGŁOSZEŃ,

NIEUDANY ZAMACH.

Ogłoszenie przez generał-gubernatora warszawskiego Beselera ordynacyi wyborczej do Rady Miejskiej m. Warszawy zadało planom reakcyjnym Warszawskiego Komitetu Obywatelskiego klęskę dotkliwą i kompromitującą. Komitet ten, gwoli zadośćuczynieniu fałszywie pojętym tendencyom patryotycznym, sfabrykował projekt wyborczy, urągający najelementarniejszym zasadom demokratyzmu i sprawiedliwości społecznej.

Punktem ciężkości manipulacyi wyborczej, jaką zamierzał zaprowadzić Komitet, był postulat, że wyborca pasywny musi być posiadaczem nader wysokiego cenzusu oświatowego, mianowicie, musi umieć czytać i pisać po polsku. Podziwiać tylko należy zbyteczną delikatność Komitetu, że nie zawarował prawa wyborczego koniecznością posiadania języka polskiego w literackiej jego perfekcyi. Wtedy członkowie Komitetu mogliby spokojnie spocząć na laurach: żaden parweniusz, z ich nb. punktu widzenia, nie zasiadłby przenigdy na sedes curulis w wielkiej sali ratuszowej. Lecz postulat oświatowy, zakreślony i na tę skromniejszą skalę, posłużyłby dostatecznie wysokim wałem obronnym, któryby fundamentalnie zatarasował bramy ratusza od wnijścia w nie elementów, niepożądanych dla wodzirejów polityki „narodowej".

„Myśl" stworzyła silne lobby na rzecz zmiany niekorzystnego dla Żydów kurialnego systemu wyborczego w zaborze rosyjskim (polegał on na wydzieleniu kategorii wyborców według kryterium majątkowego lub społecznego, tzw. kurii, co z reguły zapewniało w wyborach zwycięstwo bogatszym). Okazją do przypominania o swych elitach były wybory do powstających w różnych miastach polskich rad miejskich; najwięcej kolumn poświęcono Warszawie. „Myśl" zabiegała także o porozumienie polsko-żydowskie w kuriach. Z uwagą obserwowano oczywiście wybory do rady Lublina w 1918 roku, kiedy kilkunastu Żydów otrzymało mandaty. I tu na pewno poskutkowała agitacja „Myśli".

Zrozumiały jest też entuzjastyczny komentarz do przemówienia Jana Kucharzewskiego z 22 grudnia 1917 roku. Deklaracja premiera, określana jako „punkt zwrotny przeciw polityce eksterminacyjnej Żydów", dotyczyła poszerzenia ich odrębności kulturalnej i wyznaniowej. W tonie wielkiego wydarzenia określono ją jako doniosłą. Również przychylnie odniosła się gazeta do powołania Tymczasowej Rady Stanu, a to z dwóch powodów. Z jednej strony liczono na wejście Żydów do tworzącej się polskiej administracji, z drugiej – na Piłsudskiego i jego osobisty pozytywny stosunek do mniejszości.

Klub szachowy na oświatę. Na ostatniem dorocznem walnem zgromadzeniu członków klubu szachowego, przy zatwierdzeniu kasowego sprawozdania za rok ubiegły, uchwalono jednogłośnie wyasygnować 300 rubli na cele oświatowe.

Z wielką uwagą redaktorzy „Myśli" obserwowali zjazd rabinów zaboru austriackiego. W sierpniu 1916 dyskutowano w Lublinie głównie o sprawach higieny (przy obrzezaniu „konieczne jest zerwanie ze sposobem tamowania krwi za pomocą ust, gdyż te mogą być gniazdem najrozmaitszych zarazków, zaszczepianych tą drogą maleństwu"), religijnych (kiedy rabin może być zwolniony z obowiązku prowadzenia ksiąg stanu cywilnego) oraz o podkreślaniu międzynarodowego aspektu kwestii żydowskiej.

Co u innych?

Sprawy polskie nieczęsto gościły na łamach „Myśli", dlatego trudno dokładnie określić stosunek gazety do Polaków. Biorąc jednak pod uwagę deklaracje z pierwszego numeru i fakt, że nie pojawiały się w tygodniku żadne wyssane z palca insynuacje, wypada stwierdzić, że był on poprawny. Dobrym tego przykładem niech będzie relacja z obchodów 125. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. „Myśl", podkreślając udział Żydów w uroczystości typowo polskiej, widziała w tym „iskrę porozumienia, które może rozpali się jasnym płomieniem".

W ogóle język większości publicystycznych artykułów tygodnika jest metaforyczny. Sporo tu kwiecistej retoryki

(„osławiony katechizm zaprzysięgłych antysemitów”, „szerokim i wartkim korytem popłynęły wynurzenia zapamiętałego szowinizmu”, „z chciwością kolekcjonisty”), choć gorzej z warsztatem. Niektóre teksty są przeładowane informacjami i zbędnymi stwierdzeniami. Przytoczmy dwa przykłady. Oto fragment drobiazgowego sprawozdania: „skauci rozstawili swoje namioty, a po ugotowaniu i spożyciu obiadu zabrali się znów do wykonywania różnych ćwiczeń” i jedno (!) zdanie: „Lecz jak księżyc w ciemną noc, jak reflektor z wysokości latarni morskiej rzucający snopy światła elektrycznego na czarne wody oceanu, tak jarzy się i świeci promiennym blaskiem w ponure chwile desperacyi, zwątpienia i nieszczęść święto Wielkiejnocy, święto otuchy, symbol i uduchawia ono i przyzywa do życia nadzieję lepszych czasów jaśniejszej przyszłości”.

Podobny styl miały zamieszczane od 1917 roku bardzo szczegółowe sprawozdania z posiedzeń rady miasta. Zwykle poświęcano im około 1,5 kolumny przy ośmiu stronach objętości całego pisma. Od tego też czasu więcej miejsca zaczęto poświęcać tematyce nie tyle polskiej, co polsko-żydowskiej. „Myśl” próbowała interweniować w sprawie bicia aresztantów przez milicję miejską, zabiegać o utworzenie polskiej szkoły dla Żydów i nadanie nowego statusu chederom, do których nie przyjmowano by już „dzieci chorych, z nieczystemi głowami i oczami”. Gdzie cheder powinien się mieścić? Na przykład dla 30 dzieci: „w pokoju najmniej 8 na 10 łokci i 4 łokcie wysokości; na każde dziecko ma być 10 sześciennych łokci powietrza”[3]. Gazeta sugerowała też, że dzieci nie powinny być bite.

Ofiara. P-wo Holcberger dla uczczenia pierwszej opłesnej rocznicy śmierci ich ukochanego syna, b. p. Stanisława, złożyli w redakcyi naszego pisma na rzecz ochronki dla dzieci uchodźców i rezerwistów żydów—25 koron.

[3] Łokieć rosyjski: 474 mm; austriacki: 779,19 mm [przyp. red.].

2 ..... MYŚL ŻYDOWSKA ..... № 15

całą rozbieżność ideową, mimo rozterkę wewnętrzną, mimo tradycyjny brak organizacyi i umiejętności porozumiewania się w kwestyach zasadniczych u żydów, w postaci Komitetu Żydowskiego Wyborczego widzimy silną konsolidacyę i usolidaryzowanie się niemal wszystkich światopoglądów i grup, na jakie rozbiła się spółczesna politykująca, działająca i myśląca część społeczeństwa żydowskiego

Tę niezwykłą dla żydów koncepcyę stosunków wewnętrznych, tę rzadką koncentracyę sił, myśli i pracy zawdzięczyć musimy jednemu jedynemu czynnikowi, który jest wszechwładnym regulatorem maszyny spółżycia żydów z ich spółobywatelami-polakami. Czynnikiem tym jest nieprzeparta siła prześladowań i obelżywej ignorancyi, w jakie oprawia swój stosunek do żydów społeczeństwo polskie. Zjednoczenie żydowskie jest wytworem tego stosunku, dzieckiem jego nieodrodnem, ciałem od ciała, kością od kości. Gdyby rzeczywistość nie była pasmem ponurych i tragicznych aktów codziennego potępiania uczuć i praw społeczeństwa żydowskiego, to za przyczynienie się swem postępowaniem do koncentracyi sił masowego intelektu żydowskiego, możnaby było prześladowcom naszym w pas się pokłonić. Ta sama bowiem smutna rzeczywistość z systematycznem rugowaniem żydów od udziału w instytucyach społeczno-gospodarczych, z urąganiem uczuciom ludzkim i obywatelskim, ze świadomymi wymysłami piśmideł określonej kategoryi przywiodła do pewnego rozbudzenia potencyi samookreślenia i samoobrony, która drzemała w głębi społeczeństwa żydowskiego, Potencya ta została ze swej wiekowej śpiączki wyrwana, Zrozumiano, że teraz nie czas robić słodkie miny, z oburzeniem wzruszać ramionami i desperacko protestować, kiedy nam zarzucają odrębny sposób działania: wybory do Rady miejskiej—to najważniejszy egzamin dojrzałości obywatelskiej, odpowiednia ilość radnych żydowskich, mogących godnie zareprezentować interesy swych wyborców, to jedyna możliwość osiągnięcia niezależnego stanowiska obywatelskiego dla całego społeczeństwa żydow-

*

GOLEM. Feljeton.

„Lajmener Golem!“—woła się, jeżeli ktoś niezwykle niezgrabnem wystąpieniem wywołał wrażenie śmieszne i niewyraźne zarazem.

boszczyku“. (D-ra Kaufmana „Die Chronik des Achimaaz von Oria, 850—154“ w „Monatschrift für Geschichte und Wissenschaft des Judentums XL ex 1895) W świątyni modli się człowiek, opuszczając konsekwentnie słowo „bóg“. Po tem poznaje rabbi, że ma przed sobą umarłego, gdyż takiemu nie wolno wzywać imienia

Od 1917 więcej było w „Myśli" kultury i recenzji teatralnych, nie tylko z Lublina, również z Warszawy.

Samo życie

I wreszcie samo życie, czyli to, co nas interesuje najbardziej w aspekcie prawdziwej – bo ściśle związanej z ludźmi – historii. Pojawienie się „Myśli" zbiegło się w czasie z epidemią tyfusu plamistego w dzielnicy żydowskiej. Publikowano zatem odezwy i apele Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego o przestrzeganie higieny. „Czystość ciała – a więc kąpiele – są wrogami zarazy, ale dla biednej ludności są one zbytkiem: dlatego też musimy pomyśleć o bezpłatnem lub taniem wydawaniu bonów na kąpiele". Nadrabin Lublina traktował natomiast tę sprawę jako obowiązek religijny.

HELENA ROTBLIT
HERMAN HARTENSTEIN
zaślubiona
Lublin 21.V 1917 r.

Niniejszym zawiadamiamy Sz. Publiczność, żeśmy otworzyli na Krak.-Przedm. № 14 (nad sklepem W-go Wejersohna)
„S-kę Robotn. Krawców Męzkich"
Prosimy o odwiedzenie naszego zakładu, aby się przekonać, że tylko u nas można się ubierać wykwintnie i niedrogo według najnowszego dziennika mod 1916 r.
Posiadamy również najnowsze modele garniturów sportowych Londyńskiego kroju.
W nadziei, że Sz. Publiczność poprze nasz zakład, pozostajemy z poważaniem
Ch. Sztrauzman i M. Zylbermehl.

„Konkurencja" w postaci wspominanej już „Ziemi Lubelskiej" publikowała także listy czytelników dotyczące tyfusu. Feliks Fr...wicz (podpis autentyczny) zaliczał do przyczyn epidemii „fakt plucia po trotuarach i szkodliwy system zamiatania ulic". Według tego czytelnika należało je sprzątać, gdy się całkowicie wyludniły. Anna Zydrańska, „obywatelka z ulicy Podzamcze", była zbulwersowana postawą Wydziału Sanitarnego, który nie chciał nawet uporządkować ulic okalających lubelski zamek. „Śmieci i gnój leżą w dalszym ciągu, powietrze jest zatrute, okien nie można otwierać. Co zaś dzieje się na podwórzach, tego nie sposób opisać" – pisała czytelniczka.

Najwięcej informacji przynosi „Kronika tygodnia", kolumna po trosze plotkarska, po trosze poważna. Anegdotyczna, ale i nieśmieszna zarazem okazała się sprawa kradzieży w synagodze Kotlarzy. Z domu przy Szerokiej 2 zniknęły dwie srebrne puszki, srebrny kubełek i jedno futro dla stróża. „Policya wzięła się do śledztwa i po krótkim czasie wszystkie ukradzione przedmioty z wyjątkiem futra znalazła u zięcia stróża tego domu". Z następnego numeru dowiadujemy się, że winowajca Michał Tetro spędzi w więzieniu 6 miesięcy, a Julian Wieniawski, który kupił skradzione przedmioty, zapłaci 25 rubli grzywny.

Jako na rzecz znamienną należy zwrócić uwagę na fakt, że w Lublinie nie wydawano prasy żydowskiej w języku polskim. Ukazujący się w latach 1916-1917 tygodnik „Myśl Żydowska" (wydano 77 numerów) nie pojawił się już po wojnie. Efemerydą było zapoczątkowane w 1921 roku „Życie Uczniowskie" wydawane pod redakcją O. Neubauera. Brak w Lublinie prasy żydowskiej w języku polskim tłumaczy się m.in. tym, że powszechnie były tu kolportowane i czytywane dzienniki warszawskie, [...] „Nasz Przegląd", „5 rano" i bulwarowe „Ostatnie Wiadomości", pewną poczytnością cieszyła się tu także lwowska „Chwila" (1919-1939) i krakowski „Nowy Dziennik" (1918-1939), a również czasopisma, a przede wszystkim stojący na bardzo wysokim poziomie i czytywany także przez polską inteligencję tygodnik „Opinia" (1933-XII 1936) oraz kobiecy tygodnik „Ewa" (1928-1933). Poza tym inteligencja żydowska, a także i mieszczaństwo czytywały i prenumerowały czasopisma polskie.

Marian Fuks, *Prasa żydowska w Lublinie*, w: *Żydzi w Lublinie. Materiały do dziejów społeczności żydowskiej Lublina*, pod red. T. Radzika, t. II, Lublin 1998, s. 352.

Mięso i ryby sprzedam!

Handel, stereotypowy atrybut Żydów, także zajmował łamy „Myśli”. Redakcja donosiła, że funkcjonariusze magistraccy nie pozwalają kupować Żydom od chrześcijan. (Czy dziś możliwa jest walka z klientem, nie z konkurencją?) W kwietniu 1918 lubelski ratusz postanowił o zakazie handlu w niedzielę, co również poruszyło społeczność żydowską. „To wbrew zasadom tolerancji” – pisała „Myśl”.

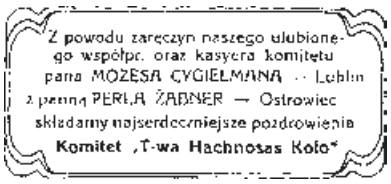
Z powodu zaręczyn naszego ulubionego współpr. oraz kasyera komitetu pana MOZESA CYGIELMANA — Lublin z panną PERLA ŻABNER — Ostrowiec składamy najserdeczniejsze pozdrowienia
Komitet „T-wa Hachnosas Kolo”

Między sobą Żydzi też się sprzeczali, przeważnie o nadużycia ze strony rzeźników. „W ostatnich czasach w jatkach dzieje się jakaś orgia wyzysku publiczności. Cena mięsa z dnia na dzień podskakuje, obecnie funt kosztuje 2 korony 10 halerzy” – alarmowano. Mięso było zatem niedostępne i dla osób średnio zamożnych. Co więcej, „gdy grabiony konsument protestuje, sypie się nań grad obelg”. „Myśl” żądała wręcz wprowadzenia kontroli miasta nad sprzedażą mięsa.

LEKCJE
poprawnego mówienia
i pisania po polsku.
Historya i historya literatury. Wskazówki dla samouków. Przygotowanie do egzaminów
Korespondencja handlowa.
Zielna 4, m. 12 (obok ogrodu Saskiego).

Okazuje się, że sprzedaż, tym razem ryb, jest poniekąd sprawą religijną. Nadrabin Lublina Eliasz Klatzkin wydał zakaz płacenia za ryby więcej niż 1 koronę 60 halerzy za funt. Jeśli rybacy nie będą przestrzegać tego nakazu, „to zgodnie z przepisami religii nie wolno będzie takowych ryb nabywać”.

Pierwsza? Była ostatnią

„Myśl Żydowska” zniknęła nagle w początkach roku 1918. Trudno domyślać się jakichkolwiek przyczyn, ponieważ redakcja nie wyjaśniła ich ani słowem. To nie przeszkadza jednak podsumować roli, jaką tygodnik próbował odegrać w życiu Lublina.

Po pierwsze, „Myśl” starała się wytworzyć wokół siebie pewne środowisko; w zamierzeniu jak najszersze, choć w praktyce ograniczyło się do inteligencji. Duże znaczenie ma tu fakt, że na początku lat dwudziestych aż 45 % lubelskich Żydów było analfabetami, a badania z roku 1931 mówią o 2,5 % posługujących się językiem polskim[4]. Wypada więc sądzić, że tygodnika nie czytało się na Podzamczu, czyli w miejscu najbardziej do tego odpowiednim.

„Myśl” skupiała po trosze wszystkie najważniejsze cechy i funkcje współczesnych mediów, ale jej głównym celem było kształtowanie opinii. Dlatego najwięcej miejsca redakcja poświęcała publicystyce. Tygodnik aspirował poniekąd do roli nieformalnego przywódcy i instytucji, która podniosłaby znaczenie samej mniejszości żydowskiej. Chodziło przecież o utrzymywanie świadomości narodowej i odrębności kulturalnej Żydów, nawet w perspektywie asymilacji.

Nigdy więcej nie ukazało się w Lublinie pismo żydowskie po polsku, choć mniejszość żydowska miała swoje dzienniki w języku jidysz: „Lubliner Tugblat” („Lubelski Dziennik”, 1917-1939), „Lubliner Unzer Ekspres” („Lubelski Nasz Ekspres”, mutacja dziennika warszawskiego, 1931-1932), „Lubliner Najes” czy „Lubliner Frimorgen”. Jedynie „Tugblat” ukazywał się przez całe dwudziestolecie; długo utrzymał się też tygodnik „Lubliner Sztyme” (1928-1939). Dlatego „Myśl” i jej redakcję wypada postrzegać jako dość odważny, ale i potrzebny eksperyment.

[4] Tadeusz Radzik, *Lubelska dzielnica zamknięta*, Lublin 1999, s. 12

„Do ludności żydowskiej m. Lublina”

Odezwa nadrabina Lublina Eliasza Klatzkina

Panowie!

Zwracam się do was piśmiennie, ponieważ nie mam możności przemawiać do was z ambony w synagodze, gdyż skupienie ludności w synagodze może w czasie obecnym szkodzić zdrowiu zgromadzonej publiczności. Oprócz tego uważam za rzecz bardzo pożyteczną, by odezwa niniejsza dostała się i do rąk tych, którzy synagogi nie odwiedzają.

Przeżywamy obecnie ciężkie chwile: powietrze jest zatrute, w mieście grasują choroby epidemiczne, tyfus plamisty i inne tego rodzaju choroby zakaźne. Podano do wiadomości publicznej rozmaite przepisy sanitarne, jak zapobiec można podobnym chorobom zakaźnym. Niestety, znajduje się wśród nas wiele takich ludzi, którzy przepisy te ignorują lub je zaniedbują. Dlatego też ja się poczuwam do obowiązku wyjaśnić podobnym jednostkom, iż religia nasza nakłada na każdego z nas święty obowiązek ściśle wypełniać wszelkie przepisy sanitarne i ten, który swojem zachowaniem się wytwarza niebezpieczeństwo dla ogółu, popełnia grzech wielki. [...]

Niestety, ku wielkiej naszej hańbie, zaniedbuje wiele naszych współwyznawców święte przepisy Talmudu i to jest przyczyną, że wśród nas znajduje się stosunkowo znaczna ilość brudnych mieszkań. Nie można przypisać to wyłącznie nędzy, wśród której znajdują się nasi biedni współwyznawcy; przyczynę tego tak smutnego dla nas zjawiska trzeba przypisać częściowo i niedbalstwu niektórych z nas.

Jest to rzeczą bardzo charakterystyczną, że w sprawie, która powinna każdego z nas interesować, w sprawie zabezpieczenia zdrowia, a nawet życia ludzkiego, trzeba do niej nawoływać, czasami do niej człowieka zmusić. Czy trzeba zachęcać człowieka do zgromadzenia pieniędzy? Czy zdrowie nie ma dla człowieka tej wartości, co pieniądz i bogactwo?

Powinniśmy również wziąć pod uwagę i te słowa mędrców naszych, że największy grzech popełnia ten, który plugawi Imię Boskie, to jest, kiedy nasz współwyznawca swojem zachowaniem się oczernia opinię ogółu żydowskiego, bo tym samym oczernią religię naszą, gdyż współobywatele innych narodowości mniemają: skoro Żydzi tak się sprawują, to prawdopodobnie to się odbywa za zezwoleniem religii naszej. Dlatego też człowiek taki obezczeszcza Imię Pana Boga, który przekazał nam religię. Takie przekroczenie religijne jest do tego stopnia karygodne, że przestępca nie może odkupić

grzechu ani pokutą, ani modłami w Dniu Sądnym, ani nawet cierpieniami cielesnemi (Tr. Joma 86).

Do największych tego rodzaju przekroczeń religijnych należą wszelkiego rodzaju nielegalne i nierzetelne transakcje handlowe: fałszywe miary i wagi, lichwiarstwo, rozmaite spekulacje handlowe, które się przyczyniają do wygórowania cen artykułów spożywczych i innych produktów niezbędnych, co i odczuwają współobywatele innych narodowości.

Takie to czyny jednostek oczerniają całe społeczeństwo żydowskie, z czego i cierpią. Najgorzej jest to, że spekulacją zajmują się nawet ludzie tacy, którzy dalecy są od kradzieży i grabieży, inni popierają nawet biednych, jednakowoż nie oddają sobie sprawy z tego, do czego spekulacje ich doprowadzić mogą.

Z powiedzianego wynika, iż wprawdzie największem przekroczeniem religijnem jest wyrządzenie krzywdy bliźniemu, a w szczególności współobywatelom innych narodowości, lecz samo się rozumie, że nieczystość, która panuje wśród wielu z naszych współwyznawców, również jest hańbą dla narodu naszego i dla religii naszej. Musimy się odznaczać wzorową czystością i porządkiem, szczególnie w bóżnicach i chederach, gdzie się uczy młodzież nasza. [...]

Epidemia zwykle jest uważana za wynik katastrofy ogólnoświatowej, lecz rozpowszechnienie i wzmocnienie się takowej jest karą Boską, zesłaną z powodu niewypełnienia obowiązków względem biednego.

Niestety, medycyna nie zna jeszcze środka, jak wyleczyć człowieka z takiej choroby sercowej, która znieczula serce ludzkie wobec nędzy i niedoli biednych.

Uczucia ludzkie również mogą być zakażone i zatrute przez niektórych skąpych, umysłowo chorych ludzi, którzy wywierają zły wpływ na pozostałych ludzi zamożnych. W niektórych miastach staje się to chorobą epidemiczną. Choroby epidemiczne zjawiają się po to, by przypomnieć klasie zamożnej, iż biedni również są takimi ludźmi, z tym samym organizmem, krwią i budową ciała, co i bogaci, i że każdy człowiek jest członkiem całego zespołu ludzkiego. Chociaż bogaty żyje w rozkoszach, może on stać się ofiarą zakażonej atmosfery, która się rozwija wśród biednych z powodu złych pokarmów, nędzy i brudu. Bogaty tak długo nie może być zabezpieczonym od zarazy, jak długo nie troszczy się o zaopatrzenie biednego zdrowymi pokarmami i stosunkowo wygodnem i czystem mieszkaniem.

Epidemie są to środki pobudzające i przekonywujące bogatych, by się troszczyli o losy biednej ludności, co też leży w ich własnym interesie.

W ten sposób może z takiego nieszczęścia wyłonić się korzyść, która może złagodzić niebezpieczeństwo i dać nadzieję na przyszłość.

Niestety, daje się zauważyć w mieście naszem obojętność w tym kierunku, która mało zmienia stan rzeczy ku lepszemu.

Przyjmijcie wszystko to pod uwagę, spełnijcie wszystkie przepisy sanitarno-higieniczne, bierzcie się energicznie do pracy; nie szczędźcie pieniędzy dla polepszenia bytu biednych mieszkańców, by mogli spełnić wskazane przepisy, i Pan Bóg ochroni nas od choroby i zarazy, jak czytamy w Biblii: „I odwrócę wszelką niemoc od ciebie". Amen.

Lublin, luty 1916 r.

„Myśl Żydowska", nr 3, ortografia tekstu uwspółcześniona [przyp. red.].

Z czasem przyzwyczaiłam się do zdziwienia zarówno Polaków, jak i Żydów, dlaczego zajmuję się tą tematyką. Jak można, żyjąc w Lublinie, choć trochę nie interesować się kulturą i historią ludzi, którzy przed wojną stanowili ponad jedną trzecią mieszkańców?

Lubelszczyzna w jidysz

Monika Adamczyk-Garbowska – profesor literatury amerykańskiej i porównawczej, kierownik Zakładu Kultury i Historii Żydów UMCS; tłumaczka literatury angielskiej i jidysz. Członek redakcji rocznika Polin: Studies in Polish Jewry wydawanego w Brandeis University w USA. Opublikowała m.in. książki Polska Isaaca Bashevisa Singera – rozstanie i powrót (Wydawnictwo UMCS, Lu-

Historia Pamięć Pojednanie

1994) i – wspólnie z Antonym Polonskym – Contemporary Jewish Writing in Poland: An Anthology (University of Nebraska Press, Lincoln & London 2001) oraz kilkanaście przekładów powieści, zbiorów opowiadań i prac naukowych. [Przyp. red.]

Redakcja: Miejsca opisywane w literaturze pięknej zapadają w zbiorową pamięć, stając się często wspólnym dobrem wielu narodów i kultur. Takim dobrem stał się również Lublin i Lubelszczyzna dzięki utworom przedwojennych pisarzy pochodzenia żydowskiego – utworom znanym i tym mniej znanym...

Monika Adamczyk-Garbowska:

O szeroko pojętej Lubelszczyźnie pisali: Isaac Bashevis Singer, jego brat Israel Jehoszua Singer, Jakub Glatsztejn, Icchok Lejb Perec, Josef Opatoszu.

Większość czytelników kojarzy Lubelszczyznę przede wszystkim ze *Sztukmistrzem z Lublina* Bashevisa Singera. Tymczasem, prawdę mówiąc, więcej o Lublinie jest w niektórych jego opowiadaniach niż w samym *Sztukmistrzu,* gdzie akcja toczy się w tymże mieście tylko na początku powieści i na końcu. A opowiadania bardzo często rozpoczynają się zdaniem: „W Lublinie mieszkał reb...". Nawet w *Szatanie w Goraju*, pierwszej i najlepszej chyba powieści pisarza, więcej jest o Lublinie niż w *Sztukmistrzu.* Z Lublina pochodzi również „ostatni demon", bohater słynnego opowiadania pod tym samym tytułem (w wersji angielskiej, bowiem w jidysz opowiadanie to nosi tytuł *Majse Tyszewic*, czyli „Opowieść tyszowiecka").

Inaczej sprawa wygląda wśród osób, które lepiej znają literaturę żydowską. Dla nich Lublin to przede wszystkim Jakub Glatsztejn.

Glatsztejn

Czy mogłaby Pani przybliżyć jego sylwetkę?

Urodził się w Lublinie 20 sierpnia 1896 roku. Kiedy miał 18 lat, wyjechał do Nowego Jorku i tam przystąpił do grupy poetyckiej introspektywistów „In zich" (dosł. „w sobie"). Chciał zostać poetą światowym, uniwersalnym, chciał odejść od swojej żydowskości, która go specjalnie nie interesowała. I rzeczywiście, przez wiele lat był poetą psychologizującym i eksperymentującym, zwłaszcza w dziedzinie języka.

Jednak w pewnym momencie odszedł od introspektywizmu.

Przełomowe znaczenie dla niego miały wydarzenia w Niemczech w latach trzydziestych – narastanie faszyzmu i nazizmu. Napisał wtedy wiersz *Dobranoc, świecie*, w którym przeklina istniejący świat. Wiersz ten zapowiada grozę, która nastąpi. Jest to dla Glatsztejna moment powrotu do żydowskich korzeni. Odtąd staje się poetą-Żydem opiewającym zagładę swojego narodu. Odtąd bardzo wyraźnie podkreśla, że pochodzi z Polski, z Lublina.

Można powiedzieć o zmianie zainteresowań?

Tak, o zmianie zainteresowań i zmianie koncepcji jego roli jako poety. Zresztą, nie był to przypadek odosobniony. Podobną ewolucję obserwujemy u bardzo wielu twórców pochodzenia żydowskiego, bez względu na to, jakim językiem się posługiwali. Na przykład u piszącego w języku polskim Adolfa Rudnickiego, który przed wojną chciał odejść od tematyki żydowskiej, a po wojnie wrócił do niej, żałując, że wcześniej nie poświęcał jej należytej uwagi. Także u Tuwima obserwujemy pod wpływem przeżyć wojennych większą identyfikację z żydowskimi korzeniami.

Czy sam Glatsztejn posługiwał się tylko językiem jidysz?

Tak. Choć mieszkał w Ameryce, pisał w jidysz. Zresztą w Ameryce w tym okresie bardzo prężnie rozwijała się literatura pisana po żydowsku. Glatsztejn był jednym z najwszechstronniejszych literatów tego języka. Był świetnym eseistą, krytykiem, autorem kilku powieści, w tym dwóch autobiograficznych: *Podróże Jasia* (*Wen Jasz iz geforn*, dosł. „Kiedy Jaś pojechał", 1938) i *Powrót Jasia* (*Wen Jasz iz gekumen,* dosł. „Kiedy Jaś powrócił", 1940)[1], a także powieści dla młodzieży.

Jaki obraz Lublina pojawia się w jego twórczości?

Glatsztejn nie pochodził z rodziny zasymilowanej, ale jego życie nie ograniczało się tylko do dzielnicy żydowskiej. Topografia miasta pojawia się więc we wcześniej wymienionych powieściach autobiograficznych, zwłaszcza w powieści *Kiedy Jaś pojechał*, która powstała w związku z powrotem autora pod koniec lat trzydziestych do Lublina, do chorej matki. Są to wspomnienia dotyczące dzieciństwa i młodości w Lublinie, w którym mieszkał 18 lat. Autor przywołuje konkretne ulice, sklepy, miejsca, nazwy gazet lubelskich. Miasto zostało nakreślone ogólnie, ale z ukazaniem zróżnicowania, charakterystycznymi punktami, różnorodnością językową, klasową, religijną i etniczną. Glatsztejn był bardzo oczytany, wspominał często swoje lektury z literatury rosyjskiej. Nie ma natomiast szczególnych odniesień do literatury polskiej, choć tytuły obydwu powieści budzą skojarzenia z Jankiem Wędrowniczkiem Marii Konopnickiej, a za motto pierwszej z nich służy fragment z innego jej utworu: *A jak poszedł król na wojnę.*

Dla osób, które lepiej znają literaturę żydowską, Lublin to przede wszystkim Jakub Glatsztejn.

Utwory te powstały przed wojną, więc nie ma w nich atmosfery elegijnej. Atmosfera opłakiwania pojawia się natomiast w twórczości powojennej. Wtedy Glatsztejn napisał krótki poemat prozą pt. *Lublinie, moje święte miasto*, nie najlepszy pod względem artystycznym, ale bardzo wymowny. Przywołuje w nim różne aspekty życia dawnego Lublina, miasta, które pamiętał, widziane przez pryzmat Majdanka i zagłady lubelskich Żydów. Również po wojnie powstało dużo wierszy, w których co prawda wspomina ludzi o różnych zawodach, sklepiki, zapachy, jakie się z nich unosiły, ale zwykle konkluzją wiersza jest stwierdzenie, że tego już

[1] Żadna z tych książek nie została opublikowana po polsku i do wydania naszego numeru takiej publikacji nie planowano, więc brzmienie tytułu nie jest ostatecznie przesądzone [przyp. red.].

nie ma, a ponad wszystkim majaczy widmo Majdanka. Jeden z tomików wierszy Glatsztejna zatytułowany jest *A jid fun Lublin* (*Żyd z Lublina*).

Czy można powiedzieć, że Glatsztejn zmitologizował Lublin?

Raczej nie. Miasto przedstawiane jest przez pryzmat własnego „ja", uczuć rodzinnych, wspomnień z dzieciństwa, nie będąc przy tym obrazem sentymentalnym. Warto w tym miejscu podkreślić, że świadomość społeczna jest także u Glatsztejna obecna.

Jest on pisarzem prawie nieznanym w Polsce.

Tak, to trochę dziwne. Ale i w pewnej mierze uzasadnione. Po pierwsze, ogólnie rzecz biorąc, po wojnie powstało bardzo mało przekładów z języka żydowskiego. Poeci, tłumacze, którzy ocaleli, z reguły wyjechali do Izraela i innych krajów. Próby były jednak podejmowane. Przykładem jest tutaj *Antologia poezji żydowskiej* Arnolda Słuckiego i Salomona Łastika, która choć przygotowana już w 1967 roku, ukazała się dopiero w 1983 roku nakładem PIW. Zamieszczono w niej również kilka wierszy Glatsztejna w przekładzie Stanisława Wygodzkiego.

Lublin 1913 r. Jakub Glatsztejn (z lewej) z przyjaciółmi. Na pierwszym planie Abraham Zimmerman, jeden z pierwszych tłumaczy zachodniej literatury na jidysz. Stojący to Rottenberg, młody poeta zabity przez hitlerowców.

Po drugie, Glatsztejn, bardziej znany jako poeta niż prozaik, jest prawie nieprzekładalny z powodu melodyjności swojej poezji, licznych eksperymentów formalnych, gier słów. Tłumaczyć Glatsztejna to tak, jak tłumaczyć na języki obce Leśmiana czy Tuwima. Często wielcy poeci danego języka są trudno przekładalni. Kto na Zachodzie oprócz specjalistów słyszał o Mickiewiczu? Zresztą podobnie i u Singera są wstawki z języka polskiego, wierszyki, zróżnicowanie mowy, które są praktycznie niemożliwe do oddania w przekładzie. Powieści Glatsztejna, o których wspomniałam, będące swoistą duchową autobiografią tego autora, są łatwiejsze do tłumaczenia. I sądzę, że zainteresowałyby polskiego czytelnika. Na przykład w powieści *Wen Jasz iz gekumen* jest kilkadziesiąt stron poświęconych Kazimierzowi Dolnemu nad Wisłą. Fragment dotyczący Lublina z pierwszej powieści ukazał się w 4. numerze „Akcentu" z 1998 roku.

O tym, że Singer pisał o Lubelszczyźnie, przeciętny czytelnik dowiedział się dzięki popularności, jaką przyniosła jego utworom Nagroda Nobla. Z Glatsztejnem jest odwrotnie: poznajemy go jako dobrego pisarza, ponieważ zainteresowało nas, że jego twórczość jest związana z Lublinem. Czy ów patriotyzm lokalny nie powoduje, że przeceniamy jego pisarstwo?

Bez wątpienia Glatsztejn jest jednym z wielkich autorów języka żydowskiego. Swego czasu nawet konkurował z Bashevisem Singerem, zarzucając mu zdradę tradycji żydowskiej, schlebianie amerykańskim gustom, grafomanię... Do pewnego stopnia krytyka ta była uzasadniona. Singer bowiem był znakomitym menadżerem swojej twórczości. Zależało mu na tym, aby zaistnieć w Ameryce, aby być publikowanym i dlatego często szedł na różne ustępstwa. Poza tym Singera łatwo się czyta. W jego twórczości pojawia się zazwyczaj wątek miłosny, wiele mamy tam elementów wziętych z folkloru, nie brakuje sensacyjnych wręcz perypetii. Dlatego dla mnie Singer jest dużo ciekawszy w samej warstwie językowej, w sposobie, w jaki pisze. Natomiast jego konstrukcje różnych sytuacji, wąt-

ków, to często powtórzenia tych samych szablonów. Widać to zwłaszcza na przykładzie jego powieści. Ośmielę się nawet powiedzieć, że niektóre stoją wręcz na pograniczu kiczu.

Singer

Jak ważna jest „lokalność" w twórczości tego pisarza?

Singera próbowano czytać w kontekście różnych prądów i tradycji, porównywano go nawet do Edgara Alana Poe czy Hawthorne'a, ale wśród licznych interpretatorów jego twórczości są i tacy, którzy podkreślają jego znaczenie jako pisarza regionalnego. Niedawno ukazały się materiały z sympozjum zorganizowanego w University of Texas w Austin, gdzie zresztą znajduje się archiwum noblisty. Jeden z artykułów w tym tomie, napisany przez znanego amerykańskiego znawcę literatury jidysz Setha Wolitza, nosi tytuł *Singer jako pisarz regionu lubelskiego*. Wolitz przytacza bardzo wiele opowiadań. Tworząc z nich mapę regionu, otrzymujemy swoisty przewodnik po miasteczkach Lubelszczyzny. Główną tezą jest stwierdzenie, że oprócz Warszawy, która zajmuje bardzo ważne miejsce u Singera, na drugim miejscu jest region lubelski. Karty jego utworów pełne są nazw miasteczek Lubelszczyzny, Chełmszczyzny i Zamojszczyzny, owych przysłowiowych sztetl, ni to miast, ni wsi. To właśnie w takich położonych na końcu świata Frampolach, Izbicach i Gorajach rozgrywają się ludzkie dramaty, którym na równi z Bogiem towarzyszą demony i dybuki.

Jest to więc zupełnie inny sposób kształtowania „wizerunku" miejsca akcji niż u Glatsztejna?

Singer mylnie uważany jest przez niektórych za realistę. Wprawdzie wprowadza on pewne realia, podaje wiele nazwisk, nazw miejscowości, ale jest to innego rodzaju realizm niż ten u pisarzy dziewiętnastowiecznych. Najczęściej grubą kreską maluje on scenerię, a później szybko wprowadza bohaterów charakteryzowanych często w podobny sposób. Dlatego też, jeśli chodzi o Singera, trudno coś powiedzieć na przykład, o dokładnym, fizycznym obrazie Lublina. Jego topografia jest wprawdzie konkretnie określona, ale ponieważ Singer nigdy tu nie mieszkał, opisy miasta nie są tak dokładne, jak opisy Warszawy, w których ciągle padają nazwy ulic i placów, a nawet numery domów. Tam pisarz spędził większą część dzieciństwa i młodości, znał więc każdy kąt, zwłaszcza w dzielnicy żydowskiej. W przypadku Lublina nazwy ulic pojawiają się bardzo rzadko. Przeważnie jest to ulica Lubartowska. Na twórczości Singera bardzo zaważył też okres biłgorajski – pobyt u dziadka i praca w charakterze nauczyciela, dlatego miasteczka z okolic Biłgoraja dokładnie poznał i dzięki temu akurat ich topografia jest pieczołowicie odtworzona.

> Lublin Singera jest tym Lublinem z tradycji, miejscem nieco mitycznym, a zarazem bardzo ważnym.

Skoro Singer nie skupiał się na realizmie opisów Lublina i Lubelszczyzny, to jakich zabiegów użył, że regionalizm jego twórczości jednak tak bardzo rzuca się w oczy?

Przykładowo w *Sztukmistrzu* Lublin jest w pewnym stopniu idealizowany jako ostoja tradycyjnego żydowskiego życia upływającego we względnym spokoju, co pozwala skontrastować go z innymi, bardziej niespokojnymi miejscami. Na przykład w drugiej połowie XVII wieku po pogromach Chmielnickiego żydowski Lublin służy za miejsce schronienia. Życie toczy się w nim dalej, podczas gdy w innych miejscach niemal zupełnie zamiera.

To właśnie do Lublina wraca sztukmistrz Jasza Mazur po próbach podboju wielkiego świata. Lublin bowiem to miejsce stosunkowo bezpieczne i głęboko związane z losem Żydów polskich: „Na świecie wszędzie poza Lublinem wrzało. Wszędzie wypędzano Żydów ze wsi. Wielu emigrowało do Ameryki. Ale tu, w Lublinie, odczuwało się tylko stabilność z dawna istniejącej społeczności. Na cmentarzu leżeli rabini, jak również autorzy komentarzy, prawnicy i święci, a każdy miał własny nagrobek lub kapliczkę. Panowały tu dawne obyczaje; kobiety zajmowały się interesami, mężczyźni studiowali Torę."

Niektóre powieści Singera stoją wręcz na pograniczu kiczu.

Tak więc, choć Singer ukazał Lublin w zarysie, nie mógł go pominąć w swojej twórczości, bo był on dla Żydów miastem znaczącym. Jego faktyczna rola przed wojną była dużo mniejsza niż na przestrzeni od XVI do XIX wieku – od Maharszala, znanych lekarzy, poprzez Sejm Czterech Ziem, aż po Widzącego. Dlatego Lublin Singera jest przede wszystkim tym Lublinem z tradycji, miejscem nieco mitycznym, a zarazem bardzo ważnym. Jest on postrzegany jako twierdza chasydyzmu, ortodoksji i przeciwstawiany choćby Żydom z Litwy czy z Zamościa, gdzie z kolei mamy centrum żydowskiego Oświecenia, Haskali.

Lublin to prawdziwa metropolia dla żydowskich przybyszów z tych zapadłych miasteczek, tak małych, że, jak powiada „ostatni demon", kiedy „fura przejeżdża przez miasteczko i koń pojawia się na rynku, tylne koła wozu są jeszcze na rogatce". Stąd często wzmianki typu: „przyjechali dygnitarze z samego Lublina" czy „nawet z Lublinie nie słyszano o czymś podobnym". Niektórzy pamiętają może wjazd do Lublina Jentl z hollywoodzkiej adaptacji opowiadania Singera. Film kręcono w Pradze, w związku z czym Lublin zyskał na splendorze, co w pewnym sensie jest zgodne właśnie z symbolicznym znaczeniem tego miasta w żydowskiej tradycji ustnej i pisanej.

Zamość, Kock, Chełm

O Lubelszczyźnie pisał też Icchok Lejb Perec, „ojciec literatury jidysz", który urodził się w Zamościu.

Jego twórczość jest bardzo ważna dla zrozumienia literatury jidysz, ale,

Podeszliśmy oboje z żoną dopiero, gdy tłumek adoratorów przerzedził się nieco i odpłynął do stołów z przekąskami. Z lekka zmęczony, lecz ciągle jeszcze ożywiony Singer witał podchodzących pod bacznym i rozanielonym okiem dziekana.

– And here are Professor and Mrs Krzyżanowski – przedstawił nas gospodarz.

Pisarz wyciągnął rękę, nie sądzę, żeby dosłyszał nazwisko.

– Mr Singer – powiedziałem. – Do you still remember your Polish?

Staruszek odstąpił na krok, uniósł ku stropowi sali połyskujący czerwonym winem kieliszek.

– No jakże? – zapytał i z miejsca, na tym samym oddechu zaczął recytować pięknym, starannym językiem:

Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...

W klubie sali zapadła nagła cisza, a Singer, jak natchniony, płynął nad obcymi głowami rytmem Mickiewiczowskiego wiersza, rozpromieniony, odmłodzony, piękny... W oczach dziekana zauważyłem najpierw zdumienie, potem niepokój, a wreszcie odzyskane zadowolenie z jeszcze jednego sukcesu tego wieczoru.

A potem nie chciał nas już od siebie puścić, nagabującym go profesorom odpowiadał uprzejmym skinieniem głowy i mówił, mówił po polsku śliczną, żywą polszczyzną, mówił o sobie, o swoich książkach i pracy, zwracał się to do mojej żony, to do mnie, opowiadał i śmiał się oczarowany radością tej rozmowy.

podobnie jak twórczość Glatsztejna, również bardzo trudna w przekładzie. Perec był człowiekiem instytucją: pisarzem, dziennikarzem, wydawcą, czymś w rodzaju żydowskiego wieszcza. Kiedy Singer dostał w 1978 roku Nagrodę Nobla, niektórzy starzy Żydzi w Ameryce, posługujący się na co dzień językiem jidysz, pełni oburzenia twierdzili, że to właśnie Perec powinien ją był dostać, a nie Singer. Tylko że Perec zmarł w 1915 roku.

Jak Perec przedstawia Zamość?

Jednym z pierwszych utworów Pereca jest dość ponury zbiór szkiców *Wrażenia z podróży przez Ziemię Tomaszowską w 1890 roku*, stanowiący reportaż z wędrówki po tym regionie. Była ona finansowana przez przedsiębiorcę i filantropa Jana Blocha, a jej celem było zbieranie informacji na temat Żydów w miasteczkach i wsiach. Perec jest pisarzem naturalistyczno-realistycznym i do pewnego stopnia symbolicznym. Na przykład jego dramat wierszem *Nocą na starym rynku* można uznać jako inspirowany rodzinnym miastem, a satyra pt. *Zamoszczer porzondkes* wymierzona jest w miejscowy kahał, gminę żydowską. Warto wspomnieć, że z Zamościa pochodzili także inni pisarze, np. Szlomo Etinger, satyryk, autor *Bajek* i sztuki pt. *Serkełe*, czy Efraim Fiszelzon, który napisał wierszowaną trzyaktówkę *Teater fun chasidim* (*Teatr chasydów*).

Wątek lubelski pojawia się też w twórczości Josefa Opatoszu, kolejnego ważnego i zapomnianego pisarza jidysz...

... autora powieści o Kocku zatytułowanej *In pojlisze welder* (*W polskich lasach*) i jej kontynuacji pod tytułem *1863*. Sam Opatoszu wywodził się z Mławy, ale jego utwór jest szczególnie interesujący w kontekście lubelskim, ponieważ niedaleko Kocka znajduje się grób pułkownika Berka Joselewicza, dowódcy regimentu żydowskiego, broniącego podczas insurekcji kościuszkowskiej Pragi przed szturmem Suworowa. Później Joselewicz był w legionach polskich za Napoleona, a zginął w 1809 roku pod Kockiem w walce z Austriakami. Przez Polaków uznawany za bohatera, wśród Żydów postrzegany jako postać kontrowersyjna: przez niektórych również traktowany jako bohater, a przez innych, np. chasydów, jako wyrzutek i odstępca od

– Byłem zachwycony pana „Magikiem z Lublina" – wtrąciłem w pewnym momencie. – To moje rodzinne miasto, znałem tam każdą ulicę, pana książka jest mi szczególnie bliska.

Słuchał uważnie i uprzejmie, aż nagle, gdy wspomniałem, że byłem tam przez lata wojny i widziałem, jak ginęła żydowska dzielnica, przerwał mi niecierpliwym gestem ręki.

– Nie chcę o tym słyszeć, nie chcę o tym wiedzieć. Dla mnie Lublin, Polska, to wszystko żyje tak, jak je zostawiłem. Niech mi pan o tym nie mówi, proszę... [...]

Opowiadałem mu o serii entuzjastycznych artykułów i recenzji pojawiających się w krajowej prasie po przyznaniu mu Nagrody Nobla, jakby nagle, po czterdziestu latach odkryto tam wielkiego krajana, pytałem, czy coś o tym słyszał. Nie, ani słowa, ale będzie wdzięczny za odbitki, podał mi swój adres, prosił o przesłanie materiałów. Nie dosłyszałem w jego głosie goryczy, raczej zdziwienie, odniosłem jednak wrażenie, że istotnie, wszystko, co się tam zdarzyło i ciągle jeszcze dzieje, zagłada Żydów i marcowa hańba, wszystko to zatrzymuje się na szczelnej barierze, jaką wzniósł wielkim wysiłkiem między miłością młodych lat, a późniejszą pustką, jaka po nich nastąpiła. [...]

– Dobranoc państwu – powiedział, ściskając nam ręce. – Czas już na mnie. Muszę zmówić jeszcze mój kadisz za wszystkich moich zmarłych. Do widzenia...

A więc jednak pamiętał.

Jerzy R. Krzyżanowski, *Spotkanie z Singerem*, „Archipelag", 1985, nr 1-2 (16-17), [Berlin Zachodni], s. 120-121. Rozmowa odbyła się na jednym z amerykańskich uniwersytetów na spotkaniu autorskim zorganizowanym wkrótce po otrzymaniu przez Singera Nagrody Nobla.

wiary. Choć *W polskich lasach* mówi przede wszystkim o problemach na dworze kockiego cadyka, jest tam rozdział ze sceną dość zażartej dyskusji na temat oceny działań Berka.

Mówiąc o regionie lubelskim w kulturze jidysz, nie sposób pominąć Chełma, który pojawia się w twórczości Singera.

Singer spopularyzował Chełm, ale oczywiście to miasto pojawia się także w utworach innych pisarzy żydowskich piszących przed wojną, a jeszcze dużo wcześniej w tradycji ustnej. Najbardziej znanym zbiorem jest *Chelemer majses* (*Opowieści chełmskie*), opracowany przez Menachema Kipnisa i wydany w Warszawie w 1930 roku. Bez wątpienia, niezależnie od tego, czy Żydzi znają Lublin, czy nie, większość z nich słyszała o Chełmie. Nam Chełm znany był przez lata przede wszystkim z cementowni oraz manifestu PKWN, dla Żydów natomiast jest on miejscem szczególnym, miejscem zamieszkałym przez sławnych „mędrców z Chełma", czyli, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, „mądrych inaczej". Wielu moich znajomych przyjeżdżających do Polski bardzo często pyta mnie nie o Kazimierz, nie o Lublin, ale właśnie o Chełm, chcą tam jechać. Dla wielu z nich podróż do Chełma to tak, jak podróż na inną planetę. Coś zupełnie nieprawdopodobnego. Pytają, czy to miasteczko jeszcze istnieje? Bo skoro było to sztetl żydowskie, a dzisiaj w Polsce pozostało już niewielu Żydów, to czy ono jeszcze jest?

Dla wielu przyjezdnych z zagranicy podróż do Chełma jest jak podróż na inną planetę. Coś zupełnie nieprawdopodobnego.

Szetl

Na Lubelszczyźnie było wiele miasteczek, w których większą część mieszkańców stanowili Żydzi. Jaki wizerunek sztetl jawi się na podstawie literatury?

Obraz sztetl jest związany z bardzo różnymi trendami. Na początku wieku XX pojawiła się powieść Szaloma Asza *A sztetl*, czyli *Miasteczko*, której akcja osadzona jest w miejscowości wzorowanej na Kazimierz nad Wisłą. W tym przypadku w bardzo dużym stopniu następuje idealizacja sztetl. Znacznie wcześniej mamy satyryczne obrazy małych miasteczek u klasyków literatury jidysz: Szolem Alejchema i Mendele Mojcher Sforima. Na powieść Asza zareagował inny pisarz, Icie Mejer Weisenberg, publikując utwór również zatytułowany *A sztetl*. Jest w nim opisane zupełnie inne miasteczko – ulegające rozkładowi związanemu z ruchami rewolucyjnymi. Od tego momentu do okresu wojennego mamy w literaturze zarówno tworzonej w jidysz, jak i w języku polskim dwie wizje sztetl: idealizującą miejsce pamiętane z dzieciństwa oraz krytykującą sztetl jako siedlisko ciemnoty, dusznej atmosfery, brudnych chederów z okrutnymi nauczycielami. Po wojnie ta sytuacja zamienia się, zwycięża skłonność do idealizacji. Ze zrozumiałych względów. Jedynym pisarzem, który prawie nie idealizuje wizerunku sztetl, jest Singer. W literaturze, zarówno polskiej, jak i żydowskiej, często pojawia się Kazimierz, ale to było bardzo specyficzne miasteczko. Pisała o nim Maria Kuncewiczowa, Adolf Rudnicki, poświęcono mu specjalny numer przedwojennych „Wiadomości Literackich". Kazimierz inspirował Glatsztejna, a także pochodzącego z Kazimierza i tworzącego w jidysz Lejba Raszkina.

Czy Żydzi, którzy przyjeżdżają do Lublina i miasteczek Lubelszczyzny, odczuwają klimat owych żydowskich sztetli?

Jeśli już, to raczej w miasteczkach i to przede wszystkim w ich infrastruk-

turze, małych parterowych czy jednopiętrowych domkach, niezbyt zadbanym rynku, sennej atmosferze. Bo tamtych ludzi przecież już nie ma. W Londynie czy Bostonie w szabas można zobaczyć spieszących do synagogi Żydów. W Lublinie czy regionie lubelskim taki widok należy niestety do przeszłości.

Czy fakt Holokaustu nie przysłania Żydom tego, co było w Polsce przed 1939 rokiem?

Powojennemu pokoleniu na pewno. Wpłynęła na to wieloletnia izolacja Polski w okresie komunizmu. Sytuacja polityczna w Polsce po wojnie uniemożliwiła odbudowę życia żydowskiego na większą skalę i stąd ten dość mocno utrwalony obraz Polski jako cmentarza. Wielu gości przybywających do Lublina bardzo zaskakuje, że obóz zagłady był tak blisko centrum. Trzeba im dopiero tłumaczyć, że w czasie wojny był on położony znacznie dalej od miasta, które później bardzo się rozbudowało. Ale i tak dziwią się, że w niedalekiej odległości powstało wiele nowych domów i że ludzie chcą w nich mieszkać.

A czy obecnym mieszkańcom owych miast i miasteczek potrzebna jest pamięć o tym, że na Lubelszczyźnie przez ponad pięć wieków mieszkali również Żydzi? Jeśli tak, to dlaczego?

To przecież wspólna historia. A także wyrwa, z której trzeba sobie zdać sprawę. W jednym z opowiadań Hanny Krall *Portret z kulą w szczęce* narratorka i Tomasz Blatt, ocalały z Sobiboru, przejeżdżają przez miasteczka na Lubelszczyźnie. Ma to miejsce w latach osiemdziesiątych. Blatt wymienia imiona znajomych Żydów, którzy nie przeżyli Zagłady: „Wszyscy są tutaj, zatoczył ręką koło, i żadnych grobów. Dlaczego nie ma żydowskich grobów? Dlaczego nikomu nie jest smutno? Mijaliśmy Izbicę, Krasnystaw i Łopiennik. Zachodziło słońce. Wszystko było jeszcze brzydsze i bardziej szare. Może dlatego, że duchy krążą. Nie chcą odejść, gdy się ich nie żałuje, gdy się nie płacze po nich. Od nieopłakanych duchów taka szarość". Tyle Hanna Krall. Pozostaje mi tylko dodać, że może dzięki Arcybiskupowi Józefowi Życińskiemu, który zainicjował cykl modlitw właśnie w małych miejscowościach, takich jak Piaski czy Izbica, duchy te zaznają choć trochę spokoju. Oby za tą inicjatywą poszły inne, oddolne – przywracające pamięć o żydowskich mieszkańcach czy otaczające opieką pozostałe po nich ślady.

Istnieją dwie wizje sztetl: idealizująca miejsce pamiętane z dzieciństwa oraz krytykująca sztetl jako siedlisko ciemnoty.

Jidysz

Czy w literaturze jidysz można znaleźć jakieś specyficzne dla niej elementy – postacie, tematy, interpretacje świata?

Takimi elementami są na pewno wspomniane wcześniej sztetl i szlemiel – wywodząca się z folkloru postać nieudacznika, który np. u Singera ewoluuje w kierunku bohatera „egzystencjalnego", poszukującego swojego miejsca w świecie. W warstwie tematycznej charakterystyczny jest motyw żydowskiej matki, nadopiekuńczej i sentymentalnej, oraz kontrast: Żydzi – goje. Przy czym literatura jidysz jest bardzo zróżnicowana – inaczej pisano w Ameryce, a inaczej w Polsce. W dziedzinie formy charakterystyczny dla literatury jidysz jest monolog, także u pisarzy pochodzenia żydowskiego, ale piszących po polsku, np. u Juliana Stryjkowskiego czy Stanisława Benskiego. Oralność jest zresztą cechą charakterystyczną tej literatury, która ma u swych podstaw opowieści ludowe i chasydzkie. Literatura żydowska wywodzi się z trady-

cji ustnych opowieści i dlatego pierwsze utwory pisane powstały jako monologi, opowieści folklorystyczne. Bardzo ciekawe, a jednocześnie trudne do oddania. Ale na pewno łatwiejsze do przełożenia na polski i inne języki słowiańskie niż na angielski.

Jidysz byłby więc bliższy językom słowiańskim niż germańskim?

Język jidysz powstał prawdopodobnie około X wieku z języka niemieckiego i oficjalnie zaliczany jest do języków germańskich. Istnieją też teorie, że jest to jeden z języków słowiańskich. Według nich jeszcze przed X wiekiem, czyli przed okresem, kiedy Żydzi zaczęli się osiedlać na terenach obecnej Francji i Niemiec, pewne grupy Żydów zamieszkiwały już na terenach obecnej Polski i bardziej na wschód – ci Żydzi posługiwali się odmianą języka słowiańskiego. Tym właśnie niektórzy tłumaczą fakt, że struktury językowe jidysz w dużym stopniu przypominają struktury języków słowiańskich, bardziej niż języków germańskich. Słownictwo i brzmienie są w dużym stopniu niemieckie, ale składnia słowiańska. Dlatego jeżeli chodzi o składnię, morfologię (np. zdrobnienia, których jest tam pod dostatkiem), a także pewną część słownictwa, jidysz jest dość łatwo tłumaczyć na polski. Ale to są hipotezy.

Struktury językowe jidysz w dużym stopniu przypominają struktury języków słowiańskich, bardziej niż języków germańskich.

Zwykle przyjmuje się, że był to język, którym rozmawiali Żydzi na terenie Niemiec. Później, uciekając przed prześladowaniami w XIII i XIV wieku, zabrali go ze sobą na wschód, gdzie rozwijał się na terenach Rzeczpospolitej w różnych dialektach: litewskim, centralnym (polsko-kongresowym) i ukraińskim. Absorbując przy okazji wyrażenia w języków słowiańskich. Za najwyższy standard przyjmuje się dialekt litewski z Wilna, które obok Warszawy i Łodzi było największym ośrodkiem literatury jidysz. Wielu pisarzy, jak Glatsztejn i Singer, emigrowało w okresie międzywojennym do Ameryki i tam dalej kontynuowali swą twórczość.

Gdzie obecnie najwięcej ludzi używa języka jidysz?

W Izraelu, w Ameryce Północnej i Południowej, w Europie Zachodniej, w Polsce niestety już tylko garstka. Językiem tym posługują się głównie ludzie starsi. Jako język żywy jest na co dzień używany przez Żydów ortodoksyjnych i chasydów w Izraelu i innych krajach. Warto tu wspomnieć, że jidysz, podobnie jak język ladino używany przez Żydów sefardyjskich, powstał w diasporze, ponieważ język hebrajski był używany jako język święty, język modlitwy. Potrzebne było zatem narzędzie do porozumiewania się na co dzień. Obecnie używany język jidysz pozostaje pod wpływem naleciałości miejscowych, na przykład hebrajszczyzny czy angielszczyzny, tak jak dawniej wchłaniał polskie czy rosyjskie słowa. Jidysz łatwo absorbuje słowa z innych języków; można rzec, iż jest elastyczny i eklektyczny.

Do jakich książek i opracowań odesłałaby Pani osoby zainteresowane historią literatury jidysz?

Do wspomnianej wcześniej *Antologii poezji żydowskiej* Arnolda Słuckiego i Salomona Łastika warto dołączyć antologię literacką *Żydzi w Polsce* opracowaną przez Henryka Markiewicza. Oprócz nich tomik *Rodzynki i migdały* Jerzego Ficowskiego. No i oczywiście seria klasyki żydowskiej wydawana od kilkunastu lat przez Wydawnictwo Dolnośląskie. Wśród opracowań o charakterze naukowym godna polecenia jest *Historia literatury jidysz* Chone Shmeruka oraz *Legenda o Esterce w literaturze jidysz i polskiej* tego samego autora.

Na koniec pytanie osobiste. Dlaczego Pani Profesor zajmuje się tą problematyką?

Zaczęło się od twórczości Singera, którego „odkryłam" dla siebie przypadkiem w połowie lat siedemdziesiątych, na kilka lat przed przyznaniem mu Nagrody Nobla, kiedy nie był jeszcze w ogóle tłumaczony na polski. Czytałam go więc najpierw po angielsku, co mnie bardzo denerwowało, bo wyczuwałam, że wiele ginie i ulega przekształceniom pod wpływem przekładu. Postanowiłam więc nauczyć się jidysz, aby móc go czytać i przekładać na polski z oryginału. Przy okazji proza Singera otworzyła przede mną świat kultury żydowskiej, która w owym okresie stanowiła niemal temat tabu.

Z czasem przyzwyczaiłam się do zdziwienia wyrażanego zarówno przez Polaków, jak i Żydów, dlaczego zajmuję się tą tematyką. Zresztą pytania takie padają coraz rzadziej, bo coraz więcej ludzi zajmuje się tą dziedziną, i to nie tylko Polaków czy Żydów, ale nawet Japończyków i Koreańczyków, którzy przyjeżdżają do Polski, by kształcić się i prowadzić badania w zakresie historii, kultury czy literatury jidysz. Poza tym teraz, po wielu latach mogę postawić odwrotne pytanie: Jak można, żyjąc w Lublinie, choć trochę nie interesować się kulturą i historią ludzi, którzy przed wojną stanowili ponad jedną trzecią mieszkańców i którzy niemal zupełnie odeszli z krajobrazu miasta w wyniku tragicznych wydarzeń?

Rozmawiali: Joanna Zętar, Adam Dobrzyński

Monika Adamczyk-Garbowska

Jakub Glatsztejn

„Siedemnaście pierwszych lat życia wydaje mi się dłuższe niż ponad pięćdziesiąt następnych" – stwierdził kiedyś Jakub Glatsztejn. Mimo że większość życia spędził w Ameryce, nigdy nie porzucił rodzinnej mowy – jidysz – określającej jego głęboką tożsamość jako poety.

Jakub (Jankew) Glatsztejn (20 sierpnia 1896–19 listopada 1971) – żydowski poeta, powieściopisarz i krytyk. Urodził się w Lublinie w tradycyjnej rodzinie żydowskiej znanej z talentów muzycznych (jego wuj Moszełe Glatsztejn był lubelskim kantorem miejskim). Otrzymał tradycyjne religijne wykształcenie w chederach, przedmiotów świeckich uczył się u prywatnych nauczycieli, eksternistycznie zdał egzaminy z sześciu klas gimnazjum. Znajomość literatury jidysz posiadł dzięki ojcu, zapalonemu bibliofilowi. Później doszła znajomość literatury rosyjskiej i polskiej, a także innych literatur europejskich w przekładach na rosyjski.

W 1914 roku Glatsztejn wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Zaczął pisać bardzo wcześnie, ale zadebiutował dopiero w USA w 1919 roku. W 1921 roku ukazał się jego pierwszy tomik pt. *Jankew Glatsztejn*. W 1920 roku wraz z Aronem Glanc-Lejelesem i N. B. Minkoffem zapoczątkował introspektywiczny nurt w ame-

rykańskiej poezji jidysz. Nazwa pochodziła od pisma „In zich" („W sobie"), które ukazywało się regularnie od 1920 do 1939 roku. W antologii grupy *In zich. A zamlung introspektiwe lider* (*W sobie. Zbiór wierszy introspektywnych*, 1920), poeci przedstawili swoją misję ożywienia i unowocześnienia poezji żydowskiej.

Glatsztejn był najbardziej utalentowanym z introspektywistów i najmniej skrępowanym dogmatami grupy, swobodnie eksperymentował z różnymi formami poetyckimi. Z tego względu jest czasami porównywany do Walta Whitmana. Whitman zresztą obok Byrona był ulubionym poetą Glatsztejna. Od około 1938 roku postawił sobie za główny cel opisywanie, opłakiwanie i przywracanie pamięci zniszczonego życia. W *A gute nacht, welt* (*Dobranoc, świecie*) z goryczą odrzuca kulturę europejską, ogłaszając powrót do tradycji żydowskiej. Żaden inny utwór w jidysz nie wywołał tyle zamieszania, co ten pozornie ksenofobiczny i antyuniwersalistyczny wiersz. Lata wojny i Zagłada przekształciły Glatsztejna w jednego z wielkich elegistów wschodnioeuropejskiego żydostwa. Ogłosił ponad dziesięć zbiorów wierszy, w tym *Gedenklider* (*Wiersze pamięci*, 1943), *Dem tatns szotn* (*Cień ojca*, 1953), *A jid fur Lublin* (*Żyd z Lublina*, 1966).

Pisał także prozę artystyczną i eseistyczną, uprawiał krytykę literacką. Jego dwie autobiograficzne powieści cieszące się dużym powodzeniem to *Podróże Jasia* (*Wen Jasz iz geforn*, dosł. „Kiedy Jaś pojechał", 1938) i *Powrót Jasia* (*Wen Jasz iz gekumen,* dosł. „Kiedy Jaś powrócił", 1940). Te dwie części planowanej trylogii, opowiadające o podróży autora do rodzinnego miasta niedługo przed wojną, odznaczają się sugestywnym stylem i poczuciem nadchodzącej katastrofy.

Glatsztejn był zafascynowany językiem jidysz, którego nie tylko używał, ale nieustannie przetwarzał i celebrował. Żaden chyba inny poeta tworzący w jidysz nie dorównał mu pod względem inwencji leksykalnej. Wyróżniał go też doskonały słuch muzyczny i poetycki oraz bogactwo idiomów. Stanowi to przeszkodę w tłumaczeniu jego poezji. Nic więc dziwnego, że choć przez wielu jest uważany za najwybitniejszego poetę języka żydowskiego, stosunkowo mało znany jest czytelnikom w innych językach.

Przez wiele lat Glatsztejn był stałym felietonistą kilku żydowskich dzienników i tygodników wydawanych w Nowym Jorku. Jako krytyk literacki miał ogromny wpływ na kształtowanie się świadomości krytycznoliterackiej zarówno wśród pisarzy, jak i czytelników literatury jidysz.

Prezentowany fragment prozy Jakuba Glatsztejna pochodzi z jego autobiograficznej powieści *Podróże Jasia* wydanej po raz pierwszy w jidysz w Nowym Jorku w 1938 roku. Za motto powieści służy fragment wiersza Marii Konopnickiej *A jak poszedł król...,* na myśl więc nasuwa się i Janek Wędrowniczek, który – wprawdzie w wyobraźni – wyrusza na podbój świata (nieodosobniony to przypadek polsko-żydowskich związków literackich).

Wiele miejsca w powieści zajmują wspomnienia z dzieciństwa i młodości spędzonej w Lublinie, do którego autor wraca w 1934 roku po dwudziestu latach, aby zobaczyć po raz ostatni śmiertelnie chorą matkę (jej pamięci dedykowana jest zresztą książka). Oryginał w jidysz często przeplatany jest polszczyzną (choć – jak się dowiadujemy – z przyjaciółmi rozmawiał nie w jidysz ani po polsku, lecz po rosyjsku).

Znajdujemy w jego prozie wiele szczegółów dotyczących topografii dawnego Lublina (autor mieszkał przy Nowej Drodze[1]), a zamykający książkę opis podróży do naszego miasta dobrze świadczy o ówczesnej kolei, skoro poznany przez narratora Polak może z dokładnością co do minuty przewidzieć chwilę zatrzymania się pociągu na lubelskim dworcu...

[1] Choć autor używa nazwy „Nowa Droga" (*naje weg*), a nie „ulica Nowa" (*naje gas*), szczegóły topograficzne wskazują, że chodzi o ulicę Nową [przyp. red.]

Jakub Glatsztejn

Podróże Jasia

Rok 1914

Matka sprzeciwiała się mojemu wyjazdowi. Mimo to musiała ustąpić. Interesy ojca szły gorzej z każdym dniem. Nie ulegało wątpliwości, że nadchodzi dzień, kiedy będziemy musieli zaryglować drzwi i zamknąć sklep na dobre. Nawet Ezra, wspólnik ojca, zaczął stopniowo ustępować. Ezra miał dumną twarz goja. Ręce drżały mu ze starości, siwa okryta głowa trzęsła się, a siwa przystrzyżona bródka drżała. Nie umiał ani pisać, ani czytać, ale uważał siebie za arystokratę, ponieważ jego druga żona była litwaczką i nosiła własne włosy zamiast peruki i ponieważ jego syn chodził do gimnazjum. Ezra mówił niegramatycznie po polsku i rosyjsku, ale miał dobrą wymowę. Kiedy do sklepu wchodził jakiś wysoki rosyjski urzędnik albo bogaty Polak, Ezra zrywał się na równe nogi. Mniej ważnych gojów i żydowskich klientów pozostawiał mojemu ojcu. Zwykle ojciec musiał zresztą obsługiwać także i lepszych klientów, bo kiedy tylko ktoś zaczynał się za bardzo targować, Ezra unosił się honorem i pytał uszczypliwie: „Co pan myśli, tutaj jest targ?" Miał na myśli chrześcijański targ, gdzie handlowano tandetą i gdzie niemal za grosze sprzedawano używaną odzież.

Kawiarnia przy ul. Świętoduskiej, naprzeciw Nowej 11, nazywana popularnie „U Turka". Fot. Stefan Kiełsznia. Ze zbiorów TNN.

Ale nawet dumny Ezra zwieszał głowę z rezygnacją, kiedy zaczęli się pojawiać dziwni klienci – chłopi w siermięgach – których dawniej, gdy za dobrych czasów zawędrowali do nas do sklepu, przepędzał jak wystraszone kury: „Idźcie! Ten sklep nie dla was. Nie mam nic!"

On sam na razie nie raczył ich obsługiwać, ale kiedy robił to mój ojciec, wyciągając kolejne palta, Ezra zamykał oczy i wydawał z siebie jedno westchnienie po drugim, mrucząc:

– Ładną starość mi zgotowałeś, nie ma co gadać, oj, Panie Wszechświata!

Był to czas, kiedy Polacy zaczęli załatwiać swoje porachunki z Żydami za to, że ci ostatni pomogli wybrać do Dumy posła partii pracy Jagelona zamiast jawnego antysemity, popieranego przez Polaków. Bojkot zaczął się na żarty, ale wkrótce dotknął głęboko żydowski handel. Sklepy zaczęły pustoszeć. Nawet w wielkim sklepie Chazanowa zdarzały się dni, kiedy nie utargowano nawet jednego rubla. Przychodziły rachunki. Ojciec próbował się ratować anonsami w polskiej gazecie, „Ziemi Lubelskiej". „Polak-Katolik" przedrukował ogłoszenie Ojca i w sensacyjnym artykule od redakcji strofował „Ziemię" za przyjmowanie żydowskich ogłoszeń.

Mój bilet na statek leżał już w blaszanej puszce w komodzie. Liczyłem miesiące i tygodnie. Nawet matka zaczęła mnie ponaglać do wyjazdu. Bała się, że sklep pochłonie te kilkaset rubli odłożone na moje potrzeby.

Krakowskie Przedmieście, gimnazjaliści, lata trzydzieste. Ze zbiorów Lechosława Dymowskiego.

– Icchok, to są krwawe pieniądze. Należałoby je przycisnąć kamieniem. Nie wolno ich ruszać – stale przypominała ojcu.

– A kto je rusza, Ite Racheszi?

Wieczorem zachodziłem do Turków, których u nas nazywano Grekami. Piłem ciepłe mleko i skubałem kawałki cienkiego, słodkiego chleba z rodzynkami, brązowego od szafranu.

Zwierzyłem się nawet jednemu z Turków, że jadę do Ameryki.

– Kiedy?

Zawsze się przed nim popisywałem swoją znajomością tureckiego.

– Za *on* tygodni będę już daleko stąd.

Słowo „tygodnie" musiałem, rozumie się, powiedzieć po rosyjsku. Ale do *on* (dziesięciu) wyliczyłem mu od jednego: *bir*, *iki*, *uc*, *dort*, *bes*, *atli*, *yedi*, *sekiz*, *dokuz*, *on*...

Turek uradowany był moją recytacją liczb, które odkryłem jako załącznik w samouczku do esperanto. Dołożyłem nawet jeszcze na dodatek *yrmi* (dwadzieścia) i *elli* (pięćdziesiąt), żeby wiedział, jak świetnie znam turecki.

Ostatnie kilka tygodni przed odjazdem. Dni spędzone w Ogrodzie Saskim, gdzie wiosna rozkwitała w zielonych alejkach. Moi koledzy i ja chodzimy po ulicach Lublina z głowami uniesionymi wysoko jak bohaterowie *Nowizny* Hamsuna. [...] Nasz malarz, zezowaty, z jednym okiem bladym jak mlecz śledzia, tuż po powrocie z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych; poeta, który był niedawno

Przechadzamy się jak pawie i jesteśmy nierealni jak postacie z książek. Pojedynkujemy się gotowymi frazami, po czym idziemy do mamy na kolację.

w Warszawie i przywiózł ze sobą plik zaświadczeń; skrzypek o wielkiej, potężnej, ciemnej głowie – absolwent warszawskiego konserwatorium, który już występował w sali „Hazomiru"; nasz „pesymista", zawodowy cynik i wróg kobiet o niezgrabnych rękach z długimi, czarnymi paznokciami – będąc najstarszym wśród nas, zgłębia Upaniszady, cytuje Schopenhauera i Weiningera i chwali się, że woli się onanizować niż mieć do czynienia z kobietami; mój przyjaciel, który spędził półtora roku u siostry w Ufie i dlatego stara się mówić po rosyjsku z syberyjskim akcentem, coraz to wtrącając gdzie popadnie dla wywołania efektu „poniekąd" i „zaiste"; i kilku oczytanych młodych ludzi, którzy szykują się na krytyków i noszą przy sobie tomy Taine'a, St. Beuve'a, Bielinskiego, a przede wszystkim naszego Brandesa.

Przechadzamy się jak pawie i jesteśmy nierealni jak postacie z książek. To są moi Bazarowie, Niechlodowie, Tidemanowie, Karamazowowie, Obłomowowie, Saninowowie, Hamleci i Don Kichoci. Wokół nas kwitnie życie gojów – jedno polskie, a drugie rosyjskie, jedni z drugimi na noże – i życie żydowskie, wiele żydowskich istnień oddzielonych od siebie jak kasty, od żydowskich pariasów po żydowskich arystokratów jeżdżących bryczkami zaprzęgniętymi w narowiste konie. Wokół nas roi się od krawców, szewców, blacharzy, papierosiarzy, murarzy, robotników z cegielni i z cukrowni, garbarzy, ślusarzy, mełamedów, nosiwodów, panien służących, pończoszarek, rękawiczników, szwaczek, grajków, perukarzy, magnatów, *dajanów*[1] i *rabonim*[2], ale my nikogo nie widzimy. Pojedynkuje-

[1] dajan (hebr. „sędzia") – sędzia sądu religijnego [zob. Alan Uterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, Warszawa 2000 – przyp. red.].

[2] rabini [przyp. red.].

my się gotowymi frazami, po czym idziemy do mamy na kolację, a przy okazji po kilka kopiejek kieszonkowego.

Poeta recytuje wiersz o wiośnie. Ma smutny, śpiewny głos, który pieści każdą pozbawioną rytmu linijkę. Pozostaje pod dużym wpływem *Módl się i za mnie, mały Ber Joskełe* i błaga kwiaty, wiosenne zefiry o przysługę – jaką, już nie pamiętam. Wszyscy mamy o nim wysokie mniemanie. Wiążemy z nim wielkie nadzieje, wierzymy, że zostanie kiedyś chlubą naszego miasta. Nawet ja, który mam już na koncie cały stos wierszy i opowiadań, uważam, że jestem niczym w porównaniu z nim. Zazdroszczę mu melancholijnych strof, które brzmią jak poezja, nawet zanim się złapie sens słów.

Ojciec poety jest zamożnym człowiekiem. Mieszka w chrześcijańskiej dzielnicy w jednym z najnowszych domów, z lustrami w korytarzu i dywanami na podestach schodów – jednym z tych domów, który całe miasto przybiegło oglądać po zbudowaniu. Przepiękne mieszkanie, wielkie lustrzane salony, ciężkie meble, krzesła obite niebieskim i czerwonym pluszem, wysokie wazony, klatki ze śpiewającymi kanarkami, młoda uprzejma macocha, która wygląda jak starsza siostra poety i wydaje się stanowić część całego nowoczesnego wystroju. Dwoi się i troi, aby dogodzić „dziecku", a nawet jego kolegom. Poeta ma wspaniałe rzeźbione biurko, w którym trzyma kajet z wierszami napisanymi wyszukanym pismem. Jego pierwszy utwór, który odczytał mi drżącym głosem w swoim bogato urządzonym gabinecie, nosił tytuł *Śmierć młodej matki* i wiernie naśladował pod względem melodyjności *Śmierć starego preceptora*. Młody poeta nie ukrywał naśladownictwa. Przeciwnie, chwalił się, jak dobrze imituje mistrza i ja także nie mogłem się nadziwić wierności oryginałowi. Nie mogłem tylko zrozumieć, jak w tej atmosferze komfortu nachodzić go może podobna melancholia i smutek. Myślałem, że nawet jeśli naprawdę opłakuje matkę, to pisanie równie smutnego wiersza, kiedy się ma taką miłą, oddaną, ładną i cichą macochę, jest oznaką pewnej niewdzięczności. W tym okresie pisywałem patriotyczne wiersze i opowiadania erotyczne, ale uważałem się za drugie skrzypce w naszej rodzince literackiej i zazdrościłem poecie Bożego daru smutku, tym bardziej że wydawało mi się, iż powinno mu być dobrze na świecie.

Wszyscy radujemy się jego wierszem o wiośnie bardziej niż samą wiosną. Tylko nasz zawodowy cynik znajduje wulgarne słowo pogardy. Cytując po rosyjsku długie fragmenty z Homera, a po niemiecku z Heinego, poddaje wiersz druzgoczącej krytyce. Mimo to utwór ten ani trochę nie traci w naszych oczach, chociaż bawi nas jego epigramatyczna surowość.

Ktoś wspomniał o mojej podróży i wyraził zazdrość, jak również współczucie, że wybieram się do kraju „żółtej prasy".

Późnym wieczorem znowu Krakowskie Przedmieście o trotuarach, które prowadzą każdą „klasę" oddzielnie do Ogrodu Saskiego: jednym spacerują tylko robotnicy, drugim gimnazjaliści, gimnazjalistki, eksterniści i urzędnicy. Znowu ciemne alejki, po których się gania łapczywie za każdą sylwetką ubranej na brązowo gimnazjalistki.

Rano spaceruję raz jeszcze po wolskich łąkach. Zawędrowałem aż na Piaski, gdzie we własnej chałupie mieszka bogata ciocia Chome. Hoduje kury, trochę kaczek, a czasem nawet indyczkę. Ma dwie krzepkie córki o stopach pokrytych odciskami i rękach pachnących stale pietruszką, cebulą i pasternakiem. Starsza często wyciąga mnie z dala od domu w stronę linii kolejowej, dobry kawałek od

„Piwiarnia chrześcjańska" przy Nowej 11. Wspomnienia w relacji właścicielki. Mówi Krystyna Frank: *Przed wojną mieszkałam na ulicy Nowej, a więc w samym środku starego Lublina. Nasz ojciec umarł bardzo wcześnie, Baśka była jeszcze w becie i pracowała u nas niania, która właściwie prowadziła nasz dom. Mama musiała pracować. Ona prowadziła jadłodajnię na Nowej pod nr. 11. To była jadłodajnia, która wydawała obiady oraz inne posiłki gorące i zimne. Sprzedawano tam tylko piwo, lemoniadę i herbatę, wódki nie. Śniadań i kolacji jako takich wtedy się nie podawało. Kiedy ktoś przychodził, to prosił 10 deko tego, czy tego i na talerz się kładło. Do tego można było zamówić np. ogórek kwaszony czy śledzie marynowane. Tu, gdzie teraz jest duży plac między Świętoduską a Lubartowską, był postój autobusów zamiejscowych. Kierowcy tych autobusów oraz ludzie, którzy przyjeżdżali, przychodzili na obiady.*
Fragment „historii mówionej" i zdjęcie ze zbiorów TNN. Fot. Stefan Kiełsznia.

domu, a nawet i za tory. Tam patrzy mi w oczy, owiewa gorącym oddechem i śpiewa chłopskie piosenki miłosne. Ale kiedy zaczynam się trochę rozgrzewać, jej „Jankeле, nie!" wypowiedziane lodowatym tonem przywołuje mnie natychmiast do porządku.

Dwa tygodnie do odjazdu. Otrzymuję trochę złych wieści, które odbierają wszelki urok podróży. Cały czas myślałem, że nie będę podróżował sam, to znaczy, że będzie mi towarzyszyła dziewczyna – i to jaka! Półtora roku młodsza ode mnie, wysoka, szczupła, blondynka z zadartym noskiem siksy[3]. Brązowe oczy kontrastują tak cudownie z jasnymi włosami, że kiedy ją widzę, nie mogę się nadziwić ciepłu jej oczu i chłodowi włosów. Porusza się jak dorosła kobieta. Ma zgrabne, zwinne nogi i dość szerokie usta o cienkich wargach, ale za to miły uśmiech.

Pochodzi z prostej rodziny – sami rzeźnicy lub pomocnicy rzeźników. Jej rodzice, wujowie i ciotki mają czerwone ręce o długich, zabarwionych krwią paznokciach, czerwone twarze, ciężkie stopy, ochrypłe głosy, ale ona sama wydaje się szlachetna i delikatna jak hrabianka. Uśmiech tej dziewczyny znamionuje być może dziedzictwo pokoleń, które wiedzą, czego chcą i dopinają swego celu, ale na jej ustach wulgarny wyraz twarzy przodków uległ przekształceniu w finezję i ogładę.

Są naszymi sąsiadami przy Nowej Drodze, gdzie mieszkamy naprzeciw chrześcijańskich i żydowskich jatek, w których wiszą wołowe i cielęce głowy o łagodnych, rozwartych, martwych aksamitnych oczach. Nawet jej nazwisko, w znanej mi wersji, niemieckie nazwisko rodziny, nasuwa na myśl rzeźniczy fach.

W owym czasie wiele żydowskich gimnazjalistek w naszym mieście znajduje się pod silnym wpływem moralności Tołstoja i zanim się zdobędzie pocałunek, trzeba przebrnąć przez długie cytaty z Nowego Testamentu: „Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa..." Trzeba długo moralizować, zanim można pogrzeszyć, a grzeszeniem nazywa się trzymanie

[3] sziksa (lub „szyksa") – określenie pejoratywne („wstrętna kobieta"), najczęściej używane w stosunku do kobiety niebędącej Żydówką, która spotyka się z Żydem lub jest jego żoną; również ogólne określenie nieżydowskiej dziewczyny [przyp. red.].

Wokół nas kwitnie życie gojów – jedno polskie, a drugie rosyjskie,
jedni z drugimi na noże – i życie żydowskie,
wiele żydowskich istnień oddzielonych od siebie jak kasty,
od żydowskich pariasów po arystokratów.

dziewczyny za rękę, patrzenie jej w oczy i recytowanie w ciemnościach Nadsona. Nie pamiętam już dokładnie, co dotarło wcześniej do naszego miasta, jajko czy kura, saninizm czy tołstojanizm, ale obydwa systemy cięły jak miecze po rajskim ogrodzie. Raz trzeba było odgrywać światowego Sanina z jego „Łapaj chwilę", to znów Tołstoja z jego „Przygotuj się na królestwo niebieskie".

A kiedy zabawa w moralność czy antymoralność zaczyna nudzić, rezygnuje się poniekąd z własnej godności i zawiera znajomość ze szwaczką lub pończoszarką. Co prawda ich palce są pokłute i popękane, ale za to śpiewają wzruszające żydowskie piosenki ludowe lub ballady Goldfadena i mają ciepłe ręce, które potrafią mocno przytulać. Jedyny stawiany przez nie wymóg to „Bój się Boga i ludzkich ust!" Wszystko inne wychodzi spontanicznie od dwojga młodych i nie trzeba najpierw mamrotać całych ustępów z Nowego Testamentu.

Matka wiedziała, że zwróciłem uwagę na rzeźnikównę i niezbyt jej się to podobało. Bała się małżeństwa, na które nie miała ochoty, bo na domiar złego kryła

się za tym wszystkim ponura tajemnica. Bliska kuzynka dziewczyny wychrzciła się i wyszła za mąż za szejgeca[4], pomocnika rzeźnika, a żeby zupełnie pognębić rodziców, otworzyli chrześcijańską jatkę tuż obok nich. Rodzice dziewczyny chodzili zawstydzeni, bojąc się spojrzeć komukolwiek w oczy. A córka, prozelitka, była teraz w ciąży i sprzedawała wieprzowinę z niezwykłą wprawą.

Moja matka bała się, że wyląduję w podobnej rodzinie. W tym czasie zamieniłem z tą dziewczyną może z dziesięć słów, ale mimo to zrobiło mi się cieplej na sercu, gdy nagle dowiedziałem się, że ma podróżować ze mną do Ameryki, do wujka. (Jej matka wiedziała, że w Lublinie hańba rodzinna będzie się za nią ciągnąć.) Mieliśmy jechać razem koleją, wsiąść na statek i wysiąść w Castle Garden. Jej matka cieszyła się, że córce ma towarzyszyć ktoś znajomy, porządny młodzieniec, który będzie miał na nią oko (a może również na jej uśmiech?).

Ale coś stanęło na przeszkodzie i fakt, że musi wyjechać dwa tygodnie przede mną, stanowił dla mnie prawdziwe nieszczęście. Cios spadł niespodziewanie. Spotkała mnie w mieście i wyjaśniła z uśmiechem:

– Wiesz, jutro wyjeżdżam.

Ani z jej głosu, ani z wyrazu twarzy nie mogłem wywnioskować, czy dla niej jest to równie duży cios, jak dla mnie. Zrobiło mi się podwójnie smutno. Poczułem się samotny i nagle ogarnęło mnie przerażenie na myśl o tej długiej podróży, którą miałem odbyć samotnie. Wyciągnęła do mnie rękę o długich spiczastych palcach.

– Zobaczymy się w Nowym Jorku.

Tej nocy czułem się, jakby porzuciła mnie żona.

Najdłuższe podróże, na jakie do tej pory się odważyłem, były z Lublina do Warszawy, do ciotki Gnendel. Ale zawsze towarzyszył mi dziadek. Sam zacząłem podróżować dopiero po jego śmierci. Z dziadkiem jadę zwykle czwartą klasą. Pociąg wlecze się i wlecze, i wydaje się, że dokłada wszelkich starań, aby przedłużyć cztero- czy pięciogodzinną podróż do dwunastu godzin – wyruszaliśmy w pełni dnia, a docieraliśmy do celu aż po północy. Jedzie się i jedzie przez wioski i miasteczka, spotykając cały dzień przeróżnych ludzi [...]

Mój dziadek miał stały zwyczaj. Rozwiązywał chustkę i pożywiał się jajkiem na twardo, kromką chleba, węgierką, złota gruszką, z której pryskał mu sok na brodę i jednocześnie prowadził ze mną rozmowę: „Po co zabiera takiego łobuza jak ja w odwiedziny do Hafeca Chaima, wielkiego cadyka? I po co wydał pół rubla na książkę, skoro ja nawet jej nie otwieram?" Ale dziadek nie złościł się. Ciągnął ten monolog dla samej przyjemności, bo człowiek musi przecież „o czymś mówić, zanim zaśnie". Pociąg kołysze się, a dziadek razem z nim. Wkrótce zaczyna chrapać z głową zwieszoną na brodę.

Wchłaniam oczami pola, drzewa, lasy, rzeczki, które pociąg pokonuje wolno, z sapaniem. W nocy pasażerowie rozkładają się na wszystkich ławkach, dolnych, górnych, a nawet pod ławkami. Jedynie konduktor z okopconą latarnią i swoim „A bilet jest?" zakłóca ciszę. [...]

Rok 1934

Jakiś dwudziestoparoletni młodzieniec wszedł do mojego pustego przedziału. Ukłonił się i usiadł naprzeciw mnie przy oknie, które skupiało w sobie fragmenty lasu, pól, rzeczek i bladoniebieskiego letniego nieba. Obojętnego nieba – od razu było widać, że przez cały dzień nie będzie ani błyskawic, ani piorunów, ani deszczu.

Poważna fabryka mebli stylowych

[4] szejgec (lub „szajgec") – nieżydowski chłopiec.

Podobnie jak przed I wojną światową w przypadku, o którym pisze Glatsztejn, kryterium narodowościowe w ogłoszeniach handlowych odgrywało pewną rolę również w prasie międzywojennej. Tego rodzaju publiczne zastrzeżenia co do narodowości czy wyznania potencjalnych klientów nie były jednak nagminne. Powyżej: anons z dodatku do „Expressu Lubelskiego i Wołyńskiego" z 11 listopada 1938; poniżej z „Nowej Ziemi Lubelskiej" z dnia 9-10 sierpnia 1924. Ogłoszenia ze zbiorów Barbary i Krystyny Frank.

Do sprzedania chrześcijaninowi 2 domy, 10,000 kw. l. placu. Bonifraterska 14. 462

Szczupły młody człowiek uśmiechnął się ciepło, zanim zdecydował się otworzyć usta. Poprosiłem go, aby wybaczył mi moją toporną polszczyznę. Wyjaśniłem, że używam jej po raz pierwszy od dwudziestu lat.

– Skąd pan? Cudzoziemiec?

– Nie, nie cudzoziemiec, emigrant. Aż z Nowego Jorku.

– W takim razie musi pan nałożyć słuchawki i pozwolić, aby powitała pana nasza muzyka.

Wskazał na słuchawki od radia, a ja posłusznie nałożyłem je na uszy.

Pociąg pędził przed siebie, a wraz z nim piski tandetnej kawiarnianej muzyki, która teraz drażniła uszy. Niemniej byłem mu wdzięczny za jego radę. Zwykłe polskie piosenki o bardzo prostych słowach miały wewnętrzny urok, nie różniły się wiele od polskiego krajobrazu – trawy, lasów i dolin, które migały za oknem.

– Wspaniałe – zawołałem – dźwiękowa flora i fauna kraju!

– Ano tak – odparł rozpromieniony. – Nasza bieda, nasza radość i nasz smutek. Nasze własne.

Zaczął czyścić szkła, spoglądając na mnie przygasłymi, piwnymi oczami. Bez okularów oczy jego wydawały się bystre i teraz rozpromieniał je uśmiech. Dwadzieścia lat temu niewiele widziałem takich twarzy wśród polskiej młodzieży. Wiele dzieliło oblicze płowowłosego wiejskiego chłopaka o cielęcym wzroku i pryszczowatej twarzy od tego europejskiego wizerunku naprzeciw mnie. Ta szlachetna twarz kształtowała się w atmosferze własnego kraju. Powiedziałem mu o tym wszystkim w możliwie najdelikatniejszy sposób, nie pomijając jednak porównania do chłopskiego dziecka z przeszłości. Wyjaśniłem mu, że jestem mu równie wdzięczny za muzyczne powitanie, jak i za sam jego wygląd.

Nowy i inny.

Zmarszczył czoło i wyczułem w nim niepokój. Cóż – pomyślałem sobie – ten młody człowiek nosi niemalże żydowski garb na plecach. My nosimy garb wygnania, a on ugina się pod ciężarem młodego kraju, młodego rządu ze wszystkimi problemami i chorobami wieku dziecięcego. Nosi na sobie jarzmo odpowiedzialnego obywatela.

Ul. Krakowskie Przedmieście pod koniec XIX wieku. W oddali widoczne kopuły cerkwi przy Placu Litewskim rozebranej w 1924 r. Ze zbiorów Barbary i Krystyny Frank.

– Ciężko pracujemy, aby podnieść prestiż Polski na świecie.

Ponownie zdjął okulary i zaczął je wycierać, ale tym razem po to, aby uniknąć mojego wzroku.

– Jest pan Żydem, prawda? – Słowo „Żyd" wymówił miękko, bez jadu. – Są i tacy wśród nas, którzy niszczą wspaniałe polskie tradycje, ale to są chwasty. My je wyplenimy.

Uścisnął mi mocno rękę, jakby uroczyście składając święte przyrzeczenie. Rozumiemy się nawzajem i nie mówimy więcej na ten temat.

Był inżynierem na rządowej posadzie. Pracował przez krótki czas w Warszawie, a teraz został przeniesiony do innego miasta, bliżej domu. Ale nie chce rozmawiać o sobie. Zasypuje mnie pytaniami o Amerykę, Roosevelta i mój powrót do domu po dwudziestu latach.

On także zmierza do domu, ale jak tu porównywać jego podróż z moją pielgrzymką! Odwiedził swoich rodziców zaledwie pół roku temu: w moim przypadku minęło dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat! Nie może się nadziwić.

– Powinienem być cicho i nie niepokoić pana w tak świętej chwili. Dwadzieścia lat rozłąki z krewnymi, a teraz powrót do domu. To wielki dramat. [...]

Zwierzył mi się, że jego matka ubolewa nad tym, iż nie odwiedza jej przynajmniej dwa razy w roku. Jest źrenicą w jej oku, jedyny, który pozostał przy życiu spośród sześciorga dzieci. Pięcioro zmarło jeszcze przed jego urodzeniem, a troje było młodszych od niego, Dzieci to coś najbardziej niepewnego w małych polskich miasteczkach. Dopóki nie osiągną wieku dziesięciu czy dwunastu lat, nie można ich z całą pewnością uznać za członków rodziny.

– Trzech z moich braci także zmarło. Dwóch zanim się urodziłem, trzy- czy czteroletni szkrab zamknął oczy w mojej obecności – powiedziałem.

Odwróciłem głowę w stronę okna i odszedłem sam – jak to dopiero co wyraził – na moją *via dolorosa*...

Hercke. Braciszek, który sprowadził śmierć do naszego domu. Ojciec i kilku mężczyzn stoi nad jego kołyską, gdy oddaje ostatnie tchnienie. Ojciec łka „Słuchaj, o Izraelu". Oczy Hercka zachodzą mgłą, a ojciec towarzyszy jego duszy żałobnymi okrzykami, aż w kołysce zapada cisza.

Był już późny wieczór. Wszyscy położyliśmy się spać. Ojciec sam czuwał nad kołyską. Wydawało się, że Hercke jest wciąż z nami tej nocy, że nie został jeszcze od nas odcięty. Ciągle się budziłem niczym w gorączce i słyszałem, jak ojciec odmawia psalmy i łka jak najciszej, aby nikogo nie obudzić.

„Jest pan Żydem, prawda?" Słowo „Żyd" wymówił miękko, bez jadu.

Wczesnym rankiem obudziło mnie zawodzenie, ale tym razem była to matka. Siedziała przy przykrytej kołysce i zawodziła, jakby czytała Biblię po żydowsku. Jej słowa nie przypominały tych będących w codziennym użyciu, brzmiały starodawnie, jakby wzięte ze świętych ksiąg dla kobiet. Zniknęła gdzieś jej żydowska, pobożna cierpliwość. Prowadziła teraz dysputę z Bogiem. Wysuwała oskarżenia. Kręciłem się smutny po domu. Wszystko mnie bolało. Nawet oddychanie sprawiało mi ból. Starałem się nie oddychać, a kiedy już nie mogłem dłużej wytrzymać, łapałem oddech, jęcząc. Błagałem matkę, aby pozwoliła mi choć pocałować złotą główkę braciszka, ale ona łamiącym się głosem wyjaśniła, że jest to sprzeczne z żydowskim zwyczajem. Mimo to musiała ustąpić i odkryć jego twarz.

– Widzisz teraz, moje dziecko, co zostało z jego anielskiej buzi!

Czułem ucisk w sercu. Matka dalej wysuwała oskarżenia pod adresem Boga. Kierowała swoje zarzuty w stronę sufitu, bezpośrednio do Najwyższego, i domagała się sprawiedliwości.

– Czy to sprawiedliwie, aby taki promyczek został odcięty i wystany tak wcześnie do grobu? Czym ta niewinna duszyczka zasłużyła sobie na przedwczesną śmierć?

Z sufitu nie dochodziła żadna odpowiedź. Czułem, że matka nie dość mocno wstrząsnęła Tronem Chwały. Przypomniałem sobie, że dwóch braci zmarło jeszcze przed moim urodzeniem. Teraz przyszedłem matce z pomocą, dając jej jeszcze jeden niezbity dowód przeciwko Jego Imieniu.

– Mamo, Żyd powinien oddać jedną dziesiątą swego majątku, a od ciebie zabrano już więcej. Czy to sprawiedliwe?

Czułem, że to mocny argument. Byłem przekonany, że nie można go zlekceważyć, Matka natychmiast pojęła słuszność mojej skargi do Pana Wszechświata i zaczęła znowu lamentować:

– Panie Wszechświata. Żyd musi oddać w ofierze jedną dziesiątą swego majątku, a Ty zabrałeś mi już o wiele więcej. Czy to sprawiedliwe?

Trochę się uspokoiłem. Ucieszyło mnie, że moja matka, osoba dorosła, używa dokładnie takich samych słów, jak ja w swojej rozprawie z Bogiem. Czułem, że przyparliśmy Go do muru. Ja, mama i Hercke wygraliśmy. Na taki argument nie było usprawiedliwienia. Żadnego. Sam Bóg musi się teraz wstydzić; ale co za szkoda – krzywda została już wyrządzona! Lalka o woskowej twarzy nigdy nie stanie się na powrót żywym Herckiem. Jednak im dłużej matka kierowała swoje słowa do wybielonego sufitu, tym bardziej czułem się usatysfakcjonowany. Wygraliśmy i tam na górze nie potrafili teraz znaleźć należnej odpowiedzi!

Wkrótce wszedł, kulejąc, jakiś Żyd ślepy na jedno oko. Niósł skrzynkę przymocowaną do boku rzemieniem. Zerkał niepewnie, jakby zakradał się do obcego domu. Przypominał grajka z mandoliną bez strun. Matka zerwała się na równe nogi. Żyd stał bezradnie i szukał męskiej pomocy u ojca, który, szlochając, wprowadził go do środka,

Przeprosiłem współtowarzysza podróży za ten długi trans. [...]

Trawa migająca za oknem sprawiała wrażenie spalonej słońcem. Stary pies obszczekiwał pociąg. Mały smutny chłopak wymachiwał czapką. Gęsty zagajnik przyciągnął słońce i rozbił je na tysiące iskierek, które złotem okryły drzewa.

Fragment zdjęcia lotniczego z ulicą Nową i jatkami na „chrześcijańskim" placu targowym. Ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

Mój towarzysz ożywił się, kiedy mu oznajmiłem, że zamierzam wybrać się do Związku Sowieckiego.

– Związek Sowiecki! – jego twarz znowu się zachmurzyła. Zdjął okulary, wytarł chusteczką i spojrzał na mnie bystrym wzrokiem.

– Jakie życzenia powinienem im przekazać w imieniu inteligenta, młodego Polaka?

Długo wycierał okulary, aż w końcu zaczął mówić, starannie ważąc słowa.

– W imieniu wielkiej części polskiej młodzieży – powiedział wolno, ale z żarliwością mówcy – niech pan im powie, że śledzimy z wielką ciekawością wszystko, co dzieje się w Związku Sowieckim. Więcej nie mogę panu powiedzieć. Ale niech pan na pewno podkreśli, że jesteśmy zainteresowani. Niech pan powie, że w związku z tym spoczywa na nich moralna odpowiedzialność. Muszą się wystrzegać popełniania błędów. To znajdzie oddźwięk u nas, przedłuży nasz krok. Ich błędy są przeciwko nam jako krajowi, z którym graniczą, przeciwko całemu światu, ale świat znajduje się daleko od Związku Sowieckiego, a my jesteśmy blisko, na wyciągnięcie ręki.

Nagle mój współtowarzysz spojrzał na zegarek i twarz mu się rozjaśniła.

– Jeszcze pół godziny i dotrze pan do celu. Dokładnie trzydzieści dwie minuty! Nie, nawet nie tyle!

Bardzo się ożywił na tę myśl.

– Z dwudziestu lat wygnania zostało – trzymał zegarek w ręku – dokładnie trzydzieści jeden minut.

Wyjrzał za okno i ogarnęło go wesołe podniecenie. Nie chował zegarka tylko dalej liczył minuty.

Im bardziej się entuzjazmował liczeniem minut, tym wyraźniej w mojej wyobraźni nabierał kształtów nieznany katorżnik z rozwianą czupryną i zarostem na brodzie. Epizod, opowieść charakterystyczna, a może legenda o Czechowie. Przeżywałem teraz tę historię, ja z moją zaróżowioną twarzą przy otwartym oknie, a on z zegarkiem w ręku.

Katorżnik zwolniony po dziesięciu latach spędzonych na Sybirze wraca do domu do rodziców. Ta informacja wywarła tak wielkie wrażenie na Czechowie, że przeżywał ją przez kilka dni. Śledził trasę podróży, od miasta do miasta. Studiował mapy i rozkłady jazdy, aż wiedział co do godziny i minuty, kiedy katorżnik ma dotrzeć do domu i znaleźć się w ramionach postarzałych rodziców. Była to długa i trudna podróż, ale tego dnia, kiedy miało się to wydarzyć, Czechow był tak poru-

Dopóki nie osiągną wieku dziesięciu czy dwunastu lat, nie można ich z całą pewnością uznać za członków rodziny.

szony radosnym oczekiwaniem, że nie mógł sobie znaleźć miejsca. Ciągle wyciągał zegarek z kieszeni. Jeszcze cztery godziny, jeszcze dwie, jedna, pół godziny! I tak Czechow sam przeżył cały dramat uwolnienia.

– Człowieku, zostały jeszcze ze dwie albo trzy minuty! Może nawet mniej!

Dało się słyszeć kilka ostrych gwizdów lokomotywy. Najpierw pojawiły się kominy fabryk, a potem miniaturowe domki otoczone zielenią. Niedługo miała zapaść noc i biedne, ale schludne chałupki przeglądały się w ochłodzonych promieniach słońca.

Młody Polak stanął obok mnie i położył mi rękę na ramieniu, jakby chcąc ulżyć w tej ostatniej, trudnej chwili. W oczach miał łzy. Pociąg zaczął sapać coraz wolniej. Jednocześnie z konduktorem Polak wykrzyknął radośnie:

– Lu-blin![5]

Z jidysz tłum. Monika Adamczyk-Garbowska

[5] Fragment powieści *Podróże Jasia*.

Ul. Lubartowska. Fot. Stefan Kiełsznia. Ze zbiorów TNN.

Marek Dziuba

„To już prawie cały polski Lublin”

zapiski Alfreda Döblina z podróży do Polski

Książka *Podróż po Polsce* (*Reise in Polen*) Alfreda Döblina z 1926 roku jest przykładem literatury reportażowej. Składa się z dziewięciu rozdziałów zatytułowanych nazwami odwiedzanych przez autora miejscowości, począwszy od Warszawy, a na Gdańsku skończywszy. Ambicję mieszkańców Lublina mile zaspokaja zawarty w tym tekście opis podróży do miasta nad Bystrzycą.

Książka ta została napisana wbrew konwencji popularnych przewodników turystycznych, jest więc czymś w rodzaju *antybedekera*. Autor był bowiem programowo niechętny tradycyjnej, małomieszczańskiej – jak sądził – turystyce i celowo unikał opisu topografii odwiedzanych miejsc. Przede wszystkim okazywał wręcz demonstracyjną niechęć w stosunku do obiektów gloryfikujących dokonania cywilizacyjne opisywanych społeczności, do pomników historii, do oficjalnej historiografii. Ten swoisty przewodnik po Polsce A.D. 1924 rządzi się zasadą przypadku w zakresie budowania narracji o obserwowanych zdarzeniach i ludziach.

Döblin koncentrował się na realiach z pozoru nieistotnych, na sprawach marginalnych dla mieszkańców odwiedzanych miejscowości. Posługując się techniką zapisu faktograficznego, tak charakterystyczną dla przedstawicieli niemieckiej „nowej rzeczowości”[1] lat dwudziestych XX wieku, utrwalał jak w obiektywie aparatu fotograficznego ulotne spostrzeżenia, grymas twarzy przypadkowego przechodnia, odrapane ściany kamienic w ciemnych zaułkach, beztrosko roześmiane twarze gimnazjalistek i dziarskie miny oficerów. Samo pojęcie opisu nie jest przy tym adekwatne dla tego rodzaju stylu epickiego. Jest to raczej metoda badawcza, próba analizy i syntezy obserwowanych zjawisk społecznych i – szerzej – natury człowieka. Z typową strukturą narracyjną literatury podróżniczej styl ten łączy się poprzez dociekliwość badacza w stosunku do typowych zjawisk, poprzez koncentrację na określonych typach charakterologicznych, czego wynikiem jest brak postaci o cechach indywidualnych. Jeżeli nawet takie występują, to są one naszkicowane prostą kreską, redukującą całą osobowość do jakiejś jednej dominującej cechy.

Efektem zastosowania takiej antropologicznej metody epickiej jest niemalże obsesyjna tendencja to demaskatorskie-

[1] Termin „nowa rzeczowość” jest zbyt szeroki, aby wyczerpująco go tutaj wyjaśnić, jednak sama nazwa naprowadza nas na właściwe skojarzenia. „Nową rzeczowość” charakteryzowała tendencja do faktografii, fotograficznej dokładności opisu, szukanie sensu egzystencji w drobiazgowym opisie zjawisk i ludzi – traktowanie wszystkiego jako „rzeczy” właśnie.

go krytycyzmu wobec ludzi oraz – nade wszystko – wobec zmitologizowanych zdarzeń i zjawisk. Dominuje ciągłe mnożenie pytań i wątpliwości, programowy sceptycyzm, który manifestuje się wyraźnie w sformułowaniu: „Jestem czujnym drapieżcą, który biega między nimi”. Jego efektem jest perspektywa dystansu i boleśnie odczuwana obcość („w tym mieście nie mają dla mnie czasu”, „To już prawie cały polski Lublin. Cóż, kiedy stoi przede mną jak niemowa; nikt mi nie towarzyszy”).

Taka postawa narracyjna jest świadomą prowokacją, która może być odebrana wręcz jako wyraz arogancji wobec lokalnej społeczności. Wizerunek miasta Lublina, a szerzej także Polski, w roku 1924 rani wrażliwy na krytykę patriotyzm lokalny także dlatego, że obiektem badawczej wnikliwości autora były zjawiska i zdarzenia, których z perspektywy swojskiej codzienności zazwyczaj nie dostrzegamy lub które chętnie ignorujemy. Zarzut nierzetelności faktograficznej oraz stronniczości można jednak łatwo odrzucić, wskazując na fakt, że dzieło literackie w swej hiperbolicznej[1] estetyce wykracza poza dosłowność opisywanych (czy też badanych) zdarzeń. Najbardziej przekonujący wydaje się jednak argument, że prawdziwym adresatem notatek z podróży był przede wszystkim sam autor Alfred Döblin. W żadnym innym jego utworze nie znajdziemy tak wielu osobistych spostrzeżeń odautorskich, tak wielu poznawczych autorefleksji.

Podróż po Polsce stała się dla Döblina swoistą cezurą zarówno w sensie poglądów estetycznych, jak i filozoficznych. Tekst ten należy rozpatrywać jako zapis przemiany świadomości i zapis próby odnajdywania własnej tożsamości kulturowej pisarza. Już w najbardziej znanej powieści Döblina *Berlin Alexanderplatz* z 1929 roku wyraźnie widać zmianę perspektywy recepcji rzeczywistości. Głównym punktem odniesienia stała się tu nie zbiorowość zdeterminowana nieprzewidywalnymi działaniami wszystko ogarniającego chaosu sił historycznych i przyrody, lecz zmagający się z nią, upadający i ciągle podnoszący się z klęsk indywidualny bohater Franz Biberkopf.

Sam Alfred Döblin zaangażował się na krótko w organizacyjną działalność w żydowskiej gminie wyznaniowej Berlina. Po opuszczeniu Niemiec w 1933 roku przyjął obywatelstwo francuskie i walczył przeciwko reżimowi hitlerowskiemu w mundurze oficera armii francuskiej. W 1941 roku przeszedł ostatecznie na katolicyzm. Życie Döblina stało się w zasadzie synonimem „człowieka XX wieku”, człowieka pełnego rozterek, który ciągle szuka siebie samego i podejmuje nieustanne próby odnalezienia klucza do zrozumienia siebie i świata. W tym kontekście należy wspomnieć o jego ostatniej bezowocnej próbie. Po zakończeniu wojny Döblin włączył się aktywnie w proces moralnej przebudowy faszystowskich Niemiec. W latach 1946-1951 był z ramienia rządu francuskiego wydawcą czasopisma kulturalnego „Das goldene Tor” („Złota Brama”) oraz współzałożycielem Akademii Nauki w Mainz. Spotkał się jednak z niechęcią otoczenia, traktowany był bowiem jako człowiek obcy: Żyd, Niemiec, Francuz? Ateista, żyd czy katolik? Dzisiaj powiedzielibyśmy, że był Europejczykiem w każdym calu i z całym niejednorodnym bagażem europejskiej kultury, który po prostu nie mieścił się w wąsko zakreślonych granicach nacjonalizmów.

Chyba najlepszym dowodem na to jest fakt, raczej niespodziewany i niezamierzony, że po osiemdziesięciu latach w tym samym

Wizerunek Lublina w roku 1924 rani wrażliwy na krytykę patriotyzm lokalny.

[1] hiperbola - „przesadnia”, ujęcie stylistyczne przedstawiające w sposób przesadny opisywane zjawisko, wyolbrzymiające jego cechy, znaczenie czy działanie [przyp. red.].

Ul. Szopena. „Wielkomiejska” zabudowa Lublina, choć mogła robić wrażenie w obiektywie aparatu, występowała lokalnie i nie sięgała daleko. Koniec XIX wieku. Ze zbiorów Barbary i Krystyny Frank.

tekście źródeł własnej tożsamości kulturowej, w rozumieniu podróży po minionym świecie przeszłości, poszukują czytelnicy polscy, którzy adresatami tego tekstu pierwotnie nie byli.

Alfred Döblin urodził się w roku 1878 w Szczecinie w rodzinie ortodoksyjnych Żydów. Jego ojciec wraz z pracownicą swego zakładu krawieckiego opuścił rodzinę i wyjechał do Ameryki. Matka, pozostawiona z pięciorgiem dzieci bez środków do życia, musiała przenieść się ze wschodnich prowincji Niemiec (Poznańskie) do Berlina, aby tam szukać wsparcia materialnego ze strony braci męża.

Odejście ojca, a następnie przeprowadzka do Berlina doprowadziły do sytuacji, w której zerwane zostały związki emocjonalne z tradycją i kulturą ortodoksyjnych Żydów. W patriarchalnej strukturze rodzinnej był to fakt nie do naprawienia. Mimo więc, że formalnie wyznania mojżeszowego, młody Alfred nie znał ani języka hebrajskiego, ani jidysz. W jego przypadku można zatem mówić o zjawisku asymilacji kulturowej. Efektem takiego „wykorzenienia" było utrata więzów z tradycją kulturową i religijną. Biografowie Alfreda Döblina podkreślają owe dwa istotne dla rozwoju osobowości pisarza fakty: utrata tożsamości kulturowej oraz więzi z krajem dzieciństwa.

Dzielnica żydowska, „przełom" Czechówki przed jej zasklepieniem, które rozpoczęto w 1938 roku. Ze zbiorów MPWiK w Lublinie.

Młody Döblin doświadczył biedy, nawiązał kontakty z lewicującymi i anarchizującymi środowiskami politycznymi, zwłaszcza w okresie studiów medycznych i odbywania praktyki lekarskiej. W roku 1926, gdy *Podróż po Polsce* ukazała się w wydawnictwie S. Fischera, Döblin znany był już jako autor nowel, opowiadań, tekstów publicystycznych i licznych recenzji. Zdobył sobie sławę jako propagator antymieszczańskiej sztuki ekspresjonistycznej, później zaś jako prekursor „nowej rzeczowości" (*Neue Sachlichkeit*) i nowych modernistycznych technik narracyjnych: montażu, monologu wewnętrznego, kompozycji multiperspektywicznej i kubistycznej oraz technik faktograficznych.

Realizując w swojej twórczości estetyczną wizję świata jako oddziaływania sił chaosu, natury na procesy społeczne, Döblin dokonał stopniowo konwersji od rzeczy materialnych ku transcendentnemu widzeniu świata. Döblinowska wizja nowoczesnej powieści, jako następczyni klasycznego eposu, polegała na postulowaniu i realizowaniu formy powieściowej zorientowanej na sprawy doczesne, powieści zmysłowo-realnej i jednocześnie mitycznej. Döblin chętnie używał w tym kontekście pojęcia naturalizmu, pojmowanego jednak nie w kategoriach estetycznych lecz biologicznych i określanego aparatem pojęciowym z dziedziny filozofii przyrody.

Naturą była dla niego kosmiczna, można by rzec: pogańska gra sił rozciągająca się poprzez wszystkie sfery życia, elementów żywych i tych z pozoru martwych, a także, co w kontekście naszych rozważań ma szczególne znaczenie, niewidoczna jednia ducha i duszy (*Geist und Seele*), intelektu i sfery emocjonalnej. Aby tę totalność, tę wszechogarniającą jedność móc opisać, potrzebny był tzw. totalny styl epiczny, wykraczający poza wszystko, co dotychczas w literaturze stworzono: styl opierający się zarówno na archaicznych formach przekazu ustnego, jak też integrujący wiedzę dzisiejszą, w pierwszym rzędzie zdobycze nauki, różnego rodzaju idiolekty i technolekty epoki rewolucji technicznej, a przede wszystkim język i sposób komunikowania się w głównych centrach powstawania kultury – w nowoczesnych miastach.

Z pierwszej fascynacji lewicowymi ideami społecznymi wywodzi się wizja este-

tyczna o kolektywnej naturze powstawania kultury materialnej i duchowej społeczeństw. Pogląd ten zaowocował wypracowaniem przez Alfreda Döblina stylu epickiego, którego cechą jest lekceważenie indywidualizmu w każdej postaci. Interesowały go raczej wielkie ruchy społeczne, wizja historii pojmowanej jako wzajemne oddziaływanie procesów gospodarczych, politycznych i kulturowych, byty indywidualne (postaci) zaś o tyle, o ile ucieleśniały mit – produkt kolektywnego procesu tworzenia świadomości i kultury grup społecznych.

Alfred Döblin znalazł w samej topografii miasta potwierdzenie istnienia dwóch odrębnych kulturowo światów.

Powodem podróży Alfreda Döblina do Polski w roku 1924 był zamiar spisania wyników badań na temat istoty państwa jako politycznej formy organizacji społeczeństw, ściślej: narodu. Młoda, powstająca po latach niewoli państwowość polska, wraz z całym szeregiem nierozwiązywalnych, zdawałoby się, problemów politycznych, gospodarczych, społecznych i narodowościowych, była w swojej egzemplifikowanej postaci tworem niemalże idealnym do rozważań i obserwacji tego rodzaju.

Młode państwo polskie wykazywało dwie cechy, jakie predestynowały je do podjęcia analizy procesu państwotwórczego: wielki zbiorowy wysiłek intelektualny, duchowy i fizyczny, kultywowanie tradycji, własnej kultury i tożsamości narodu polskiego, uwieńczone odzyskaniem niepodległości oraz analogiczne zjawiska koncentracji duchowej woli narodowej u mieszkających w granicach tego państwa obywateli polskich narodowości żydowskiej. Prywatną motywacją Döblina do podjęcia podróży po Polsce była potrzeba odnalezienia źródeł własnej tożsamości duchowej. Spodziewał się ją odnaleźć w środowiskach polskich Żydów, którzy, jak sądził, żyli w pełnej harmonii z duchowymi zasadami wiary, kultury i tradycji.

W Lublinie Alfred Döblin znalazł w samej topografii miasta potwierdzenie istnienia dwóch odrębnych kulturowo światów. Miasto, w którym w roku 1918 mieszkańcy wyznania mojżeszowego stanowili prawie połowę liczby wszystkich mieszkańców, było wyraźnie podzielone na dwie strefy wpływów. Agrarno-mieszczański, prowincjonalny w wyglądzie i obyczajach Lublin mieścił się w obrębie ul. Krakowskie Przedmieście i przyległych ulicach. Nosił (zatarte już mocno) ślady świetnej przeszłości, wykazywał jednak ambicje kulturotwórcze i naukowe.

Dolne Miasto stanowiło natomiast domenę społeczności żydowskiej, socjalnie bardzo niejednorodnej, lecz ogólnie bardzo biednej. Obie społeczności nie przenikały się nawzajem, żyły oddzielone od siebie bramą (Brama Grodzka) na Starym Mieście. Społeczności żydowskiej Döblin poświęcił też najwięcej uwagi. Lokalny koloryt dzielnicy żydowskiej z kilkoma charakterystycznymi punktami urbanistyki miejskiej (ul. Krawiecka 7, ul. Ruska, Zamek, ul. Lubartowska, kirkut) stanowi epicką ramę spajającą doczesne formy bytowania Żydów. W tej tak ekspresyjnie przez Döblina opisanej, bezgranicznej nędzy żydowskiego miasta rozwijała się żywiołowo swoista animalistycznie pierwotna witalność ludzi, ludzi bardzo prostych, lecz dumnych z przynależności do własnej tradycji i zespolonych sferą sacrum.

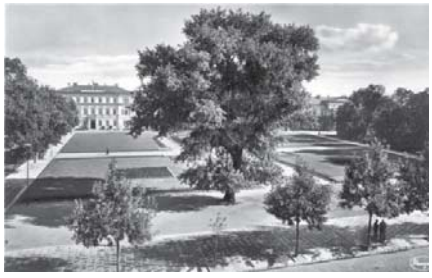

Plac Litewski, centrum Lublina. Pocztówka z okresu okupacji.

Czytelnik nie może oprzeć się wrażeniu o ambiwalencji poznawczej Döblina.

Ten świat był dla niego bowiem fascynujący i odrażający zarazem. Przede wszystkim jednak świat ten był obcy i niedostępny. Narrator nie może pozbyć się uczucia, że jest ledwie tolerowany, właściwie zupełnie zbędny. Na każdym kroku towarzyszyło mu uczucie braku akceptacji, syndrom zamkniętych drzwi. Döblin był i pozostał dla Żydów człowiekiem obcym. Decydowały o tym w pewnym sensie względy praktyczne: Döblin nie znał ani języka hebrajskiego, ani jidysz, ani polskiego, skazany był więc na życzliwą pomoc przypadkowych pośredników. Bardziej istotne były jednak bariery psychiczne, które obustronne porozumienie znacznie utrudniały. Döblin był bowiem nie tylko człowiekiem pochodzącym z innego kręgu kulturowego. Przypomnijmy, że obraz Żydów na Wschodzie, z ich determinacją trwania, bezwzględną dominacją pierwiastków duchowych, tak bardzo kontrastujących z codziennymi warunkami bytowania, znacznie różnił się od obrazu Żydów, jaki Döblin znał z własnych doświadczeń w Niemczech. Mimo wielkiego wysiłku, by zrozumieć i zracjonalizować obserwowane w dzielnicy żydowskiej zjawiska, narrator występował ciągle z pozycji człowieka z zewnątrz. Mamy tu do czynienia ze wspomnianym już syndromem zamkniętych drzwi, symbolem bramy oddzielającej dwa odrębne byty.

Mamy tu do czynienia z syndromem zamkniętych drzwi, symbolem bramy oddzielającej dwa odrębne byty.

Nie jest przypadkiem, że tyle miejsca autor poświęcił opisowi drzwi w pokoju hotelowym, strzeżonych przez zdemonizowaną klamkę i niezwykle oporny mechanizm zamka. Jest to bardzo czytelny symbol niemożności przeniknięcia do zamkniętego świata, symbol często i chętnie stosowany w literaturze europejskiej. Używanie zamka i drzwi wiąże się niewątpliwie z bardzo pierwotną potrzebą zakreślenia własnego miejsca w świecie i odgrodzenia własnej prywatności od rzeczywistości zewnętrznej. Na marginesie dodajmy, że podobnie (w sensie oznaczania własnego rewiru) można zinterpretować scenę z kobietą załatwiającą potrzebę fizjologiczną w bramie kamienicy.

Jeśli chodzi o samo narzędzie służące do otwierania drzwi, to przypomnijmy, że strażnikiem drzwi oddzielających sferę sacrum od profanum w tradycji chrześcijańskiej jest namiestnik Jezusa Chrystusa, co zostało wyrażone w postaci dwóch kluczy św. Piotra. Symbolika ta wywodzi się z dualizmu ontologicznego klasycznej filozofii greckiej; według tej perspektywy drzwi oddzielają (także łączą) sferę materialną od sfery spirytystycznej lub jeszcze inaczej: pierwiastek żeński (materia) od pierwiastka męskiego (*spiritus*). Autorem, który z symboliki zamkniętych drzwi uczynił lejtmotyw swojej twórczości literackiej, jest w modernizmie europejskim przede wszystkim Franz Kafka. Jego opowiadania *Metamorfoza*, *W kolonii karnej*, *Ameryka* oraz nade wszystko powieści *Proces* i *Zamek* to nic innego, jak poezja o impotencji poznawczej człowieka w zakresie spraw ostatecznych.

W literaturze polskiej postać klucznika jako strażnika świata minionego kojarzy się z Gerwazym Adama Mickiewicza, a czytelną retorykę bramy odnajdziemy w prozie Stanisława Dygata. Niezwykle interesujące zastosowanie tej samej co u Döblina symboliki klucza, opornego mechanizmu zamka i niedających się otworzyć i zamknąć drzwi, spotkamy w reportażach Ryszarda Kapuścińskiego z podróży po Rosji, wydanych pod tytułem *Imperium*. W relacji z Jakucka odnajdziemy – wprawdzie w formie nieporównanie bardziej lakonicznej – tę samą konstelację: „Wracam na ulicę Oktiabrską, do swojego hotelu. Mój pokój ma numer 506. Żeby otworzyć drzwi, trzeba wiele razy starać się przekręcić klucz. Od 8 do 16 prób. Wynik 8 jest optymistyczny, gdyż za szesnastym razem otworzą się już na pewno. Najgorzej, że nie dają się za-

mknąć od wewnątrz, a są tak zawieszone, że nie zamknięte same otwierają się na korytarz. Nie miałem wyjścia i poprosiłem lokatora sąsiedniego pokoju […], aby zamknął moje drzwi” (s. 190).

Zamknięte drzwi i właściwy do nich klucz to niewątpliwie wspólna retoryka dla Ryszarda Kapuścińskiego i Alfreda Döblina. Motyw ten można interpretować nie wyłącznie w kategoriach nauki o literaturze i języku, lecz w bardziej pierwotnym sensie, jako determinację do wniknięcia w świat i zrozumienia innych ludzi. Tym, czym dla autorów literatury podróżniczej XVIII wieku były listy polecające, jest dzisiaj chęć wyjścia poza własny świat pojęciowy, postawa otwarta, pozwalająca na wniknięcie w zamkniętą przestrzeń drugiego człowieka i obcej kultury. Kluczem do niej jest tolerancja i przede wszystkim wiedza, również książki, a więc także reportaż Döblina pod tytułem *Podróż po Polsce*. Taki sposób interpretacji wyjaśnia także irytację autora spowodowaną ignorancją jego rozmówców: młody głupi towarzysz i przewodnik po żydowskim starym cmentarzu nie chcą uchylić drzwi do ich realności przed przybyszem z zewnątrz, nie pragną też wejść w jego świat. Symbolika klucza niesie humanistyczne przesłanie, że oto zamknięte drzwi muszą zostać otwarte przez ludzi stojących po obydwu stronach.

Trzymiesięczny pobyt Alfreda Döblina w Polsce przyniósł jakościową zmianę jego pisarstwa. Podczas gdy w pierwszych monumentalnych utworach epickich realizuje on ideę zimnej, odhumanizowanej powieści o zbiorowościach ludzkich, masach pozbawionych indywidualności i odczłowieczonych mechanizmach „dziania się” historii, to już w *Podróży po Polsce* zarysowuje się zmiana tego stanowiska. Wprawdzie nie ma tu indywidualnie potraktowanych postaci, ale w pewnym sensie za bohatera indywidualnego można uznać samego autora, głównego adresata własnych refleksji i opisów. Jeżeli natomiast chodzi o Polaków i Żydów, to już nie są oni ukazani jako obiekty oddziaływania uniwersalnych praw natury, lecz jako dwa narody z pełną determinacją i z teleologicznym wysiłkiem pielęgnujące własną tożsamość kulturową jako warunek *sine quo non* przetrwania. Döblin nie szczędzi im słów krytycznych, wyniki jego obserwacji są niekiedy bolesne, ale z kart tej książki emanuje niekłamany podziw dla owych dwóch personifikowanych i w tym sensie indywidualnie potraktowanych zbiorowości.

Ul. Krawiecka, wspominana jako jedna z najbiedniejszych. Ze zbiorów Jana Magierskiego.

To już prawie cały polski Lublin.
Cóż, kiedy stoi przede mną jak niemowa.

Alfred Döblin

Lublin

Ludzie w takich domach.
I kto tu śmie mówić o pięknym łuku bramy?

Ktoś w pociągu chrapie: to nie piłowanie, lecz gulgot, trzeszczenie, wreszcie przełykanie; wentyl się zatkał. Teraz znów zaczyna. Twarze; w świetle lamp ludzie, to podrzucani do góry, to znów bezwładnie się obsuwający. Czasem podskakujący na poduszkach. Jest wśród nich dwóch krępych mężczyzn, jeden z ciemnym wąsem, z pełną polską twarzą. We śnie twarz robi się obwisła, usta całkiem wiotczeją, ciężko opadają wargi. Jak on tępo śpi. Nie śpi. Jest spany. Wzięło go, najpierw się złościł, a teraz jest spany. Z posępną uległością spełnia swój obowiązek, znosi gwałt. Drugi głowę ze zwisającymi wąsami i siwobiałą szpicbródką odchylił do tyłu, na wyścielane oparcie. Kiedy tak leży czy siedzi, wydaje się, że widzi we śnie. Zajęty jest obserwacją, patrzeniem. Śledzi w napięciu przesuwające się przed nim obrazy, przygląda im się; głowę ma unieruchomioną.

Jestem czujnym drapieżcą, który biega między nimi. Znów zbliżam się do Warszawy; jest już ranek. Kraj bagnisty, moczary, gdzieniegdzie trawiaste wysepki. Na płaskich łąkach kotłuje się mgła, całe kłęby wytaczają się nagle na skraj lasu, suną w poprzek równiny; ludzie brodzą po pas we mgle, widać tylko ich górne połowy; drzewa wystają jakby odrąbane. W pobliżu wiosek opary rzedną. Ciągnie się brązowozielony dywan łąk. Nadlatuje Warszawa. I przelatuje. Mój cel to Lublin. Jadę na południe, Lublin to podobno piękne stare miasto.

Ale zmarzłem w przedziale w ten długi jasny dzień; bolą mnie nogi, prawie mi odmarzły. Wieczorem w ciemnościach nagle się podrywam. Mały jaskrawo rozjarzony dworzec w Lublinie. Radość przeszywa mi serce.

A kiedy toczę się dorożką do miasta, widzę po raz pierwszy od miesięcy całe wielkie nocne niebo, czarne niezmierzone niebo nocne z ogromnymi konstelacjami. Pismo ogniste, pismo ogniste. Wysklepia się nade mną głębokie jak morze, jak przepaść pełna lśniących gwiazd. Że też nie mogę wzlecieć, zatonąć w ich mrowiu, rzucić się w górę. Jednocześnie spada na mnie uczucie straszliwej dumy, aż przeciągam się w dorożce, popatrując raz po raz w niebo. Jakby tamto w górze było jakimś znakiem, sam nie wiem czego.

Długo toczę się po nieoświetlonych ulicach, potem nagle robi się jasno. Wjeżdżam na ulicę ciasno wypełnioną ludźmi. I słyszę coś, co mnie już nie opuści przez wszystkie te dni w Lublinie: śmiech, gwar, dźwięczny śmiech na ulicy. Dolatuje od gromadnie przechadzających się ludzi, mężczyzn. W Wilnie nie widziałem takich tłu-

mów. To dziwne. Jedzie się wiele mil przez piachy, głuchy step, bagna, i nagle, te miasta takie oddzielne, nagle ten śmiech. Ludzie znów chodzą pod jasnymi lampami, wyrastają sklepy z cukierkami i ciastem. To mnie przejmuje do głębi i uszczęśliwia. Przenika mnie wdzięczność, aż drgnęły mi ręce.

Jak dobrze było nocą leżeć w hotelu w cieple i śnić aż do piątej. Tyle tam było postaci, nie umiałem ich zatrzymać. Drzemałem potem przez kilka godzin, przełykając pomału smak snu.

Ta główna ulica nazywa się Krakowskie Przedmieście, jak w Warszawie; wysadzana drzewami, małe, dwu-, trzypiętrowe domki, nieszczególne sklepy. Krótkie przecznice i już miasto się kończy. Po drugiej stronie wznosi się czarny obelisk; dwie złote kiczowate kobiety podają sobie dłonie; na kamieniu widnieją daty 1569-1825, tu została zawarta unia Polski z Litwą. A za kolumną wielki budynek w rozbiórce; w górze stoją mężczyźni z kilofami; żałosne rumowisko. To była rosyjska, grekokatolicka katedra, burzą ją tak samo, jak tamtą w Warszawie. Żal mi się robi. Nagle czuję się samotny i ponury. W Warszawie mogłem to jeszcze zaakceptować, to była stolica. Ale po co to planowe demolowanie kościołów? Niechby sobie stały. Co się proponuje w zamian? Głupotę, nienawiść i bezsens. Aż się trzęsę z obrzydzenia.

„Zburzenie prawosławnego soboru miało znaczenie bardziej doniosłe, niż pozbycie się z centrum miasta budowli będącej symbolem carskiego ucisku. Plac Litewski odzyskał przez to dawną przestrzeń. Dzięki stylowej oprawie z trzech stron, utrzymanej mimo zróżnicowania w jednolitej skali, otwarty czwartą stroną do głównej ulicy, [...] stał się jednym z najpiękniejszych placów w Polsce." M. Kurzątkowski, *Wstęp*, w: *Lublin trzech pokoleń*, Lublin 1987, s. 9.

Przez jezdnię przechodzi stary oficer, ma na sobie stary rosyjski szynel. Idą chłopi w wysokich baranicach, panie w jasnych pończochach. Po sieniach biją pokłony żebracy. Zaglądam do wnętrza domów: głębokie podwórka, oficyny z drewna, ich galerie zastawione skrzynkami, obwieszone praniem. Ten dom właśnie się wali; na ziemi leży gruz; podpierają go drewnianymi belkami. Jaskrawo pobielony budynek magistratu; pod kolumnowym portykiem obijają się niezatrudnieni polscy robotnicy. Przypatruję się starej bramie z wieżą; wiszą na niej kolorowe obrazy świętych.

Coś mało ludzi; mało dobrze ubranych mieszczan, polscy robotnicy, chłopstwo. Żydzi w swoich strojach. Miasto średniej wielkości, miasteczko. Tyle że nie senne, jak w Niemczech: za bardzo widać po nim biedę, za bardzo bieda je osacza i popędza. Wszyscy tu muszą się ostro zwijać. A pośród nich, w tych domach, rozsypuje się wielka przeszłość; epoka lodowcowa w biały dzień. Mijając hoteliki, wracam tą samą ulicą, gdzie przedtem był śmiech i promenada, gdzie teraz są zziębnięte twarze ludzi śpieszących do pracy. Czoła tych mężczyzn są wysokie i szerokie, uciekają do tyłu. Blondyni czy szatyni, należą do tej samej odmiany rosyjskich kudłaczy. Kręcą się płowowłose dzieci. Spotykam krępych mężczyzn o kościstych i mięsistych kwadratowych twarzach. Obwisłe, czasem podkręcone, krzaczaste wąsy.

I już zabudowa staje się rzadsza. Na drogę spadają drobne listeczki bzu, całe masy. Jestem już prawie za miastem. Pojawia się stary wspaniały park, teraz koszary; w oknach ziewają rekruci. Chłopskie furmanki poskrzypują w kierunku miasta. Na bocznej ulicy puste boisko; cmentarz katolicki. Jeszcze jedna rozciągnięta budowla: katolicki uniwersytet. To już prawie cały polski Lublin. Cóż, kiedy stoi przede mną jak niemowa; nikt mi nie towarzyszy.

Niskie pomieszczenia, biało nakryte stoły; na jednym coś kwitnie w wysokiej donicy: zaszedłem do restauracji. Na widok gościa kelner taszczy donicę na sąsiedni stół. Jeśli i tam ktoś usiądzie, taszczy na następny. W końcu musi ją

Zdjęcie soboru w Warszawie w „Dodatku do Expressu Lubelskiego i Wołyńskiego" z 11 listopada 1938 z komentarzem: „Gdzie dziś pl. Piłsudskiego, piętrzyły się do roku 1924 licho pozłacane kopuły prawosławnego soboru. Długo trwało burzenie gmachu cerkiewnego znienawidzonego przez Warszawę, aż wreszcie legł w gruzy. Ale gruz się przydał: zasypano nim niejedną cuchnącą gliniankę..."

wynieść z sali. Za mną pod ścianą jacyś zażywni dostojnicy; nie widzę ich, tylko słyszę, jak cmokają i mlaszczą. Wchodzi mały gruby staruszek; utyka na lewą nogę: kłania się głęboko w stronę stołu za mną. Powoli wparadowuje młodzieniec w butach z cholewami. Już przy wejściu wziął sobie ze stolika chleb, teraz, paradując, go żuje. Następnie zasiada naprzeciwko mnie, podkręca wąsa i zaczyna misternie szukać czegoś w zębach. Nie znajduje. Obmacuje trzonowce z obu stron, potem ogląda palec. Wreszcie wyciera go w obrus. Dwie dziewczyny, jedna w niebieskiej czapce, zajęte jedzeniem zupy. Cały oddział poważnych gimnazjalistek w białych czapkach zagląda przez okno. Dwóch oficerów przechodzi między stołami. Przyjemnie popatrzeć na zgrabne mundury, proste sylwetki. Teraz siedzą, w orderach, i w milczeniu czekają na kelnera.

Siedzę w Lublinie nad Bystrzycą, podobno w dobrym hotelu. Miasto zostało założone już w dziesiątym wieku; świadkiem jest mój hotel. Kiedy wracam do niego wieczorem, portier leży w pokoiku na tyłach jak figura na sarkofagu, z czapką naciągniętą na twarz, i nic nie rozumie. Jeśli nawet zaczyna dawać jakieś znaki, to rozmawia z senną marą, rozumie tylko to, co pasuje do jego snu. Wchodzę po schodach. Poręcz mają prawie marmurową, choć na razie z biało lakierowanego drewna. Mieszkam na drugim piętrze. Ściany pobielone, pomalowane na olejno jeszcze w dziesiątym wieku. Później zszarzały, naturalną koleją rzeczy. Jeszcze później hotel znalazł się kilkakrotnie w polu działań wojennych; w jego wnętrzach rozrywały się kartacze: niektóre ściany i drzwi roją się od dziur, pęknięć. Zarząd hotelu, po przeszkoleniu z historii, zwraca uwagę na konserwację tych śladów. Reliktem tamtych czasów są też panujące w hotelu wojenne obyczaje: wcześnie rano rozlega się po korytarzach wycie wzywające do ataku, przez zamknięte drzwi prowadzone są mrożące krew w żyłach rozmowy. A pode mną, na podwórku, ustawiono machinę, która pracuje od szóstej wieczorem do mniej więcej czwartej w nocy, a parska jak lokomotywa. Kiedy kładę się spać, a ona sapie do taktu, szybko odnoszę wrażenie, że znalazłem się na wojnie albo w wagonie sypialnym; taka bezpłatna iluzja.

I słyszę coś, co mnie już nie opuści przez wszystkie te dni w Lublinie: śmiech, gwar, dźwięczny śmiech na ulicy. W Wilnie nie widziałem takich tłumów.

Jedną z najbardziej zdumiewających rzeczy w tym hotelu są moje drzwi. Już wędrując po korytarzach, zauważyłem, że z tutejszymi klamkami coś jest nie tak. Zdążyliśmy się odzwyczaić od rękodzieła z dziesiątego wieku. Na Krakowskim Przedmieściu, głównej ulicy, stoi pomnik, obelisk ku pamięci zjednoczenia Polski i Litwy. Dużo starszym zabytkiem, o wartości archeologicznej, są klamki w hotelu, gdzie piszę te słowa – siedząc na łóżku, bo sznur lampki elektrycznej nie sięga do stołu (za czasów Jagiellonów, nawet za króla Zygmunta Augusta, nikt tu jeszcze nie pisał). Drzwi w tym hotelu wyglądają z pozoru normalnie, trochę jak robaczywa skamielina, ale w sumie jak zwyczajne drzwi. Dopiero używając ich, czy też próbując ich użyć, człowiek spostrzega z czym, a raczej z kim ma do czynienia. Rzeczy mają tu coś w rodzaju charakteru. Pospolite istoty z czasem umierają, inne z wiekiem nabierają szczególnej żywotności.

Kiedy wchodzę do mojego pokoju, to przede wszystkim wcale do niego nie wchodzę. Bo nie mam klucza. Klucz przebywa w miejscu, do którego się przyzwyczaił, w pomieszczeniu na moim piętrze, po drugiej stronie domu; w każdym razie nie u portiera. Powraca tam instynktownie, jak koń albo pies, nawet jeśli mi się zdaje, że oddałem go portierowi. Kiedy wreszcie go mam, okazuje się, że są dwa klucze. Zawsze dwa na żelaznym kółku, para bliźniąt, których nie sposób rozdzielić. Który z nich jest tym moim, właściwym, tego dociec nie potrafię. Za każdym razem muszę stwierdzać jego tożsamość doświadczalnie, metodą prób, bo nie umiem zawiązać supełka na żelazie. Atramentową kreskę, którą oznaczyłem właściwy klucz, starł bosonogi chłopiec, posługacz. Usiłowałem raz jeszcze mu wytłumaczyć, czemu miała służyć ta kreska; on mówił po polsku, ja po niemiecku. Mówiłem, gestykulowałem. Chłopiec przyglądał mi się z zaciekawieniem, zawołał drugiego, którego również udało mi się zaciekawić. Obejrzeli kreskę, owoc moich długich rozmyślań, pokręcili głowami, roześmieli się. Potem najwyraźniej doszli do wniosku, że skarżę się na tę kreskę, na to, że klucz jest brudny. Bo nagle pierwszy chłopiec splunął na klucz, wytarł go w rękaw i wręczył mi z rozpromienioną twarzą. Czekali na moją reakcję. Spróbowałem zdjąć właściwy klucz z kółka, wtedy wmieszali się obaj, odmówili dłuższą litanię protestów, po czym wcisnęli mi z powrotem do ręki oba beznadziejnie nierozdzielne obiekty. Wycofałem się. Stałem oto na korytarzu, dość mrocznym, czy raczej całkowicie ciemnym. Stałem z moją parą bliźniąt, rozważając, jak będzie tym razem. Z psychologią tego klucza i tych drzwi miałem już okazję się zapoznać. Oto klamka wprawdzie zwisała, ale jeśli miało się szczęście – a ku mojej irytacji bosonogi posługacz miał je zawsze – zdarzało jej się zafunkcjonować. Za to zamek był bezwzględnie uparty, a przy tym niezwykle głęboki, na całą grubość masywnych drzwi. Klucz przewiercał się przez drzwi, przebijał ich serce i – wychodził po drugiej stronie. To właśnie był błąd. Należało pozostać w środku. Drzwi spokojnie pozwalały się przewiercać szczęśliwemu agresorowi, bo i tak czekała go wpadka. Trzeba było zatrzymać się na określonej głębokości. Na jakiej – to właśnie była tajemnica. Jednego nigdy nie zrozumiałem: drugi klucz, ten zły, też jakoś tam pasował. Jeśli jednak kręciłem tym notorycznie złym kluczem – najwyraźniej od jakichś innych drzwi, może od mojej szafy, która nigdy nie miała klucza (dopiero teraz przyszło mi to do głowy, a jest to zapewne rozwiązanie zagadki, przyczyna protestu posługaczy) – jeśli więc tym notorycznie złym kluczem kręciłem w zamku przez jakiś czas, mniej więcej od kwadransa do pół godziny, na takiej a takiej głębokości, wówczas definitywnie następował koniec. Musiałem wyznać *pater, peccavi*, sprowadzić chłopca, który natychmiast, stosując zagadkowe procedury i zaklęcia, podważał drzwi, przywoływał je do porządku, po czym spokojnie otwierał jednym z bliźniąt. I drzwi się otwierały. Zdarzało się i mnie sięgnąć przypadkiem po właściwy klucz. Kręciłem nim wtedy w sposób szczególnie kulturalny. Troskliwie, czule obmacywałem wnętrze zamka. Bo brutalność nie miałaby tu sensu. Zamek jak zwierzę pozwalał robić ze sobą wszystko. Próbowałem w napięciu, ugrzeczniony hipokryta. Wreszcie byłem odpowiednio głęboko, przekręcałem raz, drugi, czasem (z zamierającym sercem) trzeci, czwarty i piąty. Mógłbym dalej tak kręcić; nigdy bym się nie zo-

Brama Grodzka. Fot. z arch. WOSOZ Lublin.

rientował, kiedy przestać. Teraz już wiedziałem, co oznaczały ślady kul na niektórych ścianach i drzwiach: to pozostałość po gościach, których trzeba było zastrzelić, bo nie mogli się oderwać od drzwi i w końcu zaczęli zakłócać ruch w hotelu. Trudziłem się, drżąc ze strachu, i czasem miewałem szczęście! Złośliwość drzwi okazywała się niezbyt wielka; na starość wszystko słabnie i łagodnieje. Po pewnej liczbie obrotów wstecz wszystko było jak trzeba.

To znaczy, drzwi się nie otwierały. Były otwarte, ale się nie otwierały. Znów winna była klamka.

Szczególny rodzaj jej obluzowania świadczył zarazem o niezwykłej mocy drzwi. Te drzwi na ogół nie dawały się do końca domknąć: natychmiast z powrotem odskakiwały. Jeśli już się zatrzasnęły, to była w tym determinacja, upór. Musiałem teraz – po ataku na zamek – przekonywać klamkę, rozmiękczać ją, łamać jej opór za pomocą stosownych manewrów. Tego również mogła dokazać tylko miłość sprzęgnięta z energią. Należało a to lekko przycisnąć, a to przyciągnąć, a to zakołysać; następnie, że tak powiem, po uśpieniu czujności klamki należało jej zadać straszliwe pchnięcie. O sukcesie decydowała niespodzianka, zaskoczenie, atak znienacka. Drzwi otwierały się raptownie, uderzając w umywalnię, którą przewidujący zarząd hotelu wyposażył jak na wojnę: w dwie masywne miednice, nie w żadne tam szklanki czy karafki. Tylko ludzi niezorientowanych mógł irytować brak czegoś do wypłukania ust czy umycia zębów; tacy ludzie nie mieli pojęcia o duszy tego domu.

Coś mało ludzi; mało dobrze ubranych mieszczan, polscy robotnicy, chłopstwo. Żydzi w swoich strojach.

Ja, z dawna nawykły do takich rzeczy, przystosowałem się. Zaprzyjaźniłem się z drzwiami, stosując magię Kabały. Jeśli rano łatwo się otwierały, wiedziałem, że nic mi nie grozi i mogę wyjść bez obaw. Jeśli stawiały opór, nigdy nie nalegałem. Pościłem, co godzina ponawiałem próbę, aż wreszcie mnie wypuszczały. Były bardzo przewidujące i wykazywały pełne zrozumienie dla spraw, które miałem do załatwienia.

Wieczorem siedzę sam w wielkim pustym kinie, w Koloseum. Mieści się w nim tysiąc osób; nie ma nawet stu. Lodowata podłoga. Odzywa się niewielka orkiestra. Któż by się oparł śpiewowi skrzypiec, kiedy tak zaczynają i zwracają się wprost do ciebie, jak najbardziej osobiście.

Ach, jak ubrać w słowa ich płacz i słodką natarczywość, albo te kojące westchnienia wiolonczeli. Tyle tu ciepła, dźwięczącego ciepła. Jak film się zmienia pod wpływem muzyki. U góry piękne kino; bardzo piękna jest Barbara. Oglądam część filmu dwukrotnie, pomimo straszliwego zimna. Rosyjski klasztor; mniszki kłaniają się nisko; wysokie stroje na głowach przypominają średniowieczne szuby. Żegnają się ze szczególną żarliwością. Przybywa malarz, żeby ozdobić sklepienie klasztoru, widzi mniszkę Irenę. To właśnie aktorka Barbara; nie pamiętam nazwiska. Piękna, subtelna, smukła Barbara. Rozumiem każde ujęcie bez tekstu. Jak ona mu pozuje na poły pod przymusem, jak powoli ogarnia ją zamęt. Jak przesubtelnie i delikatnie odgrywa to Barbara. Przeorysza, która wkracza z pastorałem, czegoś się dowiedziała; malarz musi wyjechać. Lecz jednocześnie Irenę opuszcza po trochu siła pobożności. Bezradna, omdlała, rozświetlona miłością daje się zanieść do jego samochodu. Później zostaje najpiękniejszą w mieście

damą do towarzystwa. Ale straciła odporność. Pijana szampanem, obejmuje nowego kochanka, kiełkuje w niej nowa miłość. Mąż dostaje anonim. Tysiąc razy przedstawiano już te rzeczy i znów po raz tysięczny się do nich przysysam. Biednego malarza zżera zazdrość, piekielna tortura, co skazuje człowieka na samotność, robi z niego żądną mordu bestię. Drze anonim, odgrywa komedię, lecz nie może ukryć przed sobą prawdy; czeka, aż jego nieszczęście się dopełni. Nie, nie nieszczęście; nieszczęście już na niego spadło. On czeka na lekarstwo, na ofiary, żeby się o nie roztrzaskać. Tamci, Irena i jej przyjaciel, przeżywają ekstazę pożegnania, obejmują się, całują – a tu ten nieszczęsny malarz. Obcy młody kochanek pada; pojedynek rozstrzygnął sprawę na jego niekorzyść. Malarz roi, że teraz wszystko będzie dobrze. Znów się do niej zbliża, żebrze. Jej wstręt, przerażenie. Jasno w nim widzi bestię, nasyconą bestię! Ona jest łupem, on ją zdobył, a teraz chce się nią rozkoszować. Nie ma w niej nic prócz nienawiści. I płaczu nad zabitym. I znowu klasztor.

Ul. Krawiecka 28. Fot. Wiktor Ziółkowski. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

W kościele w niszy marmurowa statua, jak żywa, w swojej żywości dziwaczna i podniecająca. W kościele jest ciemno, lecz na statuę w niszy pada z boku białe dzienne światło; budzi się w jego blasku nieziemsko białoszara, półmroczna. Dlaczego te wieśniaczki przed nią klęczą, dlaczego tak się w nią wpatrują? Przecież wiedzą, że to posąg. Lecz one myślą i czują obrazami. Świat, przyroda też myśli obrazami, formami, formacjami. Ten posąg to nie symbol, jak chciałyby trzeźwe umysły. To – rzeczywiście Maria! Posągi we wszystkich kościołach są naprawdę Bogiem i Marią. Przed cudnie cudowną Madonną w Wilnie czułem to razem z tłumem. Nic bardziej naturalnego od uczucia tych naiwnych; podzielam ich pobożność.

Gdy mijam Archidiakońską z sypiącymi się prastarymi domami, ulica nagle się rozszerza, nade mną warczy samolot i oto stoję na szczycie wzgórza. Przed sobą mam dolne miasto. Wzgórze opada zielonym stokiem, w tle dymią kominy. A z lewej strony nad plątaniną niskich uliczek wznosi się imponująca, potężna i pyszna budowla. Jest obwarowana blankami. Okna ma częściowo zamurowane. Z wnętrza budowli, z jej środka wystaje mocna okrągła wieża z paskudną żelazną nadbudówką. Brudne uliczki ciągną się wzdłuż budowli; zaglądam do pomieszczenia na poddaszu. Ta potężna budowla to dawny zamek, obecnie więzienie. Nie mogę zbiec po stoku jak ci chłopcy.

Jedna z ulic, Grodzka, sprowadza mnie w dół. Dookoła bawią się dzieci. Robi się kolorowo, bardzo ruchliwie; trafiłem do dzielnicy żydowskiej. Domy pomalowane na żółto i różowo. Nad ulicą wygina się brama, jaskrawoczerwona; w górze mieszkają ludzie. Kręcą się mężczyźni, kobiety, dzieci. To brama polecana mi jako cud piękności. O, dobrze ja was znam, apostołowie piękna, nikczemnicy. Widzę mieszkanie na łuku tej bramy, ludzi wyglądających przez okno, ludzi w domach obok! Obraz nędzy i rozpaczy. I kto tu jeszcze śmie mówić o pięknie architektury. Chciałbym kiedyś pojechać do Włoch i Grecji, żeby zobaczyć i zdemaskować to, co tak kochają ci esteci bez czci i wiary, te wrażliwe chamy, którym pora by już zdjąć bielmo z oczu. Czuję gorzką radość na widok brudnego jaskrawoczerwonego tynku na tym dziele sztuki. Tak, tak wygląda życie. Ulica opada w dół, wąska i kręta, z mrocznymi kramami. Mija mnie truchtem stary nosiwoda

z poprzeczną belką na zgarbionych barkach. A więc nie mają wodociągów. Snują się mężczyźni w łachmanach; widać białe ciało ich ramion i nóg. W dole, na placu przy studni zbiegają się kręte uliczki; wątłe domki drewniane, obrzucone zaprawą domki kamienne otaczają plac. Żydzi w brudnych chałatach wędrują tam i z powrotem, rozkrzyczane kobiety; szlifierz ostrzy nożyczki. Wchodzę w jedną z uliczek. Domki jednopiętrowe albo tylko parterowe, niektóre otynkowane na czerwono. Ponad domami srożą się z zamku dwa wyniosłe władcze kamienne topory. Jestem na tyłach zamku. Uliczka kończy się ślepo. Wchodzę w inną. Znów te domy jak chaty; ulica nazywa się chyba Krawiecka. Masa dzieci. Droga gliniasta. Kobiety w łachmanach taszczą niemowlęta. W górze znów brzęczy samolot.

Do zamku, pałacu, więzienia zbliżam się łukiem. Stoi na wzgórzu pokrytym brunatnym ścierniskiem. Mali chłopcy grają na nim w piłkę kawałkiem gałęzi; mają spodenki z cienkiego kolorowego perkalu. Nagle rozdzierający krzyk kobiet. Zbliża się gromada ludzi, wszyscy ustępują im z drogi. Przodem biegnie kilkoro dzieci, stary poważny Żyd w chałacie i jarmułce kroczy szparko przed grupą rozkrzyczanych kobiet. Nie ogląda się na nie, nikt im nie pomaga. Dlaczego nikt nie wezwie policji, przecież niedaleko jest więzienie. Dlaczego nikt nie zajmie się krzyczącymi kobietami, przecież ten starzec musiał im coś zrobić. Teraz cała ta chmara przeciąga koło mnie, dzieci uwijają się jak muchy, kobiety krzyczą przeraźliwie, bezradnie. Mężczyzna idzie dalej, jak gdyby nigdy nic. I dopiero wtedy widzę: z jego ramion

Wieśniaczka wchodzi do otwartej bramy.
Staje, szeroko rozstawia stopy.
Gruba struga moczu tryska spod jej spódnic
jak z brzucha tęgiej kobyły.

zwisa na plecy sznur, rzemień. A na plecach mężczyzna – widzę go teraz od tyłu – niesie długą czarną skrzynię, lekką skrzynkę. Ach tak, trumnę. O to chodzi. To pogrzeb. Więc to są zwłoki, zwłoki dziecka, pogrzeb biedaków. Taszczy na plecach trumnę na rzemieniu. Dlatego te kobiety za nim tak wrzeszczą, jazgoczą, rwą włosy z głowy, matka, krewne, płaczki. Tuż za nimi wieśniaczka przechodzi przez gliniastą jezdnię, wchodzi do otwartej bramy. Staje, szeroko rozstawia stopy, podciąga z przodu spódnicę: parująca struga rozbryzguje się na kamieniach między stopami, które prędko rozstępują się jeszcze szerzej. Gruba struga moczu tryska spod jej spódnic jak z brzucha tęgiej kobyły.

Droga powoli pnie się pod górę. W ciemnych sieniach zawsze jakieś sklepy. Wielu mężczyzn pali na ulicy. Rynsztok bielony wapnem; czuć środki dezynfekcyjne.

Doszedłem na targ. Jasne słońce. Kury i gęsi trzymane w drewnianych skrzynkach i klatkach; ich wrzask. Masa wałęsających się obdartych mężczyzn. Niektórzy obwiązani w pasie prawdziwymi workami. Niektórzy w spodniach obnażających całe partie podudzi i ud. Lepiej ubrani handlują z ręki starzyzną; popatrują na siebie. Ulica nazywa się Ruska. Ktoś wystawił na sprzedaż wysokie połatane buty z cholewami. Jak ta wieśniaczka dziwnie niesie gęś: głowa ptaka wystaje jej z tyłu spod pachy, szyję zaciska w ramionach, z przodu dzierży w ręku żółte nogi. Biegną ze szkoły gromady dzieci, wymachują książkami i zeszytami luźno związanymi sznurkiem.

Porta Sordida, czyli Brama Zasrana na skrzyżowanu ul. Zamkowej i biegnącej pod nią ul. Podzamcze. Fot. z arch. WOSOZ Lublin.

Tym dzieciom przyglądam się dokładniej, one też mi się przyglądają; mają ciężką anemię. Bladzi dorośli Żydzi noszą narodowe stroje, mają rude brody, zapadnięte, wyniszczone twarze. Niektóre zjawiska są zagadkowe, przerażające. W jakie strzępy odziane są małe dziewczynki. Jedna, może dziesięcioletnia, ma biały kożuszek; na głowie wielka czerwona kokarda. Ale kiedy tak stoi nad rynsztokiem, powiew wiatru podrywa kożuszek i widać, że pod spodem ma tylko koszulę i krótkie majtki. Główna żydowska ulica ciągnąca się od rynku nazywa się Lubartowska. Polskie ulice są niezbyt tłoczne, tu aż się roi. Drewniany most prowadzi nad jakąś wodą. Na Lubartowskiej mieszkają zamożni kupcy, jest dużo średnich i małych sklepów. Tłok, nieprzytomne wymijanie się w biegu; tylko nieliczni bacznie przypatrują się przechodniom. Jak niektórzy wyczekują przed domami, po sieniach. Węszą, okrążają przechodniów. Mężczyźni stoją przed swoimi sklepami; mam wrażenie, że od nich i od wielu innych bije wielki hart i siła. To ludzie najchłodniejszej kalkulacji, bezlitosnej woli. Ale widzę też rudych, anemicznie bladych, płomiennowłosych; spod włosów żebrzą żałośnie ich beznadziejne oczy bez brwi.

Ściany domów rozstępują się, są w nich nisze, przerwy; a w każdej drewniana budka i handlujący człowiek. Dużo wozów turkoce w górę ulicy, do wsi Lubartów; ich woźnice to Żydzi; kulą się na skrzynkach i słomie.

Mijają krzyż, który stoi przy końcu tej ulicy; podobno leżą pod nim polegli na wojnie Niemcy.

Jest popołudnie. Zaczyna padać śnieg z deszczem. Po lewej stronie ulicy wznosi się wielka fabryka wag, jedyny obiekt przemysłowy wśród tych tłumów handlarzy. Właściciel był Niemcem; fabryka spłonęła, potem ją odbudowano. Przed tą rozległą budowlą gromadzą się mimo śniegu z deszczem biedne kobiety z parującymi wiadrami: zbierają do nich wypływające z rur gorące ścieki fabryczne. W głębi zielonego placyku żydowski szpital. Wchodzę, rzucam okiem na korytarze, sale. Czerwona emaliowana tabliczka w holu dziękuje za „pomoc amerykańską". Ktoś umarł; śpiewne zawodzenie kobiety rozbrzmiewa po korytarzach. Śnieg pada mocniej. Smętnie wyczekują sprzedawcy w mrocznych wnętrzach sklepów, przed drzwiami. Prawie na samym końcu ulicy powstaje wielka żydowska uczelnia, ortodoksyjna jesziwa o światowej randze. Z jednej strony miasta uniwersytet katolicki, tu ona. Ma pomieścić tysiąc osób, uczniów i nauczycieli.

To prowincja. Metropolia uprawia politykę, na prowincji podąża za nią powolniejsza religia.

Jestem bezradny, szukam kogoś, kto zechciałby udzielić mi wyjaśnień. Widzę na Lubartowskiej szyld z napisami w jidysz i po polsku: domyślam się, że chodzi o wystawę obrazów. Wewnątrz stoi kilku młodych mężczyzn; zwracam się do nich po niemiecku; rozumieją. Oprowadzają mnie po wystawie, a potem jeden z nich godzi się pokazać mi Lublin. Obrazy pochodzą z wystawy objazdowej. Dużo na nich motywów narodowych, starzy mężczyźni, modlący się, izby modlitewne; są też rzeźby. Ale narodowe są tylko motywy; w technice malarskiej widać zasymilowane wpływy zachodnie. Mój młody przewodnik jest bundystą, socjalistą, poza tym to kompletny ignorant. Nie zna prawie żadnych realiów; jego jedyne źródło informacji to gazeta. Stoi uśmiechnięty przed nową jesziwa: „Ortodoksi ją zbudują.

A jak już będzie gotowa, my się do niej wprowadzimy i urządzimy nowoczesną szkołę albo salę zebrań". Milczę, nie dowierzam. Idziemy w stronę miasta. Przy rynku wieśniaczka usiłuje wjechać furmanką po stromej ulicy; zjeżdża z powrotem, bo mokro. Wali batem; teraz poszło.

Mój młody głupi towarzysz dopada mnie i pokazuje, co sam zna. Prowadzi mnie koło teatru; grają operetkę *Madame Pompadour* Falla. Kościół Bernardynów naprzeciwko zamknięty, mój towarzysz oznajmia, że „jest niezwykle wysoki i według starego systemu". Nie wiem, co to ma znaczyć; lecz kiedy go pytam, znów mówi zagadkami. W pobliżu katedry mały domek, w którym mieszka biskup. Na Archidiakońskiej przyciąga moją uwagę piękny nowoczesny gmach; młodzieniec mówi, że to szkoła, że przed wojną dom należał do pewnej Francuzki. Prezentuje mi okoliczne pagórki: „Na tych wzgórzach były różne bitwy i wojny, z bandami". Stary dom na wzgórzu właśnie się wali; jest rozłupany na pół. Jeszcze tuż przed zawaleniem mieszkali w nim ludzie – i coś podobnego, w tej połówce, co została, mieszkają nawet teraz. W domu na rogu, na którego poddasze zaglądałem od góry, kiedyś był kościół; później wprowadzili się do niego bezdomni; teraz kler buduje tam mieszkania dla księży. Co znaczą te topory na zamku? – „To taka reklama miasta, no!" Chce mnie zaprowadzić na stary żydowski cmentarz, sławny na cały świat. Mijamy dzielnicę nędzy. Zapadłe w ziemię budy są siedliskami rodzin. Często aż trudno mi uwierzyć, że w tych domach mieszkają ludzie. Ale tamten śmieje się ze mnie i demonstruje mi, że tak. Dalej zaczyna się puste pole, mokradła. Z prawej strony mostu widzę łąki i jakiś komin: „Tu mamy widok ogólny".

Stary cmentarz. Dwie kobiety wszczynają krzyk i awanturę, kiedy chcemy wejść. Złoszczą się, bo stary dozorca, mąż jednej z nich, akurat gdzieś poszedł i teraz zrzędzą tylko dlatego, że tego osła nie ma, zarobi kto inny. Oprowadza nas w końcu młody Żyd w chałacie i jarmułce. Idziemy przez mocno sfałdowane wzgórza. I od razu idziemy po grobach.

Targ na Świętoduskiej. Fot. Józef Czechowicz. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

Wiele z nich zapadło się w ziemię, zarosło, kamienne tablice sterczą wśród traw. Ostatni pochówek odbył się dziewięćdziesiąt sześć lat temu. W miejscu, gdzie wzgórze opada, ten naiwny pobożny człowiek pokazuje kijem: tu przed wieloma laty dwunastu pobożnych Żydów własnoręcznie się pochowało, kiedy próbowano ich zmusić do chrztu. Wszędzie gęsta wysoka trawa, zarośla kryjące groby. Nieliczne nagrobki stoją samotnie, większość w grupach. W niektórych są zagłębienia, jak w Wilnie: to na kartki z prośbami. Przewodnik opowiada z powagą, raz po raz smarcząc nos w palce: „Tu leżą mężowie, przed którymi drżał cały świat". Wznoszą się tu piękne, bogato zdobione nagrobki, wizerunki zwierząt i symbole. Wskazuje na samotny grób z boku: „Tu leży kohen. Kiedy jest słońce, każdego dnia przylatuje ptaszek i śpiewa mu pieśń. Jak go odpędzić, wraca". Grupa uczonych mężów leży razem, wśród nich pewien bogacz. „On im dawał na naukę". Od trzystu pięćdziesięciu lat spoczywa tu wielki „marszałek Luria" z Lublina; złe ręce obaliły i zbrukały jego grób. Odłamki walają się w trawie; nowy nagrobek, który dla niego zbudowano, sławi zmarłego pod niebiosa: był światłością Izraela, autorem licznych komentarzy do Talmudu, świętym. Kolorowe ornamenty z jeleniami. Część płyt wywieziono, żeby wybrukować bagniste

odcinki dróg. Na przepięknym nagrobku otwiera się szafa z książkami, bardzo plastycznie wyryta w kamieniu; tu spoczywa uczona kobieta. Wielkim świętym był rabi Abrom Kasze. Kiedy umarł i nieśli go na cmentarz, ktoś po drodze zawołał coś obraźliwego. Wtedy nieboszczyk wstał i zażądał ciepłej wody do obmycia rąk. Przynieśli mu; prysnął na dom, z którego wołano, i dom rozpadł się na kawałki. Zbliżamy się do samotnego grobu na wzniesieniu. Lecz przewodnik zatrzymuje mnie, odkłada kij na ziemię: „Nie wolno podchodzić bliżej niż na cztery łokcie, taki przepis". To rabi Jakub Pollak leży tu od czterystu pięćdziesięciu lat. Otoczony tłumem grobów leży jednodniowy żydowski król Polski: wyryta w kamieniu korona, naga postać ludzka wypuszczająca z łuku strzałę. Stoję nad następną kupą gruzu: „Tu zbierają się pewien rabi i jego dziesięciu uczniów". Dwie stykające się płyty, bardzo piękne: matka i córka; córka z orłem, u matki przysiadły dwa ptaszki. Kolejny grób mój dozorca pozdrawia szczególnie uroczyście; to święty, który widział wszystko na odległość czterystu mil. Ale w końcu zaczął widzieć tyle brudu. Wówczas poprosił Boga, żeby pozwolił mu widzieć tylko na dziesięć mil. I tak się stało; nazywał się Horwitz; zmarł przeszło sto lat temu. Dalej leży mąż zwany „Żelazna Głowa". Dlaczego? Bo kiedy popatrzył na drzewo, wiedział dokładnie, ile na nim jest liści. Jeden z nagrobków ma napisy po obu stronach: napis z przodu jest pomalowany na różne kolory, napis z tyłu przypomina lustrzane pismo hebrajskie. Na tym pomniku był dawniej tylko jeden napis, ten z przodu, kolorowy. Ale pewnego razu, nocą, z kamienia wyłoniły się tamte odwrócone litery. Same się wyłoniły, przez noc.

Wznoszą się tu piękne, bogato zdobione nagrobki, wizerunki zwierząt i symbole. Część płyt wywieziono, żeby wybrukować bagniste odcinki dróg.

W tym mieście nie mają dla mnie czasu. Ktoś łaskawie poświęca mi parę minut. Niejaki Jaroszyński, bogaty cukrownik z Wołynia, założył tutejszy uniwersytet. Episkopat sprawuje nadzór, zatwierdza profesorów, wybiera rektora. Mają trzy fakultety. I nie mają pieniędzy. Chcą być podmiotem publiczno-prawnym, ale pozostałe uniwersytety są temu przeciwne, bo wtedy państwo musiałoby płacić subwencje. Uniwersytet ma charakter katolicki; jednak w myśl statutu wymagany jest tylko chrześcijański chrzest.

Jeśli chodzi o współistnienie narodu polskiego z żydowskim: za Rosjan oba narody miały ze sobą dobre stosunki. Z czasem Rosjanie zaczęli wykorzystywać Żydów przeciw Polakom; od tej pory datuje się polski antysemityzm. Kontakty towarzyskie między obydwoma żyjącymi w mieście narodami nie istnieją. Silni są ortodoksi. W wyborach komunalnych uzyskali większość absolutną. Ale rada miejska praktycznie się rozwiązała, popadła w konflikt z rządem, bo przeszło połowa jej członków mówiła wyłącznie w jidysz. Rząd domagał się, żeby przynajmniej przewodniczący mówił po polsku. Gdy spróbował, zrobił się tumult; więcej posiedzeń nie było.

Szybko posuwam się w stronę dworca. Ulica Dworcowa bardzo długa, obstawiona domkami na ogół brudnymi, z licznymi biednymi sklepami. Trafiam też na fabrykę. Nowoczesny most nad gliniastą wąską rzeczką; to chyba Bystrzyca, nad którą leży Lublin. Z jednej strony rzeczki budują nasyp; tramwaj pojedzie do

miasta skróconą drogą. Rosłe sylwetki polskich chłopów i robotników, obok strasznie obszarpani Żydzi. Polacy pod baranicami i robotniczymi czapkami: rozłożyści, spokojni, obojętni, powolni, często o twarzach zwiotczałych, melancholijnych. Spojrzenia niektórych sprytnie baczne, żartobliwie cwaniackie; przeważa obserwująca powaga. U Żydów w tej dzielnicy uderza ruchliwość, bystrość, zapobiegliwość. Dużo krzyczą; często spotykam kłócące się grupy. Często też natrafiam na oryginalne typy: podczas gdy w Warszawie wśród polskich mieszkańców miasta przeważał typ ciemny – zasymilowali się z Żydami, myślę – wielu tutejszych Żydów ma skórę bardzo jasną, krótki perkaty nos z dziurkami poddartymi do góry, szerokie płaskie czoło, krótką twarz. Gdyby nie strój, pomyślałbym, że to polscy chłopi. Rozmawiam z osiemnastolatkiem z zaprawą murarską na kapeluszu i ramionach, który usiłuje zrobić ze mną interes. Uczył się w tradycyjnych szkołach; jego niewiedza jest przerażająca. Pyta mnie, czy Belgia leży pod Wiedniem. Jest przy tym przebiegły. Ode mnie chciałby usłyszeć, co myślę o całym świecie. On sam twierdzi: „Świat zrobił Bóg, to pewne. Dom zrobił człowiek, każdy to wie. Człowiek miał ojca, jego ojciec też miał ojca, ale co dalej? A cała ziemia? Ja tam trzymam się tego, co myślał mój nieboszczyk ojciec i dziadek".

Żydzi na Wschodzie są rzeczywiście bystrzy,
uwielbiają polemikę, są przesadnie logiczni.
Za to namiętnie odrzucają wszystko, co obce.
Brak im wglądu w wiele spraw i powiązań.

Jest zupełnie jak wiejskie dziecko, ciekawy, chce mieć od razu wszystko, a przy tym konserwatywny i nieufny. Inteligencja to cecha etniczna; różne narody mają różne inteligencje. Ale coś z tego, co nazywamy inteligencją, wynika też z trybu życia. O Żydach mówi się, że są inteligentni i już. Żydzi na Wschodzie są rzeczywiście bystrzy, nic człowiekowi nie odpuszczą, uwielbiają polemikę, są przesadnie logiczni. Lubią wszystko, co formalne. Za to namiętnie odrzucają wszystko, co obce, a to wynika z ich wyizolowania. Odrzucają i nie potrafią przyjąć; są ślepi; brak im wglądu w wiele spraw i powiązań. Jest w nich coś nieokrzesanego, na wskroś chłopskiego, prostackiego. Zostaje im to nawet po „emancypacji".

Mój głupi towarzysz znów chce mi pokazywać miasto. Prowadzi mnie do małego muzeum miejskiego. W jednej z sal piękne akwarele Mariana Mokwy. Jeden z obrazów ma tytuł *Burza na morzu*; mój Parsifal kiwa głową: „To widać". W innym dziale zgromadzono ładną kolekcję przyrodniczą: wypchane ptaki, ryby, ślimaki. Nagle Parsifal woła: „Proszę pana, och, och, niech pan spojrzy, tu są kości od psa". Chodziło o szkielet. Przed ludzkim kościotrupem zamyśla się: „I to rzeczywiście był żywy człowiek?" – „Rzeczywiście". – „Co pan powie". Stoi przed lnem: „To niezwykle interesujące".

Przypadkiem trafiam na zebranie. Polski mówca to tęgi, krępy mężczyzna; kolorowa chusteczka zwisa mu z kieszeni marynarki jak grzebień kogutowi. Stojąc, wypina pierś, która mocno rezonuje. Kiedy mówi, głowę lekko odchyla w tył. Oczy ma otwarte, ale mówi ponad stołami jak ślepiec. Wyrzuca słowa z ust końcem języka, mięśniami krtani i gardła. Słowa eksplodują. Kosztuje ich smak wargami, uszami, kiedy tak stoi i słucha sam siebie: rozcapierzone dłonie wsparł

o blat stołu, głowę z otwartymi, lecz niewidzącymi oczami pochyla, kiedy robi przerwę, potem znów dumnie odrzuca w tył. To, co mówi – tak mnie informują – to słowa ostrożnego, dobrodusznego człowieka.

W hotelowej restauracji przy sąsiednim stoliku siedzą jacyś z teatru. Dwie młodsze panie, jedna blada, cicha, druga rumiana, wesoła. Do tej wesołej przyczepił się duży, tłusty młodzieniec; pasują do siebie. Jest jeszcze blondyn z włosami ulizanymi do tyłu i jeszcze jeden, za kwiatami na stole; tego mogę się tylko domyślać. Ulizany blondyn odchodzi samotnie. Zostaje tamtych dwoje, niewidzialny za kwiatami i elegijna nudziara, ona zresztą też niedługo się żegna. Dobroduszny z perspektywą brzuszka i jego wesoła partnerka śmieją się i popijają. W końcu młody Falstaff żartuje jowialnie z kelnerem, wstaje razem z rumianą, która wygląda, jakby kokietowała na scenie. Pulchna i zmęczona, wychodzi razem z nim. Zostaje niewidzialny za kwiatami.

Nie ma sensu, żebym czekał w tym mieście. Żegnam się z moim wschodnim Parsifalem. Zdążył mi jeszcze opowiedzieć, że w pewnej gazecie pracuje jakiś pan, Polak, który może znać niemiecki albo francuski. Już się spakowałem; wtedy doręczają mi wizytówkę tego pana: „Mój drogi Panie! Pan dać nam pytania, a my Ci jutro odpowiedzieć". To mnie dobija.

Jeszcze raz niebo, ogromne. Ale dzisiaj tak blisko, niczym nie oddzielone, napierające z zimnej nocy kłębowiskiem gwiazd. Bliskość tych gwiezdnych armii. Ich kolosalny napór; odczuwa je fizycznie moja twarz, moje ciało[1].

Przełożyła z niemieckiego Anna Wołkowicz

[1]Alfred Döblin, *Podróż po Polsce*, tłum. Anna Wołkowicz, Kraków 2000. Książka, opatrzona posłowiem Henryka Grynberga, ukazała się w Wydawnictwie Literackim w serii „Pisarze Języka Niemieckiego". Oprócz Lublina autor zawarł w niej portrety Warszawy, Wilna, Lwowa, Drohobycza, Krakowa, Zakopanego, Łodzi i Gdańska.

Wylot ul. Zamkowej na „Psią Górkę" albo „Bazar" – placyk za Bramą Grodzką na skrzyżowaniu, na którym handlowano starzyzną. Fot. z arch. WOSOZ Lublin.

Kiedy zobaczyła, że urodziła drugą dziewczynkę, zemdlała. Mój ojciec przypomniał jej, że nie jest religijnym Żydem i zapewnił ją, że nie ma nic przeciwko temu, iż jestem dziewczynką.

Nechama Tec

Mój dawny świat

Nechama Tec (z domu Bawnik), urodzona w Lublinie w 1931 roku, jest profesorem socjologii w University of Connecticut w Stamford. Napisała wiele książek, w tym *When Light Pierced the Darkness: Christian Rescue of Jews in Nazi Occupied Poland* (*Kiedy światło przenikało ciemność. Chrześcijanie niosący pomoc Żydom w okupowanej Polsce*) oraz *In the Lion's Den: The Life of Oswald Rufeisen*. (*W jaskini lwa. Biografia Oswalda Rufeisena*). Niedługo ukaże się jej kolejna książka poświęcona tematyce Zagłady widzianej poprzez pryzmat odmiennych doświadczeń kobiet i mężczyzn. Nechama Tec jest członkiem mianowanej przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Rady Naukowej Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, laureatką wielu nagród i doktoratów honorowych.

Prezentowany fragment stanowi część rozdziału autobiograficznej książki Nechamy Tec pt. *Dry Tears: The Story of a Lost Childhood* (*Suche łzy. Opowieść o utraconym dzieciństwie*) poświęconej głównie latom II wojny światowej, kiedy to wraz z siostrą i rodzicami przebywała naj-

Lublin jest starym miastem, które już w czternastym wieku nabrało w Polsce dużego znaczenia. Nad jego starą, podupadłą i zaniedbaną częścią górował zamek zbudowany na początku czternastego wieku, stojący na wzgórzu i otoczony masywnym kamiennym murem. W czternastym wieku, kiedy stanowił siedzibę króla Kazimierza Wielkiego, musiał sprawiać imponujące wrażenie. Teraz jedynie jego rozmiary świadczyły o dawnej świetności. Przez wiele wieków od czasów Kazimierza służył jako więzienie, nabierając odpowiednio ponurego wyglądu. W pobliskim otoczeniu murów znajdowały się parterowe domki – niektóre służyły za mieszkania, w innych mieściły się sklepy. Skupione razem, wciąż trzymające się mocno w posadach, ale wymagające farby i remontu, tworzyły rozległy, koślawy krąg, przerywany przez wąskie, kręte uliczki kryte brukiem. Przez większość dnia słońce z trudem tutaj docierało. Im dalej od starego zamku stały budynki, tym lepszy był ich wygląd i warunki do zamieszkania.

Po jakimś czasie nierówny krąg ulic i domów kończył się, a wraz z nim stare miasto. Nowszą część Lublina, stykającą się bezpośrednio ze starą, tworzyły niewielkie fabryki, warsztaty, sklepy i budynki mieszkalne. Choć ładniejsza niż stare miasto, dzielnica ta nie była w żadnym razie najlepszą częścią Lublina. Trzecia i najładniejsza dzielnica powstała na wprost starego miasta. Znajdowały się tam dwa piękne parki, szerokie ulice, nowoczesne budynki i eleganckie sklepy

Jak na Polskę, Lublin był dużym miastem. Około jedną trzecią 120 000 jego mieszkańców stanowili Żydzi, z których większość wolała mieszkać w dzielnicy żydowskiej w obrębie starego miasta. Zamożniejsi Żydzi i ci, którzy dążyli do asymilacji, mieszkali w nowej, głównie chrześcijańskiej części miasta. Moi rodzice przenieśli się tam, kiedy byłam jeszcze niemowlęciem.

Ojciec, odgrywający bardzo ważną rolę w moim życiu, miał dwadzieścia siedem lat, kiedy przyszłam na świat. Był nietuzinkowym człowiekiem o dość niezwykłych poglądach na temat religii i tożsamości żydowskiej. W młodych latach przygotowywano go do zawodu rabina. Był wybijającym się studentem lubelskiej jesziwy, znanej z wysokiego poziomu nauczania. Dał się tam poznać z nad-

miernie na swój wiek rozwiniętego zmysłu krytycznego, który kazał mu kwestionować sens i znaczenie religii.

Na własną rękę i wbrew woli nauczycieli studiował Kabałę, mistyczne dzieło z okresu średniowiecza. W końcu zaczął poddawać w wątpliwość poglądy swoich nauczycieli. Ich odpowiedzi nie zadowalały go. Zalecano mu, aby mniej pytał, a więcej wierzył. Nie zastosował się do tych rad. Doszło więc do bezpośredniej konfrontacji między nim a nauczycielami i tym sposobem jego religijna edukacja dobiegła końca.

Kiedy już opuścił jesziwę, nie szczędził wysiłków, aby buntować się przeciw tradycyjnym praktykom religijnym. W Jom Kipur, Sądny Dzień, kiedy wszyscy Żydzi powinni pościć, celowo nie poskramiał swego apetytu. Co więcej, w ten najuroczystszy dzień w roku, jak również w inne ważne święta, jadł szynkę i rozmaite niekoszerne potrawy. Lubił także opowiadać historie wyśmiewające hipokryzję religijnych Żydów.

Ale chociaż uważał siebie za ateistę, jego zainteresowanie chrześcijańskimi zwyczajami nie naruszało tradycyjnego porządku w naszym domu. Moja matka przestrzegała reguł koszerności, zapalała świece, odmawiała wymagane modlitwy i serwowała tradycyjne potrawy. A kiedy mój ojciec miał ochotę na szynkę, co rzeczywiście często się zdarzało, otrzymywał ją na specjalnym nakryciu.

Niewątpliwie specyficzny stosunek mojej matki do religii sprawiał, że ojciec nie ingerował w jej praktyki. Była Żydówką w sposób niemalże instynktowny, przestrzegając religijnych zwyczajów naturalnie i wręcz odruchowo. Stosowała je bez trudu i z pełnym przekonaniem. Jeśli idzie o religię, to nigdy nie próbowała nikogo do niej przekonywać ani niczego udowadniać. Zachowywała się w taki, a nie inny sposób, nie wyobrażając sobie, że mogłaby inaczej. Nigdy nie wyjaśniała mnie ani mojej siostrze, co to znaczy być Żydem czy też jak powinnyśmy się czuć jako Żydówki. Tę część naszego wykształcenia pozostawiała wyłącznie ojcu.

Bardzo wcześnie zdałam sobie sprawę z mojego „nieżydowskiego" wyglądu. Jasnowłosa i niebieskooka wyglądałam jak „typowa Polka". Wiedziałam, że stanowi to swego rodzaju ochronę i że inni Żydzi znajdują są w mniej szczęśliwym położeniu.

Słyszałam o młodych polskich antysemitach, którzy buszowali po ulicach, bijąc Żydów z tego tylko powodu, że są Żydami. Kiedyś sama miałam okazję ujrzeć takich wyrostków paradujących przed żydowskimi sklepami i wykrzykujących wrogie hasła: „Nie kupujcie u parszywych Żydów! Żydzi to krwiopijcy! Złodzieje! Zabójcy Chrystusa!"

Kiedy dochodziło do podobnych napaści, zamykano wszystkie sklepy. Ani Żydzi, ani Polacy nie odważali się wejść do sklepu otoczonego przez antysemicki tłum. Zwykle w takich chwilach policji nie było w polu widzenia.

Podobne incydenty dziwnie mnie fascynowały. Zamiast ich unikać, chciałam je oglądać, czując, że jeśli uda mi się zachować spokój, sprawcy nie rozpoznają we mnie Żydówki. Mimo to, przyglądając się i udając obojętność, wewnątrz drżałam. Lęk, złość, niesmak, i – co dziwne – silne uczucie satysfakcji składały się na moją reakcję. Dlaczego satysfakcji? Bo wykiwałam wroga! Byłam sprytniejsza niż oni, ponieważ nie rozpoznali we mnie Żydówki. Ostatecznie więc nie byli tacy silni!

Wzrastałam w przekonaniu, że Żydzi są pogardzani i że cierpią tylko dlatego, iż są Żydami. W nienachalny i oględny spo-

pierw w lubelskim getcie, a następnie w ukryciu, za wynagrodzeniem, u polskiej rodziny niewolnej od antysemickich uprzedzeń. Obie siostry, władające biegle polskim językiem i w przeciwieństwie do swoich rodziców mające tzw. „dobry", czyli nieżydowski wygląd, mimo młodego wieku musiały stopniowo przejąć ciężar odpowiedzialności za rodzinę.
Miejmy nadzieję, że kiedyś ta poruszająca i dobrze napisana książka trafi także w całości do polskiego czytelnika. [Przyp. tłum.]

„Skupione razem, wciąż trzymające się mocno w posadach, ale wymagające farby i remontu."
Ul. Krawiecka. Fot. Wiktor Ziółkowski. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

Fragment synagogi Maharszala (Wielkiej Synagogi) i ul. Jatecznej.

sób mój ojciec wyjaśniał mi, co to znaczy być Żydem. Zaznaczał, że kwestia urodzenia jest dziełem przypadku i że nie ma powodu, aby być dumnym czy też wstydzić się tego, kim się jest. Żydzi cierpią z powodu takiego właśnie przypadkowego zrządzenia losu i aby uniknąć cierpień, muszą się zasymilować. Zaczynałam rozumieć, że dla ojca asymilacja powinna być z natury rzeczy procesem powolnym i stopniowym, a także wolnym od nacisków. Ale chociaż był zwolennikiem asymilacji, twierdził także, że Żydzi nie powinni wypierać się swego pochodzenia.

Akceptowałam jego poglądy automatycznie, nie zastanawiając się wiele nad tymi kwestiami. Nie przeszkadzał mi fakt, że ojciec nigdy nie wyjaśnił mi, jak mogę ulec asymilacji bez wypierania się mojego pochodzenia. Nie dostrzegałam w tym sprzeczności. „Kiedyś – myślałam – w odległej przyszłości, zostanę Polką w pełnym sensie tego słowa".

Wiedziałam, że moi rodzice nigdy nie zdołają się całkowicie zasymilować. Byli zbyt „żydowscy" i to nie tyle ze względu na ich fizyczny wygląd, ile z uwagi na cały wachlarz specyficznych cech. Ich pierwszym językiem był jidysz, natomiast znajomość polskiego była ograniczona.

Jidysz miał specyficzną fleksję, wyrażenia i składnię, a tym z kolei towarzyszyła szczególna mimika, gestykulacja i ruchy, które Polacy-chrześcijanie uznawali za „typowo żydowskie".

Sami Żydzi nie lubili tych specyficznie żydowskich wyróżników. Świadomie chronili mnie i moją siostrę przed ich nabyciem. Mimo że łatwiej im było posługiwać się jidysz, rodzice mówili do nas wyłącznie po polsku. Kiedy tylko wyraziłam zainteresowanie językiem żydowskim, ojciec zniechęcał mnie, mówiąc, że jidysz nie jest właściwie językiem i że ważniejsza jest dla mnie znajomość pol-

Byłam sprytniejsza niż oni,
ponieważ nie rozpoznali we mnie Żydówki.
Ostatecznie więc nie byli tacy silni!

skiego. I tak, chcąc mu sprawić przyjemność, trzymałam się polskiego. Co więcej, zamiast nazywać mnie moim hebrajskim imieniem Nechama, nadali mi polskie imię Hela, najczęściej wołając na mnie Helka.

Mieszkanie w chrześcijańskiej dzielnicy Lublina sprzyjało dalszemu oddzieleniu nas od żydowskich wpływów. Mieszkaliśmy na Pijarskiej, jednej z bocznych uliczek odchodzących od najładniejszej ulicy Lublina, Krakowskiego Przedmieścia. Nasze mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze. Mały przedpokój prowadził do kuchni, którą z kolei wchodziło się do salonu-jadalni. Pośrodku tego dużego słonecznego pokoju stał masywny stół otoczony dwunastoma równie masywnymi krzesłami. Stanowił on centrum życia rodzinnego, miejsce czytania i zabawy.

Mieliśmy elektryczność i bieżącą wodę – co samo w sobie stanowiło oznakę postępu. Wiele domów, zwłaszcza te w żydowskiej dzielnicy i niektóre z nowszej części Lublina, nie miało bieżącej wody, a nawet elektryczności. Nieznany był mi dom, gdzie by istniało centralne ogrzewanie albo gdzie by używano elektryczności czy gazu do gotowania. Nasza kuchnia, jak większość innych, miała kaflowy piec, w którym palono drewnem i węglem. W zimie pozostałą część mieszkania

ogrzewano piecami wbudowanymi w ściany – w każdym z nich trzeba było oddzielnie rozpalać.

Ze względu na lokalizację, większość lokatorów w naszej kamienicy stanowili chrześcijanie, lecz mimo to jedynymi sąsiadami, których znaliśmy, byli Żydzi. Nasi chrześcijańscy sąsiedzi, zarówno dorośli, jak i dzieci, byli mi zupełnie obcy. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, dlaczego tak jest, ani też nigdy mi to nie przeszkadzało. Faktycznie dopiero później uprzytomniłam sobie, że chociaż mieszkałam w chrześcijańskiej części miasta, nigdy nie udało mi się wejść do chrześcijańskiego świata.

Pl. Krawiecki i most nad Czechówką.

Lubiłam naszą cichą, spokojną dzielnicę, ale lubiłam także odwiedzać inne. Hałas, tłum uliczny, rozmaite donośne odgłosy starego miasta miały dla mnie szczególny urok. Podobnie miejscowy targ, usytuowany na wzniesieniu i zajmujący znaczny teren, służący jako łącznik między starymi a nowszymi częściami Lublina. Było to gwarne i tętniące życiem miejsce, pełne przeróżnych towarów przemysłowych, jak również produktów rolniczych dostarczanych przez okolicznych chłopów na wozach zaprzężonych w konie – mleka, sera i masła, świeżych warzyw i owoców, a także ręcznie tkanych materiałów, drewniaków i garnków.

Zanim jeszcze poszłam do szkoły, uwielbiałam towarzyszyć matce w wyprawach na targ. Jako że cierpiała na chroniczne schorzenie zatok i nie czuła smaku, zabierała mnie ze sobą, żebym pomogła jej wybrać najświeższe produkty. Była przekonana, że ojciec zasługuje na to, co najlepsze, zaś mój zmysł smaku i węchu jest niezawodny. Nierzadko sprzedający patrzyli na mnie wrogo, wiedząc, że moja decyzja może odwieść matkę od zakupu. Niektórzy z nich drwili, mrucząc pod nosem, że taki dzieciak jak ja nie ma pojęcia o jakości towarów, ale nie udawało im się mnie speszyć. Czasami, kiedy sprzedawca był wyjątkowo nieprzyjemny, uznawałam towar za nieodpowiedni, nawet kiedy tak nie było.

W czasie tych wypraw szczególnie fascynowali mnie zawodowi nosiwodowie, balansujący drewnianymi drągami opartymi na ramionach, na końcach których

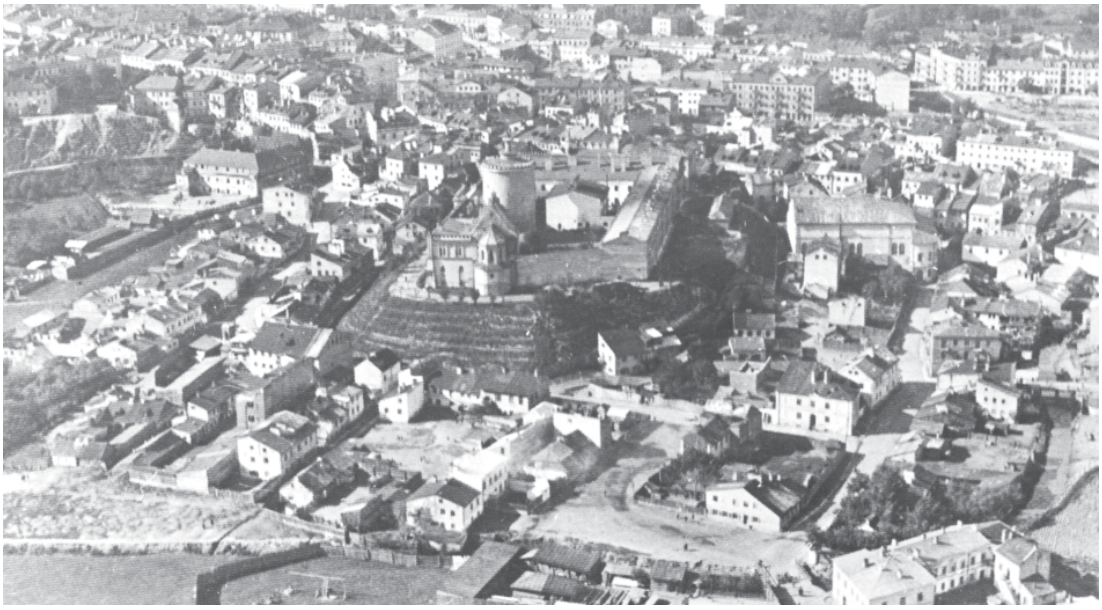

„... tworzyły rozległy, koślawy krąg, przerywany przez wąskie, kręte uliczki." Dzielnica żydowska na Podzamczu. Ze zbiorów TNN.

zawieszone były wiadra. Poruszali się w charakterystyczny sposób, ostrzegając ludzi, aby usunęli się z drogi, podczas gdy woda pryskała z wiader na boki. Byli tam także staruszkowie z tobołkami wyglądającymi równie staro, jak ich właściciele. Wykrzykiwali śpiewnym głosem, że kupują starocie, wszystko co popadnie, i że płacą bardzo dobrze. Jeśli się nie wiedziało, kim są i co mówią, nie sposób było zrozumieć ich okrzyków. Nigdy nie wiedziałam też, co robią z tymi rupieciami, które istotnie kupowali. Miejscowi żebracy również przedstawiali dla mnie atrakcję, częściowo dlatego, że byli tak wygadani, a częściowo ze względu na ich malowniczy wygląd. Matka pozwalała mi dawać im parę groszy. Wierzyła w ich prośby, nigdy nie wątpiąc, że znajdują się w wielkiej potrzebie.

Moi rodzice żywili wielki szacunek dla nauki. Wierzyli, że wykształcenie jest najcenniejszym i najtrwalszym dobrem, jakie człowiek powinien za wszelką cenę zdobyć. Oboje, choć z różnych powodów, zmuszeni byli wcześniej przerwać naukę w szkole – ojciec dlatego, że został sierotą i musiał sam zarabiać na utrzymanie, a matka dlatego, że jej własna matka była przeciwna idei kształcenia kobiet.

Niewątpliwie, aby wynagrodzić swoje braki, postanowili, że ja i moja siostra powinnyśmy otrzymać możliwie najlepsze wykształcenie. Zapisali nas do doskonałej i drogiej szkoły prywatnej należącej do żydowskich właścicieli. Uczęszczali do niej wyłącznie uczniowie z zamożnych żydowskich rodzin. Jednak klimat panujący w szkole świadczył o staraniach zmierzających do umniejszania znaczenia spraw o religijnym czy specyficznie żydowskim charakterze.

Moje pierwsze zetknięcie z dyrektorem szkoły było przykrym przeżyciem. Na jego widok oniemiałam i przylgnęłam do matki, rozpaczliwie starając się za nią schować. Nasze niefortunne spotkanie zakończył słowami: „Mam nadzieję, że będziesz uczyła się równie dobrze, jak twoja siostra". Już wtedy wiedziałam, że tak się nie stanie. Właściwie nie widziałam wielkiego sensu w podobnych staraniach. Na-

Chociaż mieszkałam w chrześcijańskiej części miasta, nigdy nie udało mi się wejść do chrześcijańskiego świata.

cisk, jaki rodzice kładli na naukę, robił na mnie niewielkie wrażenie. Uczyłam się słabo, pisałam niestarannie i ciągle zapominałam odrobić lekcje. Często także budziłam się z bólem brzucha – niewykluczone że wyimaginowanym, chociaż dla mojej mamy na tyle wiarygodnym, iż pozwalała mi zostać w domu.

Mój ojciec był niezwykłym człowiekiem. W wieku czternastu lat, mniej więcej w okresie, kiedy rozczarował się do religii, został sierotą, co pozostawiło go bez środków do życia. Nie raz słyszałam opowieści o okrutnych krewnych, którzy upokarzali go, odmawiając schronienia i pomocy. Rzecz jasna wolałam historie o jego sukcesach, które nie przyszły jednak nagle i łatwo. Poprzedzało je wiele rozczarowań w trakcie długich lat ciężkiej pracy, podczas których nie miał właściwego nadzoru ze strony dorosłych i stałego domu. W jednym z miejsc, gdzie pracował, w fabryce świec, poznał moją matkę. Była córką właścicieli i pomimo różnic społecznych, jakie ich dzieliły, zakochali się w sobie. Jej rodzice uważali go oczywiście za wyjątkowo nieodpowiednią partię. Niereligijny, bezdomny i bez grosza przy duszy, łączył w sobie te wszystkie cechy, które uważali za niedopuszczalne, a jego zuchwalstwo dodatkowo ich zaskoczyło. Moja mama była bardzo ładną dziewczyną, a jej rodzice zamożni. Posag, który dla niej przeznaczono,

uroda i dobre pochodzenie sprawiały, że mogła sobie pozwolić na wybrzydzanie. Rodzice matki zaczęli mnożyć przeszkody, aby tylko nie dopuścić do romansu. Zwłaszcza moja babka sprzeciwiała się ich małżeństwu i dopiełaby swego, gdyby nie wydarzenia, na które nie miała wpływu.

Wraz z nadejściem Wielkiego Kryzysu moi dziadkowie stracili majątek. Spośród ich czterech córek dwie wyszły za mąż już wcześniej, zaś moja matka i młodsza siostra były jeszcze w domu. Kiedy posagi wyparowały, atrakcyjność panien natychmiast zmalała. Uparty i nie dający za wygraną ojciec dalej chciał poślubić moją matkę, chociaż nie mogła mu wnieść ani grosza. Stał się teraz odpowiednim kandydatem.

Kiedy już zostali małżeństwem, ojciec obiecał sobie i swojej żonie, że zostaną bogaci i otworzył własną niewielką fabrykę świec. Inni producenci zareagowali z niechęcią na pojawienie się konkurencji i próbowali pozbyć się go, obniżając ceny. Ale ojciec nie był tchórzem ani też nie zamierzał wycofać się bez walki. Inni producenci musieli płacić robotnikom, on zaś robił wszystko sam i dlatego mógł sobie pozwolić na obniżenie cen bardziej niż jego konkurenci. Nastąpiła prawdziwa wojna cen. Wojna bez zwycięzców. Kiedy wszystkie strony doznały już poważnego uszczerbku pod względem finansowym, doszli do wniosku, że zamiast przeszkadzać sobie wzajemnie w interesach, połączą siły. Stworzyli syndykat składający się z dziesięciu fabryk.

Udowodniwszy, że potrafi walczyć, mój ojciec zajął decydującą pozycję w syndykacie. Chociaż był najmłodszym z udziałowców, inni czuli przed nim respekt. Ale mimo że wielu ludzi go szanowało, niewielu bliżej się z nim zaprzyjaźniło. Był taktowny i godny zaufania, ale niezbyt otwarty i serdeczny, zawsze woląc trzymać innych na dystans.

Kiedy odwiedzałam naszą fabrykę, dumna byłam z tego, że traktowany jest jako ważna osobistość. Chociaż byłam jeszcze mała, rozumiałam, że pracownicy są mu oddani. A kiedy wynikała jakaś kwestia sporna, zarówno jego partnerzy, jak i robotnicy chcieli, aby to on był arbitrem. Zdobył sobie opinię człowieka, któremu można zaufać. Zaufanie to rozciągało się nawet na włamywaczy. Na krótko przed wybuchem wojny ktoś włamał się do fabryki i wyniósł wiele towaru. Policja nie była w stanie odzyskać skradzionych dóbr. Ale przedstawiciel złodziei nawiązał kontakt z moim ojcem i powiedział mu, że zwrócą towar za część jego wartości pod warunkiem, że jedynie mój ojciec będzie zaangażowany w skomplikowane negocjacje. Ojciec zastosował się do ich wskazówek, zapłacił sumę, jakiej żądali i straty zostały zredukowane do minimum.

„Jidysz miał specyficzną fleksję, wyrażenia i składnię, a tym z kolei towarzyszyła szczególna mimika, gestykulacja i ruchy."
Nałęczów koło Lublina. Ze zbiorów Jana Błaszcza.

Jego rosnące sukcesy w przemyśle świeczkarskim prowadziły do powodzenia w innych dziedzinach i z czasem został współwłaścicielem dużej fabryki chemicznej. Wśród produktów w niej wytwarzanych znajdował się lep na muchy, pasta do butów, mydło, plastikowe pudełka i ozdoby choinkowe. Przy takiej różnorodności produktów robotnicy mieli co robić przez okrągły rok. Wszechstronność fabryki umożliwiała rozwój twórczych zdolności ojca. Założył własne laboratorium, w którym prowadził eksperymenty dotyczące nowych sposobów wytwarzania pasty do butów, mydła i wielu innych towarów. Lubił uchodzić za chemika amatora, ale miał na tyle poczucia rzeczywistości, żeby zatrudniać fachowców.

W miarę wzrostu zamożności rodziny moi rodzice zaczęli postępować zgodnie z przyjętym wówczas zwyczajem panującym wśród zamożnych ludzi – jeździć oddzielnie na wakacje, każde do innego kurortu, który wydawał się odpowiadać ich indywidualnym potrzebom. Przez trzy kolejne lata przed wybuchem wojny wysyłali mnie i moją siostrę na wakacje z moimi dziadkami i młodszą siostrą matki, Zeldą, do Nałęczowa.

Podczas tych letnich miesięcy w Nałęczowie moja babka wiodła niewątpliwie prym. Była wysoka i szczupła, miała świetną figurę i wyjątkowo zgrabne nogi. Jej rysy były regularne, oczy niebieskie i przenikliwe i mówiono nam, że jest blondynką. Nigdy nie widziałyśmy jej prawdziwych włosów, ponieważ, będąc ortodoksyjną Żydówką, nosiła zgodnie ze zwyczajem perukę, czyli szejtel.

Według opowieści, krążącej w rodzinie,
kiedy odsłonięto babce welon
i po raz pierwszy ujrzała oblubieńca – zemdlała.

Moi dziadkowie, straciwszy większość majątku, zostali zmuszeni do przeniesienia się z Lublina do mniejszego miasta, Międzyrzeca, gdzie prowadzili niewielką wytwórnię świec. Mój dziadek był łagodnym, uczonym człowiekiem, niezbyt nadającym się do robienia interesów. Pragnąc być uczciwy wobec klientów, ostrzegał ich co do ewentualnych defektów w towarze i dodawał na wadze, nie żądając dodatkowej opłaty. W przeciwieństwie do niego, babka uwielbiała rządzić, łaknęła sukcesów i zżymała się na nieudolność męża. Ale nawet gdy przejęła kontrolę nad interesami, starczało im jedynie na skromne utrzymanie.

Kochałam mojego dziadka i irytowało mnie, że nie jest szczęśliwy z babką. O ile się orientowałam, nigdy nawet nie próbowała go uszczęśliwić. Zgodnie z żydowskim zwyczajem obowiązującym w tamtych czasach ich małżeństwo zostało zaaranżowane przez rodziców, którzy uznali, że młodzi do siebie pasują. Uczucia młodych nie miały znaczenia i faktycznie spotkali się po raz pierwszy pod chupą, ślubnym baldachimem, podczas ceremonii zawarcia małżeństwa. Według opowieści krążącej w rodzinie, kiedy odsłonięto babce welon i po raz pierwszy ujrzała oblubieńca – zemdlała.

„... miejscowy targ usytuowany na wzniesieniu i zajmujący znaczny teren, służący jako łącznik między starymi a nowszymi częściami Lublina. Było to gwarne i tętniące życiem miejsce..." 1942 r. Z lewej widoczne jatki, w głębi magistrat i wieża ciśnień. Ze zbiorów Romana Krawczyńskiego.

Często zastanawiałam się, dlaczego, ponieważ dziadek był wysokim, przystojnym mężczyzną i przynajmniej w moich oczach wydawał się kimś w rodzaju cichego anioła – niezmiennie cierpliwy, troskliwy i wyrozumiały. Moja babka była podobno zakochana w kuzynie, którego jej rodzice uznali za nie dość religijnego i zabronili jej go poślubić. Zastanawiałam się, dlaczego nie płakała i nie lamentowała przed ślubem. Miała przecież na to dość czasu.

„... uwielbiałem towarzyszyć matce w wyprawach na targ".
Targ na Świętoduskiej. Fot. Józef Czechowicz. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

Moja matka miała cztery siostry i brata. Za wyjątkiem najmłodszej Zeldy wszyscy założyli już własne rodziny. Chcieli, aby Zelda też wyszła za mąż – wszyscy z wyjątkiem jej samej. Była wysoka, o zgrabnej figurze, ale ze względu na rude włosy i piegi uchodziła za nieatrakcyjną. Przedstawiano ją wielu ewentualnym kandydatom na męża. Tych, którzy być może zechcieliby ją poślubić, odrzucała jako nudziarzy. Często słyszałam, jak moja matka pyta ze złością w głosie: „Kogo byś chciała, księcia z bajki? Jak będziesz tak wybrzydzać, zostaniesz starą panną". To, co ja uznawałam za odwagę, inni traktowali jako upór prowadzący do nieszczęścia.

Ulubieńcem moich dziadków był ich jedyny syn Josef. Pomimo ortodoksyjnych poglądów nie nalegali, aby skończył jesziwę czy też zapuścił brodę i stał się religijnym Żydem. Pozwalali mu postępować zgodnie z własnymi upodobaniami i skończyć świeckie gimnazjum, coś, czego odmówili wszystkim czterem córkom. Dla niego zawsze znajdowały się pieniądze, nawet jeśli miało to oznaczać wyrzeczenia.

Josef był przystojnym, czarującym mężczyzną, lekkomyślnym, zepsutym i nieodpowiedzialnym. W przeciwieństwie do swojej matki nie wierzył w ciężką pracę. Był właścicielem fabryki marmolady założonej częściowo z pomocą rodziców, a częściowo z posagu żony. Jego żona była piękną dziewczyną – miał z nią dwóch synów. Była nie tylko piękna, ale także miła i inteligentna. Ale zalety żony nie zmniejszyły jego zainteresowania innymi kobietami. Przeciwnie, nie był ani dyskretny, ani wybredny w swoich erotycznych przygodach.

Nawet moja matka, która zwykle zdawała się nie dostrzegać wad brata, gniewała się na jego pozamałżeńskie eskapady. Kiedyś usłyszałam, jak mówi: „Nie znoszę twojego uganiania się po całym mieście za dziewczynami. Nic nie mogę na to poradzić, ale przynajmniej u mnie w domu masz przestać podszczypywać służącą!" Przyniosło to niewielki efekt. Josef tylko śmiał się z tych słów.

Moja matka, około roku starsza od Josefa, była trzecim w kolei zawodem sprawionym własnym rodzicom. Mimo że zdawała sobie z tego sprawę, była im bardzo oddana. Zamiast buntować się, akceptowała ich poglądy na temat uprzywilejowanej pozycji synów i jej hojność wobec matki i ojca nie miała granic.

Szczęśliwie dla mojej siostry i mnie nasz ojciec miał inne zdanie na temat córek. Jak tylko sięgam pamięcią, matka lubiła mi opowiadać historię o moich narodzinach. Leżała przez wiele dni w połogu, aż lekarze przyznali, że niewiele mogą poradzić. Bojąc się o życie matki i moje, wszyscy zwrócili oczy ku Bogu. Rabin odprawiał specjalne modły, w których uczestniczyli wszyscy członkowie rodziny i dopiero czwartego dnia Bóg postanowił wysłuchać próśb i umożliwił moje oficjalne przyjście na świat.

Choć wyczerpana i słaba, matka koniecznie chciała mnie zobaczyć. Ale kiedy uniesiono mnie nad jej głową i zobaczyła, że urodziła drugą dziewczynkę, ze-

„... szczególnie fascynowali mnie zawodowi nosiwodowie..."
1937 r. Ze zbiorów YIVO.

mdlała. Mój ojciec pocieszył ją. Przypomniał jej, że nie jest religijnym Żydem, powiedział, że dziecko jest zawsze dzieckiem i zapewnił ją, że nie ma nic przeciwko temu, iż jestem dziewczynką.

Ojciec miał dwoje młodszego rodzeństwa, którym był oddany i za których czuł się odpowiedzialny – siostrę Elę i brata Gerszona. Gerszon pracował w fabryce ojca i często wraz z rodziną bawili pod koniec tygodnia u nas w domu. Chociaż ojciec traktował z wielką troską zarówno swojego brata, jak i siostrę, do Eli był szczególnie przywiązany. Dzieliła ich różnica nie więcej niż czterech czy pięciu lat, ale pod względem siły, pewności siebie i doświadczenia stanowili niebo i ziemię. Wysoka i szczupła, łagodna i delikatna Ela roztaczała wokół siebie subtelny czar. Zwykle wyglądała na trochę zrezygnowaną, a trochę oszołomioną. Uwielbiała mojego ojca, on zaś miał do niej stosunek opiekuńczy i traktował ją jak dziecko.

Według mojej matki, która nigdy nie przestawała o tym opowiadać, Ela wyszła za mąż nie tylko z błogosławieństwem mojego ojca, ale także z hojnym posagiem. Szymon, jej mąż, był „zawodowym" socjalistą i czymś w rodzaju dziennikarza. Niski, o gęstej czuprynie i płomiennych oczach, nigdy nie omieszkał napadać na ludzi, którym powodziło się lepiej niż jemu. Oddany by „prawdzie", zwłaszcza tej obraźliwej dla jego chlebodawców. Nic więc dziwnego, że niemal zawsze był w trakcie zmieniania pracy. To dawało mu czas na pisanie artykułów do żydowskich gazet, a swoją napastliwością przysparzał sobie coraz więcej wrogów.

Mój ojciec regularnie pomagał jemu i jego rodzinie, ale Szymon nie okazywał wdzięczności. Ku rozpaczy Eli napadał nawet na ojca jako kapitalistę i wyzyskiwacza klasy robotniczej. Twierdził, że gdyby jego siostry dysponowały takim majątkiem, byłyby dużo bardziej hojne niż jego szwagier – bezpieczne twierdzenie, bowiem siostry Szymona nigdy nie były zamożne i nie zanosiło się na zmianę.

Na szczęście mój ojciec nie oczekiwał wdzięczności. „Daje się ze względu na przyjemność, jaką to sprawia – mawiał. – Nigdy nie należy się spodziewać niczego w zamian". Rzeczywiście, niezbyt zręcznie się czuł, kiedy ludzie okazywali mu zbyt wiele wdzięczności. Na przykład któregoś dnia, kiedy weszłam do pokoju, zobaczyłam, że moja ciotka Ela przyjmuje od ojca pieniądze. Nagle pochyliła się i pocałowała go w rękę. Jeszcze gwałtowniej ojciec wyrwał się z jej uścisku. Blady, przerażony i zawstydzony sprawiał wrażenie, jakby doświadczył wielkiego smutku i bólu. Wszystko to trwało moment i nie wiedząc właściwie, dlaczego, udałam, że nic nie zauważyłam.

Ale hojność ojca miała swoje granice. Ci, od których doznał jawnej niesprawiedliwości, nie mogli się wiele od niego spodziewać. Fakt, że moja babka zdecydowanie występowała przeciw niemu i nie chciała go początkowo zaakceptować jako zięcia, uznawał za niefortunny, ale uzasadniony przynajmniej z jej punktu widzenia. Z drugiej strony, kiedy był bezdomny i potrzebował miejsca do spania, jedna z ciotek nie wpuściła go do siebie do domu. Nigdy jej tego nie wybaczył. Dużo później ta sama ciotka, stara, bezdzietna i bezdomna, zwróciła się do ojca o pomoc. Wynajął jej mieszkanie i wspierał ją finansowo, ale nigdy nie wpuścił jej do własnego domu.

Zwykle w piątkowe i sobotnie wieczory dalsi i bliscy krewni oraz wielu przyjaciół przychodziło do nas w odwiedziny. Było wiele rozmów, podczas których goście raczyli się ciastem, orzechami i słodyczami oraz sączyli domowe wino i wiśniową nalewkę. Dzieci brały udział w tych spotkaniach i mogły jeść, co chciały, ale nie wolno im było wtrącać się do rozmów dorosłych.

Podczas tych wieczorów zwykle zajmowałam miejsce na kolanach ojca. Gładził mnie po głowie, obejmował i od czasu do czasu obdarzał pocałunkiem, który trafiał w jakieś miejsce na policzku, czole czy czubku głowy. Gdzie – nie miało dla mnie większego znaczenia. Sama bliskość sprawiała mi zadowolenie. Jako ośmiolatka uwielbiałam jego czułości i rewanżowałam się od czasu do czasu pocałunkiem lub uściskiem.

To właśnie w czasie jednego z takich zgromadzeń usłyszałam po raz pierwszy wzmiankę o zbliżającej się wojnie.

Przełożyła z angielskiego Monika Adamczyk-Garbowska

Panorama Lublina. Pocztówka z okresu okupacji.

Ewa Rybicka

Anna Regina Sternfinkiel (Anna Langfus)

Lublinianka, Żydówka, zapomniana laureatka jednej z najważniejszych nagród literackich świata, Prix Goncourt. Czwarta z kolei kobieta, a pierwsza Polka, która zdobyła to wyróżnienie. Jej poprzedniczki to: Elza Triolet, Simone de Beauvoir i Beatrix Beck.

Anna Regina Sternfinkiel urodziła się 2 stycznia 1920 roku w Lublinie. Sternfinkielowie posiadali w Lublinie kamienicę przy ulicy Browarnej 2, w której niegdyś mieli browar (stąd nazwa ulicy).

Anna została przyjęta do gimnazjum w 1929 roku, a maturę otrzymała w 1937 roku w Liceum im. Unii Lubelskiej. Uzyskała następujące oceny: z religii – bardzo dobrze, z języka łacińskiego – bardzo dobrze, z historii i nauki o Polsce współczesnej – dostatecznie i z matematyki – bardzo dobrze. Poza tym na świadectwie zanotowane są stopnie końcowe z następujących przedmiotów nieobjętych egzaminami dojrzałości: język francuski – dobrze, fizyka z chemią – dobrze, ćwiczenia cielesne – dostatecznie i higiena – dobrze.

Po maturze Anna Sternfinkiel wyjechała do Belgii na studia. Wstąpiła do Ecole Polytechnique w Verviers. Na wakacje przyjeżdżała do Polski i tu zaskoczyła ją wojna. W 1939 roku wyszła za mąż za studenta prawa – Jakuba Rajsa, zamordowanego potem w czasie wojny w okolicach Warszawy.

Do 17 września 1939 roku problem narodowościowy nie istniał dla Anny w ogóle. Wychowała się w środowisku patriotycznym, czuła się Polką. Dopiero hitlerowcy zrobili z niej Żydówkę i zapędzili do getta. W 1962 roku, tuż po otrzymaniu nagrody Goncourtów, w wywiadzie z Tadeuszem Domańskim w Paryżu pisarka mówi: „Nie miałam przejścia z dzieciństwa do wieku dojrzałego. Najczystszym, najpełniejszym okresem życia było dla mnie dzieciństwo. Resztę zabrała mi wojna. Zdaje mi się, że człowiek, który przeżyje to, co ja przeżyłam, nie może już znaleźć miejsca dla siebie. Ale to sprawa indywidualna, to zależy od jednostki. Są ludzie, którzy potrafili zapomnieć. Żyją i robią interesy. Nawet Żydzi. Przeszłość dla nich minęła... Gdy wybuchła wojna, byłam bardzo młoda. Na życie patrzyłam ze skrajnym entuzjazmem. I dlatego wojna wywołała u mnie taki szok".

Jakie były losy Anny w czasie wojny? W 1960 roku ukazała się we Francji jej książka *Sól i siarka* (*Le sel et le soufre*), uważana za autobiografię autorki, za którą otrzymała Prix Charles Veillon – wysoką nagrodę literacką Szwajcarii. W wywiadzie z Jerzym Horodyńskim Anna mówi: „*Le sel et le soufre* to wojna widziana oczyma jednego człowieka. Jest to autobiograficzny opis pięciu moich lat wojennych w Polsce. Pobyty w więzieniu, lasach, obozach, moje życie w getcie warszawskim.

Książka zaczyna się pierwszą bombą niemiecką, a kończy wejściem Rosjan. Przebywałam wtedy w więzieniu dla politycznych w Płocku".

Powieść *Sól i siarka* przedstawia życie młodej dziewczyny z rodziny zamożnych Żydów lubelskich. Bohaterce powodzi się znakomicie, wszyscy ją lubią, nie ma żadnych kłopotów, jest trochę egoistką. Gdy Niemcy wzmagają prześladowania Żydów, udaje jej się uciec wraz z mężem. Męża lokuje gdzieś na wsi, a sama ukrywa się u różnych Polaków w Lublinie.

Czytelnik otrzymuje obraz tych mieszkańców Lublina, którzy bohatersko, bezinteresownie, z narażeniem życia pomagają Żydom, jak też i takich, którzy przechowują Żydów za pieniądze i kosztowności, a gdy wyłudzą, co się da, wyrzucają ich na bruk. Do tych drugich trafiła właśnie bohaterka książki. Gdy nie ma już pieniędzy na opłacenie „czynszu", pokazują jej drzwi. Ponieważ zginęli już jej rodzice i rodzeństwo – więc nie ma do kogo pójść. Wyrusza desperacko przed siebie. Nie ginie jednak za pierwszym skrzyżowaniem ulic. Spotyka oficera AK, który zaopiekował się nią i wciągnął do konspiracji.

Po pewnym czasie Niemcy wpadają na ślad organizacji i młoda Żydówka musi uciekać. Dociera do swego męża i ruszają razem w kierunku Warszawy. Idą lasami, bezdrożami. W końcu gubią się w jakimś lesie. Mąż jest chory i osłabiony. Zostawia go i idzie po pomoc. Spotyka oficera niemieckiego. Jest to antyfaszysta zdegradowany do roli zaopatrzeniowca. Niemiec dostarcza Żydom żywności, a potem umieszcza ich w kamienicy, w której część mieszkań zajmują funkcjonariusze SS. Swoim przełożonym oświadcza, że jest to para właścicieli ziemskich, która w obawie przed bolszewikami uciekła zza Buga.

Bohaterka książki zaprzyjaźniła się z osiemnastoletnim Niemcem posiadającym rozległą wiedzę i poważne zainteresowania kulturalne, rzadko spotykane u tak młodego człowieka. Chłopiec ten jednak pokazuje jej pewnego dnia zdjęcia Żydów, których sam zamordował: starców, kobiet i małych dzieci. Bohaterka nie wytrzymuje nerwowo. Rzuca faszyście w twarz: „Ja też jestem Żydówką!" W rezultacie zostaje aresztowana, przechodzi piekło tortur, męża rozstrzeliwują, a ją osadzają w obozie w Płocku; dopiero Armia Czerwona przynosi jej wolność.

Bohaterka wraca do Lublina, lecz tu okazuje się, że mieszkanie rodzinne jest zajęte przez obcych ludzi, którzy nie chcą i nie mają dokąd się wyprowadzić, nie chcą jej nawet wpuścić do środka. Młoda kobieta jest zrozpaczona. Nie ma nikogo bliskiego, nikomu nie jest potrzebna. Żałuje, że przeżyła wojnę. Wiadomości dotyczące Anny wskazują na dużą zbieżność losów bohaterki książki z losami pisarki. Pan Władysław Trzciński z Lublina zetknął się w czasie wojny z Anną, gdy mieszkała pod Warszawą w kamienicy zajętej w połowie przez SS.

Po wyzwoleniu, gdy Anna wróciła do Lublina, nie zamykano jej drzwi przed nosem, ale nie odnalazła już nikogo. Wymordowana została cała jej rodzina. Zamieszkała w rodzinnym domu przy Browarnej w mieszkaniu nr 6, zajmowanym przez handlarza bydła Jankiela Kawę, z którym później wyjechał do Izraela. Pani Maria Jedynak, lokatorka z sąsiedniego mieszkania, pamięta, jak Anna po pewnym czasie zaczęła dochodzić do siebie, coraz szybciej odzyskiwała równowagę wewnętrzną i pogodę ducha. Ale wspomnienia i przeżycia wojenne nigdy jej nie opuściły.

Gdy Karol Borowski i Eleonora Frenkiel-Ossowska założyli w Lublinie Studium Dramatyczne, Anna została jedną z pierwszych słuchaczek. Wykazywała duże zdolności, była ulubioną uczennicą Borowskiego, lecz twierdziła, że aktorką nie zostanie. Przybrała wtedy pseudonim „Janczewska", pod nim występowała na lubelskiej scenie.

Anna Sternfinkiel-Rajs była wyjątkowo piękną kobietą, ale uroda nie ułatwiała jej życia. Przeciwnie. Spotykała się z wyraza-

mi zazdrości ze strony niektórych koleżanek, a nawet złośliwymi plotkami. Być może to było jednym z powodów, że w roku 1946 wyemigrowała do Francji, gdzie wyszła powtórnie za mąż. Z informacji Romana Śląskiego, kronikarza i byłego prezydenta Lublina, wynika, że Langfusowie byli znaną rodziną Żydów lubelskich, mieli m.in. biuro buchalteryjno-korespondencyjne „Buch-Kor" przy Krakowskim Przedmieściu 32.

Anna Langfus zajęła się w Paryżu pracą literacką, z którą związana była od najmłodszych lat. W Liceum Unii Lubelskiej dyrektorka wydała Annie pozwolenie na publikowanie w czasopiśmie młodzieżowym „Filomata" prób jej młodzieńczej imaginacji. Zaczęła pisać, mając 15 lat. W 1952 roku ukończyła sztukę o tematyce wojennej *Trędowaci* (*Les lepreux*), którą w 1956 roku wystawił teatr l'Alliance Française. W 1960 roku wyszła u Gallimarda jej pierwsza książka *Sól i siarka*, którą wydano w nakładzie 7 000 egzemplarzy. Już po tej powieści autorka miała otrzymać „Goncourtów", ale ze względu na podobieństwo tematyki z nagrodzoną w 1959 roku książką André Schwarz-Barta *Ostatni sprawiedliwy* zrezygnowano z tego zamiaru. Dopiero w 1962 roku powieść *Bagaże z piasku* (*Les bagages de sable*) uczyniła z Anny Langfus laureatkę jednej z najważniejszych nagród literackich świata – Prix Goncourt.

Anna Langfus tak mówi o powstaniu swej nagrodzonej powieści: „Zaczęłam ją pisać w 1961 roku całkowicie z wyobraźni. Chciałam sobie udowodnić, że potrafię napisać książkę bez związku z moimi przeżyciami. Miała być lekka, komercyjna. Nakreśliłam konspekt i zdałam sobie sprawę, że nie dam rady. Wtedy wróciłam do podłoża wojennego. Zachowałam zresztą w tekście pierwotną banalną osnowę, ale pogłębiłam ją przez wojnę. Książka jednak pozostała imaginacyjną. Nie ma nic wspólnego ze mną oprócz tego, że pisana jest w pierwszej osobie. Będę nadal korzystać z kanwy wojennej, bo kiedy chcę od niej odejść, okazuje się, że nie potrafię nic napisać".

Bohaterką *Bagaży z piasku* jest polska Żydówka przybyła po wojnie do Paryża, której całą rodzinę wymordowali hitlerowcy. Gdy Anna Langfus opowiada o przeżyciach wojennych, o swych rozczarowaniach, o charakterach ludzkich, które nie wytrzymały próby wojny, przypomina się niejeden fragment jej powieści: „Widziałam człowieka, który stał na drugim człowieku, leżącym na ziemi, jedną nogą na żołądku, drugą na gardle. Trzeci rozkazywał mu: «Naciskaj, duś. Daję ci dziesięć minut, aby umarł. Jeśli nie, to ty umrzesz.» I człowiek naciskał, starał się. Przestawił nawet nogi. Prawą, silniejszą postawił na gardle ofiary, aby poszło szybciej. Widziałam później tego samego człowieka. Opatrywał rannych, dzień i noc, a gdy miał kawałek chleba, dzielił się nim. No i teraz sami osądźcie fakty".

Anna Langfus nie spodziewała się nagrody Goncourtów. W wywiadzie z Jerzym Hordyńskim powiedziała: „Wiedziałam oczywiście, że kandyduję. Moja książka nawet miała już przed tym pewien rozgłos i była tłumaczona, ale na nagrodę nie liczyłam. Była to dla mnie zupełna niespodzianka. Nawet nie czekałam na rezultat posiedzenia jury w domu. Szukano mnie po całym Paryżu. [...] kiedy mi gratulowano i zakomunikowano wynik konferencji, nie byłam szczęśliwa. Byłam zdziwiona. Życie było za silne, aby nawet to bardzo wielkie wyróżnienie mogło na mnie wpłynąć. Człowiek żyje porównaniami. A pamięć jest silniejsza od wszystkiego. Moim największym pragnieniem jest mieć spokój wewnętrzny. Niestety, jest to nieosiągalne".

Od chwili wyjazdu do Francji Anna Langfus nie odwiedziła Polski, ale mówiła świetnie po polsku i w wywiadach wspominała zawsze swą lubelską przeszłość. Po przybyciu do Paryża mieszkała koło Porte de la Vilette. Pracowała jako nauczycielka matematyki, następnie przeprowadziła się do Sarcelles, nowoczesnego osiedla pod Paryżem, i zajęła się już tylko pisaniem.

Wspomnienia o Annie Sternfinkiel

Tak się złożyło, że w mojej klasie uczyła się córka pastora ewangelickiego Genia Missolówna – nawet przyjaźniłyśmy się, bywałyśmy u siebie; nie byłam również wroga w stosunku do Żydówek – w mojej klasie wśród 37 uczennic było ich pięć: Adela Zajdenfeld, Miriam Wolberżanka (jej starsza siostra, absolwentka „Unii", studiowała już w tym czasie na Sorbonie w Paryżu), Ida Rozenbaum, Regina Herman, Hanka Szternfinkiel; cztery pierwsze z nich były córkami kupców; Hanka Szternfinkiel pochodziła z rodziny lekarskiej (jej ojciec był lekarzem wojskowym w stopniu oficerskim). Poza Gimnazjum ss. Urszulanek i Gimnazjum Biskupim, które były przeznaczone wyłącznie dla młodzieży katolickiej, kwestia wyznania religijnego w naszym gimnazjum nie odbiegała od sytuacji w innych lubelskich szkołach średnich. Wprawdzie Żydówki miały swoje prywatne Gimnazjum Humanistyczne Szperowej przy ul. Niecałej 3, ale z powodów tylko im (a raczej ich rodziców) znanych wolały być uczennicami innych szkół.

W latach trzydziestych pod patronatem polonistki Zofii Kruszewskiej już nie kółko literackie, ale polonistyczne rozwinęło poważną działalność. Stąd wywodzą się znane talenty: Anna Kamieńska, Hanna Szternfinkiel, Julia Hartwig. Spośród nich międzynarodowym wyróżnieniem Prix Goncourt już w okresie powojennym została uhonorowana moja klasowa koleżanka Hanna Szternfinkiel za powieść *Bagaże z piasku*, w tym czasie nosiła ona nazwisko Anna Langfus, gdyż pod fałszywym nazwiskiem udało się jej zbiec z Polski w okresie okupacji niemieckiej i okrutnych gett.

Janina Smolińska
(z Archiwum Historii Mówionej
Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN")

W tłumie na Krakowskim Przedmieściu mignęła mi kiedyś filigranowa sylwetka Hanki Szternfinkel[1], byłej koleżanki klasowej z „Unii". Nigdy nie byłyśmy sobie na tyle bliskie, abym teraz usiłowała wyłuskać ją z tego tłumu albo szukać możliwości spotkania. Była to piękna dziewczyna, która zawsze wydawała mi się kruchą, porcelanową miniaturką swojej pięknej, majestatycznej matki. Była niezmiernie egzaltowana, a ja w latach szkolnych, podobnie zresztą jak i w późniejszym życiu, miałam mało zrozumienia i tolerancji dla kruchości i egzaltacji. Już w szkole ujawniły się jej humanistyczne uzdolnienia. Była ulubienicą (też nieco egzaltowanej) madame Helmanowej, a także, co było znacznie większą sztuką, prof. Pliszczyńskiej. Była bez wątpienia najlepszą łacinniczką w naszej klasie.

Chyba tylko jeden raz w latach szkolnych byłam w jej domu (ul. Lubartowska, za rogiem Browarnej) i dłużej z nią rozmawiałam. Mogło to być w IV czy V klasie. Hanka zapytana, co zamierza robić po maturze, przeciągnęła się jak młody kociak i powiedziała:

– Chciałabym zostać kurtyzaną...

Nie wiem, w jakim stopniu spełniło się to marzenie. Doszły mnie odległe słuchy,

[1] Pisownia i wymowa imienia i nazwiska Anny Langfus w relacjach i cytacie pozostawione bez zmian [przyp. red.].

że po wojnie próbowała kariery scenicznej. Ostatecznie jednak znalazła swoją własną drogę do literatury. W 1946 roku zamieszkała w Paryżu i tam wyszła jej książka, niosąca echa okupacyjnych przeżyć i znamienny tytuł *Bagaże z piasku*. Książka ta została wyróżniona nagrodą Akademii Goncourtów w 1962 roku. Ciężko chora na serce, zdążyła wydać jeszcze przed śmiercią dwie czy trzy nieznane mi powieści. Nosiła nazwisko swojego drugiego męża: Langfus.

Krystyna Modrzewska,
Trzy razy Lublin,
Lublin 1991, s. 99-100

Muszę wspomnieć o jeszcze jednej osobie, która związana była ze mną i Lublinem i którą później spotkałam we Francji. Gdy jeszcze uczyłam się w gimnazjum „Unii", moją koleżanką z klasy była Anna Langfus. [...] Przed wojną nazywała się Szternfinkiel, a jej ojciec był oficerem wojska polskiego w lubelskim garnizonie. Jeszcze przed wojną Hanka Szetrnfinkiel wyszła za mąż za Jakuba Rajsa, który studiował w Bolonii, we Włoszech. Rajsowie byli również zamożną rodziną lubelską. Jakub wrócił do Polski specjalnie dla niej i tu zginął w czasie wojny. Ona sama uratowała się dzięki pomocy Niemca, który zakochał się w niej i ją ukrył. Po wojnie zamieszkała pod Paryżem w małym miasteczku, gdzie mieszkali przeważnie Żydzi z Afryki Północnej. Warunki życia miała straszne. Mieszkała w kwaterunkowym mieszkaniu razem z córeczką. Była bardzo biedna. Aż wreszcie wydała swoją książkę – wspomnienia z lat okupacji, zatytułowane *Bagaże z piasku*. [...] Książka ta zdobyła nagrodę Goncourtów – francuskiego Nobla literackiego.

Pamiętam, że na krótko przed jej śmiercią widziałam ją w telewizji francuskiej. To był jej ostatni wywiad i zarazem spotkanie z tym Niemcem, który ją uratował w czasie wojny. Wyglądało to jak spowiedź jej życia. Wkrótce potem dowiedziałam się, że popełniła samobójstwo. Żyła w ciągłej depresji i nie wytrzymała.

Zofia Weiser
(z Archiwum Historii Mówionej
Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN")

Jak gdyby wewnątrz kuli zwieszonej
w przestrzeni, niewiadomi kruchości naszego
schronienia, graliśmy w pokera, podczas gdy
na tysiącach swych nóg, jedząc tysiącami
swych ust, niosąc śmierć tysiącami rąk,
nieugięcie posuwała się bestia.
Nocą weszła bez szmeru do miasta
i zamieszkała w środku snu ludzi.

Anna Langfus

Kurs przygotowawczy

Kiedy pan Luka się śmiał, głowę odrzucał do tyłu i wtedy widać było tylko jego trzęsący się brzuch. Mogło się wydawać, że to z niego właśnie wydobywały się dziwaczne dźwięki objawiające wesołość. Kolejne stłumione odgłosy tak bardzo sugerowały dokonywanie jakiegoś strasznego mordu, że świadków takiego ataku ogarniał niepokój. Pan Luka właśnie się śmiał i być może dlatego nie usłyszeliśmy, jak nadlatywały. Gdy już je spostrzegliśmy, były ponad nami i przecinały jednolicie niebieskie niebo. Błyszczały w słońcu niczym małe przyrządy, cenne i precyzyjne. Matka patrzyła na nie z zachwytem, w jej oczach tańczyły promyki. Spoglądałam na męża siedzącego u mych stóp i trzymającego dłoń przy czole, żeby osłonić oczy przed słońcem. Tego dnia wszyscy byliśmy na balkonie, akurat po obiedzie. Światło wycinało w metalu ogrodowe liście. Dwóch pracowników naprawiało płot. Mieli powolne ruchy, oni też sprawiali wrażenie otępionych wyjątkowym upałem tego wrześniowego dnia. Pojawiły się inne samoloty, jakby wyłoniły się z lazuru, i teraz starannie tkały oka niewidzialnej sieci.

– No tylko popatrzcie – mówił pan Luka, którego głowa ponownie pojawiła się na ramionach – i niech mi nikt nie mówi, że nie potrafimy się bronić. Patrzcie tylko na to i przyznajcie, że mamy powody do dumy. A ile ich jest... Polska się szykuje – w jego głosie brzmiała godna mężczyzny determinacja.

Ojciec właśnie nalał sobie trzecią filiżankę herbaty i uśmiechał się błogo. Drzewa w ogrodzie przebudziły się wstrząśnięte nagłym drgnieniem, choć nie było najlżejszego podmuchu wiatru. Następna bomba spadła po drugiej stronie ogrodzenia, tego naprawianego przez dwóch ludzi. Widziałam, jak padli na ziemię. Ojciec zatrzymał filiżankę przy ustach i teraz odstawiał ją ostrożnie, jakby świadom jej niezwykłej kruchości. Pan Luka rozpaczliwie powtarzał:

– To pomyłka, mówię wam, że to pomyłka, zwykła pomyłka...

Brwi mojej matki złączyły się, tworząc głęboką zmarszczkę, przez którą z jej twarzy znikała cała młodość.

– Dzieci, chodźcie do domu – powiedziała – chodźcie szybko.

Jej głos był jakby złą imitacją jej samej. Grzecznie wróciliśmy do jadalni i nie bardzo wiedząc, dlaczego, usiedliśmy wokół wielkiego stołu, na naszych normalnych miejscach. Usłyszeliśmy, jak jedno za drugim zamykają się okna. To niania pospiesznie oddzielała nasz mały świat od zewnętrznego zamieszania. Wybuch trzeciej bomby połączył się z hałasem naszego kryształowego lustra padającego na stół. Nikt nie poruszył się, poza panem Luką, który z grymasem na twarzy usiłował wydostać się z fotela aż nazbyt nim wypełnionego. Miałam przed sobą fragment żyrandola, w którym światło uwalniało swe kolory. Na hałas odsuwanego krzesła podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak matka znika w kuchni. W tej samej chwili napotkałam twarz męża. Jego czoło przecinała rozmazana smuga krwi. Na moment ujrzałam wówczas rycinę ilustrującą

jedną z moich starych książek historycznych, na której pod sklepieniami jakiejś piwnicy torturowano człowieka. Rzuciłam się na Jacka i objęłam go mocno. Z gardłem ściśniętym przez nowe, nieznośne uczucie potrafiłam tylko jedno: powtarzać jego imię. On, przekonany, że po prostu boję się samolotów, próbował mnie pocieszać.

– Już poleciały – mówił – nie wrócą, już po wszystkim...

Usłyszałam, jak za mną niania wykrzykuje:

– Jezus, Maria! Panie Jacku, pan jest ranny...

– Ja? – zapytał zdziwiony Jacek i delikatnie mnie odsunął. Przeciągnął dłonią po czole, była czerwona od krwi.

Wróciła mama, w rękach miała cały zestaw różnych środków farmaceutycznych. Z pewnością siebie zabrała się za mego męża i dokładnymi, bezbłędnymi ruchami przemyła ranę, zdezynfekowała i przy pomocy przylepca nałożyła opatrunek. Przez cały ten czas niania powtarzała:

– To już koniec świata, koniec świata...

Pan Luka wydostał się z fotela i stał tak, przestraszonym wzrokiem śledząc ruchy matki. Jego brzuch stracił nieco ze swej arogancji i sprawiał wrażenie, jakby trochę obwisł, jak balon, z którego zeszła połowa powietrza. Po cichu próbował jeszcze oszukiwać sam siebie.

– To na pewno pomyłka. W czasie manewrów zdarzają się pomyłki...

Zaczęło się prawdziwe bombardowanie, którego preludium mielimy już za sobą. Bomby spadały prawie bez przerwy, wybuchając raz w oddali, raz blisko, zmieniając bicie naszych serc w nieprzewidywalny sposób. Kawałki lustra na stole zaczęły nagle wibrować, zmieniając się w brzęk światła i barw. Usłyszeliśmy, jak na kawałki rozpada się szyba w jednym z pokojów. Zauważyłam, że wąsik ojca drżał tylko z jednej strony, bardzo śmiesznie, jakby poruszany nerwowym tikiem. Pan Luka uczepił się kredensu. Mama z pomocą Jacka starannie zbierała resztki lustra rozrzucone po całej jadalni. Robiła to spokojnie, z wyrazem powagi, który sugerował, że jedyną rozsądną w tej chwili rzeczą było właśnie zrobienie tu porządku.

– Pani Mario, myśli pani, że to jeszcze długo potrwa? – zapytał cichutki głos, który należał do pana Luki. – Muszę wracać do domu. Tak, naprawdę – upierał się – pora na mnie.

Okupacja. Zbombardowana kamienica przy Magistracie. Ze zbiorów Romana Krawczyńskiego.

– Jeśli ma pan odwagę iść, niech pan idzie. A jeśli nie, to niech pan poczeka i postara się o spokój.

Luka zapomniał o strachu i rzucił mej matce złośliwe spojrzenie.

– Podobno z Żydami nie żartują. – Odczekał parę sekund, by sprawdzić efekt swych słów, których jedynym rezultatem było ponowne poruszanie się wąsów mego ojca, potem powtórzył, starannie oddzielając sylaby: – Podobno z Żydami wcale nie żartują.

Dom zadrżał i miałam wrażenie, że podłoga pod stopami kołysze się. Pan Luka znów miał swój pokorny i niepewny głos.

– Może lepiej byłoby zejść do piwnicy.

– Drzwi do piwnicy są naprzeciw schodów, po prawej – powiedziałam.

Już nie wydawał mi się śmieszny. Wcale nie podobała mi się ta chwila. Chciałam, żeby jego odpychająca, blada twarz czym prędzej znikła. Nie trzeba było wskazywać mu drogi. Ledwie skończyłam mówić, a już dreptał w kierunku drzwi, które zostawił za sobą otwarte.

– Niemcy będą tu mieli przynajmniej jednego sojusznika – powiedziała matka.

Bomby spadały prawie bez przerwy,
wybuchając raz w oddali, raz blisko,
zmieniając bicie naszych serc
w nieprzewidywalny sposób.

Zabrzmiały jeszcze dwa czy trzy głuche, dalekie wybuchy, bardzo nisko przeleciał jakiś samolot, a potem nastąpiła cisza. Twarz ojca odprężyła się. Podszedł do kredensu, wyjął butelkę likieru i kieliszek. Napełnił go, odwrócił się w naszą stronę:

– Muszę się wzmocnić.

Było to jego normalne powiedzenie, którym usprawiedliwiał się za każdym razem, gdy brała go ochota na kieliszek likieru. I nie trzeba było niczego więcej, byśmy uwierzyli, że wszystko będzie nadal toczyć się tak, jak kiedyś, że nasz codzienny porządek będzie nieskończenie trwał, mimo wojny, mimo Niemców.

– To, co opowiadają o Niemcach – powiedział ojciec – wydaje mi się mocno przesadzone. Co tak naprawdę o nich wiadomo, co robią, czego nie robią? Nic. Nic dokładnego. Moim zdaniem, głupio poddawać się pogłoskom, których nikt nie sprawdził.

Z łokciem na kredensie, kieliszkiem w dłoni, ojciec z pogodą ducha wykładał racje stojące za tym, że nie należy się niepokoić. Nie słuchaliśmy go. Mówiliśmy wszyscy na raz, śmialiśmy się, żartowali, by jak najszybciej przywrócić tę równowagę przez moment zachwianą.

– A gdybyśmy tak zagrali w pokera? – zaproponował Jacek.

W ciągu następnych dni dużo graliśmy w pokera. Świadomie odwracaliśmy się plecami do przyszłości. Liczył się jedynie fakt, że jesteśmy razem, we własnym gronie, w naszym małym zamkniętym świecie. Do szyb, żeby nie wypadały, przykleiliśmy na krzyż papierowe taśmy i od tej chwili sądziliśmy, że jesteśmy bezpieczni. Bombardowania nie były już w stanie nas poruszyć. Nie czuliśmy, żeby nas dotyczyły. Bomby spadały, a my graliśmy w pokera.

Jeden z moich dawnych przyjaciół nabrał zwyczaju przyłączania się do nas. Zanim usiadł, kładł przed sobą na stole maskę. Dużo wówczas mówiło się o bombach gazowych. Gdy tylko słychać było pierwsze wybuchy, odkładał karty, mówił grzecznie: „Przepraszam" i nakładał maskę na dolną część twarzy. Potem z całą prostotą wracał do gry.

Jak gdyby wewnątrz kuli zwieszonej w przestrzeni, daleko od ziemi, niewiadomi kruchości naszego schronienia, graliśmy w pokera, podczas gdy na tysiącach swych nóg, jedząc tysiącami swych ust, niosąc śmierć tysiącami rąk, nieugięcie posuwała się bestia. Nocą weszła bez szmeru do miasta i zamieszkała w środku snu ludzi.

Była to noc jak inne, spokojna. Tak jak robiłam to będąc dzieckiem, aż do ślubu, pierwsza poszłam spać, bo w zupełnie naturalny sposób od powrotu do tego domu wróciłam do swych starych przyzwyczajeń. Docierające do mnie głosy osób dorosłych, mego męża i rodziców, zapewniały mi poczucie spokoju, bezpieczeństwa, to samo uczucie, które mi zawsze towarzyszyło, gdy już byłam w łóżku i które pochodziło stąd, że to inni czuwali, inni decydowali, inni wiedzieli, co trzeba robić w każdej sytuacji, a ja nie musiałam się niczym zajmować. Później pojawiła się niania z odwiecznym nocnikiem w garści. Mogłam za każdym razem protestować, denerwować się, mówić, że jestem dość dorosła, by wstać, wszystko na darmo. Z zagniewaną twarzą niania odpowiadała tylko: „Oczywiście, że wstaniesz z gołymi nogami i zachorujesz. Zbyt dobrze cię znam". Jeśli upierałam się,

Jeden z mych dawnych przyjaciół nabrał zwyczaju przyłączania się do nas. Gdy tylko słychać było pierwsze wybuchy, odkładał karty, mówił grzecznie: „Przepraszam" i nakładał maskę na dolną część twarzy. Potem z całą prostotą wracał do gry.

zapewniając ją, że nie odczuwam w nocy potrzeb, mówiła: „Tego nikt nie może wiedzieć zawczasu". I zostawiała nocnik koło łóżka, na widoku. Patrzyłam na niego, masywną postać z białej porcelany, która zdawała się drwić sobie ze mnie. Zazwyczaj zaraz po wyjściu niani szybko wpychałam nocnik pod łóżko. Ale nie tego wieczoru. Nie mogłam od niego oderwać oczu i widziałam go jako coś szyderczego i dającego poczucie bezpieczeństwa. W wyobraźni nadawałam mu wyraz złośliwej poczciwości, nieco ciężkawy i figlarny. Należał do tych prostych i solidnych rzeczy, na których opiera się codzienny świat. Dobry karzeł, duch opiekuńczy, bożek ogniska domowego.

Z zaskoczeniem, i niezadowoleniem, zadawałam sobie pytanie, dlaczego się go wstydziłam, dlaczego za wszelką cenę chciałam go ukryć. I myślałam również o niani, o jej pocałunkach pachnących praniem, tytoniem i dziwnie wanilią. Przed wyjściem znów powiedziała: „Pan Jacek jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, ale nie powinno się jeszcze wydawać cię za mąż". Wychodziła z tymi słowami co wieczór. Czułam się wobec niej winna. Winna, że na cały rok wyjechałam z mężem za granicę, że byłam w posiadaniu innego życia, innych zwyczajów, innych twarzy. Myślałam o jej zazdrości wobec wszystkich kolejnych guwernantek, u których zawsze znajdowała jakąś niewybaczalną wadę tak, że matka – zmęczona tą

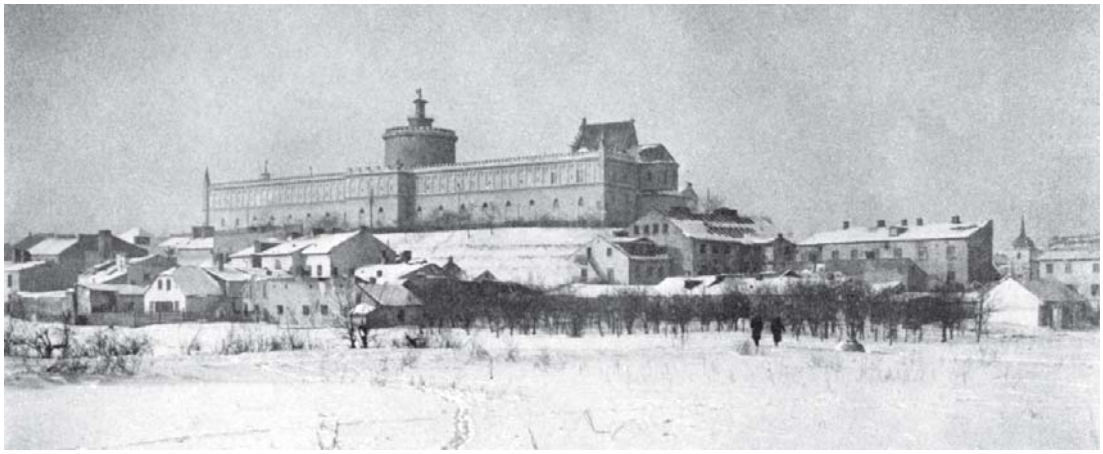

Widok żydowskiego Podzamcza od strony południowo-wschodniej. Ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

ciągłą wojną – odsyłała jedną i brała następną, jak się okazywało, jeszcze gorszą. Nie były to myśli nowe. Ale zamiast odpędzać je, jak robiłam to dotychczas, tego wieczoru przebywałam z nimi długo, podążałam za nimi przez całe dzieciństwo tak, jak rzuca się ostatnie spojrzenie na dobrze znany pejzaż, zanim opuści się go na zawsze.

Niedługo po wyjściu niani przez pokój przeszła matka. Zawołałam ją. Pochyliła się, żeby mnie pocałować, a ja przytuliłam się do niej mocno.

– Co ci jest? – zapytała. Nadal ściskałam ją bez odpowiedzi. – Postaraj się spędzić jeszcze jedną spokojną noc.

– Naprawdę myślisz, że oni...?

– Myślę, moja mała, że będziesz musiała szybko wydorośleć.

Prostokątna plama oświetla pokój. Pośrodku stoi ojciec, w piżamie, z gołymi stopami. Uderzenia do drzwi na chwilę milkną, potem są jeszcze gwałtowniejsze. Ojciec nie rusza się. Jacek, też obudzony, siedzi na łóżku, nasłuchuje. Dociera do nas głos mamy, jeszcze zaspany.

– Co się dzieje?

Nikt jej nie odpowiada. Jesteśmy tak, we troje, bez głosu i ruchu, a uderzenia w drzwi stają coraz bardziej niecierpliwe. Matka przechodzi szybko przez pokój i znika w korytarzu. Słyszymy stukanie jej pantofli, gdy idzie w kierunku drzwi.

– Kto tam? – pyta, a jej głos jest wyjątkowo spokojny.

Odpowiedź pada natychmiast, jedno słowo, wyraźne, a jego ciężar w jednej chwili burzy równowagę oczekiwania i przenosi nas do świata strachu:

– *Aufmachen*!

Wyskakuję z łóżka. Stojąc obok sparaliżowanego ojca, słyszę odgłos zdejmowanego łańcucha, zgrzyt przekręcanego zamka, lekkie skrzypnięcie otwieranych drzwi.

– Spaliśmy... – mówi matka po niemiecku.

– Przykro mi – mówi drugi głos, bezosobowy. – Ilu jest tu mężczyzn?

– Dwóch.

– Wiek?

– Pięćdziesiąt trzy lata i... Proszę posłuchać...

Ale drugi nie słucha. Ciężki krok zbliża się i wiązka latarki elektrycznej omiata półcień pokoju, zatrzymuje się na twarzy ojca, obnaża jego drżący wąs i powie-

ki mrugające na oszalałych oczach. Potem kolej na mnie. Światło zatrzymuje się na długo, a potem odkrywa Jacka.

– Pan – mówi człowiek ukryty za oślepiającym światłem latarki – pan się ubierze i pójdzie ze mną.

Rzucam się do przodu, potrącając dzielącą nas wiązkę światła. Udaje mi się złapać go za rękaw.

– On nie może z panem pójść – mówię, próbując zbudować zdanie po niemiecku. – Jest chory, bardzo chory.

– Zapalcie światło – mówi, jakby mnie nie słyszał.

Ktoś przekręca wyłącznik i mężczyzna staje między nami: około czterdziestu lat, szeroki w ramionach, ciało niemal kwadratowe. Jego oczy wydają się być wycięte z zielonkawej tkaniny munduru. Jest to tylko człowiek, człowiek jak inni. I strach mnie opuszcza.

– Nie może pan zabrać go ze sobą – mówię twardo.

Patrzy na mnie, w przezroczystej koszuli nocnej, z uśmieszkiem, jaki miałby każdy mężczyzna na jego miejscu. Nabieram jeszcze więcej pewności.

– Wiedziałam, że pan mnie zrozumie.

W jednej chwili jego uśmiech znika.

– Przykro mi, mam rozkaz, żeby zabierać wszystkich mężczyzn zdolnych nosić broń.

– Ale ja pana zapewniam...

Wobec tej twarzy, która stała się jak z kamienia, nie znajduję więcej słów.

– Opór jest bezcelowy – mówi jeszcze. – To rozkaz.

Jacek podnosi się i zaczyna ubierać, spokojnie, metodycznie.

– Szybciej – mówi Niemiec.

– Dokąd pan go zabiera? – pytam, uginając się w ten sposób przed jego wolą.

– Będzie przetrzymywany jako zakładnik. Chcemy mieć pewność, że pani rodacy zachowają spokój. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce go pani zobaczy.

Jacek kończy się ubierać. Już do mnie nie należy. Należy do tego człowieka w zieleni o twarzy bez wyrazu. Kiedy jest gotów, mama podaje mu płaszcz nieprzemakalny. Zwyczajny gest, jakim go bierze, sprawia, że tracę głowę. Już nie myślę o budowaniu zdań; urywanymi słowami, po niemiecku, po polsku, czepiam się tego człowieka, którego noc rzuciła między nas, błagam go, żeby nie zabierał mi męża, żeby mnie zabrał, zabił... Odsuwa mnie jednym ruchem ramienia, a w jego oczach odbija się cień pogardy. W chwili, gdy wychodzą obaj, zaczynam krzyczeć, krzyczeć coraz głośniej, matka przytrzymuje mnie, przyciska do piersi, niewzruszona, niezłomna.

Stukają za nimi drzwi i w tym samym momencie staję się spokojna. Ojciec ciągle tu jest, nieruchomy, w piżamie, ze śmiesznymi wąsami drżącymi tylko po jednej stronie. Zauważam chowającą się w kącie nianię. Wszyscy troje mają oczy wbite we mnie, oczy przepełnione litością. Matka próbuje delikatnie mnie pogłaskać. Odpycham ją. Ten gniew, dla którego pożywką jest moja bezsilność, powoli obraca się przeciw nim.

– No na co czekacie? Kładźcie się spać. W ciepłych łóżkach będzie wam lepiej. Nie ma co odgrywać komedii. Nigdy go nie kochaliście. Odebrał mnie wam. Może nigdy nie wróci, może go zabiją... Ale mnie też nie zobaczycie. Idę! Idę!

W pośpiechu, myląc się, zakładając ubrania na lewą stronę, z wściekłością próbując raz jeszcze, ubieram się. Ojciec nie jest już nieruchomy. Robi w moją stronę krok.

– Spójrz na matkę – mówi – spójrz na nią. Ona już więcej nie zniesie.
– O nie, nie to, żadnego szantażu. Nie zrobiliście nic, żeby go zatrzymać, nic!
– Sama widziałaś, że nie dało się nic zrobić.

Moje śmieszne zachowanie, niepotrzebna podłość, daremne błagania, w jednej chwili wszystko powraca.

– Nienawidzę was! Nienawidzę! Idźcie sobie!

Niania wychodzi ze swego kąta i robi w moim kierunku gest. Ale matka powstrzymuje ją, wyprowadza, potem sama wychodzi, zabierając ojca.

Jeden, jedyny raz próbuję na siłę wepchnąć nogi do butów, i kiedy mi się to udaje, zadaję sobie pytanie, po co to robię, w jakim celu. Wszystko, co zdarzyło się tej nocy, przesuwa się nagle do najbardziej odległej przeszłości. Jestem tu, na krześle, siedzę od całych wieków. Boli mnie. Nie bardzo wiem co. Coś we mnie. Bardzo dawne cierpienie, które korzeniami sięga dalej niż pamięć. Dlaczego jestem tu sama? Gdzie są inni? Moje spojrzenie zatrzymuje się na jakimś punkcie blisko łóżka. Na jakimś czarnym, błyszczącym przedmiocie. Po dłuższej chwili przed oczami jawi mi się mgła. Odwracam głowę... Mgła rozwiewa się i moje spojrzenie pada na skórzany pantofel Jacka. Zrywam się i krzyczę: „Mamo!" Natychmiast obejmują mnie ramiona, ściskają mnie, kołyszą, kołyszą...

... Aż do chwili, gdy uświadamiam sobie, że za oknami wstaje nowy dzień. Mówię spokojnie:

– Wychodzę. Muszę dowiedzieć się, dokąd go zabrali.
– Bądź ostrożna – tylko tyle odpowiada matka.

Delikatnie zamykam za sobą drzwi. Ulica jest pusta. Długo maszeruję, zanim spotkam pierwszego w tym dniu człowieka. „Są tam, mówi mi, na placu przy Lipowej". Rzeczywiście tam są, na środku placu w gromadzie, ciemnej masie, w której nie można rozpoznać żadnej twarzy. Od świata oddziela ich kordon nie-

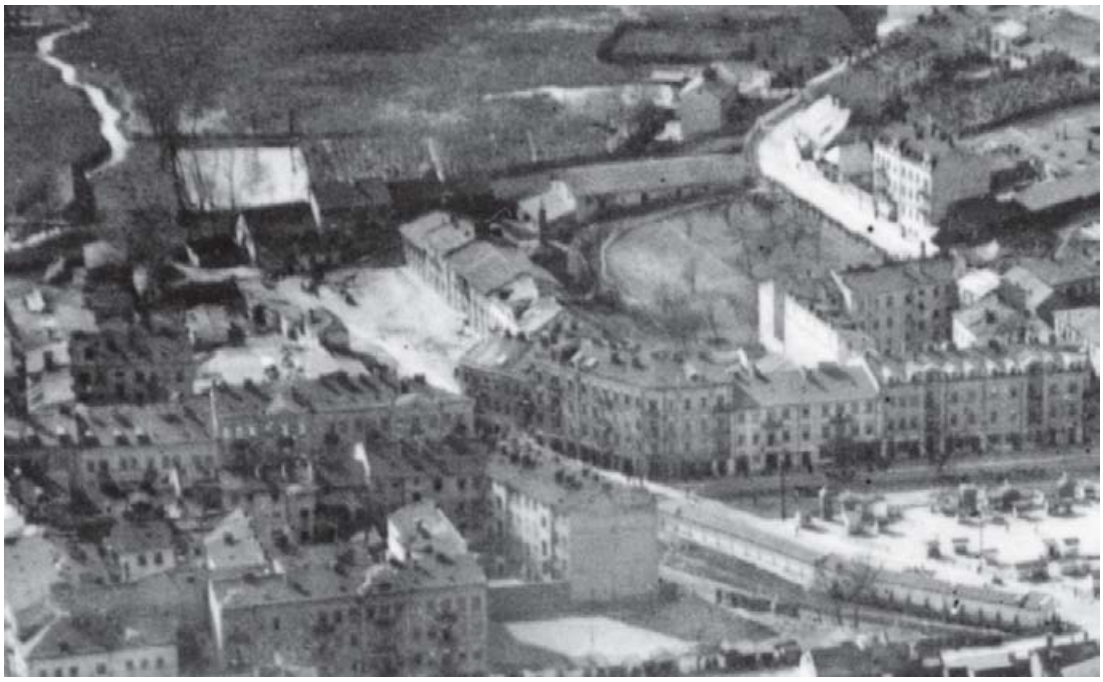

Róg ul. Browarnej (biegnącej wzdłuż Czechówki) i Lubartowskiej. Tu mieszkała Anna Sternfinkiel. Fot. ze zbiorów Jakuba Kamińskiego.

mieckich żołnierzy. Powolnym krokiem idę wzdłuż nich i zatrzymuję się przed każdym, uważnie się przyglądam, szukając szczeliny, przez którą mogłabym się wśliznąć. Czuję jednak, że mogłabym dwiema pięściami walić w te twarde piersi i nawet jedno oko by nie mrugnęło. Tylko jeden młody żołnierz uśmiecha się do mnie. Może z powodu tego uśmiechu... jedynej luki w tej barierze. Podchodzę bliżej, pokorna, błagająca. Wysłuchuje mnie i kręci głową. Nie, nie może mnie przepuścić. Zabronione. Rozkaz to rozkaz. Upieram się. Uśmiech znika, spojrzenie kieruje się ponad moją głową, w dal. Okrążam tak wiele razy ogromny plac przy Lipowej, przechodząc od jednej do drugiej niedostępnej figury z kamienia. Gdy jestem już zbyt zmęczona, siadam na ziemi, potem zaczynam od nowa. Jedno spojrzenie, wyraz twarzy, choćby bardzo przelotny, ironia czy ciekawość wystarczają, bym uwierzyła w cud, że pojawi się tu człowiek, do którego będę mogła przemówić, którego będę mogła błagać, przekonywać. Ale słowa opadają niczym garść żwiru rzuconego o mur. W końcu umiem tylko machinalnie powtarzać: „Proszę mnie przepuścić... proszę mnie przepuścić..."

Ul. Krawiecka. Fot. Józef Czechowicz. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

Następnego dnia zakładnicy zostali zwolnieni. Spotkałam Jacka w drodze na plac przy Lipowej. Potrzebowałam niewiele czasu, żeby powrócić do starych przyzwyczajeń. Znów zaczęłam wychodzić. Z Julią. Julia była dużą melancholijną dziewczyną z długim nosem, gorzko wykrzywionymi ustami, która na wszystkich młodych mężczyzn, jakich zdarzyło nam się spotkać, patrzyła ze smutkiem. Jej wielką obsesją i udręką była miłość. Z braku czegoś innego, był to jedyny temat jej rozmów. Przypadkiem rzucone na mnie spojrzenie wystarczało jej do natychmiastowego snucia najbardziej nieprawdopodobnych intryg. I właśnie dlatego wychodziłam z nią. Potrzebowałam towarzystwa istoty, dla której poza historiami miłosnymi nie liczyło się nic. Musiałam żyć, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Julia i ja odwracałyśmy się od rzeczywistości plecami. A nie było to łatwe. Na ulicach dźwięczały obce słowa, spojrzenie napotykało twarze, które niosły nam niepewność i strach. Ale po jakimś czasie nauczyłam się być wobec woli ślepa i głucha. Nie chciałam ani widzieć, ani słyszeć rzeczy, które mogłyby zaburzyć życie, jakie wiodłam, poza czasem. Aż do dnia, gdy spotkałam tego starego Żyda siedzącego na stopniu naszych schodów.

Siedzi z głową schowaną w dłoniach. Nie można przejść. Stoję przed nim, ale zdaje się nie zauważać mojej obecności. Mówię:

– Przepraszam, proszę pana.

Nie rusza się. Koniuszek jego brody drży i dopiero wtedy pojmuję, że on płacze.

– Przepraszam pana, chciałam przejść.

Podnosi głowę, widzę jego wypukłe i czerwone oczy. Mruczy jakieś słowo, którego nie rozumiem, próbuje szybko wstać. W tym ruchu, niepewnym, spada mu z głowy melonik i toczy się ze stopnia na stopień. Rzucam się za nim w pogoń, ale on przede mną ucieka i zatrzymuje się dopiero na parterze. Podnoszę go, otrzepuję. Stary Żyd ciągle siedzi na tym samym stopniu. Musiał wycierać łzy rękami o wątpliwej czystości, bo na twarzy widać szerokie, czarne, wilgotne smugi.

– Pana kapelusz – mówię.

Bez słowa bierze go i nakłada z powrotem na głowę. Podnosi się, chce zejść stopień niżej, nie trafia nogą, chwyta się poręczy.

– Przepraszam, jestem starym człowiekiem.

Z powrotem siada, tym razem prawie przyklejając się do ściany, by zostawić mi przejście. Mówię:

– Proszę pójść ze mną. Nie może pan tu zostać.

Jego olbrzymie oczy przez chwilę wydają się wychodzić z twarzy.

– Niedługo sobie pójdę. Nie będę nikomu przeszkadzał.

Biorę go pod rękę.

– Chodźmy.

Z trudem pomagam mu wstać. Podtrzymuję go i w ten sposób pokonujemy te kilka schodów prowadzących do naszych drzwi. Otwiera je niania.

– A co to? – pyta podejrzliwie.

– Pan wypije u nas filiżankę herbaty. Jest zmęczony i musi odpocząć.

Sadzam go w kuchni, a niania bez słowa, z niezadowoloną miną, kilka chwil potem stawia przed nim filiżankę herbaty.

Mecenas Kaganowski to mój syn. Wyrzucił mnie.
Nie trzeba go potępiać. On boi się.
Taki stary jak ja, którego natychmiast można rozpoznać,
to dla niego niebezpieczne.

– Panienka się bardzo kłopocze – mówi stary człowiek. – Jestem po prostu bardzo zmęczony. Przeszedłem dwadzieścia kilometrów.

– To nie jest pan stąd?

– Nie. Tutaj mieszka mój syn, adwokat Kaganowski – prostuje się nieco – Mecenas Kaganowski to mój syn.

– Znam go – mówię. – Mieszka na trzecim piętrze. Ale dlaczego zostawił pana w takim stanie?

Spogląda nagle jak zwierzę schwytane w pułapkę. Stare pomarszczone ręce otwierają się i mówi:

– Wyrzucił mnie.

– No kto by pomyślał? – odpowiada zza niego niania. – Ależ to szmata, ten pana syn.

Starzec żywo podnosi głowę.

– Nie trzeba tak mówić, proszę pani. Nie trzeba go potępiać. On boi się.

– Wszyscy się boją – ripostuje niania. – To wojna.

– Proszę pani, on jest Żydem. Taki stary jak ja, którego natychmiast można rozpoznać, to dla niego niebezpieczne. Proszę pani, Żydzi są w niebezpieczeństwie. W śmiertelnym niebezpieczeństwie. U nas już się zaczęło. Już pięciu zamordowano. Nie powinienem był się bać. Jestem starym człowiekiem. Ale bardzo się bałem. Więc przyszedłem tu, do syna. To mój błąd.

– Niech pan pije swoją herbatę – mówi niania. – Pana syn to łajdak.

– Nie, proszę pani, był zawsze dobrym chłopcem. Ale teraz boi się. Czekają nas okropne rzeczy.

Pije herbatę i wstaje.

– Bardzo dziękuję. Wracam do siebie.

Po pewnym czasie, kiedy to nie wychodziłam z domu, odnalazłam Julię. Mijają dni, słodko puste. Nadeszła zima i śnieg, a wielkie kaflowe piece wypchane

są węglem. Tego popołudnia świętujemy moje urodziny. Włożyłam najpiękniejszą sukienkę, w kieliszkach tańczy szampan. Dzięki szampanowi wszystko staje się proste. Piję więc nadal, żeby wszystko było jeszcze prostsze, łatwe. Jedynie Julia i ja pozostałyśmy przy stole, inni goście, zgromadzeni w salonie, palą, rozmawiają, grają w karty. Oglądam nos Julii, który wydaje mi się wydłużać ponad miarę.

– A gdybyśmy tak poszły na spacer?

– Spacer? – pyta zachwycona. – Jak?

– Zobaczysz. Wyjdź po cichu, ubierz się i poczekaj na mnie przy drzwiach.

Kilka chwil później, opatulone futrami, schodzimy po schodach. Na dworze wieczorny śnieg jest niebieskawy. Przechodzimy przez podwórko i przed domem bardzo głośno krzyczę: „Dorożka!"

Budzi się dźwięk dzwonków, z cienia wyłaniają się sanie.

– Gdzie jedziemy? – pyta woźnica, jakby wycięty z wielkiej ciemnej masy sań, gdy my sadowimy się na siedzeniu.

– Wszystko jedno gdzie – mówię. – Byle jechał pan szybko.

Sanie od razu wzlatują. Płyniemy opustoszałymi ulicami, a chwiejne fasady cicho zapadają się za nami. Dzwonki dzwonią jak kpiąca przestroga. Chwytam się ramienia Julii i udaje mi się stanąć. Rzuca się na mnie wiatr. Krzyczę:

– Szybciej, jeszcze szybciej. Jeśli pojedzie pan szybciej, zapłacę podwójnie.

– Siadaj – zaklina mnie Julia – jesteś kompletnie pijana.

Woźnica strzela z bata. Ulica rzuca się na spotkanie z nami. Przygaszone latarnie rysują szarość nocy. Opadam na siedzenie i natychmiast wstaję.

Za oknami, w swych łóżkach śpią ludzie. To mordercy.
Każdy z nich śpi z trupem pod łóżkiem.
Człowieka, którym byli wczoraj, zabili.
To niebezpieczne dla człowieka z dziś, rozumiesz?

– Patrz, moja Julciu, patrz na te domy. Za oknami, w swych łóżkach śpią ludzie. To mordercy. Każdy z nich śpi z trupem pod łóżkiem. Takim małym ślicznym trupem z ich twarzą, tym samym, którego mieli jeszcze wczoraj, żeby rozmawiać, śmiać się, jeść. Rozumiesz? Nic nie rozumiesz. No więc człowieka, którym byli wczoraj, zabili. To niebezpieczne dla człowieka z dziś, rozumiesz? Zabili, udusili, khhh! Potem wpycha się trupa pod łóżko, żeby go nie oglądać.

– Siadaj – błaga Julia – nie wiesz, co mówisz.

– Doskonale wiem, co mówię. Ja też to zrobiłam. Tyle że nie dość mocno ścisnęłam. Szkoda. Czasami mój trup budzi się, wyłazi spod łóżka i przychodzi na pogawędkę. No powiedz, moja droga, nie masz swojego trupa? Chyba dlatego, że jesteś za głupia. Ale nie przejmuj się, nawet ty będziesz inteligentna. Wszyscy będą. Ta wojna jest naszą jedyną szansą, byśmy wszyscy stali się inteligentni. Woźnica! Niech mi pan powie, zabił pan?

W odpowiedzi woźnica przeciwstawia mi nieruchome plecy. Julia ciągnie mnie za ramię i usiłuje posadzić.

– Z pewnością jest pan już gotów, co, woźnica? Na te czasy nieżywych. Bo czasy się zmienią. Stanie się pan nagle ważną postacią. Może nawet będą się pana

bać. Może dawni klienci będą się nisko kłaniać. Jestem pewna, że już od dawna jest pan do tego przygotowany.

– Proszę zawrócić – krzyczy Julia. – Już nie mogę jej utrzymać.

Ale krzyczę głośniej niż ona.

– Szybciej! Szybciej! Naprzód! To ja płacę.

Połknęłam jednak trochę za dużo zimnego powietrza. Brak mi tchu. Opadam na siedzenie.

– Proszę zawrócić, zawrócić natychmiast – błaga Julia.

Już nie reaguję. Wszystko staje mi się obojętne. Czuję, że jestem śmieszna i smutna. Sanie zawracają. Zanurzam się w cieple futrzanego kołnierza i zamykam oczy.

Przy wysiadaniu z sań Julia musi mi pomóc i do mieszkania prawie mnie niesie.

Dziś rano gorączka opadła. W tajemniczy sposób świat ponownie układa się w półcieniu. Wokół mnie poruszają się ręce, pospiesznie spełniając życzenia, zanim je nawet wypowiem. Cicho się do mnie mówi, podnosi mi głowę, żebym się napiła. Jest to świat życzliwy, lekki, łatwy. Sen nadchodzi, gdy słucham dających poczucie bezpieczeństwa głosów, które mruczą w sąsiednim pokoju.

... Dotykają mego czoła, zadają mi pytania. Milczę. Zamykam oczy i milczę. Wzbraniam się przed dniem. Pomiędzy rozsuniętymi zasłonami pada światło. Wzbraniam się przed nim. Nie chcę tego pokoju, który światło obnaża. I zamykam się przed słowami pełnej lęku czułości, aż ten ochraniający mnie niepewny świat zostanie mi wreszcie zwrócony.

Mogę teraz bez trudu przewrócić się w łóżku na drugi bok, ręce pod poduszkami szukają świeżego chłodu. Mam przede wszystkim wolny czas, żeby litować się nad długą chorobą, nad mą młodością, nad studiami przerwanymi przez wojnę. Czerpię z tego trochę satysfakcji.

Zaakceptowałam wreszcie dzień i obecność za oknem drzew, nieruchomość ich gałęzi uspokaja mnie. Czytam, gram w karty, wołam raz jedną osobę, raz drugą, bez powodu, tylko dla przyjemności posłuchania, jak mnie besztają, zobaczenia pochylonej nade mną twarzy na niby obrażonej.

Później musiałam dać się ubrać. Ale natychmiast kładę się na łóżku.

– Bolą mnie nogi – mówię. – Nie mogę chodzić.

Wygrywam w ten sposób jeszcze tydzień.

Dzisiaj zrobiłam w pokoju kilka kroków, ostrożnie. Ten pokój jest dla mnie za duży i śpiesznie z powrotem się położyłam. Wczesnym popołudniem przychodzi z wizytą Julia. Towarzyszy jej wysoki i przystojny wojskowy. Podaje mi miękką dłoń i opada na kanapę obok Julii, umalowanej, podnieconej i rozgadanej.

– Przedstawiam ci mojego narzeczonego – mówi i kładzie głowę na jego ramieniu. Ten nie porusza się. Jest blady i obojętny.

Julia nie pozwala już, by jej twarz uginała się pod ciężarem nazbyt długiego nosa. Teraz unosi go z dumą, niczym dar dla mężczyzny, którego sobie znalazła. Ale on zdaje się jej nie widzieć. Nie wydaje się też, by słuchał opowieści Julii o jej jedynej i nadzwyczajnej historii miłosnej.

– Mieszka w obozie jeńców żydowskich – mówi. – Raz w tygodniu ma prawo wyjść na cały dzień. – Ale ona go widuje codziennie, tam, w obozie. – Wygląda już dużo lepiej. Kiedy go spotkałam, był to prawdziwy szkielet. Prawda, kochanie? – Po raz pierwszy spogląda na mnie.

– Julia codziennie przynosi mi paczkę – mówi.

I natychmiast z powrotem ma nieobecną minę, natomiast Julia jest coraz bardziej rozmowna. Wreszcie wstaje i mówi głosem właściciela:

– No dobrze, kochanie, pójdziemy.

Chłopiec znów podaje mi miękką dłoń. Dopiero po ich wyjściu uświadomiłam sobie upływ czasu. Jestem chora już od dawna, a na zewnątrz dzieją się różne rzeczy.

Trzy dni później wyrzucają nas z mieszkania i zajmujemy dwa malutkie pokoiki. Wszędzie wokół ulice odgrodzone są drutem kolczastym. Na próżno próbowaliśmy przekonać nianię, by z nami tu nie szła. Tu, wśród Żydów, ryzykuje życie, mówiliśmy jej. Ale ona odpowiadała: „W moim wieku to nie ma znaczenia, jeśli ktoś trochę pomoże umrzeć". Kiedy jednak jeden z dwóch naszych pokojów zabrano dla uchodźców niemieckich i stało się oczywiste, że nie ma już dla niej miejsca, pogodziła się z odejściem. Pomogłam jej zapakować mały tobołek, który zabierała ze sobą. Błagała mnie:

– Chodź ze mną. Nie zostawaj tu...

Przytuliłam ją do siebie całą drżącą.

– Wszystko będzie dobrze, nianiu – mówiłam. – To tylko zła chwila, która minie.

Dogoniłam ją na schodach i włożyłam jej w ramiona mojego kota.

– Zabierz go, nianiu. To nie jest miejsce dla kota.

Wieczorem wróciła gorączka i przez wiele tygodni byłam zamknięta w tym obcym pokoju, boleśnie zderzając się z nieobecnością niani.

Po drugiej stronie życie toczy się nadal. Ludzie chodzą tam, wolnym krokiem, szybkim krokiem, zgodnie ze swoimi zwyczajami. Kilka metrów dalej, na brzegu chodnika, dwie kobiety zajęte są żywą rozmową. Wydaje się, że mnie nie widzą. W rzeczywistości są w odległości nie do zmierzenia. Pomiędzy nami jest ta siatka z drutu najeżonego kolcami. Kręci mi się w głowie. Wyszłam po raz pierwszy i niezbyt dobrze trzymam się na nogach. Przytrzymuję się drutów kolczastych. Ukłucie w palec sprawia, że natychmiast je puszczam. Patrzę, jak na końcu kciuka rośnie kropla krwi. A więc żyję. Za drutami kolczastymi jeszcze żyjemy. Egzystujemy. Wracam do domu, rozbieram się i kładę twarzą do ściany. Już więcej nie wyjdę.

Znamienny fragment Podzamcza podsumowujący kilkusetletnią historię miasta. W swoim obrębie zawiera świątynie trzech wyznań i dwa targowiska. Począwszy od prawego górnego rogu i posuwając się zgodnie ze wskazówkami, zegara widzimy: Kościół św. Mikołaja na wzgórzu Czwartek (dawniej przy ul. św. Mikołaja, dziś Szkolnej), prawosławną cerkiew na ul. Ruskiej, gmach Wielkiej Synagogi oraz nowy targ żydowski z charakterystyczną linią jatek wzdłuż Czechówki (do dziś jedno z większych miejsc targowych w Lublinie). Pośrodku stary targ żydowski u zbiegu Szerokiej, głównej ulicy Miasta Żydowskiego, i Ruskiej, niegdyś traktu biegnącego na wschód. Dziś również jest tam targ. Fot. ze zbiorów Jakuba Kamińskiego.

Mogę teraz godzinami siedzieć na łóżku i obserwować mamę, jak niezdarnie obiera ziemniaki, przypatrywać się jej wysiłkom, by na małej spirytusowej kuchence przygotować posiłek dla nas czworga. Patrzę, jak wysuwa koniuszek języka, podobnie jak dzieci starające się dobrze wykonać trudne zadanie. Czasami głośno udziela sobie rad. Mówię: „Jeszcze trochę cierpliwości i dostaniesz order". Nie przychodzi mi na myśl, żeby zejść z łóżka i jej pomóc.

Jacek pracuje na zewnątrz. Pewnego wieczoru po powrocie mówi nam, że niedługo będzie kontrola. Podobno ci, którzy nie mają kart pracy, będą wysłani do obozów. Kładę się spać wcześniej niż zwykle. Łóżko stało się moim schronieniem przed myślami, strachem i wstrętem do życia w tej ciasnej przestrzeni. Karta pracownika chroni tylko jego żonę i dzieci. Moi rodzice są więc skazani na deportację. Po powrocie z pogawędki u sąsiadów ojciec triumfalnie ogłasza, że znaleźli wspaniałą kryjówkę, w której będą mogli przeczekać kontrolę. Uspokojona, próbuję zasnąć. W gruncie rzeczy, ta wojna to sprawa dorosłych.

Nadchodzi dzień kontroli. Niemcy zajmują opustoszałą ulicę, przed każdym domem stawiają jednego ze swoich. Jestem w pokoju sama, w ręce ściskam papiery. Panuje cisza wszystkich wstrzymanych oddechów. Nie znam miejsca, gdzie dwa piętra wyżej ukrywają się rodzice. Ponieważ nie mogę umiejscowić ich w żadnej znanej mi scenerii, uważam ich odtąd za straconych.

Drzwi otwierają się i drżącymi rękami podaję dokumenty.

– Nie trzeba tak płakać – mówi Niemiec – papiery są w porządku. Nic złego panią nie spotka.

Drzwi łomocą pod uderzeniami pięści, wszystkie. Jestem w tym samym miejscu, ręce zaciśnięte na dokumentach, które oddał mi Niemiec. Boję się coraz bardziej i nie przestaję płakać. Na odgłos pierwszych strzałów łzy zatrzymują się. Żeby otworzyć drzwi, trzeba mi bardzo dużo czasu. Przede mną schody rozwijają swe niezliczone stopnie. Widzę, jak dwa piętra wyżej Niemiec, który sprawdzał moje papiery i tak grzecznie do mnie przemawiał, zamyka za sobą drzwi. Dostrzegając mnie, uśmiecha się. Potrącam go po drodze. Gdy wchodzę, cisza panująca nad tymi struchlałymi postaciami pęka jak bańka mydlana. Wszyscy na raz zaczynają wyć. Jakaś kobieta podnosi ręce do gardła i szybkim ruchem rozrywa bluzkę. Idę od jednego do drugiego, potrząsam nimi, nawet nie zdają sobie sprawy z mojej obecności. Wyję razem z nimi: „Moi rodzice, moi rodzice..." Kobieta z podartą bluzką opada na kolana i jej głowa kiwa się z prawej na lewą, z lewej na prawą, wydobywa się z niej ciągle ten sam długi i monotonny skowyt. Nad jej ramieniem odkrywam trupy. Są tam, w ciasnym pomieszczeniu pod skośnym dachem. Trzeba się schylić, żeby je zobaczyć. Dwóch mężczyzn, dwie kobiety i dwoje dzieci, splątani jedni z drugimi. Dzieci są pod spodem. Odwracam się do reszty i krzyczę:

– Gdzie są moi rodzice?

Ale tu, w tym pokoju, nie istnieję. Wychodzę, nie zamykając za sobą drzwi, i schodzę po schodach. Potem, bez powodu, staję, siadam na jednym stopniu i moja głowa zaczyna się kiwać z jednego ramienia na drugie, z prawego na lewe, z lewego na prawe. Aż wesoły głos ojca pyta mnie:

– Co ty tu robisz, na schodach?

Schodzą oboje, on i mama.

– Byliśmy na strychu – cieszy się ojciec. – Kryjówka nie wydawała mi się w końcu zbyt pewna. Ale, do diabła, co ty tu robisz? I co to było, te wszystkie strzały?

– Wszyscy nie żyją – odpowiadam obojętnym głosem.
– Kto?
– Ci z kryjówki.
– No to miałem nosa – mówi ojciec tryumfalnie.
Mama siada koło mnie, na brudnym stopniu. Powtarza łagodnie:
– Już po wszystkim, malutka, po wszystkim...
Kiwam głową i, nie patrząc na nią, wstaję. Wracam do domu, kładę się, nakrywam głowę kołdrą.
Wieczorem wraca Jacek, blady i spięty. Mówi się już o kolejnych kontrolach.
– Zawsze mamy strych – mówi ojciec.
– Pójdą na strych, zejdą do piwnicy – mówię. – Przenikną mury. Będą mieli nas wszystkich.
Kilka chwil potem przychodzą rodzice Jacka. Wstajemy, żeby ustąpić im miejsca, ale wydają się tego nie zauważać. Stoją nieruchomi.
– Mają zlikwidować wszystkie getta – mówi teściowa – wszystkie poza gettem w Warszawie.
Ojciec wzrusza ramionami.
– Skąd to wiadomo?
– Zostańcie tu, jeśli tak chcecie. My wyjeżdżamy do Warszawy. To nasza jedyna szansa. – Później w oczach mojej teściowej już nie istniejemy. Zwraca się wyłącznie do Jacka. – Trzeba wyjechać jak najszybciej.
Jacek, między swoimi rodzicami i nami, robi krok w naszym kierunku i mówi:
– Zastanowimy się.

W środku nocy zaczęłam krzyczeć:
– Jedźmy stąd, mamo, jedźmy, jedźmy stąd...[1]

Przełożyła z francuskiego Hanna Abramowicz

[1] Pierwszy rozdział niepublikowanej po polsku autobiograficznej powieści *Sól i siarka* (*Le sel et le soufre*, 1960), uhonorowanej wysoką szwajcarską nagrodą literacką Prix Charles Veillon [przyp. red.].

Okupacja. Widok z Placu po Farze na dzielnicę żydowską po wysiedleniu getta. Ze zbiorów Romana Krawczyńskiego.

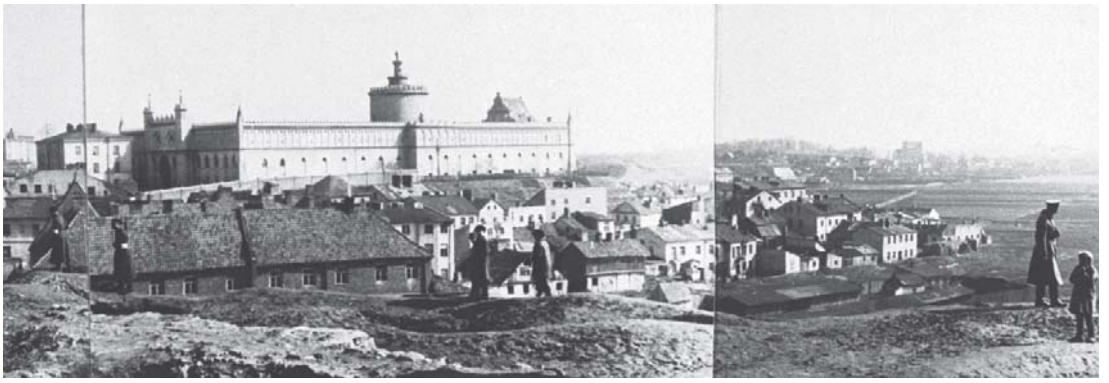

Jakub Glatsztejn

Lublinie, moje święte miasto

Lublinie, moje święte żydowskie miasto, miasto wielkiej żydowskiej nędzy i radosnych żydowskich świąt. Twoja żydowska dzielnica pachniała świeżym razowym i sitkowym chlebem, kiszonymi ogórkami, balsaminką, śledziem i żydowską wiarą. Bóżnica chasydów, synagogi Maharama i Maharszala, bóżnice i bóżniczki rzemieślników okrywały, rzec można, aurą świętości powszedni handel. Omączeni tragarze, którzy stali w oczekiwaniu na parę groszy, wpadali od czasu do czasu do chasydzkiego domu modlitwy nacieszyć się atłasowym brzmieniem śpiewnych głosów.

Lublinie, moje święte miasto, miasto rozbudzonej walki klasowej. Twoi krawczykowie i szewczykowie, czeladnicy i służący powstali, by zaprowadzić sprawiedliwość, równość, braterstwo dla wszystkich „towarzyszy i obywateli". Święty ogień rozjaśniał im wzrok, kiedy szli radośnie do więzienia śpiewając po drodze rewolucyjne pieśni.

Lublinie, moje święte miasto spragnionych wiedzy chłopców i dziewcząt, pełne świeżych jak pierwszy bez woni odradzającego się języka hebrajskiego i smakowitości dumnego jidysz, miasto „Hazomiru"[1], stowarzyszeń zawodowych, naszej wspólnej tęsknoty za Odessą i Warszawą, naszych fascynacji Bialikiem, Friszmanem, Mendele, Perecem, Szołem Alejchemem i Rejzenem. Moje miasto rozmarzonych malarzy, poetów i skrzypków.

Święte miasto moje, z prastarym i nowym cmentarzem, z ohelami cadyków, grobami, do których nie można się zbliżać, chyba że w wielkiej potrzebie, bo ziemia dosłownie żarzy się od świętości.

Lublinie, miasto moje, wyprosiłeś dla siebie ten zaszczyt, że kiedy będzie płonąć półtora miliona Żydów, ma to nastąpić w cieniu twojej niemal tysiącletniej żydowskiej obecności. Ów święty cmentarz przypadł właśnie tobie, aby ze wszystkich twoich świętych cmentarzy stał się grobem dla jednego wielkiego cadyka – żydowskiego narodu. Zdejmuję buty ze stóp, kiedy wchodzę do lasku Majdanka. Ziemia jest tam uświęcona, bo naród żydowski spoczywa w niej w cieniu setek pobożnych pokoleń.

Kto cię podniesie z ruin i odbuduje, moje święte miasto, skoro zostałeś zniszczony do samych podstaw i jesteś jedną przerażającą macewą. Przybija się dachówki, kładzie dachy, reperuje i porządkuje stary, paskudny świat, ale mojego świętego miasta, miasta mojego świata nikt już nigdy nie odbuduje.

Przełożyła z jidysz Monika Adamczyk-Garbowska

[1] „Hazomir" – Towarzystwo Muzyczno-Literackie założone w 1908 roku.

Jakub Glatsztejn

Umarli nie chwalą Boga

Na górze Synaj przyjęliśmy Torę,
A oddaliśmy ją w Lublinie.
Umarli nie chwalą Boga,
Tora ma służyć żywym.
I tak jak wszyscy razem
Staliśmy przy nadaniu Tory,
Tak samo umarliśmy wszyscy w Lublinie.

Kędzierzawej głowie, pobożnym oczom
Drżącym ustom małego żydowskiego dziecka
Wplotę cudowności
W tę straszliwą opowieść.
Dla niego rozgwieżdżę żydowskie niebo
I powiem mu tak:
Żydowski naród jest ognistym słońcem
Od początku do początku, do początku.
Uczże się, chłopczyku, mój żydowski chłopczyku,
Od początku do początku, do początku.
Ten cały wyśniony naród
Stał na górze Synaj
I przyjmował Torę.
Umarli, żyjący, jeszcze nie narodzeni.
Wszystkie żydowskie dusze odparły:
Będziemy słuchać i usłuchamy.
Ty, najsmutniejszy żydowski chłopcze ze wszystkich pokoleń,
Stałeś także przy górze Synaj.
Twoje nozdrza wdychały zapach
Rodzynków i migdałów każdego słowa Tory.
Był Szwues, święto zieleni.
Ty jak ptak zaśpiewałeś z innymi:
Będę słuchać i słyszeć, słyszeć i słuchać
Od początku do początku, do początku.

Żydowski chłopcze, naznaczone jest twoje życie
Na rozgwieżdżonym żydowskim niebie,
Nigdy cię nie brakło,
Nie mogło cię brakować.
Żywiliśmy nadzieję i modliliśmy się,
Zawsze kiedy byliśmy, ty także byłeś.
A kiedy zostaliśmy zniszczeni,
Zgasłeś razem z nami.

I tak jak razem
Staliśmy przy darowaniu Tory,
Tak samo wszyscy umarliśmy w Lublinie.
Zewsząd nadleciały drogie nam dusze
Przeżyte, młodo umarłe,
Dręczone, we wszystkich ogniach wypróbowane,
Jeszcze nie pochowane,
Wszyscy zmarli Żydzi, począwszy od pradziada Abrahama,
Byli w Lublinie przy wielkiej zagładzie.
Wszyscy, którzy stali na górze Synaj
I przyjmowali Torę,
Wzięli na siebie świętą śmierć.
My chcemy umrzeć z całym narodem,
My chcemy jeszcze raz być umarli,
Jęczały dusze.
Matka Sara, matka Rachela,
Miriam i prorokini Debora,
Umarły z modlitwą i śpiewem.
Mojżesz, nasz nauczyciel, który tak nie chciał umrzeć,
Kiedy przyszedł jego czas,
Umarł raz jeszcze.
I jego brat Aaron
I król Dawid
I Majmonides, wileński gaon,
Maharam i Maharszal,
Widzący i Abramele Eiger
I z każdą świętą duszą,
Która odeszła w bólu,
Umarły setki dusz
Drogich umarłych Żydów.

A ty, słodki chłopcze, także tam byłeś.
Ty, naznaczony na gwieździstym żydowskim niebie,
Byłeś tam także i umarłeś.
Słodko jak gołąb wyciągałeś szyję
I śpiewałeś z matkami i ojcami naszego narodu
Od początku do początku, do początku.

Zamknij oczy, drogi żydowski chłopcze,
I przypomnij sobie, jak Bal Szem Tow kołysał cię
W ramionach,
Kiedy cały wyśniony naród
Umierał w komorach gazowych Lublina.

A nad komorami gazowymi
I świętymi duszami umarłych
Dymiła samotna góra Synaj.
Chłopcze z kędzierzawą głową,
Pobożnymi oczyma i drżącymi ustami,
To ty przecież, cichy, mały, samotny
Otrzymałeś na nowo Torę.
Stałeś na górze Synaj i płakałeś,
Wlewałeś swoje łzy w umarły świat
Od początku do początku, do początku.

I tak płakałeś:
Torę przyjęliśmy na górze Synaj,
A oddaliśmy ją w Lublinie.
Umarli nie chwalą Boga.
Tora ma służyć żywym.

Przełożyła z jidysz Monika Adamczyk-Garbowska

SŁOWNICZEK SKOJARZENIOWY wybranych pojęć kultury żydowskiej

Słownik ten zestawia wybrane hasła, które pojawiały się w numerze, są decydujące dla zrozumienia judaizmu lub mogą z innych względów okazać się interesujące dla polskiego czytelnika. Kultura żydowska jest ściśle definiowana przez obco brzmiące dla innowierców, zapisywane w różny sposób i łatwe do pomylenia terminy, głównie religijne, których znaczenia i wagi trudno domyślić się z kontekstu. Dlatego kluczem do ich zestawienia w tym słowniczku było pokrewieństwo danych haseł (wspólny kontekst lub znaczenie), co powinno ułatwić ich wzrokowe zapamiętanie i skojarzenie. Kolejność umieszczenia haseł również jest próbą oddania powiązania między nimi, na co warto zwrócić uwagę, aby dostrzec „ciągłość" judaizmu (a także jego związki z chrześcijaństwem), z której czytelnik może nie zdawać sobie sprawy, natrafiając na pojedyncze pojęcia rozrzucone w różnych tekstach.

Żydowski kalendarz i święta doroczne

Kalendarz żydowski składa się z 12 lub 13 miesięcy księżycowych osadzonych w systemie roku słonecznego, a są to: **nisan**, **ijar**, **siwan**, **tamuz**, **aw**, **elul**, **tiszri**, **marcheszwan**, **kislew**, **tewet**, **szwat** i **adar.** Z powodu ponadjedenastodniowej niezgodności między liczącym 354 dni rokiem księżycowym a 365-dniowym rokiem słonecznym 7 razy na 19 lat wprowadza się rok przestępny z dodatkowym miesiącem (*adar* II). Dzięki temu święto **Paschy** wypada zawsze na wiosnę, a inne święta zgodnie z cyklem uprawy roli. Pierwotnie początek miesiąca ustalał *Bejt Din* (grupa rabinów) w Jerozolimie na podstawie zeznań świadków o ukazaniu się nowiu (po nim następowało poświęcenie nowego miesiąca). Jeśli do trzydziestego dnia nie pojawił się żaden świadek, wówczas trzydziesty pierwszy dzień starego miesiąca stawał się pierwszym nowego i obchodzony był jako Święto Nowiu – *Rosz Chodesz*. Było to comiesięczne pomniejsze święto trwające dzień lub dwa, podczas którego dodawano do zwykłej liturgii psalmy (tzw. *halel* – zestaw psalmów 113-118 w wersji skróconej) oraz dodatkową modlitwę (tzw. *musaf* – nawiązujący do tradycji modlitwy ofiarniczej). W 3 dni po tzw. *moladzie*, czyli narodzinach księżyca, o ile jest on widoczny, odbywa się pod gołym niebem (w sobotni wieczór) ceremonia uświęcenia go – *kidusz lewana*. Obrzęd ten wyraża nadzieję, że Bóg przywróci światłu księżyca jego dawny blask, a Izraelowi jego dawną świetność, w czasach mesjańskich bowiem pełnia księżyca będzie trwała przez cały miesiąc. Na szczytach wzgórz, począwszy od Góry Oliwnej, rozpalano ogniska, a posterunki obserwacyjne na innych wzniesieniach zapalały z kolei swe własne światło sygnalizacyjne, póki wieści o ogłoszeniu nowego miesiąca nie dotarły do żydowskich gmin w diasporze. Czasami wiadomość o nowym miesiącu przesyłano przez posłańców. Wielu Żydów żyjących w rozproszeniu dla pewności obchodziło każde święto przez dwa kolejne dni. Od IV wieku początek miesiąca wyznaczano za pomocą obliczeń matematycznych, a nie obserwacji nowiu. Z powodu pewnej niedo-

kładności w obliczeniach co 216 lat dodaje się jeden dzień, co w efekcie może doprowadzić do tego, że Pascha przestanie być świętem wiosennym.

nisan – pierwszy miesiąc księżycowy kalendarza hebrajskiego, licząc od Paschy, lub siódmy od świąt Nowego Roku (Rosz ha-Szana). Zaczyna się zwykle na przełomie marca i kwietnia. Pierwszy dzień nisan uważa się za początek nowego rocznego cyklu świąt i oznacza panowanie królów. W połowie tego miesiąca (czternastego dnia) przypada święto **Pesach**.

Pesach (hebr. ominąć) – święto upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu (*Exodus*). Jednocześnie święto wiosny i wolności. Obchodzone od 14 do 22 **nisan**, podczas pierwszej wiosennej pełni księżyca po zrównaniu dnia z nocą. Dla upamiętnienia tego, że uciekający z Egiptu Żydzi nie mogli czekać, aż wyrośnie ciasto na chleb, w Pesach je się chleb niezakwaszony (macę). Wieczerza świąteczna ma ściśle określony porządek (zob. „Hagada i seder"). W synagodze czyta się Pieśni nad Pieśniami oraz recytuje *Halel* – psalmy dziękczynne.

ijar – drugi miesiąc licząc od Paschy lub ósmy od świąt Nowego Roku. Zaczyna się w kwietniu lub maju. Czternastego dnia miesiąca *ijar* przypada drugi *Pesach – Pesach Szeni*, obchodzony niegdyś przez tych, którzy byli podczas pierwszego rytualnie nieczyści lub nieobecni w Jerozolimie. Piąty dzień *ijar* to Dzień Niepodległości Izraela. Według tradycji szesnastego *ijar* po raz pierwszy spadła Izraelitom na pustyni manna z nieba.

siwan – trzeci miesiąc licząc od Paschy lub dziewiąty od świąt Nowego Roku; zwykle zaczyna się pod koniec maja lub na początku czerwca. Szóstego *siwan* (a w diasporze także siódmego) przypada święto **Szawout**.

Szawuot (hebr. tygodnie) – święto nazywane też Świętem Tygodni, Zielonymi Świętami, Pięćdziesiątnicą oraz Świętem Plonów, gdyż wtedy są pierwsze zbiory w Izraelu. Wypada zawsze na zakończenie siedmiu tygodni od Pesach. Istotą tego święta jest objawienie Boże, które dokonało się na Synaju i uobecnia się, jak wierzą Żydzi, za każdym razem podczas obchodów tego święta. Wtedy to Bóg podarował Narodowi Wybranemu dekalog. Tego dnia odczytuje się w synagogach fragment z Tory, który opowiada o dekalogu (zob. „Pisma"), a budynek domu modlitwy ubrany jest w kwiaty, zielone gałęzie oraz wstążeczki. Dekoruje się tak to miejsce na pamiątkę kwiecia, jakim okryła się góra Synaj (góra pustynna) w noc zstąpienia na nią Boga. Tej nocy Żydzi przez całą noc studiują Torę. Wszyscy czuwają, inaczej niż ci, którzy zasnęli, kiedy Mojżesz udał się na Synaj po Torę. Podczas czuwania w synagodze czyta się również Księgę Rut, przywołującą historię kobiety, która z własnej woli przyjęła judaizm, choć nie była Żydówką. Potomkiem Rut był Dawid, który umarł w to święto. Święto Pięćdziesiątnicy (7 dni x 7 tygodni od Święta Paschy + 1 dzień = 50 dni) opisane jest w Dziejach Apostolskich. To w czasie tych świąt apostołowie, tak jak wszyscy ówcześni Żydzi, czuwali, studiując Pismo Święte. Tej właśnie nocy, jak wierzą chrześcijanie został zesłany Duch Święty, który uzdolnił Apostołów do głoszenia Radosnej Nowiny o miłości Boga do wszystkich narodów na Ziemi. Od tej pory rozpoczynają się podróże misyjne Apostołów.

tamuz – czwarty miesiąc księżycowy kalendarza hebrajskiego, licząc od Paschy, lub dziesiąty od świąt Nowego Roku. Początek tego miesiąca przypada na przełom czerwca i lipca. Siedemnastego *tamuz* rozpoczyna się okres trzech tygodni po zburzeniu Świątyni, trwający do dziewiątego *aw*. W tym czasie nie urządza się wesel, nie gra na instrumentach muzycznych, a Żydzi ortodoksyjni nie nabywają nowych części odzieży. W niektórych gminach w okresie tym nie goli się brody ani włosów, a przez ostatnie 9 dni zaprzestaje spożywania wina i mięsa.

aw – piąty miesiąc kalendarza hebrajskiego od Paschy i jedenasty od świąt Nowego Roku. Zaczyna się w lipcu lub na początku sierpnia. Jest to najsmutniejszy miesiąc w roku, ponieważ podczas *aw* doszło do zburzenia zarówno Pierwszej, jak i Drugiej Świątyni. Tego dnia nie nosi się skórzanego obuwia, nie należy siadać na krzesła przed południem, *tefilin* zakłada się dopiero na modły popołudniowe, zabrania się mycia ciała oraz studiowania Tory. Nocą śpi się na twardym posłaniu, a niektórzy kładą sobie pod głowę zamiast poduszki kamień. Według tradycji w czasach mesjańskich dzień ten będzie radosnym świętem, gdyż Mesjasz odbuduje Świątynię. W synagodze tego dnia modlitwy odbywają się w przyćmionym świetle, czyta się Lamentacje Jeremiasza i intonuje specjalny hymn żałobny (*kinot*), śpiewany przy akompaniamencie westchnień i płaczu. Noc ta, nazywana także nocą płaczu, jest ustanowiona, jak niektórzy wierzą, na pamiątkę smutku, który zapanował wśród Izraelitów po wysłuchaniu relacji zwiadowców powracających z Ziemi Obiecanej (z ich słów wynikało, że Żydzi nie będą mogli jej zdobyć). Inną tragiczną datą związaną z tym świętem jest wygnanie Żydów z Hiszpanii (w roku 1492).

Tisza be-Aw – dziewiąty dzień miesiąca *aw*, Dzień Żałoby; upamiętnia katastrofy, które miały wydarzyć się w historii Żydów właśnie dziewiątego *aw* (zniszczenie Pierwszej i Drugiej Świątyni, zniszczenie Jerozolimy w 136 roku, wypędzenie Żydów z Hiszpanii w 1492 roku). W tym dniu obowiązuje ścisły post przez 24 godziny, odwiedza się cmentarze. Modlitwy w synagogach odbywają się przy świecach, ich uczestnicy siedzą na podłodze lub niskich ławach.

elul – szósty miesiąc księżycowy kalendarza hebrajskiego, licząc od **Paschy**, lub ostatni od świąt Nowego Roku. Miesiąc ten zaczyna się zazwyczaj pod koniec sierpnia. Jest to miesiąc poprzedzający **Jom Kipur** (Dzień Pojednania) – dlatego też nazywany jest czasem skruchy. W tym czasie każdy wierzący Żyd dokonuje obrachunku z własnym sumieniem i duchowego porządku. W niektórych gminach w Europie Wschodniej pobożni Żydzi spędzali ten czas w odosobnieniu, a po nabożeństwie porannym trąbiono w róg (*szofar*) budząc w ten sposób sumienia wiernych.

tiszri – siódmy miesiąc księżycowy kalendarza hebrajskiego, licząc od Paschy, lub pierwszy od świąt Nowego Roku (Rosz ha-Szana). Swój początek ma w połowie września. W Talmudzie wyrażono pogląd, że właśnie wtedy został stworzony świat, urodzili się wszyscy patriarchowie i tego miesiąca ma nadejść mesjańskie zbawienie. Pierwszy i drugi tiszri to **Rosz ha-Szana** (Nowy Rok), od tego momentu rozpoczyna się Dziesięć Dni Pokuty, podczas których, jak wierzą Żydzi, ważą się w Niebie losy każdego człowieka. W tym okresie w liturgii synagogalnej Bóg postrzegany jest jako Król-Sędzia sprawiedliwy. Dni postu poprzedzają **Jom Kipur** (Dzień Pojednania). Piętnastego dnia tego miesiąca rozpoczyna się następne święto żydowskie **Sukot**, dwudziestego pierwszego ostatni dzień Sukot (*Hoszana Raba*), a dzień później Ósmy Dzień Zgromadzenia (*Szmini Aceret*). Tiszri to miesiąc największych świąt żydowskich.

Rosz ha-Szana (hebr. głowa roku, głowa roku) – święto Nowego Roku, przypadające na jesień (pierwszy dzień *tiszri*). W Polsce znane pod nazwą Święto Trąbek. Modlitwom w synagodze towarzyszy dęcie w **szofar**, mające obudzić tych, którzy nie wiedzą o boskiej obecności. Święto rozpoczyna okres pokuty przed **Jom Kipur**, towarzyszy mu zwyczaj chodzenia nad rzekę i symboliczne strącanie grzechów do wody przy słowach modlitwy.

Jom Kipur (hebr. dzień pojednania) – święto pokuty i dwudziestoczterogodzinnego postu. Przypada na dziesiąty dzień miesiąca *tiszri*, czyli dziesiąty dzień roku

żydowskiego (licząc od Rosz Haszana). W Polsce znane pod nazwami: Sądny Dzień, Dzień Przebłagania, Dzień Przebaczenia, Dzień Zmiłowania, Dzień Postu, Wielki Dzień. Jedyne święto, do którego w diasporze nie dodaje się drugiego dnia, co wynika z trudności zachowania całkowitego postu przez 2 kolejne dni. Wszystkie rodzaje pracy są w Jom Kipur zakazane. Według tradycji tego dnia Mojżesz zszedł z góry Synaj z drugimi Tablicami Prawa (Dekalog) i oznajmił Żydom, że Bóg przebaczył im grzech kultu złotego cielca. Dlatego każdego roku w tym dniu Żydzi mogą oczyścić się z grzechów. Tradycyjnie Żydzi pozostawali przez cały Jom Kipur w synagogach, aż do dęcia w szofar i ostatniej modlitwy *Przyszłego roku w Jerozolimie*.

Sukkot – Święto Szałasów, znane też w Polsce pod nazwą Święto Kuczek. Upamiętnia stawianie szałasów w trakcie czterdziestoletniej wędrówki Żydów przez pustynię. Przypada na jesień, charakteryzuje je radość z zebranych plonów. W Torze napisane jest: „Będziesz obchodził Święto Szałasów przez siedem dni po zebraniu plonów z twego klepiska i twojej tłoczni. W to święto będziesz się radował ty, twój syn i córka, sierota i wdowa, którzy żyją w twoich murach. Przez siedem dni będziesz świętował ku czci Twego Pana, w miejscu, które sobie obierze Pan, za to, że błogosławi Pan, twój Bóg, we wszystkich twoich zbiorach i abyś był pełen radości". Obchody rozpoczynają się 15 *tiszri* i trwają 7 dni, podczas których Żydzi mieszkają w szałasach i odprawiają modlitwy. Szałas (*sukka*) powinien mieć przynajmniej trzy ściany i stać pod gołym niebem, tzn. nie pod drzewem ani w środku budynku, gdyż jego dach musi „pozwolić niebu przeniknąć do środka". W chłodniejszym klimacie nie pozostaje się w szałasach na noc, a tylko spożywa w nich posiłki. Do dziś w Polsce można spotkać namioty kuczkowe w formie obudowanych balkoników.

marcheszwan – ósmy miesiąc księżycowy kalendarza hebrajskiego, licząc od Paschy, lub drugi od świąt Nowego Roku. Rozpoczyna się zwykle pod koniec października. W miesiącu tym nie przypada żadne święto, stąd jego nazwa: *mar* – gorzki.

kislew – dziewiąty miesiąc, licząc od Paschy, lub trzeci od Nowego Roku; zaczyna się pod koniec listopada lub na początku grudnia. Dwudziestego piątego dnia miesiąca kislew rozpoczyna się święto **Chanuki**.

Chanuka (hebr. odnowienie, uświęcenie) – ośmiodniowe radosne Święto Świateł, wypadające w grudniu (od 25 *kislew*). Upamiętnia zwycięstwo Machabeuszy (ród kapłanów i książąt żydowskich pod rządami których rozkwitło niezależne państwo żydowskie) nad armią syryjską w 166 roku p.n.e. i oczyszczenie Świątyni Jerozolimskiej z profanujących ją posągów bóstw greckich. Święto trwa 8 dni, gdyż według legendy aż tak długo płonęły lampy w Świątyni, mimo niewielkiej ilości oliwy w nich zawartej. Ze świętem wiąże się zwyczaj zapalania świec przez 8 kolejnych dni w specjalnej ośmioramiennej lampie *chanukiji*.

tewet – dziesiąty miesiąc księżycowy, licząc od Paschy, lub czwarty od świąt Nowego Roku; rozpoczyna się w drugiej połowie grudnia. Ósmego dnia tego miesiąca 72 mędrców ukończyło pracę nad przekładem Biblii na grekę (zob. „Pisma – Tora"). Wydarzenie to zostało uznane później przez niektórych rabinów za przyczynę nieszczęść, gdyż była to jedynie niedoskonała parafraza. Dziewiąty *tewet* to dzień postu upamiętniającego początek oblężenia Jerozolimy przez Babilończyków, zakończonego zburzeniem Pierwszej Świątyni. To jedyny post, który przypada niekiedy w piątek.

szwat – jedenasty miesiąc księżycowy kalendarza hebrajskiego, licząc od Paschy, lub piąty od świąt Nowego Roku. Zaczyna się w drugiej połowie stycznia. Piętnastego dnia *szwat* przypada rolnicze święto Nowego Roku Drzew (*Tu Bi-Szwat*).

adar – dwunasty miesiąc księżycowy kalendarza hebrajskiego, licząc od Paschy, lub szósty od świąt Nowego Roku (Rosz ha-Szana). *Adar* zaczyna się w lutym lub w marcu; jest to miesiąc radosny, w którym przypada **Purim**, najweselsze święto judaizmu. Rok przestępny ma dwa miesiące *adar*, przy czym ten drugi traktowany jest wówczas jako właściwy, w którym wypada Purim. Siódmy dzień miesiąca *adar* jest rocznicą zarówno urodzin, jak i śmierci Mojżesza, a trzynasty to post Estery, poprzedzający Purim.

Purim (hebr. losy) – karnawał żydowski, okres przebierania się w fantazyjne stroje. Radosne święto ustanowione na pamiątkę udaremnienia pogromu Żydów perskich. Wieczorem oraz po porannych modłach odczytuje się Księgę Estery opisującą te wydarzenia. Z tej okazji znajomi przesyłają sobie prezenty, obdarowuje się biednych. Do późnej nocy trwają uczty, pije się wino.

Gwiazda Dawida

(hebr. *magen David* – tarcza, puklerz Dawida) – sześcioramienna gwiazda składająca się z dwóch trójkątów równobocznych, używana w czasach starożytnych przez różne ludy. Symbolizuje przenikanie się świata widzialnego i niewidzialnego. W judaizmie, chrześcijaństwie i islamie jest znakiem mesjańskim. Oficjalnym symbolem judaizmu stała się w XVII wieku, kiedy Żydzi w Pradze zaczęli zdobić nią nagrobki i chorągwie. W 1897 roku Światowa Organizacja Syjonistyczna uznała ten symbol za swój znak, później umieszczono go także na fladze państwa Izrael.

PISMA

Dekalog (hebr. *aseret ha-dibrot* – dziesięć przykazań) – zbiór norm uznanych za źródło wszystkich praw. Według tradycji żydowskiej były one spisane na dwóch kamiennych tablicach, które Mojżesz potłukł, kiedy po zejściu z Synaju zobaczył, że lud czci złotego cielca. Po ponownym wejściu na górę Synaj Mojżesz przyniósł drugi zestaw tablic (zob. „Jom Kipur" w kalendarzu żydowskim) i umieścił go w skrzyni, zwanej odtąd Arką Przymierza. W języku hebrajskim Dekalog nosi też nazwę „dziesięciu wypowiedzi Boga".

Tora (hebr. *Tora*, jid. *Tojre* – prawo) – pięć najstarszych świętych ksiąg judaizmu. Tora jest uważana przez Żydów za księgę objawioną, zawierającą przesłanie Boga do człowieka, przekazane Mojżeszowi na górze Synaj. Początkowo istniała tylko w tradycji ustnej – jako nauka i prawo. Została spisana w VII wieku p.n.e. Składa się z pięciu ksiąg w języku hebrajskim: *Sefer Bereszit* (łac. *Genesis*) – Księga Rodzaju, *Sefer Szemot* (łac. *Exodus*) – Księga Wyjścia, *Sefer Wajikra* (łac. *Leviticus*) – Księga Kapłańska, *Sefer Bemidbar* (łac. *Numeri*) – Księga Liczb, *Sefer Dewarim* (łac. *Deuteronomium*) – Księga Powtórzonego Prawa. Tora znana jest pod wieloma nazwami – jako Biblia Hebrajska, Septuaginta, Wulgata, Stary Testament, Pięcioksiąg Mojżesza. Zapoczątkowane przez nią idee zyskały status prawd odwiecznych. Każdy Żyd ma obowiązek studiować Torę i stosować jej nauki w życiu codziennym. Dla Żydów Tora zawsze była księgą świętą. Ponieważ przez dwa tysiące lat nie mieli własnej ojczyzny, właśnie ją nazywali swoją ojczyzną. Podobno różnica między Żydami religijnymi a niereligijnymi polega głównie na tym, że ci pierwsi czytają Torę w synagodze, a ci drudzy – po cichu w domu. Tora to również zwój przechowywany w synagodze, otaczany szacunkiem jak osoba, nie jak przedmiot (czczenie przedmiotów jest w judaizmie zabronione). Tekst Tory przepisywany był przez *sofera* (skrybę) gęsim piórem na arku-

szach pergaminu, które następnie zszywano lub sklejano i zwijano na dwóch ozdobnych drewnianych drążkach. Taki zwój nazywany był *rodałem*. Zwinięty rodał ubierano w sukienkę (haftowane okrycia) i ozdabiano pięknymi dekoracjami. Torę czytano w synagodze codziennie, co roku zaczynając od początku. Stosownie do tego podzielono Torę na 54 *parasze*, czyli „odcinki", których liczba odpowiada dniom szabatowym w żydowskim roku przestępnym (w roku zwyczajnym trzeba w niektóre tygodnie czytać dwie parasze).

Chumasz (hebr. *chamesz* – pięć) – Pięcioksiąg, czyli Pięć Ksiąg Mojżeszowych, Tora.

Tanach (akronim od hebr. ***T****ora* + ***N****ewiim* + ***K****etuwim*) – kanon 24 ksiąg, w którego skład wchodzą: Tora – 5 ksiąg; Newiim (Prorocy) – 8 ksiąg; Ketuwim (Pisma) – 11 ksiąg. W 243 roku p.n.e. Tanach przetłumaczono na język grecki. Przekład nazwano *Septuagintą* (gr. „siedemdziesięciu"), gdyż według tradycji dokonało go 70 żydowskich mędrców. W tamtych czasach grecki był językiem o wielkim zasięgu, dzięki czemu Tanach stał się księgą znaną w całym ówczesnym cywilizowanym świecie pod nazwą Biblii Hebrajskiej (gr. *biblos* – księga). Pod koniec IV wieku n.e. Hieronim ze Strydontu przetłumaczył Tanach z greckiego na łacinę (przekład znany jako *Wulgata*).

Talmud (hebr. – nauka, studiowanie) – dzieło składające się z **Miszny** i będącej komentarzem do niej **Gemary**. Istnieje Talmud Jerozolimski oraz Talmud Babiloński. Talmud Jerozolimski, ukończony w IV wieku, jest bardziej zwięzły i prosty. Komentuje 39 z 63 traktatów Miszny. Talmud Babiloński, ukończony na początku VI wieku, jest trzy razy dłuższy od Jerozolimskiego, choć komentuje „tylko" 37 traktatów Miszny. W postaci wydrukowanej zajmuje 13 tomów. Kiedy mówi się o Talmudzie, ma się zazwyczaj na myśli Talmud Babiloński. Na stronach Talmudu oprócz Miszny i Gemary można znaleźć liczne dodatkowe komentarze (np. Tosafot) i glossy.

Miszna (hebr. *szana* – nauczać przez powtarzanie) – zasadnicza część Talmudu. Zawiera zebrane około 220 główne przepisy prawa zwyczajowego, ujęte w 63 traktaty.

Szulchan Aruch (hebr. nakryty stół) – praktyczny wykład Talmudu z 1565 roku, kodeks przepisów religijnych i cywilnych oraz przepisów zwyczajowych dotyczących wszystkich dziedzin życia; obecnie znany w formie skróconej.

halacha (hebr. postępowanie, droga) – prawna spuścizna judaizmu, wyjaśnienia dawnego prawa ustnego, podające zasady postępowania w konkretnych przypadkach. Podając zasady, halacha sama stawała się prawem. Jeśli wyjaśnienia prawa nie formułowały nowych zasad postępowania, lecz ograniczały się do pogłębienia moralności i pobożności, nazywano je hagadami (zob. „hagada i seder").

midrasz (hebr. *drasz* – komentarz) – wywodzi się od rdzenia *darasz* (poszukiwać, studiować). Midrasze to poetyckie komentarze do ksiąg biblijnych. Przekazują w formie porównań, alegorii, przypowieści głęboką mądrość tekstu. Powstawały do około X wieku n.e. Są znaczącym literackim dorobkiem judaizmu.

Koszerny i trefny

koszerny (hebr. *koszer* – zgodny z żydowskimi przepisami religijnymi) – cecha ta oznacza zdatność danej rzeczy do użycia oraz prawidłowość wykonywania pewnych czynności według przepisów religijnych. W odniesieniu do żywności przepisy koszerności np. zabraniają łączenia ze sobą potraw mięsnych i mlecz-

nych, w żydowskiej kuchni muszą być inne naczynia do przygotowywania potraw mięsnych, a inne do mlecznych; mięso jest koszerne, jeśli pochodzi z uboju rytualnego i zostało przygotowane według ścisłych reguł.

trefny (hebr. *terefa* – poszarpane) – przeciwieństwo koszernego; nienadające się do spożycia. Chodziło tu początkowo o stworzenia poszarpane przez zwierzęta drapieżne. Zakaz spożycia rozszerzono na zwierzęta z objawami wskazującymi, że ubój nie został przeprowadzony zgodnie z regułami zawodu rzeźnika (nie wolno, by nóż poszarpał czy rozerwał najmniejsze nawet włókno).

Sidur i machzor

sidur (hebr. *sidur* – uporządkowanie) – modlitewnik, zawierający modlitwy codzienne i na szabat, odmawiane w synagodze i w domu. Oprawione w skórę i pozłacane srebro modlitewniki były używane tylko przy szczególnych okazjach, np. gdy kobieta szła do synagogi pierwszy raz po połogu.

machzor – modlitewnik świąteczny; średniowieczne machzory, kaligrafowane na pergaminie, zawierające barwne miniatury, pięknie oprawione, są wybitnymi dziełami sztuki.

Synagoga i mykwa

synagoga (gr. miejsce zebrań) – odpowiada słowu *bet kneset* (hebr. dom zgromadzeń) i *bet ha-midrasz* (hebr. szkoła, dosłownie: dom nauki) oraz w jidysz *szul* (szkoła). W języku polskim powstała nazwa „bóżnica", jako miejsca poświęconego Bogu. Synagoga to dom modlitw i nabożeństw, a także miejsce studiowania Tory i Talmudu, sala zebrań, siedziba kahału (zarządu gminy) i sądu rabinackiego (*Din Tora*), czasem również przytułek dla wędrowców. Dawniej czasem pełniła nawet funkcję więzienia, zaś w jej przedsionku znajdował się niekiedy pręgierz. Zasadniczą część głównego budynku synagogi stanowi obszerna sala modlitewna dla mężczyzn (w synagogach ortodoksyjnych kobiety modlą się oddzielnie w tzw. babińcach, które umieszczano nad salą główną lub w przybudówkach obok niej). W synagodze znajdowała się *bima*, skąd odczytywano i komentowano fragmenty świętych ksiąg, oraz *aron ha-kodesz*, gdzie przechowywano zwoje Tory. Talmud dyktuje orientowanie synagogi na wschód. Na kształt synagogi istotny wpływ miał wymóg górowania jej nad dachami dzielnicy żydowskiej oraz usytuowania w pobliżu płynącej wody, która jest znakiem czystości. Dawano im skromny wystrój zewnętrzny, z którym kontrastowała bogata dekoracja wnętrza i ozdobne naczynia liturgiczne. Ściany sali modlitewnej były pokryte cytatami z Tory i freskami. W dawnej Rzeczypospolitej wiele było synagog drewnianych, z których po II wojny światowej nie pozostała ani jedna. **Aron ha-kodesz** (hebr. dosł. święta szafa) – pierwotnie przenośna skrzynia, później szafa ołtarzowa w synagodze. Miejsce przechowywania rodałów, czyli zwojów Tory. Wbudowana we wschodnią ścianę domu modlitwy, wskazującą symbolicznie kierunek Jerozolimy (*mizrach*). Otwierana podczas ważniejszych modlitw. W pobliżu aron ha-kodesz płonie stale światełko pamięci – *ner tamid*. **Bima (**hebr. miejsce wyniesione, podwyższenie) – centralny punkt synagogi, bogato zdobiona mównica na podwyższeniu, zwykle ze schodkami, baldachimem i pulpitem, przy którym odczytuje się Torę i Newiim.

mykwa – zbiornik wody do rytualnych oczyszczeń ludzi i sprzętów (z wodą bieżącą lub deszczową), w Polsce często mieszczący się w osobnym budynku, w pobliżu synagogi. Pobożni Żydzi kąpali się w mykwie w każdy piątek przed

szabatem, niektórzy codziennie przed modlitwą. Do kąpieli zobowiązany był sofer (skryba przepisujący święte teksty) przed przystąpieniem do pracy.

Hagada i seder

hagada – legenda, opowieść interpretująca i wyjaśniająca tekst biblijny, czasem zawierająca fantastyczne szczegóły. Najbardziej znaną hagadą jest opowieść o wyjściu Izraelitów z Egiptu, snuta przy wieczerzy sederowej. Ojciec rodziny w oparciu o hagadę wyjaśnia wtedy znaczenie takich symboli, jak baranek czy maca. Maca to niezakwaszony chleb z samej mąki i wody. Ciasto na macę miesi się bardzo szybko i szybko się je piecze. Spożywanie macy obowiązuje dla upamiętnienia pośpiesznego opuszczenia Egiptu przez Izraelitów, zmuszonych do żywienia chlebem, który nie zdążył wyrosnąć.

Seder (hebr. porządek) – uczta rodzinna urządzana pierwszego wieczoru święta Pesach, charakteryzująca się ściśle określonym porządkiem. Na stół podaje się 3 mace, *maror* („gorzkie zioła", chrzan lub sałata), *charoset* (potrawa z jabłek, orzechów, migdałów, cynamonu i wina, mająca przypominać zaprawę murarską), *bejcę* (jajko) posypane popiołem, kawałek mięsa z kością, wino oraz wodę z solą. Zasadniczą częścią sederu jest opowiadanie hagady przez pana domu. Prowadzi on dialog z najmłodszym dzieckiem, uprzednio przygotowanym przez matkę do zadawania pytań w języku hebrajskim, np. „Ma nisztana...?" (Czym różni się [ta noc od innych nocy]...?). Książka z hagadą na Pesach leży otwarta na stole, służy jako przewodnik (nie używa jej się do czytania w dosłownym sensie). Podczas sederu wypija się 4 kielichy wina, które symbolizują radość z wejścia do Ziemi Obiecanej, do której prowadzi Bóg Izraela. Za każdym razem, kiedy mówi się o niewoli i śmierci, odkrywa się chleby, a zasłania kielich z winem, kiedy zaś mówi się o wolności i życiu, robi się na odwrót. Na zakończenie wieczerzy, która z reguły trwa całą noc, otwiera się drzwi domostw na znak, że każdy potrzebujący może wejść. Do przedmiotów kultu domowego związanych z wieczerzą sederową należą pięknie zdobione talerze na potrawy, często wykonane ze srebra lub porcelany. Według tradycji Kościoła pierwszych wieków (I-IV wiek n.e.), taką właśnie ucztę paschalną (seder) sprawował wraz ze swoimi uczniami Jezus Chrystus. Wieczerza paschalna poprzedzała bezpośrednio jego mękę na krzyżu. Jezus był bowiem Żydem i gorliwym wyznawcą judaizmu. W Ewangelii opisane są dwa dodatkowe elementy, które Jezus wprowadził do porządku Paschy. Uczynił: 1) chleb – symbol niewoli – swoim Ciałem oraz 2) wino – mesjański symbol wolności – swoją Krwią. Jezus sprawował ucztę paschalną w przeddzień szabatu (szabat rozpoczynał się w piątek wieczorem). Inni ówcześni Żydzi, podobnie jak kapłani, obchodzili Paschę dnia następnego. Jezus umierał więc tego dnia, gdy w Świątyni przygotowywano się do obchodów Święta. Chrześcijanie obchodzą Paschę z soboty na niedzielę, ponieważ wierzą, że tego dnia Jezus zmartwychwstał.

Szabat, kidusz, hawdala, kadisz

szabat (hebr. odpoczynek) – siódmy dzień tygodnia, dzień wypoczynku. Cotygodniowe święto trwające od zachodu słońca w piątek do zachodu słońca w sobotę, jedna z najważniejszych instytucji w życiu narodu żydowskiego. W piątek wieczorem urządza się uroczystą kolację. Gospodyni zapala przed rozpoczęciem szabatu 2 świece, odmawiając nad ich światłem błogosławieństwo. Ojciec rodziny odmawia przed posiłkiem **kidusz**. Jeden z traktatów Miszny wylicza aż 39 prac zakazanych w szabat. Zakaz pracy można złamać jedynie w przypadku za-

grożenia życia lub opieki nad chorym. W szabat nie wolno się smucić ani wypowiadać słów rozpaczy. Na zakończenie szabatu odprawia się **hawdalę**.

kidusz (hebr. uświęcenie) – błogosławieństwo odmawiane nad kielichem wina w domu i w synagodze, rozpoczynające szabat lub inne święta, proklamuje ich święty charakter. Pięknie zdobione i grawerowane pucharki oraz kubki kiduszowe są interesującymi zabytkami sztuki rytualnej, świadczącymi o mistrzostwie żydowskich złotników.

hawdala (hebr. oddzielenie, wyróżnienie) – błogosławieństwo nad winem, wonnymi korzeniami i światłem plecionej świecy, odmawiane na zakończenie szabatu lub świąt, oznaczające koniec dnia świątecznego i początek powszedniego.

kadisz (aram. uświęcenie) – modlitwa codzienna, odmawiana prawie całkowicie w języku aramejskim, wyrażająca poddanie się woli Boga. Kadisz żałobny powinien być spełniony przez syna zmarłego.

Tałes i tefilin

tałes (hebr. *talit* szata) – biały szal modlitewny, zazwyczaj w czarne lub niebieskie pasy, z frędzlami (*cicit*) wzdłuż krótszych boków, nakładany do modlitwy. U podstaw obyczaju noszenia tałesu leży biblijne zalecenie: „Niech sobie zrobią frędzle na skraju swoich szat. [...] gdy na nie spojrzycie, przypomnicie sobie wszystkie przykazania Pana, aby je wypełnić" (Lb 15, 38-39). Wolno go używać tylko mężczyznom, którzy założyli rodziny. Tałes zdobiono pasami doszytymi w miejscu zakładania na szyję i ramiona. Tradycjonaliści noszą przez cały dzień pod ubraniem *talit katan* (mały talit) – rodzaj bezrękawnika, kamizelki z *cicit*. Mały talit noszono już od dzieciństwa, w odróżnieniu od talitu dużego, zakładanego tylko przez dorosłych mężczyzn na czas modlitwy.

tefilin – hebr. nazwa greckich *filakterii*, czyli rzemieni modlitewnych. Są to 2 skórzane sześcienne pudełeczka, zawierające 4 zwitki pergaminu z cytatami z Tory (Pwt 6, 4-9; 11, 13-21;Wj 13, 1-10.11-16), przywiązywane czarnymi rzemykami do lewego ramienia i czoła, zakładane do porannych modlitw w dni powszednie. Ich krytycy spośród reformowanych Żydów uważają, że pochodzą od amuletów i odrzucają ich stosowanie. Używanie tefilinów było próbą dosłownej realizacji zalecenia z Księgi Powtórzonego Prawa 11, 18: „Weźcie przeto sobie te moje słowa do serca i duszy. Przywiążcie je sobie jako znak na rękę. Niech one będą wam ozdobą między oczami". Nie zakłada się ich w szabat i w święta, ponieważ te dni same w sobie są znakiem. Tefilin otrzymuje chłopiec po obrzędzie *bar micwa*.

Obrzezanie i bar micwa

obrzezanie – operacja polegająca na obcięciu kawałka napletka członka męskiego; jeden ze znaków Przymierza z Bogiem. Według tradycji żydowskiej są 3 grupy tych znaków: na ciele (obrzezanie), na stroju (*cicit*, zob. „tałes"), na domu (mezuza). Zabieg obrzezania zazwyczaj przeprowadza *mohel* u noworodków w ósmym dniu życia dziecka. **Mezuza** (hebr. *mezuze* – futryna) to mały zwój pergaminu zawierający 2 cytaty z Tory, umieszczony w pudełeczku (np. metalowym) tak, by przez otwór widoczne było słowo *Szaddaj* (Wszechmogący), napisane na odwrotnej stronie zwoju. Mezuzę przymocowuje się w położeniu ukośnym na odrzwiach każdego żydowskiego domu, na prawej futrynie, patrząc od wejścia. Czasem mocowano mezuzy również na futrynach drzwi do pokoi mieszkalnych oraz na bramach miejskich. Pobożni Żydzi całowali mezuzę, wchodząc i wychodząc.

bar micwa – uroczystość inicjacyjna obchodzona od XIV wieku, podczas której chłopiec staje się pełnoletni wobec prawa religijnego. Odbywa się w synagodze, zwykle w pierwszy szabat po trzynastych urodzinach chłopca. Wygłasza on wtedy uczony komentarz (*drasz*) do odczytanych przez siebie fragmentów Tory i Talmudu. Od tej pory odpowiada za swoje uczynki (dotąd odpowiadał za niego przed Bogiem ojciec) i przyjmuje na siebie pełne wykonywanie obowiązków religijnych.

EDUKACJA

cheder (hebr. izba, pokój) – dawna szkoła elementarna, w której uczono religii, czytania, pisania i liczenia. Często mieściła się w domu nauczyciela (*mełameda*), nazywanego przez uczniów *rebe*. Obejmowała 3 grupy wiekowe: od 3 do 5, od 6 do 7 oraz od 8 do 13 lat. Przedmiotem nauczania religii było odpowiednio: czytanie modlitewnika, czytanie Tory, czytanie Talmudu.

Talmud Tora – nauka, studiowanie Tory. Studiowanie Tory uważane jest przez Żydów za najwyższy obowiązek człowieka, dlatego termin *Talmud Tora* oznacza również średnią szkołę religijną. Szkoły takie były utrzymywane przez gminę. Przygotowywały do dalszej nauki w jesziwach.

jesziwa (hebr. *jesziwa*, jid. *jeszybot*) – żydowski uniwersytet; w Europie jesziwy pojawiły się w X wieku na południu Francji, następnie powstały także w Niemczech i Europie Wschodniej. Przygotowywały do objęcia urzędu rabina. Jedną z form nauki było analizowanie i dyskutowanie tekstu przez studentów w zespołach dwuosobowych. W jesziwach, oprócz studiowania dzieł rabinicznych wiele czasu poświęcano rozważaniom nad etyką i moralnością. Szeroko znana na ziemiach polskich i za granicą była Jesziwa Mędrców Lublina – mieszcząca się w pięciokondygnacyjnym gmachu przy końcu ulicy Lubartowskiej wielka, nowoczesna uczelnia, która kształciła studentów z całego świata. Budowana od 1924 roku, otwarta w 1930 roku. Posiadała wspaniały księgozbiór liczący 13 tysięcy tomów – w tym wiele unikalnych rękopisów i rzadkich starodruków – zgromadzony przez jej założyciela i pierwszego rektora, rabina Majera Szapirę.

bet ha-midrasz (hebr. dom nauki) – budynek lub pomieszczenie posiadające własną bibliotekę dzieł religijnych, przeznaczone do studiów religijnych, modlitwy i dyskusji; do domu nauki mógł uczęszczać każdy, bez względu na wiek. Znajdował się w każdej gminie, niezależnie od jej wielkości. Nauczycielami byli często wędrowni kaznodzieje, zapraszani przez gminę.

Kabała i Zohar

Kabała – system mistyczny, ukształtowany w XII wieku wśród Żydów hiszpańskich. W szerszym znaczeniu: ezoteryczne kierunki w judaizmie, które powstawały od końca okresu Drugiej Świątyni (I wiek n.e.) i odegrały żywą rolę w symbolice, obrzędach, obyczajach i historii Żydów. Filozofia Kabały wyrażała się w następujących założeniach: świat jest harmonijną całością, a człowiek jego organiczną cząstką. Przybliżenie Królestwa Bożego zależy od religijności człowieka, stopnia połączenia jego duszy z Bogiem, tęsknoty za Mesjaszem i dobrych uczynków. Stale należy walczyć ze złem, zwłaszcza ze złym duchem chcącym sprowadzić człowieka z drogi dobra poprzez zaspokajanie namiętności. Każda z liter alfabetu hebrajskiego jest święta i ma wpływy w 3 kręgach stworzenia, którymi są: człowiek, świat i przebieg czasu w ciągu roku. Wypowiedzenie litery

(jako głoski) może urzeczywistnić ważne cele, lecz przedtem wypowiadający je winien osiągnąć najwyższą doskonałość poprzez pokutę, modlitwę i ascezę. Kabała przyczyniła się do powstania wierzeń w wędrówkę dusz i do wprowadzenia amuletów, którym przypisywano magiczną moc. Interesowali się nią również chrześcijanie. W Polsce pojawiła się około XVI wieku.

Zohar (od hebr. *esz szachora* lub *or szachor* – czarny ogień lub ciemne światło) – główne dzieło żydowskiej literatury mistycznej Kabały, powstałe około 1300 roku wśród Żydów hiszpańskich. W formie komentarza do Tory starało się wyjaśnić ukryty sens opowieści biblijnych i boskich przykazań. Dzięki tej księdze znajomość Kabały szybko się rozprzestrzeniła, także na ziemiach polskich.

Żydzi aszkenazyjscy i sefardyjscy

Aszkenazyjczycy – od *Aszkenaz*, średniowiecznego określenia Niemiec. Termin stosowany wobec Żydów Europy Środkowej i Wschodniej, których łączył język jidysz w odróżnieniu od Sefardyjczyków.

Sefardyjczycy (od hebr. *Sefarad* – Hiszpania) – Żydzi wypędzeni z Hiszpanii i Portugalii w 1492 roku, osiedlający się w Holandii, krajach bałkańskich, we Włoszech oraz na Bliskim Wschodzie. W przeciwieństwie do Aszkenazyjczyków, posługujących się językiem jidysz, używają języka ladino. Różnią się też od nich rytuałem liturgicznym. Ich główne gminy znajdują się obecnie m.in. w Izraelu i Ameryce Południowej.

Jidysz i ladino

jidysz – język Żydów aszkenazyjskich; powstał we wczesnym średniowieczu wśród Żydów mieszkających w Niemczech. Podstawą jidysz jest niemiecki z elementami aramejsko-hebrajskimi i romańskimi (w dialekcie wschodnim również słowiańskimi). Zapisywany jest alfabetem hebrajskim. Z biegiem czasu na gruncie jidysz rozwinęła się literatura, przede wszystkim tłumaczenia i komentarze biblijne. Pojawiły się również inne opracowania w jidysz: zbiory historyjek, przypowieści umoralniające, legendy talmudyczne i midraszowe oraz osobiste modlitwy. Zapowiadały one wielki rozkwit literatury jidysz w XIX i na początku XX wieku. Znamienny dla rozwoju jidysz był na ziemiach polskich okres międzywojenny – otwarto wtedy szkoły z jidysz jako językiem wykładowym, drukowano w nim liczne pisma historyczne, lekarskie, ekonomiczne. W chwili wybuchu II wojny światowej posługiwało się nim około 11 milionów Żydów na świecie, głównie w Europie Wschodniej.

ladino – język Żydów sefardyjskich. Powstał wśród Żydów hiszpańskich (Sefardyjczycy). Do tej pory posługują się nim Żydzi sefardyjscy mieszkający w krajach śródziemnomorskich, bałkańskich, Ameryce Południowej i w Izraelu. Początkowo pisany był alfabetem hebrajskim, w czasach współczesnych także alfabetem łacińskim.

Chasydyzm

(hebr. *chasidim* – pobożni) – żydowski ruch religijno-mistyczny i społeczny, powstały na ziemiach polskich w 2. połowie XVIII wieku. Zapoczątkował go Izrael ben Eliezer (1700-1760), zwany Baal Szem Tow – Pan Dobrego Imienia. Działał na Podolu, Wołyniu i w Galicji. Baal Szem Tow głosił, że Bóg jest wszędzie, zaś zadaniem człowieka jest połączenie się z Nim. Miała temu służyć modlitwa odmawiana w najwyższym stanie uniesienia, ekstazie. Uważał ją za ważniej-

szą od studiowania Talmudu, którego ascetyczne reguły odrzucił. Nakazywał służenie Bogu z radością. Wprowadził do kultu wiele śpiewów, a nawet tańce. Utrzymywał też, że człowiek sprawiedliwy (cadyk) może przyśpieszyć nadejście Mesjasza. Początkowo chasydyzm spotkał się z ostrym potępieniem rabinów. Gminy żydowskie na Litwie (w Wilnie i Brodach) rzuciły na chasydów klątwę i zaczęto ich prześladować. Później jednak zalegalizowano ich bóżnice, zaś w połowie XIX wieku chasydzi stanowili większość ludności żydowskiej na terenach ówczesnego Królestwa Polskiego, na Białorusi i na Ukrainie. Odróżniali się od innych środowisk żydowskich organizacją kultu, formami obyczajowości i strojem. Charakter tego ruchu określa się jako ekstatyczny, mistyczny i hierarchiczny (oparty na autorytecie poszczególnych cadyków). Do drugiej wojny światowej centrum chasydyzmu stanowiła Europa Wschodnia, obecnie główne jego ośrodki znajdują się w Izraelu i USA.

Rabin i cadyk

rabin (hebr. *rabi* – mój mistrz) – religijny przełożony gminy żydowskiej. Posiada pozwolenie na orzekanie w kwestiach sądowych i rytualnych, nadzoruje nauczanie. *Rabi* to także tytuł grzecznościowy, odnoszący się do poważanych członków gminy, podkreślający uczoność mężczyzny, odpowiednik polskiego „pan". W środowisku chasydzkim odpowiednikiem tego tytułu był *rebe* lub *reb*.

cadyk (hebr. *caddik* – sprawiedliwy) – pojęcie używane na określenie kogoś wyjątkowego. Judaizm nie pozwala nazywać człowieka świętym, świętość to atrybut wyłącznie Boga. Dlatego mówi się o „sprawiedliwych". Według Kabały świat trwa i będzie trwał jedynie dzięki 36 żyjącym gdzieś w ukryciu „sprawiedliwym". W późniejszym znaczeniu cadyk to przywódca grupy chasydów, często otoczony kultem. Wierzono, że dzięki swej mistycznej jedności z Bogiem cadyk może pośredniczyć we wszystkich ludzkich sprawach i przyśpieszyć nadejście Mesjasza. Funkcja ta stała się dziedziczna, co w znacznej mierze spowodowało degenerację chasydyzmu.

Getto i kahał

getto – dzielnica miasta wydzielona dla Żydów. Termin stosowany od 1516 roku, kiedy to w Wenecji obszar sąsiadujący z odlewnią (wł. *getto*) ogłoszono jedyną częścią miasta otwartą dla osadnictwa żydowskiego. Dzielnice takie znane były w chrześcijańskiej Europie i krajach muzułmańskich. Ideę getta wskrzesili naziści, oddzielając Żydów od reszty społeczeństwa w miastach niemieckich, a potem w Europie Wschodniej.

kahał (hebr. *kehila* – gmina, kongregacja, zbór) – specyficzne dla Polski określenie żydowskiej organizacji gminnej, której autonomia obejmowała sprawy religii, kultu, sądownictwa, szkolnictwa, pomocy społecznej, a także zbiór podatków na rzecz państwa. Na czele kahałów stali tzw. *raszim* – najwyżsi dygnitarze gminy i jej reprezentanci wobec władz państwowych. W okresie porozbiorowym autonomia kahałów została znacznie ograniczona, sprowadzona głównie do spraw religii i pomocy społecznej.

Haskala i maskile

haskala (hebr. oświecenie, wykształcenie) – termin utworzony w 1832 roku przez Judę Jeitelesa na określenie ruchu szerzącego nowoczesną kulturę europejską wśród Żydów w latach około 1750-1880 w Polsce, Niemczech, we Włoszech

i w innych europejskich krajach. Haskala propagowała odrodzenie kulturalne i społeczne Żydów przez rozwój nauki, filozofii, reformę szkolnictwa, zbliżenie do kultury krajów, w których żyli. Popierała emancypację, wpłynęła na rozwój prasy i literatury żydowskiej, zapoczątkowała ruch asymilacyjny.

maskil – zwolennik haskali.

Macewa i ohel

macewa – nagrobek utworzony przez pionowo ustawioną płytę kamienną, o prostokątnym, trójkątnym lub półkolistym zwieńczeniu. Pokryty inskrypcją, często zdobiony symbolicznymi płaskorzeźbami, obrazującymi pochodzenie, przymioty czy imię zmarłego.

ohel (hebr. namiot) – grobowiec wybitnej osobistości np. uczonego (rabina, cadyka). Ma formę małego budynku, czasem dachu na czterech słupach, pod którym umieszcza się właściwe płyty nagrobne. Niekiedy otacza się go żelazną, kutą balustradą.

Hasła zostały opracowane dla podręcznika dla nauczycieli gimnazjów *Dziedzictwo kulturowe Żydów na Lubelszczyźnie,* przygotowywanego przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", Zakład Kultury i Historii Żydów UMCS oraz „Projekt Gugenheim". Oprac. haseł Barbara Jabłońska i Sławomir Jacek Żurek. Wybór i redakcja Marcin Skrzypek.

TRADYCJA * FOLK * MUZYKA ŚWIATA I OKOLIC

GADKI folkowe pismo z CHATKI

Jedyne w Polsce pismo o współczesnych inspiracjach folklorem i muzyką ludową:
muzyka, muzycy,
wydarzenia, poglądy,
wywiady, recenzje,
zapowiedzi...
Dostępne w EMP K-ach i punktach Kolportera

Adres redakcji:
Gadki z Chatki
ACK UMCS „Chatka Żaka"
20-031 Lublin, ul. Radziszewskiego 16
tel./fax (0-81) 53-332-01 w.114
e-mail: mikolaje@klio.umcs.lublin.pl
http://www.mikolaje.lublin.pl

CONTENTS

This issue of Scriptores is intended for a contemporary Polish reader and its character is educational. It aims at drawing attention to the Jewish community which had been a part of Lublin, co-created the city for over 400 years (as well as other Polish cities, towns and villages), was destroyed during the Second World War by the Nazis and almost forgotten afterwards. Undoubtedly this obliteration was due to the political situation in Communist Poland, gaps in history teaching and resentments, while today it is strengthened by the influence of modern culture created by media which does not facilitate identity based on the history of the place one lives in.

The periodical is published by the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre. Activities of the Centre are inspired by the history of the Grodzka Gate, which used to be a passage between the Christian part of the town and the Jewish one. The subtitle of Scriptores, "Memory-Place-Presence", is the name of the primary and oldest programme of the Centre.

There is a special section in the periodical sponsored by the Ministry of Culture and entitled "History-Memory-Reconciliation". It includes the following texts: "Ours", "The City and Its Streets", "Were There Jewish Elites in Lublin?" and "The Lublin Region in Yiddish". The aim of the section is to highlight specific examples of Polish-Jewish past and culture and to acquaint the reader with individuals involved in the process of their recovery as well as with their achievements.

HISTORY

"Ours" – conversation with Władysław Panas

Our attitude towards the presence of Jews in Poland is frequently very emotional, ambiguous, and based on rather incomplete knowledge. Both insufficient familiarity with facts and their inadequate interpretation give rise to problems many of which are discussed in the interview with the head of the Literary Theory Department at the Catholic University of Lublin. The conversation addresses Polish-Jewish themes in all their depth and complexity – from the legend of "Polin" to Polish anti-Semitism – in the local context of one of the historic places of the Jewish Diaspora. "We should talk about the culture of the Polish Republic in a language we use while referring to complex, multi-ethnic, multi-faith phenomena. Such was our history. It was created by many cultures, but only one of them survived. We are now wearing a suit that is too large, obviously designed for someone else."

"Polish Jews in the Light of Existing Sources" – Janusz Tazbir

The article develops some of the motifs concerning Polish-Jewish history, which arose in the conversation with Professor Panas. The distinguished Polish historian describes concisely and impartially the history and status of Jews in Poland. "According to some very approximate calculations," claims Tazbir, "at the end of the gentry era of the Polish Commonwealth, the Polish population constituted about 40% of the total number of citizens; however, only part of them were conscious of their ethnic

identity. At the time of the Second Republic [between the wars] the Polish population grew up to 60-70%, the rest being Jews, Belorussians, Ukrainians, and Germans."

"I Bring a Map of the Jagiellonian Poland to My Classes" – conversation with Jakub Goldberg

This interview with a professor of the Hebrew University in Jerusalem, the author of the monograph Jewish Privileges in the Polish Commonwealth, provides an opportunity to discuss the complex structure of authority and influences in the Polish-Lithuanian Commonwealth, the role of Vaad Arba Aratzot (Jewish parliament), and difficulties in evaluating Jewish history. "In Poland Jews were more separate from the majority society than in other countries. This fact was caused not only by negative factors; in no other place were Jews so numerous and had so much autonomy. They could handle their own matters within their own group."

"A Historical Portrait" – Tadeusz Radzik

A panoramic and detailed description of the history of the Jews of Lublin, written by a distinguished specialist in this field. The article is divided into parts: "The Beginnings", "Trade and Laws", "Wars and Annexations", "Education", "The Second Republic", "Occupation". Says Radzik: "In the town council there were always representatives of rich townspeople supporting Jews in their efforts to obtain the right to trade. On their side there was also the gentry who benefited from the trade."

THE PEOPLE AND THEIR BOOKS

"Judaism: Torah – Prophets – Scriptures" – Konstanty Gebert

The Jewish author and founder of the monthly Midrasz concisely describes the sources of Jewish religious and intellectual life in the context of reflections about the Hebrew written culture. "Jews were created by Scripture. From Egypt a band of runaway slaves emerged, mostly descendants of Abraham, who only vaguely remembered promises given by God to their fathers. Some other slaves joined them and together they became a nation on Mount Sinai."

"About (Jewish) Love to (Hebrew) Books" – Ryszard Löw

The text continues the motif concerning the role of the written word in Jewish culture. The author describes the special status of books and trades connected with them (copyists and bookbinders) in Jewish culture. We learn from the text that the oldest known Jewish bookplate comes from Lublin and dates back to 1651, which is significant because this way of indicating possession was adopted very late in the Diaspora, since books were considered to be common property.

"Hebrew Printing-houses in Lublin" – Joanna Zętar

The author working in the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre has collected all available information about Lublin printers and printing-houses. Lublin was one of the main centres of Hebrew printing. Having learned about the importance of the written word and its dissemination from the previous articles, we can now fully understand this part of the town's history.

"From Cheder to Yeshiva" – Zygmunt Hoffman

Together with little Dawidek we go through all the stages of Jewish education up to the famous rabbinical seminary Yeshivat Khakhmei Lublin.

"Memorial Books" and "The City and Its Streets" – Sylwia Bojczuk

This introduction from an MA thesis of a Hebrew philology graduate includes an explanation of what memorial books are, a table of contents from "The Lublin

Memorial Book“ published in Tel Aviv, and several translated passages from the book with descriptions of some characteristic streets and parts of the city.

JEWISH ELITES

“Were There Jewish Elites in Lublin?” – Robert Kuwałek

A thorough study mentioning many prominent figures from Lublin's Jewish past, written by a historian particularly interested in the subject. “Throughout the years,” claims Kuwałek, “it was hardly mentioned in Polish publications that among Lublin citizens who played an important role in the life of the town and region there were many Jews. Yet Lublin rightly used to be called 'Jewish Oxford' or 'Jerusalem of the Polish Kingdom'. However, in our consciousness there are no figures connected with these names. Years of attempts to erase memories connected with Lublin Jews contributed to our lack of knowledge about the richness of their culture. Today we should look for answers even to the most basic questions.”

“The First and the Last Thought” – Bartosz Panek

The author skims through Myśl Żydowska (Jewish Thought). This first press organ of Lublin Jews and the only one in Polish was published for about two years. “Let's be citizens” was a slogan placed on the front page of the weekly. “While the fights at Verdun, which had lasted since February 1916, were going on and Claude Monet was planning to paint 'Water Lilies', the first issue of Myśl Żydowska appeared in Polish in Lublin.”

“To the Jewish People of Lublin” – fragments of an appeal by Eliasz Klatzkin

A call to observe rules of hygiene and to help the poor in following them in the difficult times of World War I. The text comes from Myśl Żydowska and is a document of those times.

PEOPLE, MEMORY, PLACES

“The Lublin Region in Yiddish“ – conversation with Monika Adamczyk-Garbowska

An interview with the head of the Center for Jewish Studies at Maria Curie-Skłodowska University on authors writing about Lublin and the Lublin region. The article concentrates on Jacob Glatstein, a renowned Yiddish writer, almost unknown in Lublin, whose attachment to this city is stronger than that of Isaac Bashevis Singer’s. “I’ve got used to the astonishment of both Poles and Jews that I deal with these subjects. But how is it possible to live in Lublin and not to be interested in the culture and history of a people who constituted over one third of the city's population before the war?”

“Jacob Glatstein” and “Yash's Travels“

Professor Monika Adamczyk-Garbowska presents an excellent Yiddish writer who was born and brought up in Lublin and who is practically unknown among Polish readers. “The first seventeen years of my life seem to me longer than the following fifty” – remarked Glatstein. In spite of the fact that he spent most of his life in America, he never abandoned his native Yiddish, which defined his essential identity as a poet. We have included a fragment from one of his autobiographical novels Ven Yash is geforn (published in English as Homeword Bound) that

has never been published in Polish. “Around us blazed a gentile life – several: one Polish and the other Russian, at each other's throats – and a Jewish life, in which worlds apart and separated like castes, were the untouchable paupers and the Jewish aristocrats who rode in carriages drawn by spirited horses.”

“This is Almost the Whole of the Polish Lublin” – Marek Dziuba

A lecturer at the German Department at Maria Curie-Skłodowska University introduces us to the origins and theoretical background of Alfred Döblin's travel diary A Journey to Poland: “A Jew, a German, a Frenchman? An atheist, Jew, or Catholic? Today we would call him every inch a European with a heterogeneous ballast of European culture, who simply did not fit into the narrow borders of nationalisms. This is best proved by the rather unexpected and unplanned fact that after eighty years Polish readers, who were not the intended addressees of the text, are trying to find in it sources of their own cultural identity understood as a journey through the world of the past.“

“Lublin” – Alfred Döblin

The author, a well-known German modernist writer, describes the city with an attitude of superiority and naturalistic unmasking. It is party dictated by a literary convention but these are also first impressions of a stranger who is unable to abandon stereotypes and who is intuitively aware of that. The point of view represented by the author resembles that of a contemporary person who becomes familiar with the pre-war town through scattered pieces of information and photographs but is unable to reach “the truth”. The author alludes to this situation in a few passages by means of a metaphor: “The key-lock was very stubborn and incredibly deep. The key drilled through the door, pierced their hearts and – came out on the other side. And this was the mistake.“

“My World Before” – Nechama Tec

The second chapter of Dry Tears, an autobiographical book by a native of Lublin, currently a sociology professor at the University of Connecticut in Stamford. In books of this kind published throughout the world separate chapters or at least some passages are devoted to Lublin. Their authors respect and recognise the town – this is their need, since Lublin is a part of their lives. Are their lives a part of Lublin? Tec raises significant questions of Polish-Jewish identity: “Although I lived in the Christian section of the city, I had never succeeded in entering the Christian world.”

“Anna Regina Sternfinkiel (Anna Langfus)” – Ewa Rybicka

An extended profile of another distinguished author born in Lublin but almost unknown here. She was a winner of one of the most important literary prizes in the world, Prix Goncourt, the fourth woman and the first Pole who was awarded this prize. We also publish three recollections about her, including the two from the Oral History Archive of the “Grodzka Gate – NN Theatre“ Centre.

“Preparation Course“ – Anna Langfus

The first chapter of the autobiographic novel Salt and Sulphur. “We were playing poker as if inside a sphere hanging in space, unconscious of the fragility of our shelter, while a beast on thousands of legs, eating with thousands of mouths and bringing death with thousands of hands was relentlessly moving forward. At night it silently entered the town and settled down in the middle of people's sleep.“

“Lublin, My Holy City“, “The Dead Don't Praise God“ – Jacob Glatstein

A fragment of poetic prose and a poem from Glatstein’s post-war elegiac writings.

O wydawcy

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN" jest samorządową instytucją kulturalną działającą w Lublinie na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego i edukacji. W realizowanych programach nawiązuje do symbolicznego i historycznego znaczenia swojej siedziby – Bramy Grodzkiej – będącej dawniej przejściem pomiędzy miastem chrześcijańskim i żydowskim, jak również do położenia Lublina w miejscu spotkania wielu kultur, tradycji i religii.

Teatr NN powstał w 1990 roku. Początkowo jego działalność ukierunkowana była na realizację autorskich przedstawień. Z czasem twórcy Teatru zaczęli otwierać się na inne, pozateatralne i pozaartystyczne przedsięwzięcia o charakterze społecznym i edukacyjnym. Ośrodek odbudował swoją siedzibę, czternastowieczną Bramę Grodzką i przylegające do niej kamienice, co stało się elementem ożywiania i ratowania zniszczonego lubelskiego Starego Miasta. W tym okresie jednym z najważniejszych programów realizowanych w Ośrodku były „Spotkania kultur". Odbywały się prezentacje artystów i środowisk twórczych z Europy Środkowowschodniej i Zachodniej.

W 1998 roku w oparciu o Teatr NN powstał Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN". Podstawowymi osiami jego działalności są: Pamięć, Miejsce i Obecność, dlatego tak ważna stała się w jego pracy pamięć o historii bezpośredniego sąsiedztwa Bramy Grodzkiej – byłej i zapomnianej dzielnicy żydowskiej. Swoje cele Ośrodek realizuje poprzez działania artystyczne, wystawy, spotkania, sesje, promocje książek i czasopism, projekcje filmów, koncerty, działania w przestrzeni publicznej. Od 1998 roku działa internetowa strona placówki, informująca o wszystkich przedsięwzięciach i projektach. Ośrodek prowadzi również działalność wydawniczą. Publikowane są książki, tomiki wierszy oraz pismo „Scriptores". W 1998 roku Ośrodek rozpoczął realizację programu „Wielka księga miasta", w ramach którego zbierane są materiały archiwalne związane z historią polsko-żydowskiego Lublina, takie jak zdjęcia, relacje mówione, dokumenty. W oparciu o te materiały powstała wciąż rozbudowywana wystawa dokumentalna opowiadająca o przedwojennym, dwukulturowym Lublinie. Towarzyszy temu również program edukacyjny poświęcony ocalaniu dziedzictwa lubelskich Żydów.

PROJEKTY ARTYSTYCZNE

W latach 1990-1996 odbyło się pięć premier Teatru NN: „Wędrówki niebieskie", „Ziemskie pokarmy", „Inwokacja", „Zbyt głośna samotność", „Moby Dick". W swoich przedstawieniach Teatr NN stworzył własny, oryginalny język teatralny, bliski poetyce snu. Praca z materiałami dokumentalnymi (fotografie, plany, historie mówione) stała się inspiracją do realizacji innego rodzaju przedsięwzięć artystycznych. Znalazły się wśród nich m.in. wystawy dokumentalne tworzące swoisty „teatr pamięci". Wyjątkowe znaczenie mają Misteria Pamięci – działania artystyczne przeprowadzane w przestrzeniach miasta, dotykające ich symbolicznych znaczeń, przywracające im utraconą Pamięć. Zrealizowane dotychczas Misteria to: „Jedna ziemia – dwie świątynie", „Dzień pięciu modlitw" (w byłym

obozie koncentracyjnym na Majdanku), „Misterium ulicy Szerokiej", „Misterium dzwonu" i „Misterium światła i ciemności". W sumie wzięło w nich udział kilkanaście tysięcy osób. Innym symbolicznym działaniem przeprowadzanym przez Ośrodek w rocznicę likwidacji lubelskiego getta jest wysyłanie listów zaadresowanych do dawnych mieszkańców nieistniejącego miasta żydowskiego. Jest to próba „dotykania" wielkiej pustki, jaka powstała po zagładzie miasta żydowskiego w Lublinie. W 2001 roku Teatr NN rozpoczął realizację nowego cyklu przedstawień teatralnych odwołujących się do folkloru żydowskiego. Powstają one na motywach opowieści chasydzkich.

PROGRAMY EDUKACYJNE

Edukacja kulturalna pełni istotną rolę w programach Ośrodka. Szczególne znaczenia mają projekty związane z edukacją medialną. Ich celem jest nauka świadomego korzystania z propozycji mass mediów oraz wykształcenie umiejętności obrony przed zagrożeniami, jakie niesie życie w globalnej wiosce. Zrealizowano m.in. cykl „Spotkań z dokumentem". Prezentacjom filmów dokumentalnych i reportaży radiowych towarzyszyły spotkaniami z ich twórcami. Od 1999 roku Ośrodek organizuje zajęcia dydaktyczne związane z edukacją wielokulturową dla uczniów, a także szkolenia dla nauczycieli i animatorów kultury. W oparciu o eksponowaną w Ośrodku wystawę dokumentalną „Portret miejsca" została stworzona oferta edukacyjna dla młodzieży szkolnej. Wystawa jest odwiedzana także przez przyjeżdżające do Lublina grupy młodzieży z Niemiec, Izraela i innych krajów. W 2001 roku w Ośrodku odbyła się międzynarodowa konferencja „Edukacja dla pojednania" (zorganizowana we współpracy z Carnegie Council z Nowego Jorku i Uniwersytetem Jagiellońskim) oraz zainicjowane przez dr. Hansa Guggenheima seminarium „Dziedzictwo kulturowe Żydów na Lubelszczyźnie" (współorganizowane przez Zakład Kultury i Historii Żydów UMCS), w którym wzięli udział nauczyciele z Lublina i regionu. Efektem tych działań będzie podręcznik dla gimnazjów: „Lublin wielokulturowy". W 2002 roku Ośrodek rozpoczął nowy regionalny program „Zapomniana przeszłość. Wielokulturowe tradycje Lubelszczyzny". Jednym z głównych jego celów jest stworzenie edukacyjnego portalu internetowego zawierającego informacje dotyczące wieloreligijnej i wieloetnicznej historii Regionu.

WIELKA KSIĘGA MIASTA – ARCHIWUM

W ramach realizowanego od 1997 roku programu „Wielka księga miasta" powstaje archiwum materiałów dokumentalnych, takich jak: fotografie, relacje mówione (wywiady z przedwojennymi mieszkańcami miasta), teksty literackie i dokumenty pokazujące codzienne życie przedwojennego Lublina. Informacje o nich zostaną udostępnione w 2003 roku w portalu edukacyjnym. Zebrane materiały są punktem wyjścia do działań o charakterze artystycznym i edukacyjnym. Powstały m.in. dwie wystawy dokumentalne tworzące aranżację wnętrz siedziby Ośrodka. Forma plastyczna obu wystaw wyrosła z doświadczeń teatru i jest mocno zakorzeniona w teatralnej wyobraźni oraz specyficznym dla teatru języku form. Ważną częścią tego projektu jest „Makieta dawnego lubelskiego zespołu staromiejskiego" w skali 1:250, obejmująca nieistniejącą już dzielnicę żydowską i unaoczniająca skalę zniszczeń dokonanych na organizmie miejskim w czasie II wojny światowej. Dzięki zgromadzonej przez Ośrodek dokumentacji udało się zrekonstruować dawny układ urbanistyczny centrum miasta, odtworzyć przebieg

dawnych ulic, usytuowanie placów, przypomnieć charakter zabudowy. W ramach projektu „Dom" gromadzone są informacje o wybranych kamienicach z obszaru dawnego zespołu staromiejskiego. Chodzi tu o uchwycenie historii konkretnego domu zarówno w warstwie dokumentacyjnej (materiały archiwalne), jak też poprzez losy ludzi, którzy tam żyli.

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN" – programy i ich koordynatorzy:

Historia mówiona – **Marta Kubiszyn** (marta@tnn.lublin.pl)
Zapomniana przeszłość – wielokulturowe tradycje Lubelszczyzny – **Joanna Zętar** (asia@tnn.lublin.pl)
Internet – **Krzysztof Wojteczko** (krzysiek@tnn.lublin.pl)
„Scriptores" – **Marcin Skrzypek** (marcin@tnn.lublin.pl)
Edukacja – **Grzegorz Żuk** (gzuk@tnn.lublin.pl)
Archiwum fotografii – **Beata Markiewicz** (beata@tnn.lublin.pl.), **Agnieszka Wiśniewska** (agnieszka@tnn.lublin.pl)
Witold Dąbrowski – wicedyrektor (witek@tnn.lublin.pl)
Tomasz Pietrasiewicz – dyrektor Ośrodka, kierownik artystyczny Teatru NN, koordynator wszystkich programów (tomek@tnn.lublin.pl)

OŚRODEK BRAMA GRODZKA
TEATR NN

About the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre, the publisher of "Scriptores"

The Centre is an independent cultural institution engaged in fostering an awareness of Lublin's rich multicultural history and at developing a deeper sense of local identity and tolerance for other cultures. In its activities the Centre refers to the symbolic and historical significance of its residence – the Grodzka Gate – which was once a passage from the Christian to the Jewish part of the city, as well as to the locality of Lublin as a place where various cultures, traditions and religions once met.

The NN Theatre (from Latin nomen nescio, "name unknown") was founded in 1990. Initially its activities focused on theatrical performances, but gradually its creators realised the historical significance of its location and the richness of Lublin's past. They started to open up to other types of activities such as social, cultural and educational initiatives. The Centre restored its residence, the 14th century Grodzka Gate and the adjoining houses, bringing back to life an important part of Lublin's neglected Old Town. One of the most important programmes run at that time was called "Encounters of Cultures", where artists from Western and East Central Europe performed and presented their work. Since then the activities of the Centre have been focused on reviving the memory of Lublin's Jewish section. The Centre achieves this aim through artistic activities, exhibitions, interactive meetings, film screenings, concerts, outdoor events, promotion of books and magazines and its own publications (books, "Scriptores"). Since 1998 information about all these activites can found on web sites. In 1998 the Centre started its programme "The Great Book of the City". Within this framework archival materials connected with the history of Polish-Jewish Lublin, such as photographs, oral testimonies and documents are collected. Some of these materials have been assembled into a documentary exhibition of two-cultural Lublin.

ARTISTIC PROJECTS

In the years 1990-1996 five premieres of the NN Theatre took place: "Heavenly Wanderings", "Earthly Foods", "Invocation", "Too Loud a Solitude" and "Moby Dick". In its performances the NN Theatre has created an original theatrical language which is close to a dream poetics. Working on documentary materials (photographs, maps, oral testimonies) has become an inspiration for undertaking artistic activities of other kinds. Among others, those included documentary exhibitions forming a specific "theatre of memory". Exceptional significance is given to "Memory Mysteries" – artistic activities taking place in the city's spaces, connected with their symbolic meaning directed at restoring their lost past. The Mysteries which have been realised so far include: "One World – Two Temples", "Day of Five Prayers" (in the former concentration camp in Majdanek near Lublin), "Mystery of the Szeroka Street", "Mystery of the Bell" and "Mystery of Light and Darkness". Altogether several thousand people took part in those events. Another project with symbolic meaning was undertaken by the Centre on the anniversary of the liquidation of the Lublin ghetto by sending letters addressed to

former inhabitants of the non-existent Jewish town. It is an attempt to “touch” the vast emptiness which came into being after the extermination of the Jews of Lublin. In 2001 the NN Theatre started preparing a new series of theatrical performances inspired by Jewish folklore and Hassidic stories.

EDUCATIONAL PROGRAMMES

From the very beginning, cultural education played an important role in the NN Theatre's programmes. Projects connected with media education became increasingly important. Their aim was to teach how to use modern media consciously and critically, how to reach the sources of information and how to prepare oneself for the challenges accompanying life in the global village. Within the framework of that programme, among others, a series “Encounters with Documentaries” was organised. It consisted in screenings of documentary films and presentations of radio broadcasts as well as in holding meetings with their authors. Since 1999 the Centre has been organising classes for students in the realm of multicultural education as well as workshops for teachers and cultural leaders. The basis of these initiatives is a documentary exhibition of the Centre's materials called “A Portrait of the Place”. The exhibition has been visited by young people from around the world including Germany and Israel. In 2001 in co-operation with the Carnegie Council (New York) and Jagiellonian University (Cracow) the Centre organised an international conference “Education for Reconciliation”. In the same year the Centre held a seminar called “Cultural Heritage of Jews in the Lublin Region” in co-operation with the Centre for Jewish Studies at Maria Curie-Skłodowska University and Project Guggenheim. The seminar was attended by a considerable number of teachers from Lublin and the surrounding region whom the Centre co-operates with. In 2002 the Centre initiated a new programme addressed to the whole Lublin region: “The Forgotten Past – Multicultural Traditions of the Lublin Region”. One of the aims of this programme is designing an Internet educational web site which will contain information about the multireligious and multiethnic history of the region.

“THE GREAT BOOK OF THE CITY”

Within the framework of a programme called “The Great Book of the City”, ongoing since 1997, an archive of documentary materials such as photographs, oral testimonies (interviews with pre-war citizens), literary texts, documents showing everyday life of pre-war Lublin, is being created. The collected materials serve as a basis for artistic and educational activities. Among others, two documentary exhibitions serving as the interior arrangement of the Centre have been organised. The artistic form of those exhibitions has developed from the experience of the theatre and is strongly rooted in the theatrical imagination and expression. An important part of the exhibition is a model of the pre-war Old Town District decreased to the scale of 1:250, encompassing the non-existent Jewish town. The model emphasises the scope of destruction caused by World War II. The collected documentation allowed us to reconstruct the old structure of the town's centre, to recreate non-existent streets or squares, and to give viewers an idea of the character of the buildings. Some houses or premises are documented in a particularly detailed way to capture the history of specific buildings through archival materials as well as through the history of the people who lived there.

About the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre

The „Grodzka Gate – NN Theatre" Centre – programmes and their managers:

Oral History – **Marta Kubiszyn** (marta@tnn.lublin.pl)
Forgotten Past – Multicultural Traditions of the Lublin Region – **Joanna Zętar** (asia@tnn.lublin.pl)
Internet – **Krzysztof Wojteczko** (krzysiek@tnn.lublin.pl)
"Scriptores" – **Marcin Skrzypek** (marcin@tnn.lublin.pl)
Education – **Grzegorz Żuk** (gzuk@tnn.lublin.pl)
Photography Archive – **Beata Markiewicz** (beata@tnn.lublin.pl.), **Agnieszka Wiśniewska** (agnieszka@tnn.lublin.pl)
Tomasz Pietrasiewicz – director of the Centre, artistic director of the NN Theatre, coordinator of all programmes (tomek@tnn.lublin.pl)
Witold Dąbrowski – vice director (witek@tnn.lublin.pl)

Contact and address:
Ośrodek "Brama Grodzka – Teatr NN"
20-112 Lublin, Grodzka 21, Poland
(48-81) 532-58-67, fax. 534-61-10
teatrnn@tnn.lublin.pl
www.tnn.lublin.pl